FANTASTYCZNE PIÓRA

ANTOLOGIA PORTALU FANTASTYKA.PL

2022

FANTASTYCZNE

Fantastyka

Audiodeskrypcja okładki dla osób niewidomych

Autorka grafiki: Alicja Leszczyńska
Opis: Marcin Opolski
Konsultacja ekspercka: Magdalena Rutkowska

Okładka składa się z trzech części: szerokiego pasa na górze, wąskiego paska na dole i umieszczonej pomiędzy nimi grafiki.

Oba marginesy mają fioletowe tło, główna ilustracja utrzymana jest w podobnych, miejscami wpadających w ciemny róż, tonacjach. Na górnym znajduje się napis „Fantastyczne pióra, antologia portalu fantastyka.pl, 2022". Na dolnym z lewej strony umieszczono słowo „fantastyczne", obok którego są dwa czarne pióra. Po prawej umieszczono logo czasopisma i portalu „Nowa Fantastyka", mające kształt stylizowanego na neon napisu. Całość mocno nawiązuje do estetyki okładek płyt techno z lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku i jest nieco psychodeliczna.

Na pierwszym planie grafiki, zajmując dużą część jego dolnej połowy, zlokalizowana jest gigantyczna żaba skierowana w lewo. Podbrzusze ma bladoróżowe, grzbiet fioletowy. Ogromne, ropusze oko zezuje ku frontowi okładki. Jego źrenica ma barwę nocnego nieba, a przez tęczówkę przechodzą ciemnożółte i granatowe smugi.

Na drugim planie znajduje się przestrzeń kosmiczna, w której czerń próżni zastąpił kolor granatowo-fioletowy. Krążą w niej cztery planety, wszystkie przedstawione w dużym zbliżeniu. Średnia ulokowana jest nad paszczą żaby, największa ponad jej ślepiami, mała nieco poniżej i na prawo, nad grzbietem płaza, a najmniejsza, już w trzecim planie, odrobinę powyżej przerwy oddzielającej dwa pierwsze z wymienionych obiektów. W tle

pobłyskują liczne gwiazdy, a wokół całej przedstawionej sceny biegną po łukach żółte smugi sugerujące ruch orbitalny.

Trzy planety są fioletowe, najmniejsza seledynowa, a wokół wszystkich krążą pojedyncze pierzaste chmurki. Na średniej z nich znajdują się dwa nowoczesne, złożone z zielonych wieżowców miasta, przedstawione w sposób przypominający trójwymiarowe ikony w grach komputerowych. Mniejsze zlokalizowano na dolnej krawędzi kuli. Większe, przewyższające linię chmur, na górnej. Wzdłuż równika leci seledynowy samolot, pozostawiający za sobą długą smugę.

Na największym obiekcie kształtują się właśnie lądy. Pomiędzy rozsianymi na jej powierzchni pięcioma rozległymi lasami płyną białe nitki rzek, łącząc się bądź rozdzielając, aż trafiają do jednego z dwóch mórz wypełnionych gęstą cieczą. Po wolnej przestrzeni spacerują jasnobrązowy tyranozaur oraz dwa zielone diplodoki, nad południową krawędzią frunie para pterodaktyli. W prawym górnym rogu znajdują się liczne wybrzuszenia górskie. Największe z nich eksploduje lawą i chmurą białego pyłu.

Na małej planecie z prawej strony, między fioletowymi lasami od wschodu i zachodu oraz skałami na południu, biegnie na północ szeroka rzeka, w połowie przecięta mostem stanowiącym część długiej, krętej drogi. Ścieżka na prawym brzegu skręca na północ, by doprowadzić do seledynowego zamku ze strzelistymi wieżami, wokół którego krąży czerwony smok.

Najmniejsza i najbardziej odległa planeta pokryta jest seledynowym oceanem, z którego na południu wyłaniają się zniekształcone, nieco przypominające rafy, różowe skały, a na zachodzie różowa wyspa z palmami. W centrum płynie tuż pod powierzchnią wieloryb z młodym, zaś na wschodzie podróżuje w kierunku północnym różowo-fioletowy okręt z niebieskimi żaglami. Na północnym biegunie z topieli wyłaniają się macki krakena.

www.fantastyka.pl/antologia

Fantastyczne pióra 2022
Antologia portalu fantastyka.pl

Tytuł: Fantastyczne pióra 2022. Antologia portalu fantastyka.pl
Wydawca: Fantastyczne Pióra, antologianf@gmail.com
Patronat: „Nowa Fantastyka”

Autorzy: Filip Duval, Agnieszka Fulińska, Grzegorz Kałużny, Daniel Kordowski, Jakub Kubal, Rafał Łoboda, Marcin Bartosz Łukasiewicz, Krzysztof Marciński, Magdalena Ostrowska-Dołęgowska, Mateusz Pawlak, Dariusz Zasadzki

Przedmowa: Ola Klęczar

Ilustracje: Agata Francik, Malwina Kozłowska, Dominika Wojtylak, Gosia Lewandowska, Magdalena Ostrowska-Dołęgowska, Daniel Kordowski
Sylwester Gdela (obróbka graficzna)
Logotyp: Sylwester Gdela, przy wykorzystaniu grafiki Bogusza Jaśniaka
Okładka: Alicja Leszczyńska, layout okładki zaprojektowany przez Adama Sondela

Audiodeskrypcja okładki dla niewidomych: Marcin Opolski
Konsultacja ekspercka audiodeskrypcji: Magdalena Rutkowska
Audiodeskrypcja dostępna jest w wersji elektronicznej dokumentu.

Redakcja: Weronika Borek-Marciniec, Lidia Gręda, Anna Grzanek, Grzegorz Kałużny, Paulina Klimentowska, Irka Luz, Wiktor Matyszkiewicz, Michał Pięta, Regulatorzy, Dariusz Skrzydło, Bogumiła Strzelec, Paweł Wącławski, Agnieszka Zasadzka

Korekta: Maria Anna Barć, Weronika Borek-Marciniec, Anna Dudało, Filip Duval, Sylwia Finklińska, Lidia Gręda, Irka Luz, Rafał Łoboda, Mateusz Pawlak, Radek Puchała, Dariusz Skrzydło, Bogumiła Strzelec, Agnieszka Zasadzka

Weryfikacja: Weronika Borek-Marciniec, Anna Dudało, Grzegorz Kałużny, Jakub Kubal, Irka Luz, Wiktor Matyszkiewicz, Mateusz Pawlak, Krzysztof Rarocki, Michał Rybiński, Bogumiła Strzelec, Agnieszka Zasadzka

Skład: Anna Dudało, Agencja Emotion Media (layout)

Koordynacja: Weronika Borek-Marciniec, Wiktor Matyszkiewicz

Redaktor prowadzący: Krzysztof Rarocki

Druk: Sowa Sp. z o.o.
Dystrybucja: www.antologia.smolec.pl/opencart3
ISBN:
epub: 978-83-966833-4-2
mobi: 978-83-966833-3-5
PDF: 978-83-966833-6-6
Oprawa miękka: 978-83-966833-5-9

Wszystkie prawa zastrzeżone (nie dotyczy treści tworzonych za pomocą algorytmów generatywnych).

Wydanie I, Sobótka 2023

Portal fantastyka.pl to iście magiczne miejsce: wpadają do niego giermkowie nieopierzeni i nieogarnięci, wychodzą rycerze w zbroi wiedzy, gotowi podbijać konkursy, magazyny i rynek wydawniczy. Jak pokazują wcześniejsze edycje, autorzy, którzy przeżyli ostrą selekcję do antologii *Fantastycznych Piór*, mają potencjał, by zawojować polską fantastykę. Pozwólcie im zachwycić was już dziś.

Mika Modrzyńska
autorka książek oraz członkini Loży NF 2020

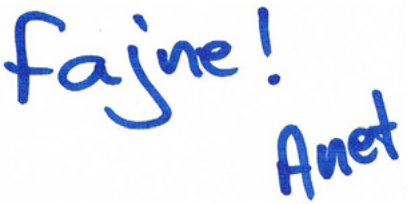

017

Pani Metamorfoz
Daniel Kordowski

Gatunek: fantasy **Tagi:** magia, miłość, mitologia

041

Nigdy nie chciałam zwykłego życia (18+)
Marcin Bartosz Łukasiewicz

Gatunek: realizm magiczny **Tagi:** groteska, anarchia, narkotyki

053

Powiadają, że drzewa mają dusze
Mateusz Pawlak

Gatunek: fantasy **Tagi:** erotyka, miłość, Słowianie

069

Bogu niech będą dzięki
Grzegorz Kałużny

Gatunek: realizm magiczny **Tagi:** religia, absurd, bizarro

079

Eleos
Jakub Kubal

Gatunek: science-fiction **Tagi:** dystopia, śmierć

093

Marsjański gambit
Agnieszka Fulińska

Gatunek: althist **Tagi:** astronomia, XIX wiek, Mars

123

Miłość Schrödingera
Daniel Kordowski

Gatunek: science-fiction **Tagi:** fizyka kwantowa, miłość, postapo

147 **Ich zabawy (18+)**
Rafał Łoboda
Gatunek: horror **Tagi:** dramat, groza, psychologia

163 **Mglistowie**
Filip Duval
Gatunek: fantasy **Tagi:** dark fantasy, kryminał, steampunk

201 **Mistrz i Małgorzata**
Magdalena Ostrowska-Dołęgowska
Gatunek: horror **Tagi:** groza, kobiecy bohater, koty

229 **Co w pustelni się staje, w pustelni ostaje**
Mateusz Pawlak
Gatunek: realizm magiczny **Tagi:** las, Słowianie, wieś

237 **Pokuta**
Dariusz Zasadzki
Gatunek: realizm magiczny **Tagi:** groza, kobiecy bohater, choroba

265 **Jak zostałem...**
Jakub Kubal
Gatunek: fantasy **Tagi:** superbohaterowie

283 **Nowa Aztekia**
Krzysztof Marciński
Gatunek: fantasy **Tagi:** przepowiednia, tajemnica, zagłada

Przedmowa

Lekcje pisania, lekcje czytania

W roku 2018 na mającym już wówczas sporą tradycję forum literackim „Nowej Fantastyki" pojawiła się idea antologii najlepszych opowiadań roku. Pomysł oparty był na funkcjonującym na forum systemie piórek – przyznawanych przez społeczność comiesięcznych nagród za najciekawsze opowiadania opublikowane na portalu. Obecna antologia to już szósta z serii, ukazały się bowiem tomy za lata 2018–2021 i tom zbiorczy z lat 2010–2017.

Z forum fantastyka.pl związanych było całkiem sporo autorów i autorek, którzy w ostatnich latach odnosili literackie sukcesy, zarówno na poletku fantastycznym (Nagroda im. Janusza A. Zajdla za rok 2020 dla Krzysztofa Rewiuka i Krzysztofa Matkowskiego, liczne nominacje m.in. dla Magdaleny Świerczek-Gryboś, Krzysztofa Rewiuka, Krzysztofa Matkowskiego, Magdaleny Kucenty, Anny Szumacher), jak i poza nim – aktywnym uczestnikiem forum był swego czasu laureat Nike, Radek Rak. Warto wspomnieć o tych sukcesach, bo być może wśród autorek i autorów obecnej antologii znajdują się przyszłe gwiazdy polskiej prozy.

Ale od forum fantastycznego do literackich sukcesów droga bywa daleka i najeżona trudnościami jak, nie przymierzając, przelot przez jakąś odległą galaktykę. W końcu corocznie ukazuje się w Polsce sporo antologii, w tym część darmowych, gdzie całe mnóstwo twórców proponuje często bardzo interesujące utwory. Dlaczego sięgać akurat po ten zbiór?

Przede wszystkim mamy tutaj teksty niezwykle różnorodne, jak chodzi o konwencję. Od klasycznej fantastyki po popularny ostatnio w polskiej prozie wariant realizmu magicznego, od przetworzeń i kreacji mitów po historię alternatywną, od SF do fantasy przez grozę – widać wyraźnie,

że spektrum zainteresowań literackich twórców i twórczyń forum jest bardzo szerokie.

Antologię otwiera mitologiczna *Pani Metamorfoz* **Daniela Kordowskiego**. Opowiadanie wyróżnia się pomysłowym światotwórstwem – trochę przywodzącym na myśl co bardziej odlotowe pomysły twórców steam-i podobnych-punków, trochę wręcz chwilami stylistykę Jacka Dukaja. Wszystko to wpisane jest w przetworzenie Kordowski to pisarz na początku twórczej drogi, ale obdarzony fantastyczną wyobraźnią i dużą stylistyczną sprawnością, a jednocześnie – własnym autorskim głosem. Umiejętności pisarskich Kordowskiego dowodzi również drugi jego tekst w antologii, *Miłość Schrödingera*. To opowiadanie pod wieloma względami inne od *Pani Metamorfoz*, zarówno jak chodzi o klimat, jak i o przyjętą konwencję – w *Pani...* mamy mityczną opowieść, w *Miłości...* – dziwną, nietypową science fiction dość bliskiego zasięgu. Choć czy rzeczywiście można tutaj mówić o science fiction *sensu stricto*? W końcu bohaterowie, których łączy nieoczywiste (i, dodajmy, niebanalnie opisane) uczucie, muszą mierzyć się z czymś, co rozumowo nie do końca da się ogarnąć, przynajmniej nie od razu. To bardzo efektowne opowiadanie, zaskakujące i intrygujące, i choć wymaga skupienia, bardzo przyjemnie się je czyta.

Autor drugiego w spisie treści opowiadania, **Marcin Bartosz Łukasiewicz**, niedawno wydał debiutancką powieść, zatytułowaną *Moja martwa dziewczyna*, w wydawnictwie Zysk i S-ka. W opowiadaniu *Nigdy nie chciałam zwykłego życia* Marcin odważnie i pomysłowo sięga po motyw uzależnienia i narkotyków, łącząc go z bardzo swoiście pojmowanymi wizjami i scenami o charakterze *de facto* religijnym. Tekst jest prowokujący, nie tylko treściowo, ale i formalnie: autor nie boi się ani twórczego a obfitego użycia wulgaryzmów, ani sięgania w narracji i nawet zapisie tekstu w kierunku literackich eksperymentów. Jest przy tym świadomy swoich pisarskich celów i zamiarów – tekst, mimo wszystkich szalonych pomysłów i ostrych jazd, których jest pełen, wydaje się spójny i płynny w lekturze.

Ich zabawy **Rafała Łobody** to także opowiadanie zdecydowanie dla dorosłych. Kto kojarzy autora z humorystycznym tekstem *Cess i szkatułka szczęścia* („Nowa Fantastyka" 08/2022) i spodziewa się podobnych

klimatów, będzie mocno zaskoczony. Rozpięte koncepcyjnie gdzieś między groteską a horrorem na pograniczu bizarro, opowiadanie Łobody dzieje się w sporej części w domu pogrzebowym (i tak, zapewne jest tam większość z tych obrzydliwych rzeczy, o których właśnie sobie pomyśleliście, widząc zbitkę „horror, bizarro, dom pogrzebowy"). Ale nie dajcie się zmylić określeniu „groteska", które mogłoby skojarzyć się z czymś zabawnym – tutaj humor, nawet najczarniejszy, musi ustąpić przed beznadziejnością codziennej egzystencji bohatera-narratora, makabrą jego pracy i powoli narastającą, czającą się w ciemnych zakamarkach chłodni grozą. Są w tym opowiadaniu obrazy, które zostają z czytelnikiem bardzo, bardzo długo – czy tego chce, czy nie...

Marsjański gambit **Agnieszki Fulińskiej** oraz *Mglistowie* **Filipa Duvala** reprezentują w tym tomie różne warianty pisania fantastyki historycznej / historii alternatywnej. Opowiadanie Fulińskiej odwołuje się, podobnie jak jej wcześniejsze teksty znane z „Nowej Fantastyki" i z wielu antologii, do wykreowanego przez autorkę niejednorodnego uniwersum alternatywnej napoleońskiej i post-napoleońskiej Europy, w której historia potoczyła się inaczej także dlatego, że nie wszystko w niej da wytłumaczyć się racjonalnie... *Marsjański gambit* to opowiadanie z bardziej steampunkowej inkarnacji uniwersum autorki, a napisała je, jak twierdzi sama autorka, historia: ta erudycyjna, prowadzona w niespiesznym tempie literacka gra powstała bowiem z połączenia wątkami i postaciami fikcyjnymi pewnych fascynujących, a niekoniecznie powszechnie znanych wydarzeń, wiążących ze sobą odkrycie kanałów na Marsie, zjednoczenie Włoch i dziewiętnastowieczne wojny w Europie... *Mglistowie* z kolei to opowiadanie fantastyczno-kryminalne, umieszczone w realiach alternatywnego świata, przypominającego trochę steampunkową wersję Austro-Węgier sprzed I wojny światowej, trochę chwilami wręcz wojenną III Rzeszę. Autor prowadzi czytelników przez skomplikowane meandry śledztwa, które na pierwszy rzut oka wydaje się związane z lokalną polityką, a które nadzoruje mający za sobą ponure frontowe traumy komisarz policji. Niewiele jednak ostatecznie okaże się w tym opowiadaniu być tym, czym się na pierwszy rzut oka wydaje.

Dwa opowiadania ma w zbiorze **Mateusz Pawlak** i w obydwu można w mniejszym czy większym stopniu zauważyć echa ludowości, tradycji, tego, co się czasami określa jako „rural fantasy". Te podobieństwa nie zacierają jednak różnic między nimi. *Powiadają, że drzewa mają dusze* to tekst subtelnie emocjonalny, wpisany w historyczne realia, a skupiony na zarysowanej delikatną kreską historii miłosnej. Wpisana jest ona w opowieść, której nastrój przywodzi na myśl ludowe legendy i opowieści, choć wpisane w nowoczesną formę literacką.

Natomiast *Co w pustelni się staje, w pustelni ostaje* to historyjka znacznie bardziej rubaszna i chwilami wręcz humorystyczna, choć czytelnik szybko zauważy, że spod pozornie prostych sprośności wyłania się inna, bardziej skomplikowana opowieść o życiu, samotności i emocjach. Te nastroje i klimaty, na pozór sprzeczne, autor łączy płynnie i umiejętnie w sympatyczną, przyjemną w lekturze całość.

Grzegorz Kałużny w opowiadaniu *Bogu niech będą dzięki* sięga po groteskową formę i barwny, efektowny język, by opowiedzieć krótką, absurdalną i nieoczekiwanie gorzką historyjkę o tym, że na pewne wydarzenia – a zwłaszcza te o eschatologicznym wymiarze – ludzkość nigdy nie będzie gotowa. Niezależnie od tego, jak długo trenuje stanie w kolejce i jak bardzo to stanie, idea komitetów kolejkowych i hasło „Pan tu nie stał!" zakorzenione są w tradycji.

Dwa opowiadania – jedno to *Eleos*, drugie *Jak zostałem...* – ma w zbiorze **Jakub Kubal**. *Eleos* – co po grecku znaczy „litość, zmiłowanie" – to tekst dla zwolenników ciężkich, ponurych klimatów. Można go zaliczyć do science fiction bliskiego zasięgu, bo rzeczywiście, w centrum pomysłu stoją idee, które mogą wynikać z rozwoju nauki. Jednak kluczowa jest nie tyle strona naukowa, co socjologiczno-psychologiczna: *Eleos* powinien spodobać się czytelnikom, którzy lubią w fantastyce raczej problemy i rozważania niż prostą i szybką akcję, a jednocześnie mają ochotę zmierzyć się z postawionym przez autora etycznym i – nie bójmy się tego określenia – moralno-filozoficznym problemem. *Jak zostałem...* to z kolei ironiczna i pomysłowa literacko gra z archetypem komiksowego superbohatera, a raczej z kilkoma jego konceptami: od dobrego i chętnego do pomocy Supermana przez coraz bardziej

obojętnego i czującego wyższość wobec ludzi Doktora Manhattana aż po, powiedzmy sobie szczerze, psychopatycznego Homelandera...

Mistrz i Małgorzata **Magdaleny Ostrowskiej-Dołęgowskiej** to z kolei opowiadanie, które trochę bawi się klasycznymi motywami grozy (mumia, nawiedzony dom), traktując je z lekkim przymrużeniem oka, trochę chwilami skręca w nieco poważniej traktowane klimaty gotyckiego horroru, a wszystko to w lekkim, bardzo przyjemnym w lekturze tekście.

Z kolei **Dariusz Zasadzki** w opowiadaniu *Pokuta* łączy konwencje fantastycznej grozy i opowieści kryminalnej, kreując niebanalną wariację na temat historii pozornie rutynowego śledztwa, które okazuje się wcale nie tak zwyczajne. Wielbiciele współczesnych kryminałów znajdą tu pełnokrwiste postacie i konflikty między nimi, a czytelnicy preferujący motywy fantastyczne – nowocześnie zrealizowany klimat klasycznej grozy.

Nowa Aztekia **Krzysztofa Marcińskiego** to z kolei opowiadanie, które wpisuje się w kontynuowany przez autora od kilku lat na forum fantastyka.pl cykl mitologiczno-humorystycznych opowiadań. Ich głównymi bohaterami są zadufany w sobie i mocno nieudaczny bóg Quetzalcoatl i jego nieco bystrzejszy, za to zdecydowanie nieszczęśliwy sługa Ciapek. Teksty Marcińskiego tworzą pewne spójne uniwersum, *Nową Aztekię* można jednak czytać i bez jego znajomości. Tym razem upadły bóg i jego wierny, acz niekoniecznie kochający swego pana towarzysz muszą zmierzyć z faktem, że imperium Azteków upadło i w Pierzastego Węża nikt już nie wierzy, a konsekwencje tego faktu są, co widać nawet w lekko humorystycznym ujęciu, jakie autor wybiera, całkiem poważne.

Nawet taki pobieżny i z założenia unikający szczegółów przegląd pokazuje, że w tomiku znajdują się teksty niezwykle różnorodne – na pewno nie wszystkim czytającym spodoba się każde opowiadanie, ale jest spora szansa, że łatwo będzie znaleźć coś dla siebie.

Jest jeszcze jedna cecha tego tomu, którą warto podkreślić. Każdy mianowicie tekst, jaki znajdziecie w zbiorku, jest, owszem, autorskim dziełem, ale powstałym we współpracy ze społecznością portalową. W antologii znajdują się adresy poszczególnych opowiadań – warto zerknąć na jedno czy drugie, żeby zobaczyć, jakie dyskusje się pod nimi toczą, jak autorzy

poddawani są procesowi jednocześnie recenzji, redakcji i krytyki przez forumową społeczność. To nie zawsze są rozmowy łatwe, ale wiele z nich okazuje się w końcu cenne dla wszystkich zaangażowanych stron. Bo forum fantastyka.pl uczy nie tylko pisać, ale też rozmawiać o pisaniu, i może nie zawsze, ale na pewno w swoich najlepszych momentach – także na temat tego pisania dogadywać się, mimo różnic. Powiedzmy sobie szczerze: to też jest lekcja, która mogłaby się przydać nie tylko aspirującym autorom.

Ola Klęczar
Pisarka

Pani Metamorfoz

Daniel Kordowski

O nic nie błagaj, bo próżne marzenia,
by człowiek uszedł swego przeznaczenia

Sofokles

Żywioły były niespokojne. Pompy hydoru pracowały pełną mocą, pyr rozgrzewał tłoki do czerwoności, ge zapychała sprężarki, aer napędzał turbiny ledwo wytrzymujące tempo obrotów, a arche – podstawowy budulec wszechrzeczy – trzeszczała w rurach. Kobieta przy aparaturze walczyła z zaworami i dźwigniami, miotając gniewnie zaklęcia, by wyrównać poziomy pięciu elementów.

Gdy już uchroniła świat od katastrofy, chciała jeszcze upewnić się, że praca sfer przebiega zgodnie z oczekiwaniami – wszak minęło wiele czasu, odkąd po raz ostatni sprawdzała, jak wyglądają sprawy za murami Pałacu Form.

Poleciwszy automatonom informować o najmniejszych odchyleniach w pracy mechanizmu, zamknęła za sobą drzwi maszynowni i weszła do windy. Mogła, co prawda, użyć magii, by przenieść się w przestrzeni aż na sam szczyt wieży, jednak złamałaby tym jedną ze świętych zasad fizyki, a to groziło kolejnym wypaczeniem. W miejscu tak ważnym, jak Pałac Form, nie mogła sobie na to pozwolić.

– Na szczyt – rzuciła do machinosa obsługującego windę, a ten skinął blaszaną głową i przestawił wajchę.

Zaczęli się wznosić ku szczytowi wieży, która po prawdzie wcale nie była wieżą, a osią świata, samotnym filarem podtrzymującym firmament. Nie miała więc wierzchołka – jej najwyższe piętra niknęły w niebiańskim oceanie.

Pani Metamorfoz wyszła na balkon ostatniej z komnat, która nie była zalana przez zimne wody nocnego nieba. Wysunęła rękę, by zanurzyć w nich palce i zatoczyła trzy kręgi. Wzburzone fale rozeszły się po nieboskłonie. Kilka pobliskich gwiazd rozbłysło.

– Wy, które obserwujecie świat na północy, południu, wschodzie i zachodzie, przyjdźcie na me wezwanie – wypowiedziała inkantację, a cztery gwiazdy zmieniły się w złote ryby i popłynęły ku wieży, wprawiając tym w zdumienie wszystkich astrologów, próbujących tej nocy z ruchu ciał niebieskich wyczytać przyszłość.

– Opowiedzcie, co wydarzyło się podczas mojej nieobecności? – zapytała Pani Metamorfoz.

Gwiazdy mówiły o krwawych wojnach i kruchych rozejmach, o suszach i powodziach, o głodzie i latach dostatku, o trzęsieniach ziemi i czasach pokoju. Tylko jedna milczała. Gdy pozostałe skończyły, przyszła kolej i na nią.

– Na zachodzie ludzie żyją w spokoju i dostatku, a wypaczenie nie pojawiło się tam od pokoleń. Pola pełne są plonów, a ludzie zdrowi i szczęśliwi. Jedno tylko zmartwić cię może...

– Mówże! – ponagliła ją Pani Metamorfoz, a gwiazda, obrażona jej tonem, poczerwieniała i niemal wynurzyła się z niebiańskiej toni, powstrzymawszy się w ostatnim momencie. Wiedziała wszak, że pierwszy, kto ujrzy ją spadającą, będzie miał prawo do życzenia.

– Spotkali się. I to już dawno wedle ludzkiej miary – odpowiedziała i pomknęła przez niebo niczym ognista strzała, by zająć swoje miejsce.

***

Ciemność. Ciemność i wilgoć. I twarda skała. Ostre krawędzie raniące ciało, gdy trafiał na nie, idąc po omacku. I cisza. Ciemność, wilgoć, skała i cisza.

Wędrówka trwała długo. Godziny? Dni? Tygodnie? Nie sposób było tego określić, bo nie sposób było zmierzyć upływu czasu. Sam jego koncept wydawał się czymś obcym i tylko mgliście pojmowalnym, reliktem z innego, zapomnianego życia.

Mężczyzna szedł. Niestrudzenie parł naprzód, co i raz potykając się, upadając, kalecząc o ostre krawędzie skał. Ból był dobry. Dzięki niemu czuł swoje ciało, miał pewność, że istnieje w formie człowieka. Chociaż tyle.

Wstawał i bez wahania szedł dalej, choć nie pamiętał celu wędrówki.

Coś jednak sobie przypominał.

Wspomnienie majaczyło na krawędzi świadomości, ulotne, kruche, umykające, gdy się na nim skupiał. Za to przybierało na sile, kiedy o nim nie myślał, skoncentrowany na krokach obolałych stóp.

Widział w nim twarz. Delikatną, o klasycznych rysach i piękną tak, jakby jutrzenka odbiła w niej swoją formę. Budziła w nim uczucia...

Po raz pierwszy ujrzał ją na dworze króla Anaksynrandeksasa. Tańczyła wśród machinosów, przemykała między obracającymi się tarczami zegarów, wsłuchiwała się w szum pomp hydoru i pląsała w rytm wibracji arche wtłaczanej w mechanizmy polis. Ona. Technodriada. Nimfa zegarowa.

– Dikke – wyszeptał jej imię, które utonęło w bezmiarze ciemności, nie pozostawiając po sobie nawet echa.

Dikke tańczyła, a on, przysiadłszy w pałacowym oknie, wygrywał melodię na klawiszach pięknie rzeźbionej liry korbowej, którą otrzymał z rąk samego Karciciela za trzy cykle wiernej służby w walce z Wypaczeńcami, a dźwięk jego gry wprowadzał w błogostan każdego, kto go usłyszał.

***

Ta, którą zwali Wiedźmą, nie mogła ot tak opuścić pałacu.

Doglądanie mechanizmu świata nie było jej jedynym obowiązkiem. Nie było nawet głównym zadaniem, przecież robiła to tylko pod nieobecność Demiurga.

Pani Metamorfoz strzegła form. Ideałów wszelkich przedmiotów, zwierząt, ludzi i abstraktów, którymi Demiurg posłużył się, by nadać prawa i porządek wszechrzeczy. Były wzorcem, który odbijał się w każdej ze swoich kopii wykrojonych z chaosu. W pałacu znajdowały się one wszystkie – to znaczy wszystkie poza tymi, które zbiegły, dając tym samym początek Pierwszemu Wypaczeniu.

Jej szlachetny małżonek podjął się próby schwytania uciekinierów, jednak, raz wyrwane spod jarzma woli, formy były silne i wojna z Wypaczeńcami trwała już dziesięć cyklów metempsychozy. Ludzie

przychodzili na świat, umierali i rodzili się na nowo, Demiurg nie wracał, żywioły były niespokojne, a Pani Metamorfoz czuła się więźniem własnej formy.

Dlatego tym razem musiała wygrać.

Ta, którą zwali Wiedźmą, nie mogła ot tak opuścić pałacu... Jednak, z drugiej strony, któż miałby ją powstrzymać?

Gdy otworzyła drzwi stajni, Hippos już na nią czekał. Zawsze w pełni sił, zawsze gotowy do drogi, stanowił wieczny ideał konia, który odbijał się we wszystkich kopiach, powstających i odchodzących w niepamięć w miarę upływu czasu. Narowisty, nie do końca ujarzmiony, stał w błękitnobiałej poświacie, gotów pędzić w dal niczym wicher, który zawsze rozwiewał jego grzywę; gotów cwałować poza granice świata, jeśli Wiedźma nie narzuciłaby mu swej woli. Ich umysły starły się, ale krótka była to walka.

Kiedy opuszczała pałac na grzbiecie wierzchowca – na poły dla ostrożności, a na poły dla realizacji swego planu – nadała sobie i rumakowi kształty, które nie rzucały się w oczy. Wszak nie na darmo była Panią Metamorfoz.

***

Tunel zdawał się nie mieć końca. Próżno było szukać szczelin, przez które mógłby wpaść choćby pojedynczy promień światła. Nie docierały tu żadne dźwięki, nie czuć było powiewu wiatru.

Po godzinach, tygodniach czy może miesiącach wędrówki mężczyzna zdał sobie sprawę, że powoli, lecz stale, zmierza w górę, oraz że powoli, lecz stale, tunel staje się szerszy, a zdradliwe skały trudniejsze do pokonania. Gdyby mógł spojrzeć na swoje stopy i dłonie, najpewniej zobaczyłby krwiste strupy, sińce i wybroczyny.

Ale z cierpieniem wiązała się nagroda.

Choć niepamięć zazdrośnie strzegła swoich sekretów, starając się utrzymać władzę nad formą mężczyzny, kolejne obrazy wynurzały się z odmętów jego umysłu. Zdarte pięty i pokłute ręce promieniowały bólem, ale droga dawała nadzieję i przywracała wspomnienia.

Pamiętał już lata służby u Karciciela. Dziesiątki stoczonych bitew z centaurami, satyrami, chimerami. Setki poniesionych ran. Tysiące uśmierconych Wypaczeńców, którzy walczyli w imię nieujarzmionych form. Pamiętał bezmiar godzin spędzonych z lirą na kolanach, melodie wygrywane przy obozowych ogniskach i w królewskich pałacach, kiedy armia gościła w polis.

Jednak najlepiej pamiętał ją. Dikke. Piastunkę zegarów. Miłość, z którą złączyły go niezbadane ścieżki mechanizmu świata. Lata razem spędzone w królestwie Anaksynrandeksasa, wszystkie szczęśliwe i do siebie podobne, jawiły mu się niczym błogi sen. Ona strzegła mechanicznych gajów i przynosiła pomyślność technologom. On grał na lirze korbowej, której magiczna moc przynosiła ludziom szczęście.

Wszystko się zmieniło, gdy spotkali staruszkę prowadzącą równie leciwego osła.

Wybrali się wówczas daleko za miasto, w miejsce wodospadów pyru, któremu ponoć sama Pani Metamorfoz nadała kształt podobny wodzie. Płynny ogień rozlewał się w ogromne jezioro. Feniksy wijące gniazda w koronach okolicznych drzew krążyły tuż ponad taflą płomiennej cieczy, wypatrując ryb dymowych. Co i raz któryś z nich obniżał lot, a potem znów wzbijał się w powietrze bez zdobyczy.

On i Dikke lubili tam chadzać. Wyjątkowość tego miejsca pozwalała im czuć się zwyklejszymi i bardziej podobnymi sobie, niż byli w istocie.

Staruszka znalazła ich siedzących na klifie, zapatrzonych na polujące ptaki.

– Nie chcecie może wróżby? – wychrypiała. – Każda para zakochanych ciekawa, czy im życie w szczęściu pisane.

– Nie trzeba nam znać przyszłości. Jaka by nie była, razem damy sobie z nią radę – odparł, chcąc odprawić kobietę tam, skądkolwiek przyszła.

Ta jednak nie ustępowała.

– Miejcie serce. Nie odmówicie chyba nędznej starowinie może ostatniej okazji, by się do czegoś zdać na tym świecie?

– O co prosisz w zamian? – zapytała nimfa, uległszy namowom kobiety, bo wiedziała, że każdy rodzaj magii wymagał opłaty. Tym większej, im bardziej naginał święte prawa.

– Niewiele, wystarczy mi melodia wesoła. Obola też nie odmówię.

Dikke sięgnęła po mieszek, a on zaczął kręcić korbą liry i wybrawszy odpowiedni ton, wygrywał na klawiszach spokojną melodię. Staruszka tymczasem wyciągnęła z juków niewielki zegarek i rozbiła go o skały. Technodriada skrzywiła się na sam widok, ale była to konieczna ofiara, by poznać koleje losu.

Staruszka pochyliła się nad resztkami zegarka, chwyciła pozostałości jeszcze tykającego mechanizmu i obróciła je w dłoniach. Jej twarz spochmurniała.

– Nie jest pisany wam szczęśliwy żywot – zaczęła, a muzyka ucichła. – Do dwóch światów należycie i podług dwóch miar wasz czas płynie. Jeśli razem ostaniecie, zły los i śmierć was nie ominie.

– To fałszywa wróżba – wtrąciła Dikke, marszcząc cielesną część czoła. Druga, metalowa, jak zawsze wyrażała mechaniczny spokój . – Rzut oka wystarczy, by poznać, że jestem technodriadą, a więc nie starzeję się i nie umieram – mówiąc to, skrzyżowała ramiona: jedno uformowane z ciała, drugie z żelaza i brązu. Wysunęła też do przodu metalową nogę, doskonale teraz widoczną w sięgającym bioder rozcięciu tuniki. – Jeśliby nawet czas nas rozdzielił, to odnajdę cię w kolejnym cyklu metempsychozy – czule zwróciła się do ukochanego. Odpowiedział pełnym miłości uśmiechem.

Staruszka zebrała rozrzucone części i cisnęła je w ognistą ciecz. Dymowe ryby wypłynęły, by się pożywić i spadła na nie para polujących feniksów.

– To nie twego wybranka, ale ciebie wróżba się tyczy – odparła kobieta, ze zdumiewającą jak na jej wiek lekkością wskakując na osła. – Jeśliście mądrzy, innego szukać będziecie szczęścia niż to ze sobą.

To rzekłszy, odjechała i zaraz okrył ją czarny, smolisty dym, który rozszedł się po okolicy jako znak udanego polowania feniksów.

Zakochani nie dawali wiary wróżbie tułaczki, jednak forma przyjemnej beztroski złamała się pod naporem jej słów, które przypomniały odrzucaną prawdę o tym, co ich różniło. Postanowili więc wrócić już do polis.

Nim dotarli do murów, wierny machinos służący w królewskim pałacu wyjechał im naprzeciw. Twarz skrywał za kapturem, bo jego rodzajowi nie wolno było jeździć wierzchem. Szkapa pod nim, zmuszona do galopu z takim ciężarem na grzbiecie, była biała od piany.

– Uciekajcie! – krzyknął. – Ajxioloajos zaatakował znienacka, za omen wojennego zwycięstwa biorąc czerwoną gwiazdę. Szukali cię wszędzie, szlachetna Dikke, boś królowi lata spokoju i dobrobytu przewidziała, a jak cię nie znaleźli, uznali, żeś w spisku brała udział. Na wschód za wami ruszyli, bo wielu przyjaciół macie, którzy pościg zmylili ale kryć się musicie, bo was dopadną. – Zeskoczył z konia i podał im wodze. – Jedźcie, czasu mało!

***

Szybszy niż wicher Hippos mknął z powrotem ku Pałacowi Form, a z każdym uderzeniem kopyt nabierał prędkości. W połowie drogi grzmot rozległ się po okolicy – to koń najdoskonalszy, rumak skończony wyprzedził dźwięk. Gdyby biegł tak odpowiednio długo, wyprzedziłby w końcu i światło, tylko świat był zbyt mały, by mógł się tak rozpędzić, więc tęsknota do nieskończonych przestrzeni wypełniała stale jego serce.

Zaś serce Wiedźmy biło jak szalone i to wcale nie z powodu prędkości, z jaką gnał wierzchowiec. Tym razem pewna była zwycięstwa.

Niemal złamała zasady, jednak nie powiedziała im nic, co nie byłoby prawdą i czego z roztrzaskanego zegarka nie wyczytałaby każda wieszczka. Równie dobrze ktokolwiek inny mógł im wywróżyć przyszłość.

A że Pani Metamorfoz taką formę nadała swoim słowom, by zapadły głęboko w ich serca i dusze... Któż o tym będzie wiedzieć?

Uspokoiwszy się, zdołała wprowadzić Hipposa do stajni, choć ten próbował narzucić jej swoją formę, podsuwając pragnienia nieskrępowanego pędu, gonitwy i wolności, zaklętej w biegu przez bezkresne zielone równiny. Walka z nimi nawet dla Pani Metamorfoz nie była rzeczą łatwą, wszak wolność była tym, czego pożądała najmocniej. Ale nie takiego rodzaju wolność stanowiła jej marzenie, nie beztroska, nie wieczna tułaczka i bezustanny ruch, a wolność od formy, w którą zapadła.

Gdy tylko Wiedźma otworzyła wrota, tłum machinosów wybiegł jej na powitanie, a każdy miał wiadomość niecierpiącą zwłoki.

– Moja pani, ciśnienie hydoru wzrosło powyżej normy.

– Moja pani, sztorm wybuchł w szesnastym kwadracie firmamentu.

– Moja pani, formy bliźniąt znów pokłóciły się o to, które było pierwsze. Dzieci mogą podusić się w brzuchach ciężarnych, jeśli szybko nie...

– Moja pani, osiem automatonów zdeformowało się przy pracy w komnatach. Dwóm wyrosły żmijowe głowy, jeden przybrał kształt sześcianu, trzy zrosły się odnóżami i...

– Moja pani...

– Moja pani...

Już gotowa była zamienić ich wszystkich w kamienie, kiedy rozległ się krzyk mechanicznego sokoła i słudzy zamilkli, patrząc, jak kołuje tuż pod sklepieniem przepastnej sali – tak wysokiej, że miała nawet własne chmury – a potem opada ku tłumowi machinosów, by przysiąść na głowie jednego z nich, stojącego najbliżej Wiedźmy. Wszyscy wiedzieli, co to oznacza.

Szlachetnemu Panu udało się pochwycić kolejną zbuntowaną formę i transport był już w drodze.

***

Mężczyzna szedł dalej, niestrudzenie brnąc z ciemności w ciemność, wsłuchany w echa dawno usłyszanych słów, które odbijały się w jego głowie, a tunel przeszedł w grotę – przynajmniej takie można było odnieść wrażenie, bo ściany i sufit uciekły poza zasięg ramion, pozostawiając jedynie czerń i pustkę. Rzecz jasna, pustkę tylko pozorną – święte zasady jasno wskazywały, że niebyt jako taki istnieć nie może, a gdy jedno ciało zmienia położenie, inne, wyparte przez ruch elementów, zajmuje jego miejsce. To była podstawa pracy mechanizmu świata, który obracał się wokół Pałacu Form, stanowiącego jego centrum, oś łączącą niebo i ziemię.

Tam właśnie Dikke postanowiła się udać.

– Tylko jedna istota złamać może naszą klątwę – mówiła nimfa, gdy ogarniały go wątpliwości. – Los nam nie sprzyja, bo jesteśmy z innych form odbici, ale Pani Metamorfoz będzie mogła dać ci ciało, które nie umiera, ani się nie starzeje.

Jednak każdy, kogo spotkali na swojej drodze, radził im zawrócić.

– Powiadają, że kto do Wiedźmy idzie, już sobą nie wraca – przestrzegali ich wieśniacy, czyniąc przy tym znaki odpędzające zły urok.

– Strzeżcie się nawet samego pałacu. Ponoć formy czyste tam spacerują, a spojrzeć człowiekowi na taką, to ślepota, śmierć albo jeszcze coś gorszego, kiedy forma odbije się w nim i przekształci na własne podobieństwo – radzili im wędrowcy spotykani na szlaku, spluwając przez lewe ramię.

– Najlepsze życie dla takich jak my, to życie z dala od spojrzeń wielmożów. Z ich uwagi nic dobrego wyniknąć nie może. Ani się człowiek obejrzy, już jest jeno kukłą w ich rękach – przekonywali, przyjmując ich w gościnę.

Niektórzy, zauroczeni grą na lutni oraz tańcem nimfy, prosili nawet, by zostali z nimi na stałe.

I były takie chwile, gdy stawali z Dikke na popas, a on obejmował ukochaną i szeptał jej do ucha obietnice szczęśliwego życia do końca ich wspólnych dni, gdzieś pośród zielonych łąk, wśród pasterzy i ludzi prostych, pod których formą nie ukrywa się chciwość i zdrada. Wtedy zamykała mu usta pocałunkiem.

– Technodriady też mają swoje opowieści i w nich Pani zawsze daje ludziom to, na co zasługują, choć nie zawsze to, czego pragną – zapewniała. – Kochamy się prawdziwie i mamy czyste serca, nie potrzeba nam nic prócz siebie, więc na pewno wysłucha naszych błagań.

Nawet jeżeli te słowa nie wystarczały, by go przekonać, chciał wierzyć w to, w co wierzyła Dikke. Chciał dzielić z nią nadzieję. Tak dotarli do miejsca, w którym kończyła się Domena Człowieka, a zaczynała Kraina Wiedźmy.

– Zwykły człek nie podoła stromym szczytom, śnieżycom potężnym i wichrom zdradliwym, a w rozpadlinach i tunelach pod górami zagubić się można tak, że i życia nie wystarczy, żeby wyjście odnaleźć. Zawróćcie lepiej, bo na śmierć tam idziecie – ostrzegał ich starzec, któremu w gospodzie, tuż na granicy gór, ofiarowali konia w zamian za ciepły posiłek i noc w wygodnym łóżku.

Ale Dikke nie była straszna wędrówka przez góry.

Technodriady nieśmiertelność zawdzięczały swojej półmechanicznej naturze. Dzięki niej rozumiały działanie wszelkich urządzeń, zapewniały

pomyślność i bezusterkowość każdej machinie, którą pobłogosławiły, ale to nie był koniec listy ich nadludzkich przymiotów. Każda z nich była związana z działaniem wszechmechanizmu, czuła rytm jego pracy jak bicie jednego, wspólnego serca, oraz potrafiła znaleźć skróty i przejścia tajemne, które prowadziły do niego niczym żyły i tętnice.

Niedługo wędrowali na powierzchni, nim wybrała jedną z jaskiń. Mając pyrową lampę za źródło światła, prowadziła ich w głąb ziemi, aż zaczął się niepokoić, czy uda im się wrócić na górę, jednak zaraz odnaleźli ukryty pośród skał rurociąg, krwioobieg świata.

– Nie bez powodu kraina wokół Pałacu Form to labirynt dolin i gór – wyjaśniała nimfa podczas wspinaczki na kolejne zbocze. – Pani Metamorfoz taki kształt dla niej wybrała, by utrudnić przedostanie się do ludzkich królestw zbuntowanym formom, gdyby jakieś uciekły z pałacu, jak się stało u początków Wypaczenia.

Mężczyzna o Wypaczeniu wiedział aż nazbyt wiele. Trzy wcielenia spędził na wojnie z monstrami, jakie zrodziło, i próbował schwytać formy, które zbiegły na rubieże świata. Nigdy jednak nie eskortował ich do pałacu.

Pewnej nocy, którą spędzali w płytkiej jaskini dającej im schronienie przed deszczem, udało mu się zauważyć ziemną sówkę, której forma pozwala latać w ge tak, jak jej kuzynki przemierzają przestworza. Zwierzę wynurzyło łepek z sufitu jaskini, przypatrywało się parze wędrowców przez kilka chwil, a potem zniknęło równie niespodziewanie, co się pojawiło.

Później kochali się tak, jakby miał być to ich ostatni raz.

Następnego dnia znów zeszli pod ziemię.

Przemierzali wnętrze kolejnej góry, kierując się w stronę źródła arche. Rura, którą płynął piąty element, stawała się coraz grubsza, niczym gałąź przechodząca w pień, co stanowiło znak, że są już blisko. W pewnym momencie znów zniknęła w skale na rozwidleniu podziemnych tuneli.

Musieli wybrać jeden z nich.

Wybrali źle.

Trafili na rzekę ge, której nadano formę hydoru. Piaszczyste, suche wody porwały ich daleko w dół. Ostatkiem sił trzymali się za ręce, ale

wartki nurt rozdzielił ich, a brązowa, gryząca w oczy i chrzęszcząca w zębach toń zaniosła ku mrocznej, podziemnej głębi.

On, starając się, by cenna lira nie uległa zniszczeniu, zdołał przekręcić przewieszony na ukos przez tułów pas i zamknąć instrument w objęciach. Uderzenie o twardą powierzchnię litej skały oznajmiło, że wypłynął na brzeg.

Wstał, plując ziemią i trąc zapiaszczone oczy, rozejrzał się wkoło, szukając ukochanej, jednak po jednej stronie widział tylko ciemność a po drugiej, w oddali, jasny prostokąt bieli.

– Dikke! – zawołał. – Dikke! – krzyczał, popadając w rozpacz.

Czarna, zimna i lepka, przejmowała jego myśli, odciskając swoją formę.

Szedł ku światłu, bo musiał przecież wybrać kierunek, wypatrywał technodriady, po jednej stronie mając rzekę ge, po drugiej metalową, pojedynczą szynę, prowadzącą do wylotu groty.

Był już blisko wyjścia, kiedy usłyszał szum przesypującego się piasku. Odwrócił się i zauważył fragment połyskującego brązu, później coś jakby blask lampy przebijający przez cienką warstwę hydorowej ziemi.

Rzucił się w tym kierunku, odgarnął napływający piasek, a potem chwycił technodriadę za wynurzające się ramię i wyciągnął ją na bezpieczną powierzchnię niezdeformowanej skały. Dikke odkaszlnęła ziemią, z trudem usiadła, wysypała drobiny piasku z mechanicznych części ciała, jednak gdy ruszyli w kierunku wyjścia, ziarenka kwarcu chrzęściły w jej nodze.

Podtrzymywał ukochaną bardziej z czułości niż rzeczywistej potrzeby i tak, obejmując się, szli przez jedną z wielu niezamieszkanych dolin krainy Wiedźmy, podążając równolegle do samotnej szyny, która biegła prosto przez łąki, lasy i strumienie, niknąc dopiero w kamiennym ciele następnego szczytu.

Pokonali połowę szerokości doliny, gdy usłyszeli łoskot docierający z wnętrza góry, którą pozostawili za sobą. Dźwięk przybierał na sile aż do intensywności grzmotu i nim zdążyli pomyśleć, by uciec daleko od szyny, dostrzegli coś zbliżającego się do nich z wielką prędkością. Już mieli rzucić się w bok, gdy metal zawibrował i przyciągnął mechaniczną nogę Dikke.

Technodriada nie mogła jej wyswobodzić. Próby pomocy zdały się na nic. Nadciągający obiekt był już na tyle blisko, by rozpoznali w jego kształcie rząd bezkonnych, pozbawionych kół rydwanów, które unosiły się nad szyną i ciągnęły za sobą ogromną, stalową klatkę zasłoniętą kotarami ze wszystkich stron. Pierwszy rydwan wyhamował tuż przed nimi. Kolejny uderzył w jego tył, a w niego następny i tak dalej – na ostatni wpadła klatka.

Między szyną a spodem rydwanów zaiskrzyło i utrzymująca je w powietrzu siła gdzieś znikła, a machiny opadły na ziemię. Tyle dobrego, że Dikke mogła już oderwać nogę od metalu.

– Na Wypaczenie, co tutaj robicie?! – wrzasnął woźnica i zeskoczył z rydwanu, a w jego ślady poszedł cały oddział. Dłonie żołnierzy zastygły tuż przy rękojeściach pyrowych strzelb. Zaraz pojawili się też jeźdźcy, pędzący tuż za sznurem rydwanów.

– Powinniśmy was zetrzeć na miazgę! Świadomi jesteście, jak ważną misję... – krzyczał ten, który musiał być dowódcą.

Przerwał mu łoskot i szczęk metalu. To uszkodzony podczas zderzenia zamek klatki ustąpił i z wnętrza wybiegł lampart, będący ideałem wszystkich dzikich drapieżców. Wysoki w kłębie na siedem łokci, skóra połyskująca niczym złoto, cętki wyglądające jak lśniący onyks, ślepia płonące czystym pyrem. Bestia rozdziawiła paszczę, ukazując diamentowe kły, a potężny ryk, jaki wydobył się z jej gardzieli, ściągnął lawiny ze wszystkich gór w promieniu kilku stadionów.

Lampart wskoczył na dach klatki, przeciągnął pazurami po grubym metalu, sypiąc na wojowników snopy iskier, rozejrzał się wkoło, posłał nienawistne spojrzenie pałacowej wieży górującej nad krainą – a potem ruszył do ataku.

***

Przez ostatnie tygodnie Pani Metamorfoz nie zaznała wytchnienia. Wszechmechanizm znów się rozregulował i poziomy pięciu elementów wymagały zrównania, jeśli świat miał nie utonąć pod wyższymi od gór falami hydoru, nie spłonąć w pyrowym deszczu, nie zostać spustoszony

przez gigantyczny, niekończący się huragan, albo nie być pochłonięty przez rozstępującą się ziemię. Aparatura szwankowała coraz częściej, więc jeśli Demiurg wkrótce nie wróci, niedługo nie będzie miał do czego.

W dodatku zamknięte formy, jakby przeczuwając, kto został pochwycony i wraca do pałacu, budziły się coraz częściej wściekłe, zdziczałe i zdecydowane, by walczyć o dominację, co w najlepszym wypadku skutkować mogło pojawianiem się i znikaniem absurdalnych mód, jak ta na stoły z trzema nogami albo na demokratyczne rządy, a w najgorszym pomorem noworodków, klęskami głodu, zagładą ludzkości, lub nawet kolejnym Wypaczeniem.

Pani Metamorfoz udało się jednak nad tym zapanować, wszak była do tego powołana.

Kiedy już miała wsiadać do windy, by sprawdzić czy powiódł się jej plan wobec nieszczęsnej pary kochanków – którym jakąś częścią siebie współczuła, wszak podobnie jak ona sama byli przedmiotem boskiego targu – mechaniczny ptak usiadł jej na ramieniu. Nie był to jednak sokół męża, a zwykły nakręcany gołąb, jakiego używali posłańcy.

Ten niósł błaganie o pomoc.

Transport z formą dzikiej furii rozbił się ledwie dwanaście stadionów od Pałacu Form. Złoty lampart Agrios zbiegł z klatki, przezwyciężywszy zabezpieczające zaklęcia.

Wiedźma pobladła, gdy odczytała wiadomość, ponieważ oznaczało to najpewniej, że przewoźnicy już nie żyją – zabici przez lamparta lub przez siebie nawzajem, kiedy forma przejęła nad nimi władzę i podsunęła pragnienia krwawej rzezi – a Agrios już jest w drodze do najbliższych ludzkich osiedli, by wszcząć prawdziwy kataklizm.

Nie mogła stracić ni chwili, więc pomna ryzyka, jakie niosła ze sobą teleportacja z pałacu, skupiła arche i wypowiedziała zaklęcie, by w jednej sekundzie zniknąć z korytarza i pojawić się tuż nad miejscem wypadku, gdzie, ku jej uciesze, oddział żołnierzy nadal dawał odpór bestii.

Wokół rozbrzmiewała prosta, żołnierska melodia.

Wiedźma prześliznęła się spojrzeniem po polu bitwy. Dostrzegła lamparta, ostrzeliwanego z pyrowych strzelb, a każda kula trafiała dokładnie

w czuły punkt między spoinami jego zbroi, co wzmagało wściekłość bestii, ale nie pozwalało jej zbliżyć się do żołnierzy.

Zauważyła oddział piechurów ułożony w dwa pierścienie – wewnętrzny, strzelający w lamparta, i zewnętrzny, zmagający się z dzikimi zwierzętami wszelkiej maści, które przybyły na jego wezwanie. Jeźdźcy krążyli wokół potwora, próbując go rozproszyć, by nie wiedział, kogo atakować, ale jego sługi walczyły coraz wścieklej. Wilki uderzały o tarcze, szczury i węże próbowały zakraść się do stóp wojowników, nawet trawa stroszyła swoje liście, by ciąć żołnierzy po kostkach i spijać krew niczym słodką rosę.

Tak wyglądała walka pod wpływem formy Agriosa.

Ludzie, choć podnosili gniewne okrzyki, byli jednak zbyt zdyscyplinowani i strzelali zbyt celnie, jakby forma lamparta nie mogła zdobyć nad nimi pełni władzy. Powinni już dawno rzucić się sobie do gardeł.

Wiedźma obniżyła lot i wtedy ujrzała dwójkę ludzi w środku kręgu. Or grający na lirze korbowej zaklętej przez samego Karciciela. Dikke, technodriada, błogosławiąca każdej pyrowej strzelbie. To dzięki tej dwójce bitwa nie zakończyła się masakrą – ale ich starania nie wystarczą na zbyt długo. Jeźdźców było coraz mniej, spadali z oszalałych koni lub ginęli pod ciosami szponów i dziobów ptaków. Zewnętrzny pierścień strzelców kurczył się w oczach, a Agrios rozszarpywał gardło za gardłem, zabijając tych, którzy pod wpływem jego formy, złamawszy rozkazy dowódcy, rzucali się na wroga w opętańczym szale. Wkrótce zabraknie żołnierzy, by chronić lekkomyślną parę przed ich przeznaczeniem.

A przecież jeżeli oni zginą, Wiedźma również przegra i będzie musiała czekać, aż koło metempsychozy zatoczy pełen obrót, by znów mieć szansę – na to nie mogła pozwolić!

Spadła niczym meteor w środek walczących, siłą uderzenia odrzucając na boki ludzi i zwierzęta. Ge pod jej stopami przeszła w formę szkła, a aer rozgrzał się tak mocno, jakby tam, gdzie stała Wiedźma, zapłonął żar stu ognisk. Jednym ruchem rozpędziła chmurę pyłu, by nie zasłaniała widoku. Wyprostowana, dumna, w złotej koronie o szpiczastych, długich na stopę zębach przeplecionych przez włosy, ukazała się żołnierzom w pełnej krasie.

Pani Metamorfoz. Królowa tego, co uformowane z materii. Czcigodna małżonka władcy wszystkiego, co niematerialne.

Tak o niej myśleli.

Ostatnie określenie mogli sobie darować.

Agrios zaryczał, ale nie ruszył z miejsca. Miast tego skrzyżował spojrzenie swoich płonących ślepi z chłodnym niczym dwie błękitne gwiazdy wzrokiem Wiedźmy. Arche, stanowiąca pramateriał i budulec wszechrzeczy, skłębiła się i zafalowała, układając się w kręgi między dwójką nadnaturalnych istot, niczym żelazne opiłki poddane działaniu dwóch magnesów.

***

Tunel znów się zwężał, co oznaczało, że mężczyzna dotarł do końca groty. Teraz ledwie mieścił się w przejściu, nie było mowy o rozpostarciu ramion.

Coraz więcej chwil krótkich jak okamgnienie wyłaniało się z pomroków niepamięci i wskakiwało na miejsca, tworząc mozaikę przeszłości – choć najważniejszych kawałków, tych, które przyniosłyby mu odpowiedzi, wciąż brakowało.

Z wysiłkiem sięgał do twarzy, by otrzeć pot spływający z czoła, gdy wszedł w strefę skał pyrowych. Ogień parzył stopy, stare rany odezwały się nowym rodzajem bólu, w nozdrza uderzył go zapach przypalanej skóry.

Ujrzał w pamięci bitwę, którą musiał niedawno stoczyć...

Wpływ walczących form najpierw dało się odczuć jako rozchodzące się fale żaru, które piekły skórę i topiły włosy. Żołnierze złamali szyk, byleby uciec przed morderczym skwarem. Rozpierzchły się również zwierzęta, pędząc poza zasięg aeru, który deformował się w pyr.

Biegł też on i Dikke. Nimfa wciąż nie była w pełni sił, nadal odkasływała piachem i skrzypiała mechanicznymi kończynami, straciła zwinność i lekkość ruchów. On, dzierżąc w dłoni miecz otrzymany od jednego z żołnierzy, raz po raz ciął kłębiące się w usychającej trawie szczury, węże i jaszczurki, które ponawiały próby ataku.

Burzowe chmury zebrały się nad walczącymi. Pioruny biły w ziemię opodal zmagających się form, przyciągane przez metalową szynę i zbite

w jeden sznur bezkonne rydwany. Ulewa zalała dolinę wodospadami zimnego jak lód hydoru. Ziemia zaczęła się trząść w rytm grzmotów.

Podczas służby w armii Karciciela widział już podobne starcia i wiedział, że najgorsze jednak miało dopiero nadejść.

Arche wibrowała pod naporem mocy Wiedźmy i lamparta walczących o dominację – cokolwiek dostawało się w ich kleszcze, ulegało wypaczeniu. Jeźdźcy na spłoszonych koniach zdeformowali w centaury, garstka walczących z najdzikszymi wilkami przeobraziła się w satyrów, ujadającym dzikim psom wyrastały dodatkowe głowy, wrony i jastrzębie transformowały w harpie, które spadały z nieba, nie mogąc udźwignąć ciężaru ciała.

Na próżno starał się znaleźć drogę ucieczki, by ochronić Dikke – chaos żywiołów objął całą dolinę i rozlewał się po górach, a oni, smagani podmuchami gorącego aeru i biczami lodowatego hydoru to marzli, to cierpieli z gorąca. Wokół unosiły się nieprzerwanie kłęby pary.

Bestia wydawała się mniejsza o kilka stóp, jednak Wiedźma też straciła część swojego dostojeństwa. Godziny, a nawet dni mogły minąć, nim zakończy się ta walka na wyczerpanie – w tym czasie wszyscy w dolinie zginą, a myśląc wszyscy, miał przed oczami jedną twarz i słyszał w głowie jedno imię. Niewiele jednak mógł zrobić.

Ale niewiele nie znaczy nic.

Zdjął z pleców lirę, uspokoił oddech oraz bicie serca tak, jak to robił wiele razy w czasie służby u Karciciela, zakręcił z wolna korbą, wydając z instrumentu jeden, ciągnący się leniwie ton – a potem zaczął grać na klawiszach. Snuł melodię kojącą i senną, kołysankę dla niespokojnych dusz, płynącą pośród traw, gwiżdżącą na wietrze, dającą wytchnienie rozwścieczonym ludziom, zwierzętom, a także tym, którzy byli czymś między jednym a drugim.

Grał i patrzył na bestię, i wydawało się, że jego wysiłki nie przynoszą żadnego efektu, ale powoli chaos pięciu elementów tracił na sile, a ogień w ślepiach lamparta przygasał.

– Graj! Graj dalej! – przemówił władczy, kobiecy głos we wnętrzu jego głowy i domyślił się, że to wołała Wiedźma, więc podwoił starania i grał, grał, grał, pogrążył się w dźwiękach.

Nie zauważył, jak do stóp Dikke podkradła się odcięta głowa żmii, której pod wpływem wypaczenia wyrosły pajęcze odnóża.

***

Pojawili się opodal Pałacu Form.

Pani Metamorfoz nie ryzykowała transferu do komnat, wybrała miejsce oddalone o pół stadionu, tuż za mostem przewieszonym nad przepaścią, której dno obmywały ciemne wody Lete.

Wiedźma szła pierwsza, ciągnąc na smyczy małego lamparta. Or podążał za nią z posępną twarzą, na rękach niósł Dikke, która pod wpływem wypaczonego jadu zapadła w sen podobny do śmierci. Mechaniczna część jej ciała była zniszczona przez rozszalałe elementy.

– Uzdrów ją, pani – błagał Or, gdy Wiedźma zwyciężyła nad Agriosem. – Uzdrów przez wzgląd na mą pomoc.

I Wiedźma zamierzała spełnić tę prośbę, choć tak wielki dar wymagał znacznie większej opłaty. Ale miała już pomysł, czego zażądać, by samej też odnieść korzyść. Wszak gdy jeden obrót mechanizmu zamyka drzwi, drugi może otworzyć okno.

Zatrzymała się u wrót i spojrzała na śmiertelnego idącego krok za nią.

– Gdy przekroczymy próg pałacu, twoje życzenie zostanie spełnione – oznajmiła, chwyciwszy za kołatkę. – Moc tego miejsca przywróci pierwotną formę twojej ukochanej. To zaszczyt stanąć w tym miejscu i niewielu śmiertelnych go dostąpiło, a jeszcze mniej mogło potem wrócić.

– Rozumiem, pani – odparł, skłoniwszy się.

– Nie mówię tego dla twojej wdzięczności – rzuciła chłodno. – Zdajesz sobie zapewne sprawę, że za wszystko, co cenne, trzeba zapłacić. – Or nie odpowiedział, ale skłonił się jeszcze niżej, więc kontynuowała, biorąc to za znak zrozumienia. – Twoja ukochana będzie musiała zostać w pałacu, tobie jednak każę odejść.

Mężczyzna wypowiedział tylko dwa słowa:

– Jak długo?

– Trzy cykle koła metempsychozy. Wykorzystaj swoją szansę i znajdź własne szczęście. Nie jest wam pisane wspólne życie.

– Już to słyszałem – odparł Or i zapatrzył się na pogrążoną w letargu Dikke, bo mógł być to ostatni raz, kiedy ją widział. – Dobrze – odezwał się w końcu. – Jestem gotów.

Wiedźma zakołatała do wrót, a te otwarły się i wpuściły ich do środka.

Weszli do przepastnej sali, która ciągnęła się w nieskończoność, zdolna pomieścić w swoim wnętrzu chyba cały świat. Niezliczone korytarze rozchodziły się od niej w obydwu kierunkach.

Znalazłszy się w środku Pałacu Form, technodriada otworzyła oczy. Naraz zniknęły wszelkie rany i uszkodzenia, których doznała.

– Or? – wyszeptała głosem wybudzonej z głębokiego snu. Mężczyzna pocałował ją w czoło, tam, gdzie spotykał się metal i ludzkie ciało. Nimfa stanęła na nogi, ale uprzytomniwszy sobie zaraz, że znajduje się w obecności Pani Metamorfoz, padła na kolana.

– O szlachetna... – rozpoczęła, chcąc prosić o posłuchanie, ale Or przerwał jej, położył rękę na ramieniu i wyjaśnił, jaką umowę zawarł z Panią Metamorfoz. Kiedy nimfa padła mu w ramiona, łzy płynęły z obydwu jej oczu, cielesnego i mechanicznego, które jak dotąd zawsze pozostawało niewzruszone.

– Znajdę cię – powiedziała, gdy minął czas pożegnania. – Kimkolwiek będziesz, rozpoznam cię – obiecywała i obydwoje chcieli wierzyć tym zapewnieniom, choć długość trzech żyć potrafiła zmienić wiele zarówno w duszy śmiertelnika, jak i nieśmiertelnej.

Pani Metamorfoz dała znak, wrota ponownie rozwarły się, wpuszczając do środka chłód górskich szczytów, ale dłonie kochanków przywarły nawzajem do ich ciał, a splecione spojrzenia nie chciały się rozdzielić.

– Już czas – ponagliła ich Wiedźma.

Wtem przestrzeń zwinęła się niczym ropuszy język, zafalowała, a potem nagle rozprężyła i już nie stali u wejścia do pałacu, tylko w samym środku sali tronowej. Or i Dikke spojrzeli z przestrachem zmieszanym z nadzieją na Panią Metamorfoz, ale jej twarz zdradzała zaskoczenie.

– To nie będzie konieczne – rozbrzmiał głos z piedestału. Tam, gdzie przed sekundą był pusty tron, pojawił się rosły mężczyzna trzymający w rękach hełm w kształcie psiej głowy.

– Panie generale! – wykrzyknął Or, wykonując salut i stając na baczność.

– Nie spodziewałam się ciebie – powiedziała Wiedźma z kiepsko skrywaną niechęcią. – Transfer materii. Do pałacu? Takie pogwałcenie zasad...

– Ogromne wzburzenie arche napełniło mnie niepokojem, wszak wysłałem do ciebie niebezpieczną formę – odparł Pan Wcieleń, zszedłszy z tronu. – Widać niepotrzebnie się obawiałem, towarzyszył ci mój najwprawniejszy pieśniarz.

Wiedźma dobrze wiedziała, że to, co chciał jej powiedzieć, ukrył między słowami. Ich wspólna forma znajdowała się daleko od zgodnego małżeństwa, bliższa im była zażyłość odwiecznych rywali.

– Tych dwoje nie musi się rozstawać – kontynuował Karciciel – jeśli podołają próbie wytrwałości, wierności i zaufania. I jeśli nimfa porzuci nieśmiertelność, by ich formy były tożsame.

Chłód spojrzenia, jakie posłała mu Wiedźma, rozszedł się po sali tronowej, szronem zdobiąc okna.

– Cokolwiek rozkażesz – zadeklarował Or, dłoń w pięść ściśniętą składając na piersi.

Dikke nie wypowiedziała ni słowa.

– Dobrze – Pani Metamorfoz wycedziła przez zęby i przestrzeń odkształciła się ponownie, rozplotła nici trzech wymiarów, a gdy na powrót zeszły się, tam, gdzie wcześniej był tron, jego miejsce zajęła pustka i ciemność tunelu.

Mrużąc oczy i zaciskając szczęki, gdy tylko jej spojrzenie padło na szlachetnego małżonka, władczyni materii objaśniła sens czekającego kochanków zadania:

– Osobno wejdziecie, osobno wyjść musicie. Dotrzecie do końca, a już razem pozostaniecie. Warunek jest jeden: cokolwiek usłyszycie, nie możecie spojrzeć wstecz, zawrócić ani się zatrzymać. Inaczej stracicie wszystko, o co warto walczyć.

Jeszcze nim skończyła mówić, Or bez wahania wkroczył w mrok jaskini, całym sercem wierząc w to, że Dikke pójdzie za nim.

***

Ciemność. Ciemność i wilgoć, czasem ciemność i żar. I twarda skała. Ostre krawędzie kaleczyły go, gdy natrafiał na nie, idąc po omacku.

A gdy szedł już na tyle długo, by ciało zmieniło formę w jeden, wszechogarniający, wieczny ból, gdy przeprawa była coraz trudniejsza i miast iść, prawie wspinał się po stromiźnie, gdy myślał, że przypomniał sobie już wszystko, zauważył światło.

Drobny, biały punkt wielkości ziarenka piasku, majaczący w oddali. Najpierw światło oślepiło go, ponieważ oczy przywykły do niekończącej się ciemności. Później zrozumiał, co ono oznacza.

– Or... – pochwycił szept dobiegający zza pleców. – Słyszysz mnie? Or...

– Dikke – wypowiedział imię ukochanej. Jak dawno nie słyszał słodkiej melodii jej głosu. Wezbrało w nim pragnienie, by odwrócić się i objąć technodriadę, ale pamiętał słowa Wiedźmy.

– Już niedaleko – powiedział, przyspieszając, by oprzeć się pokusie.

Światło było coraz bliżej, biały okrąg dawał nadzieję na bliski koniec próby.

– Or... – powtarzała kobieta. – Or... Nie dam rady, nie pójdę za tobą dalej... Orfeuszu!

„Cokolwiek usłyszycie, nie możecie spojrzeć wstecz, zawrócić, ani się zatrzymać" przestrzegła go Pani Metamorfoz.

„Jeśli nie sprostasz próbie, Eurydyka na zawsze zostanie w Krainie Umarłych" zawyrokował władca Hadesu.

– Eurydyka? – powtórzył imię. Obce, a jednocześnie znajome, jakby, jakby...

Sądził, że pamięta już wszystko. Mylił się.

Wspomnienia z życia, które kiedyś przeżył, w innym czasie i innym świecie, wracały jedno po drugim, wypełniały jego głowę, która nie była w stanie ich pomieścić, mieszały się i łączyły w chaotycznej anamnezie.

Przypomniał sobie więcej, niż powinien i nie wiedział już, czy przemierza tunele wybiegające z Pałacu Form, czy próbuje opuścić Hades i wrócić z ukochaną do Tracji, czy może jest jeszcze gdzie indziej, w jednej z bez liku wersji swojego żywota.

Dikke/Eurydyka wołała. Ciało piekło i krwawiło. Zasłonił uszy i rzucił się biegiem, potykając się i raniąc o skały, by czym prędzej dotrzeć do końca tunelu.

– Or!

– Orfeuszu!

Światła było coraz więcej i gdyby teraz się odwrócił... Zamknął oczy, by nie ulec pragnieniu.

Przewrócił się i rozbił głowę, krew spływająca po czole zalała mu twarz, ale biegł dalej. Biegł, aż poczuł ciepłe promienie słońca na skórze. Padł wtedy na ziemię i spojrzał w głąb jaskini.

– Eurydyka! – wykrzyknął.

Był jednak sam.

***

Pałac składał się z nieskończonej liczby komnat, a każda z nich przeznaczona była dla form – jednej lub wielu, zależnie od ich rodzaju. W jednym z takich pomieszczeń trwały w uśpieniu formy wszystkich ludzi, którzy istnieli, istnieją albo będą istnieć.

– Możesz już się pokazać, Hadesie – powiedziała Pani Metamorfoz, stojąca nad kapsułami, w których leżeli pogrążeni w letargu mężczyzna i kobieta, pamiętani w bezmiarze historii pod wieloma imionami.

W jednej chwili obok Wiedźmy pojawił się mężczyzna trzymający w dłoniach hełm z psiej skóry.

– Przegrałaś nasz zakład, ukochana Persefono – ogłosił triumfalnie. – Znowu... Który to już raz? Forma śmierci i cierpienia zawisła nad tą dwójką. Nie zmienisz tego, co już się dokonało. Poprzestań i żyjmy jak dawniej.

– Czy nie widzisz, Hadesie, kim jesteśmy? Nie widzisz, czemu nas wybrał? To nie arka, a trumna! Gdzie są inni spośród nas? Co robią? Czemu

nie możemy stąd odejść?! Mechanizm rozpadnie się, nim Demiurg wybierze nową planetę, by ją przeformować!

Hades podszedł do kapsuł, oparł się o jedną z nich i rzucił okiem na śpiącego mężczyznę.

– Czy nie taki był początek naszej umowy? Dowiedź, że forma tych dwojga może ulec zmianie, a przyznam ci rację.

– Obserwowałeś go. – Słowa w ustach bogini brzmiały jak oskarżenie. – Zaplanowałeś to wszystko, mam rację? Co pokazałeś jej w tunelu, że zdecydowała się zawrócić?

Hades roześmiał się w głos.

– Czy to nie ironia losu, że akurat ciebie nazywają Panią Metamorfoz? Wierz lub nie, ale nic nie musiałem robić, wszystkiego dokonałaś sama. Im bardziej próbujesz się uwolnić, tym mocniej zapadasz w swoją formę. To twoje działania ściągnęły na nich gniew Anaksynrandeksasa, twoja przepowiednia sprowadziła ich tutaj i twoje słowa zapadły nimfie w pamięć. Widać nieskończona miłość nie była jej bliższa od nieskończonego życia.

– Przeszedł przez tunel. Nie odwrócił się i nie zatrzymał. Tym razem mu się udało – zauważyła Persefona, nieskora by uznać swoją porażkę, lecz Hades tylko wzruszył ramionami.

– To nigdy nie był właściwy wybór. Nazbyt ufasz mitom – odparł, po czym nałożył swój magiczny hełm i zniknął.

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/28378

Daniel Kordowski – człowiek_za_dużo_myślący_nie_o_tym_co_trzeba; zamiast skupić się na rzeczach pożytecznych, swoją uwagę kieruje ku fantastycznym światom i nieprawdopodobnym historiom; wielokrotnie nagradzany pobłażliwymi uśmiechami bliskich, którzy już dawno uznali, że nie ma dla niego nadziei; autor wielu opowiadań wydrukowanych na własnym sprzęcie w domowym zaciszu celem zapełnienia szuflady.

Nigdy nie chciałam zwykłego życia (18+)

Marcin Bartosz Łukasiewicz

Było południe, pierwszy listopada. Trzęsło mną jak skurwysyn, a na domiar złego nie miałam żadnej szprycy, żeby temu zaradzić. Obok leżała Anka, ta pierdolona ździra, i ją trzęsło jeszcze mocniej. Dłonie tak jej latały, że nie mogła odpalić szluga. Nie miałam siły na kłótnię, więc żeby się nie przyjebała, udawałam, że jej nie widzę. Patrzyłam więc na obcego, który właśnie nadszedł.

Na głowie miał zawadiackiego, chociaż nieco już oklapniętego irokeza. Na plecach starą i wytartą skórzaną kurtkę z tysiącem agrafek. Ubłocone glany świeciły plamami po tanim winie i spermie, a nogawki dżinsów przyozdabiały resztki rzygów.

Nie tylko wyglądał, ale i cuchnął. Snuł się za nim fetor, na który składała się woń niemytych od tygodni stóp, moczu i zaognionych po igle ran. Dzięki temu wszyscy wiedzieli, że może i był obcy, ale swój. I że nie wrzuci do puszki drobniaków, nie dołoży się do korbola, nie zapłaci dyszki za szybką laskę przy śmietniku.

Po wiadukcie nad nami jeździły samochody, hałasując i smrodząc dieslem. Spaliny zlatywały niżej, w cień między betonowymi podporami, mieszając się z dymem wielkiej beczki po oleju. Kiedyś przytargali ją Beniu i Szczurek, upierdoleni czystszym niż zwykle towarem.

Przybysz nie wyglądał na zdegustowanego, więc musiał być przyzwyczajony do takich miejsc. Dziwne, że patrzył na wszystko z zainteresowaniem.

Byłam na niejednej melinie, pod niejednym mostem, w wielu ruderach. Grzebałam w śmietnikach, waliłam w żyłę na dworcowym kiblu, spałam w kontenerze, kiedy padał śnieg. Jedyne spojrzenia, którymi zaszczycałam te wszystkie miejsca, miały na celu szybkie ogarnięcie, kto będzie chciał mnie okraść, kto podzieli się złotem z samarki, a kto zarazi syfem.

Nieznajomy wyciągnął zza pazuchy pełną flaszkę wódki, odkręcił, wyrzucił korek przez ramię.

– Żeby nie kusiło – mruknął. Dziabnął wielkiego łyka, po czym powiódł wzrokiem po towarzystwie. Oczy wszystkich rozjarzyły się chciwym błyskiem. Dawałam pół minuty, że butelka w dłoni irokeza zmieni się zaraz w tulipana w brzuchu. Ale koleś nie wyglądał na przestraszonego. Przeciwnie; z własnej inicjatywy puścił flaszkę w obieg, a potem – widząc, ilu spragnionych przybyło – wyciągnął kolejną.

Dzień zmienił się z chujowego w całkiem znośny. Przybysz wyjął jeszcze paczkę szlugów i puścił w złote rozdanie.

Już wtedy powinnam poczuć, że coś jest nie tak.

– Przybywam do was... – zaczął. – Przybywam do was – powtórzył. – Do was.

– Szybko go wzięło – parsknął Beniu.

– Nie. To nie to – zaprzeczył nieznajomy. – Jestem synem miłości i gniewu. Nikt nigdy nie umarł za moje grzechy.

Popatrzyłam na niego zdziwiona. Anka poderwała się ze swojego miejsca, ale nie była w stanie utrzymać się na nogach. Przeszła chwiejnie kilka kroków, ale przez **chorobę** wyrżnęła przed nieznajomym, rozbijając sobie mordę.

– Ugh – jęknęła, ocierając krew. – No, ale skoro już tak leżę, to może byś skorzystał? Pewnie masz jeszcze butelkę czy dwie? A może i coś mocniejszego?

Przez twarz irokeza nie przeszła pogarda, którą zwykle wyrażali klienci. Dotknął rozkwaszonego nosa, a z jego dłoni wypłynęło światło.

– Kurwa! – wrzasnęła Anka i odskoczyła. Złapała się za twarz i stanęła w idiotycznej pozie, a nieznajomy uśmiechnął się delikatnie. Dziewczyna powoli odsunęła ręce, pod którymi skrywała się niezbyt czysta, ale cała skóra.

– Jak... – urwała, kiedy dostrzegła, co wyjął nieznajomy. Wszyscy jak na komendę wyciągnęli łyżki, zapalniczki, watę i całą resztę sprzętu. Obleźli irokeza niczym proroka. A kilka minut później leżeli skurwieni jak kompletne szmaty, niezdolne do ruchu, niezdolne do myślenia, z błogimi uśmiechami na krzywych mordach i na wpół przymkniętymi z rozkoszy powiekami. Nieznajomy również przyładował, i to dawkę, po której nawet starzy ćpuni sztywnieliby na stole studentów medycyny. Ale on tylko stał i głupio się szczerzył.

Nigdy nie chciałam zwykłego życia (18+)

Ja też się szczerzyłam. Słuchaj, takiego strzału nie miałam nigdy. Nigdy wcześniej. Wypierdoliło mnie na orbitę, w kosmos, ściągnęło starą, zaśmierdłą i brudną skórę, wrzuciło do pralki z płynem do płukania tkanin, a potem wypluło świeżą i pachnącą. Pierwszy raz od dawna zrobiło mi się naprawdę ciepło, nie tylko na chwilę. Towar irokeza był prawie biały, pewnie dałoby radę nawet wciągnąć go przez nos. Nie jak to ścierwo, które zwykle grzaliśmy.

Po raz pierwszy od dawna poczułam się szczęśliwa. I widziałam, zezując leniwie na resztę, że oni mieli tak samo. Anka, Benio, Szczurek i cała reszta tej skurwiałej hałastry nie czuli się już malutcy, niepotrzebni i słabi. Po raz pierwszy od czasu zajęcia domu przez komornika, wypadku, ucieczki z domu czy wyjścia z pierdla, albo innej smutnej historii, którą miałam głęboko w piździe, byłam naprawdę, naprawdę szczęśliwa.

I wolna.

A potem helka weszła jeszcze mocniej.

ja
pierdolę

nie
mogło

równać się
=
Nie

Nawet
Tak

Tak, nawet
Z tym pierwszym razem

nawet z tym pierwszym razem
kiedy po szkole poszłam do mojego
chłopaka i liczyłam na to że w
końcu ogarnie pizdę ten pierdolony wymoczek maminsynek i laluś i w końcu przestanie mnie całować lekko i głaskać pod
szyjką tylko wreszcie zdejmie ze mnie ciuchy zobaczy kurewską bieliznę

ukradzioną mamie i nie będę musiała wieczorem robić tego sama tylko on wreszcie się
mną zajmie ale nie on nic takiego nie zrobił bo był zwykłym szesnastolatkiem jak inne szesnastolatki głośnym w szatni szybkim w słowach niedoświadczonym w łóżku bo doświadczenie miało dopiero nadejść i miał po
czuć zobaczyć posmakować jak działają dziewczyny kobiety żony że nie jest jak na filmach do których trzepał i które oglądał od jedenastego roku życia że też czują i chcą i istnieją dłużej niż te cztery sekundy przyjemności i nie jak na reklamach soku pomarańczowego więc jedyne co wtedy zrobił to wsad
ził mi dłonie pod bluzkę i pobrudził sobie bokserki kleistym rozlewającym się poczuciem wstydu a ja po tych kilku minutach zawinęłam się do domu gdzie był mój brat z kolegami którzy przynieśli coś nowego nietypowego emo
cjonującego czego nigdy wcześniej nie mogli zdobyć i wtedy siadłam razem z nimi nie miałam jeszcze własnej łyżki tylko jeden z nich umiał ładować więc ładował po kolei każdemu a na koniec mi i kiedy igła szła w
przedramię pocałował mnie ukradkiem tak żeby mój brat nie widział i wyobrażałam sobie nie wiadomo co chociaż tak naprawdę czuł
am że to był całus jak dla młodszej siostry i on wcale mnie nie pragnął nie a ja do tego momentu bym mu dała gdzie i jak by chciał i wtedy
wtedy

wtedy

wtedy towar

we mnie

przypierdolił

.

pierwszy raz i

wiedziałam

czułam

nic nie mogło tego zmienić

że całe życie będę już chciała tylko tego uczucia rozlewającego się we mnie jak gorące nasienie duża pizza zimne piwo latem ciepła herbata zimą mrożona kawa cukierki i ciasteczka dla dwulatki

a potem towar zszedł
a ja chciałam więcej
poczułam GŁÓD
a nie było
a potem było
mijały dni

pojawiła się **choroba**

nikt mnie nigdy nie bił, nie krzyczał na mnie, nie skrzywdził
po prostu nie chciałam zwykłego życia

I skończyłam tu, pod wiaduktem, w ten zimny dzień pierwszego listopada, a wokół mnie powoli wstawały ćpuny, brudne, chore, ale nie **chore**, każdy jaśniał wewnętrznym blaskiem, każdy był wspaniały, czuł się jak bohater, jak bohaterka, jak najsławniejszy aktor i aktorka na świecie, najważniejsza osoba we własnej opowieści, i każdy po towarze od nieznajomego odzyskał siebie, przypomniał sobie, po co to robi, dlaczego tak skończył i że było warto.

Benio i Szczurek pokazali irokezowi pobliską Biedronkę, która stała tam od dawna, od pokoleń, od kilku lat prędzej, na którą zawsze się dla jaj zmawiali, że kiedyś ją obrobią i będą wynosić przez okna zgrzewki browarów, skrzynki wódki, czipsy i bagietki czosnkowe, jeśli ludzie nie wykupią. Market tego dnia był zamknięty, a parking pusty. Nieznajomy uśmiechnął się zachęcająco, a tym dwóm degeneratom nie było trzeba niczego mówić, niczego powtarzać, wybili okno, jakimś cudem nie zawył alarm, więc wzięli wózki i załadowali. Nie myśleli o więzieniu i nie liczyli, czy biorą za pięć stówek towaru na pakę czterdzieści osiem, czy za

dziewięć tysięcy z kodeksem i nawet dychą pierdzenia przy recydywie. I podzielili się wszystkim i przez chwilę było jak dawniej, chociaż nigdy tak nie było, bo każdy zawsze patrzył po sobie i nie dbał o innych.

Dla Anki spełnieniem był zwierzak, który przyszedł znikąd i zaczął się do niej łasić. Taka głupia kurwa i idiotka bez połowy zębów, a jednak wiedziała, o co prosić. Pies był zwykłym burkiem jamnikiem osiedlową parówą z krótkimi łapkami brązową sierścią bystrymi oczkami. Żałowałam go, bo z Anką nie czekała go dobra przyszłość, a sen musiał kiedyś minąć.

Pod wiadukt zabłądziła jakaś elegancko ubrana kobieta, na szpileczkach, w szykownym płaszczyku, tylko jej, kurwa, pereł na szyi brakowało, i beretu na lśniących platyną, długich włosach. Normalnie ktoś by ją rozdarł na strzępy, perły opierdolił w lombardzie za stówę, zajechałaby kabaryna, bagiety obiły dwójkę z nas, zmacały tę tą tom smutną nastolatkę, o którą nikt nie dbał. Po aferze zostałby płaszczyk, który by pozwolił komuś przetrwać zimę albo i nie, a kobieta by miała kolejny powód, żeby nienawidzić biedy, biedaków, opowiadać o patologii i martwić się, czy jej starczy na urlop na Hawajach, czy tylko na biedackie Bali, gdzie już raz była.

I ta kobieta podeszła do irokeza i zapytała o kokainę. Takie pizdy mają swoje dojścia swoich ludzi swój towar nie trują się gównem z ulic, a już na pewno nie spod wiaduktu przy Biedronce, od ćpunów, których się brzydzi i którymi gardzi. Gdyby jacyś znajomi ją zobaczyli, to by się ze wstydu spaliła, a kołnierz z norek by prześmierdł rzygiem, biedą, piwem Tatra i byłby do wyrzucenia. Ale to był dziwny dzień. Przybysz uśmiechnął się i rozłożył ręce, więc zadziałała Anka. Prawo ulicy. Powiedziała jej:

– Kokaina to narkotyk imprezowy. Wie pani? Ze znajomymi się go bierze, żeby było miło, albo na koncercie dla energii, najlepiej z emką wtedy, albo do seksu jak ma być siła. Kokainy nikt nie wali samemu w domu. Nie do tego służy. A pani jest sama, nie ma nikogo, dom pusty, nawet kot nie czeka. Kokaina pani niepotrzebna. Tylko to.

Kobieta odeszła spod wiaduktu z nieszczęśliwą miną i działką brudnej, zasyfiałej helki z ulicy. Anka, ta ździra, musiała chować strzał, ale przy tym, co miał irokez, syfu już nie potrzebowała. Kurwa, wiedziałam, że coś ma,

ale nie wyciąga, żeby się nie dzielić, bo GŁÓD nie pozwala. A **choroba** ją tak trzepała, że wszyscy wierzyli, że jest pusta.

I Anka, i ja wiedziałyśmy, że ta elegancka wróci.

Nieznajomy stanął na środku, uśmiechnął się szeroko i przemówił ponownie.

– Nikt nigdy nie umarł za moje grzechy. Ja umrę za wasze. Nie potrzebujemy kolejnych opowieści o zrujnowanych domach. Przegranych życiach. Po prostu uciekacie przed bólem. Dobrze. Biorę to wszystko na siebie.

Machnął ręką. GŁÓD zniknął.

tak po prostu

Rozejrzałam się i poznałam: w innych też. Zawsze potrafię wyczuć, czy ktoś nie czuje GŁODU, czy nie jest potajemnie taki jak ja. Jak my.

A teraz pod wiaduktem stało stado brudnych ćpunów, którym irokez wyrwał z serc uzależnienie.

– I to tak... – zapytał Szczurek – i to tak na zawsze?

– Na chwilę. Ale może być już na zawsze. Możecie być wolni. Ale...

– Ale? – podchwyciła Anka.

– Musicie mnie zabić. Muszę zginąć za wasze grzechy.

Nie pamiętam, kto zaczął. Czy Benio cisnął cegłówką, czy Szczurek butelką po wódce, czy Anka wyciągnęła kosę? Może ktoś z innych, bezimiennych w tej opowieści, odszukał chowany po ciuchach łom?

Tysiąc dłoni podniosło się nad nieznajomym i opadło, dzierżąc noże widelce łyżki piły młoty gwoździe. Krew trysnęła wysoko, oblepiając agrafki na skórzanej kurtce, glany, dżinsy, lekko klapniętego irokeza.

Wtedy pierwszy raz dostrzegłam, że wszyscy – całe towarzystwo spod wiaduktu – nie żyje. Jest martwe, nie oddycha, chociaż widać parę uchodzącą z ust, bo pierwszy listopada i zimno. Nie ma pulsu, poza tymi krótkimi momentami, gdy żyły muszą ponieść kupiony za ukradzione wysupłane zarobione ustami ubłocone ułamki gramów. Z Anki, z Benia, ze Szczurka, ze wszystkich uciekło życie, już dawno, a ja tego nie zauważyłam. Zmienili się w zombie, w żywe trupy, a ich skóra gniła od tygodni. Rzucili się na nieznajomego jak na chleb, rozdzierali mięso, które żarli,

Nigdy nie chciałam zwykłego życia (18+)

jak na grillu, i chłeptali krew. A ich ciała zaczęły powoli odżywać, nabierać kolorów, pozbywać się sepii, w której tkwiły od lat i miesięcy.

I to trwało, aż po irokezie została tylko kurtka.

Pierwsza odeszła Anka. Zawołała psa, skrzywiła się na mój widok i poszła w chuj. Benio i Szczurek przez chwilę ładowali porozwalane fanty do wózków, ale w końcu dotarł do nich cały bezsens tych działań, więc kiwnęli mi i zniknęli we mgle, która pojawiła się wraz ze zmrokiem. Reszta bezimiennych rozmyła się szybciej i ciszej, tak, że ledwo to zauważyłam.

Zostałam tylko ja, oderwany od czaszki przyklapły irokez i kurtka z agrafkami.

Zrobiło się zimno, naprawdę zimno. Nie było komu rozpalić w beczce, więc wrzuciłam tam szmaty po Ance, polałam wódką i podpaliłam. Takiej ekstrawagancji nikt normalnie by się nie dopuścił, ale zostałam sama.

Nadal jednak nie czułam GŁODU. Nie byłam też **chora**.

Podniosłam skórzaną kurtkę i zarzuciłam sobie na ramiona. W wewnętrznej kieszeni coś mnie uwierało. Sięgnęłam tylko po to, by odnaleźć woreczek z towarem. Było go dużo. Bardzo dużo.

– Nie wstydzę się niczego, dlatego nie przeproszę – rzuciłam w przestrzeń. – Po prostu nie mam dokąd iść. Nie uciekam przed niczym. Nie jestem ofiarą. To mój dom, zniszczony, zrujnowany, spierdolony i ujebany przez wszystkich. Wspaniały. Nigdy nigdzie nie czułam się lepiej. Nie chcę innego.

Przyładowałam więcej niż powinnam. Był pierwszy listopada, moje święto, więc mi się należało. Czułam na ustach nieśmiałe pocałunki kolegi brata nie takie jak dla siostry tylko gorętsze ostrzejsze mocniejsze wręcz wyuzdane o których myśli się całe życie że gdyby gdyby wtedy to byśmy tylko my i my przez całe życie razem przeciwko światu we dwoje.

Wokół mnie pośród mgły zabłyszczały na czerwono oczy pierwszych drapieżników. Wybiła północ. Wróciła Anka, już bez psa, wrócili Szczurek i Benio, wróciła pani w płaszczu z kołnierzem, i każdy po kolei brał igłę, łyżkę, watę i zapalniczkę, i zabierał mój towar, tracąc kolory i ponownie, płowiejąc w sepię, apatyczną i bladą, ale dobrze znaną i wygodną. Nad ranem zostały już jedynie martwe ciała,

zimne i otępiałe,
obojętne

chore

ale szczęśliwe.
Jakże szczęśliwe.

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/29637

Marcin Bartosz Łukasiewicz – z wykształcenia gitarzysta jazzowy, z zawodu muzyk i nauczyciel. Mieszka w Zielonej Górze, czyli idealnym połączeniu miasta oraz przyrody i lasów. Uwielbia psy, urbex, granie koncertów oraz ciszę. Autor wielu opowiadań, publikowanych m. in. w „Gruzach", „Nowoświatach", „Snach Umarłych" czy antologiach *Zapomnianych Snów*. W sierpniu 2023 roku nakładem wydawnictwa Zysk i Ska ukazał się jego debiut powieściowy ***Moja martwa dziewczyna*** – miks kryminału, urban fantasy oraz paranormal romance.

Nigdy nie chciałam zwykłego życia (18+)

Powiadają, że drzewa mają dusze

Mateusz Pawlak

Trybularz dynda na trzech łańcuszkach, dym obejmuje zakapturzone sylwetki, sięga murów klasztornych. Niewielka procesja mamrocze:

– *Sancte Michael Archangele, defende nos in proelio...*[*]

Dookoła jeszcze rosa, a na łąkach pod klasztornym wzgórzem mgły. Braciszek ma kaptur habitu naciągnięty na głowę, patrzy w dymiącą szkatułę. Przymyka oczy i potyka się na bruku, ale siostrzyczki za plecami ani drgną i dalej mamroczą:

– *...tuque, Princeps militiae Caelestis...*[**]

Mamroczą tak co dzień rano i wieczór. Rano z kadzidłem, by przepędzić zło, co nocą przylazło pod mury, a wieczorem z wodą święconą, by żadne licho na ogrodzenie wejść nie mogło.

– *...divina virtute in infernum detrude. Amen.*[***]

Dzień za dniem plewią zło, co czyha na klasztor; to nieochrzczone, które z prastarych czasów zostało i wciąż mami ludzi słabego ducha. Plewią i plewią, wyplewić nie mogą.

Swaty

W sadzie, na jabłoni, tej co tuż przy murze klasztornym rośnie, siedzi Zyta w letnim habicie i macha nogami na przemian. Jakby jaki młodzian pod drzewem stanął, to może i co ciekawego by zobaczył, ale w dole jeno świerszcze. Imię ma nieprzypadkowe, bo jak przez alfabet spojrzeć to Zyta na samym końcu stoi i tak właśnie nazywają wszystkie siostry co z hańby, a nie powołania, do klasztoru przystają. Wgryza się w jabłko, a sok ścieka jej po brodzie jak kwaśne łzy.

Dziewczynie jest tu dobrze. Gałąź w sadzie to ostatnia wolność jaka jej została i zawsze gdy przeorysza do miasta wychodzi, młoda siostra na drzewo

* Święty Michale Archaniele, broń nas w walce...

** ...a Ty, Książę wojska niebieskiego....

*** ...mocą Bożą strąć do piekła. Amen.

włazi i wspomina chwile spędzone w ogrodzie, sadzie i lesie ojca. Ojciec, papa, dał jej na chrzcie Agnieszka, bo to imię w alfabecie najpierwsze, a ona pierwszą córą była. Ten sam papa przywiózł ją później do klasztoru i w złocie za trzydzieści lat z góry zapłacił. Gdy odjeżdżał, nie spojrzał za siebie ni razu.

Zyta widzi, jak drogą ku wzgórzu klasztornemu jedzie wóz drabiniasty, a powozi stary leśnik, Maciej Kozioł. Człek prosty, dobrze mu z oczu patrzy, ale gębę ma typowo chłopską i wobec murów zakonu przepełnioną strachem. Za plecami Macieja jedzie na wozie mały las, bo leśnik będzie sadzić młode lipy po obu stronach drogi do bramy klasztornej. Teraz po bokach stoją jeno płoty: z lewej ten, co sad okala, a z prawej ten, co winnicę ogradza. W letnie popołudnia słońce pali ubitą ziemię i przez to możni niechętnie na modlitwy chadzają.

Leśnik wstrzymuje konia u stóp wzgórza, na początku drogi do bramy. Zyta w podskokach, jak dziewczynka, gna w dół. Uśmiecha się, spod welonu na twarz spada jej czarny kosmyk, co go zawsze za ucho zaczepia, a ten wciąż, i wciąż chce oczy zasłaniać i po nosie gilgać.

– Pochwalony, panie Macieju!

Leśnik już karmiak koniowi zawiesił, a teraz patrzy niepewnie na młodą siostrzyczkę i boi się, tak jak się boi wszystkiego, co klątwę może rzucić.

– Pochwalony – odpowiada.

– Pan sam je będzie sadził?

Maciej w oczach ma strach, a w ustach źdźbło.

– Ano, sam.

Zyta ogląda sadzonki, zerka co chwila na leśnika, a uśmiecha się przy tym tak, że piernika za serce ściska i trochę niżej również. Jeszcze większy go strach na to bierze.

– Pan ma je już poukładane, która gdzie ma rosnąć?

– Po... poukładane?

Błyskają oczy siostrzyczki, serce mocniej wybija rytm.

– Mnie właśnie przeorysza wysłała – mówi i obserwuje leśnika, ale temu jeno strachem twarz zachodzi – żeby pilnować, jak pan Kozioł lipy układa, czy pasować będą.

Maciej szeroko otwiera oczy i usta, a źdźbło spada na ziemię. Zyta natomiast rozgląda się, jakby kto miał ich podglądać.

– Pan się nie martwi, panie Macieju – mówi nieco ciszej. – Wiemy, jaka z przeoryszy wredna jędza. – Leśnik aż podskakuje i jęczy na te bluźnierstwa. – Ja je poukładam, troski oszczędzę.

Kozioł patrzy na młódkę i nie wie co zrobić. Zyta uśmiecha się i kiwa głową, on powtarza ruch, ale nieco wolniej. W końcu bierze szpadel i idzie kopać.

Siostrzyczka wdrapuje się na wóz i dotyka pierwszej lipy. Wdycha woń liści, przytyka ucho do gałązek i słucha, bo choć nieochrzczone, drzewa mają i duszę, i serce, a słuchając serca, wiele dobrego można uczynić. Tak nauczał Jaśko, gdy chadzali po sadach i lasach papy. Kazał jej się przytulać do drzew, słuchać jak soki krążą po żyłach, a serce śpiewa i tęskni za wiatrem, co gałęziami kołysze. Tak właśnie kochają drzewa, mówił, muskają liśćmi korę pni i gałęzi, są delikatne, nie wadzą sobie, ale razem ku słońcu wzrastają. I sam muskał jej szyję opuszkami palców, a wiaterkiem oddechu głaskał skórę między pocałunkami. Mówił, że usychają tylko te drzewa, które nigdzie dookoła nie napotkają swej bratniej duszy lub kochającego serca, a ona mu wierzyła. Gdy tak wysłuchiwała melodii drzewnej miłości, wtulała się w pień, on podchodził od tyłu, przyciskał tors do jej pleców, lędźwie do pośladków i szeptał. Ręce błądziły, to po drzewie, to po biodrach i wyżej. Zyta, choć we wspomnieniach jeszcze Agnieszka, uśmiecha się smutno.

Widzi, że Maciej Kozioł już połowę dołów pod sadzonki wykopał. Siostra chwyta więc liście, słucha uważniej. Serce tego drzewa jest wrażliwe, niewieście, a w tamtym dzikie jak u młodziana. Długie chwile mijają, ale Zyta już wie, gdzie którą lipę wkopać, by naprzeciw siebie rosły te, co obdarzą się uczuciem. Dobiera je w tuzin par, bo każda dwójka posadzonych drzew to zasiana miłość.

Dusza

Lubomir uwielbia obserwować – to najciekawsza z jego życiowych przyjemności. Ogląda więc wszystko, co tylko dojrzeć może.

Mateusz Pawlak

Lubi swoich braci, tych jedenastu co przy sadzie rosną. Gdy wiatr szarpie gałęzie, Lubomir kołysze ramionami jak oni. Lipy rosnące naprzeciwko wydają się obce i odległe jak przeciwny brzeg jeziora.

Swoje imię zawdzięcza służce bożej, Zycie, która co dzień wychodzi przez bramę klasztorną i drzewa pielęgnuje. Zaczyna od strony sadu, lipa po lipie, przemyka dłońmi między liśćmi, głaszcze korę na gałęziach i wciąż giętkich pniach. U stóp wzgórza przechodzi na drugą stronę, przy winnicy, i drzewo po drzewie, wraca ku bramie, a Lubo z zazdrością patrzy, jak bawi się gałązkami tych lip naprzeciwko.

Łaknie pieszczot zakonnicy, całe dnie tęskni za dotykiem, chce poczuć ciepło jej ciała na korze. Nie może się doczekać, aż wzrośnie, a pień zesztywnieje, nabierze obwodu, kora pomarszczy się i zgrubieje. Siostrzyczka przyjdzie, obejmie go i będzie szeptać to, co i teraz: trochę o miłości, trochę o trosce.

Przychodzą i dni zimniejsze, chłód do snu tuli; Lubo ani nie spojrzy, a już nagi stoi, oczy przymyka. W ostatnim widzie, płatki śniegu leniwie i chaotycznie padają na drogę.

Budzi go słońce i mrowienie pod korą, jest wiosna. Bracia i te lipy naprzeciwko, wszyscy nadzy, wystawiają gałęzie do słońca.

Co kilka dni obserwuje, jak możni do klasztoru chadzają. Panowie w kapeluszach i z fajkami rozprawiają między sobą, a za nimi idę one: piękne damy i ich córki. Lubomir patrzy na suknie do ziemi, na wąskie talie i dumne piersi, aż go pod korą swędzi. Napatrzeć się nie może na delikatne, białe twarze, jakże inne od tych chłopskich, ogorzałych słońcem i wysuszonych wiatrem. A gdy tylko znikają, wypatruje ich na nowo i tak mu mija dzień za dniem.

Przychodzi lato, damy spacerują z parasolami, by ochronić się przed słońcem, a Lubo chciałby nakryć je swoimi liśćmi. Wstyd mu, bo sięga gałęziami ledwie na kilka stóp w stronę drogi.

Frustracje koi Zyta. Odwiedza go co dzień po południu, tuli, muska i szepcze.

Przychodzi jesień, za jesienią zima, a po zimie znów budzą go pąki na gałęziach. Choć tego nie dostrzega, wzrasta; kora mu grubieje, a konary sięgają coraz dalej i coraz wyżej, czas płynie szybciej i szybciej. Córki stają

się damami, damy maszerują już jako matrony. Lubo wciąż nie może się napatrzeć, a gałęziami zuchwale sięga ponad drogę.

Coraz częściej nie zasypia na noc, odkrywa przyjemności spoza słonecznego światła, bo gdy dzień przemija budzą się potwory. Odwiedzają ich skrzaty, baby i północnice, czasem przychodzi bies, a raz przybył sam borowy, by opowiadać historie starych lasów. Jednak Lubo co noc wypatruje rusałek w zwiewnych giezłach, z włosami opadającymi na ramiona. Biegają między lipami, a w świetle księżyca widzi ich talie, biodra i nogi przez lekki materiał; znów swędzi go pod korą.

Przychodzi noc inna niż poprzednie, gdy Lubo staje obok swego pnia, w ciele jak ludzkim. Jest nagi, bada dłońmi tors, brzuch, uda, przeczesuje palcami krótkie włosy. Rozgląda się, szuka kogoś, kto mógłby wytłumaczyć te dziwy, ale dziś żadne nocne stwory nie biegają między lipami. Słyszy szelest z naprzeciwka, od drzew co przy winnicy rosną. Wytęża wzrok, ale nic nie dostrzega. W strachu i oczekiwaniu, oparty o swój pień, zasypia.

Po południu przychodzi Zyta. Wtula się w korę, ale Lubo widzi, że to już nie ta Zyta co kiedyś. Ciało wciąż ciepłe, ale nie tak jędrne, a skóra twarzy naznaczona zagięciami i przebarwieniami. Kosmyk, co na twarz spod welonu spada, już nie czernieje, a połyskuje srebrnymi włosami.

– Boisz się, Lubo – mówi.

Drzewo nie wie, czy to pytanie, czy stwierdzenie. Nie ma jak odpowiedzieć.

– Usłyszę cię, jeśli zechcesz. – Zyta obejmuje pień jeszcze mocniej, ucho przyciska do kory. Czeka.

Lubo nie wie, co zrobić, boi się nie mniej niż nocą, ale wtulona kobieta koi jego nerwy i drzewo zaczyna opowiadać. Gdy kończy, siostra przesuwa ręką po korze i mówi:

– Jesteś Drzewną Duszą, Lubo. To nie chrzest i nie wiara tworzy dusze, one są we wszystkim, co żyje. Odważ się, wyjdź i żyj.

Jesień

Lubo spod swego pnia obserwuje nocne życie skrzatów, gdy tuż za nim, przez płot przeskakuje rusałka. W podwiniętym gieźle trzyma jabłka, odsłaniając

przy tym wszystko od pasa w dół. Duch czuje, jak pąs wychodzi mu na twarz, gdy przypomina sobie, że sam jest nagi, jednak robi krok w przód. Chce pomóc, ale miast chwycić skaczące z ogrodzenia dziewczę, trąca ją niezdarnie. Owoce rozsypują się, a Lubo zaraz klęka i próbuje wszystkie wyzbierać. Czuje dłoń na ramieniu. Podnosi wzrok, obok kuca Rusałka i patrzy wprost w jego oczy. Jedną ręką chwyta jabłko, drugą podciąga Ducha za brodę, by wstał. Wgryza się w miąższ owocu, skórka chrupie, a sok wycieka z boku. Chłopak tonie w srebrzystych oczach i zamiera bezradnie. Patrzy na wilgotne usta, lekko rozwarte. Chciałby chwycić ją za policzek, ale w rękach trzyma wyzbierane jabłka. Rusałka podchodzi tak, że Lubo czuje jej piersi na torsie. Wzdryga się, nachyla i usta ich łączą się w pocałunku. Jest słodki, bo hojnie w tym roku sad obrodził. Chwilę później chłopak widzi już tylko zwiewne giezło niknące wśród cieni.

Gdy nadchodzi dzień, Duch pogrąża się w swoim pniu i wraca myślami do nocy. Ze stuporu wyrywa go dreszcz, co idzie z gałęzi, którą najśmielej do przodu wypuścił. Patrzy na drogę, a tam niknie granica między cieniem jego i tej lipy naprzeciwko. A jaka ona ładna, nie zauważył wcześniej. Wiatr kołysze konarami tak, że liście Lubo muskają jej korę, ich gałęzie haczą o siebie w nieśmiałym tańcu. To znacznie przyjemniejsze niż plątanie się korzeniami pod ziemią.

– Bogna. – Liście dziewczyny mówią dotykiem.

– Lubo – odpowiada w ten sam sposób.

Ma wrażenie, że od gałęzi Bogny bije ciepło, takie jakim darzyła go wcześniej Zyta, gdy tuliła się lata temu.

Czuje, jak wchłania wodę z gleby, a ta krąży naczyniami przez pień i gałęzie, aż po liście, które zielenią się jak nigdy dotąd. Ma wrażenie, jakby drugi raz w tym roku wypuszczał pąki. Wiej, wietrze, myśli. Łaknie muskania jej liści, chciałby ją dotknąć kora o korę, ale wiatr cichnie.

Gdy przychodzą wieczorne mgły i okalają wzgórze białą tonią, Duchowi o ludzkim obliczu miesza się w głowie. Patrząc na sad, oblizuje wargi, przypomina sobie jabłkowe usta rusałki. Kiedy zerka w drugą stronę, ciepło rozlewa mu się od serca do najdalszych zakamarków ciała. Gdyby mógł schwycić Bognę, ująć za rękę, a może i pocałować. Na samą myśl

jakby gorączka go brała, tak soki krążą mu w żyłach, choć wrześniowa noc zwiastuje już jesień.

Wystarczyłoby przejść przez drogę, na której mienią się srebrzyste plamy księżycowego światła. Lubo robi krok w przód, ale wtedy za plecami trzaska gałązka.

Rusałka przemyka wzdłuż płotu, przystaje. Duch nie potrafi stwierdzić, czy to ta sama, którą całował. Dziewczę ręką zachęca, by za nią podążał i biegnie w dół, ku łące. Lubo chce ją zawołać, ale głos więźnie w gardle. Jak ona może mieć na imię?

Rusza w pogoń, gna co sił. Mija swych braci, jest coraz bliżej, ale ona zaraz wbiegnie w mgliste jezioro, czarne włosy znikną w bieli. Przecinając drogę z lasów do miasta, próbuje schwycić dziewczynę, ale łapie tylko giezło. Materiał drze się, Lubo puszcza, przystaje. Strach go bierze, co powie rusałka, która zniknęła już w mlecznej toni.

Cisza. Nie słychać nawet kroków z podmokłej łąki.

Z mgły dochodzi chichot. Księżycowe światło wydobywa z bieli czarnowłosą. Duch robi krok w przód, dziewczyna się cofa, Lubo idzie coraz pewniej, widzi ją już wyraźnie. Czuje, że stopy trafiają na twardy grunt, jakby wyspę na bagnach, którą teraz otacza chmura. Dostrzega Rusałkę, to chyba nie ta z jabłkowymi ustami. Z giezła niewiele zostało, wisi na jednym ramieniu, odsłaniając pierś. Dziewczyna dwoma palcami chwyta materiał, odsuwa ramiączko na bok, koszula opada na ziemię.

Lubo nie chce podejść bliżej – nie objąłby wzrokiem jej całej, gładkich nóg, talii jak u szlachcianek w gorsetach, piersi rozchodzących się na boki, figlarnego uśmiechu i zadziornych oczu. Nie chce z niczego zrezygnować, wciąż patrzy i chce, by to trwało wieczność, ale dziewczyna podchodzi, dłonią przesuwa po jego twarzy, zamykając mu powieki. Lubo czuje jej ciepło, a potem całe ciało jak przylega, oplata go nogami. Ich oddechy się krzyżują, usta łączą. Duch chce tę chwilę rozciągnąć, ale czas podstępnie umyka.

Wschodzi słońce i Lubo pierwszy raz czuje, by na jesień taki chłód go brał od korzeni. Wciąż patrzy przez drogę za dnia i w nocy, ale Bogna jakby opuściła swój pień, choć z dnia na dzień stroi się w coraz to

pięknieisze barwy. Tak mija dzień za dniem, aż do końca jesieni, gdy oboje, nago stojąc, zapadają w zimowy sen.

Wiosna

Strzelają zielone pąki i Lubo znów mniej śpi, a więcej patrzy. Nocami dostrzega po drugiej stronie drogi cień, jednak nie widzi, czy to znów jakaś rusałka, czy może Bogna. Na równonoc robi nawet krok w stronę zjawy, ale wtem chmury nadchodzą i całą aleję w cieniu kryją.

Wiosenny wiatr kołysze gałęziami i Bogna, głaskana liśćmi, znów się odzywa. Razem wyciągają ku słońcu ramiona.

Nocą księżyc świeci mocno na rozgwieżdżonym niebie. Lubo staje obok swego pnia, ale stara się trzymać cienia. Czas płynie wolno, choć zawsze gnał, chłopak czeka niecierpliwie, w końcu jest! Widzi dziewczynę, schowaną nieco za drzewem, kąciki ust Lubomira wędrują ku górze, chce iść do przodu, ale spogląda na drogę. To granica. Tam do góry, gałęzie łączą się niczym łuk mostu nad rzeką, ale tu, u dołu, ubity trakt przeraża niczym górski potok.

Bogna w kilku krokach podbiega do sąsiedniej lipy, tej co rośnie nieco niżej. Lubo zerka w prawo, na brata, idzie w dół.

Staje przy ostatnim drzewie w rzędzie, opiera dłonie o korę. Tu aleja lip dochodzi do szlaku wiodącego od lasów na prawo, do miasta na lewo. Na wprost jest bagnista łąka, zasnuta wieczorną mgłą, jak dymem z kadzidła, który co ranek spowija klasztorne mury. Duch słyszy szelest po drugiej stronie, patrzy. Rozmyty cień niknie w wilgotnej zawiesinie.

Lubo niepewnie robi krok do przodu, jedną dłoń wciąż trzyma na pniu, ogląda się w stronę bramy. Pusto, choć ma wrażenie, że wszystkie drzewa na niego patrzą.

Paznokciami drapie korę, zaciska dłoń i już stoi sam, na wprost jest mgła, a we mgle jest ona. Wzdycha głęboko i postępuje o krok, i jeszcze jeden. Wolno zanurza się w bieli, podmokła trawa chwyta jego stopy.

Staje. Z lewej słyszy chlupot, to kroki, to ona. Lubo idzie w stronę głosów, soki uderzają do głowy, dzwoni mu w uszach. Widzi cień, to ludzka sylwetka wyłania się z mgły, jeszcze krok, dwa i zobaczy ją wyraźnie.

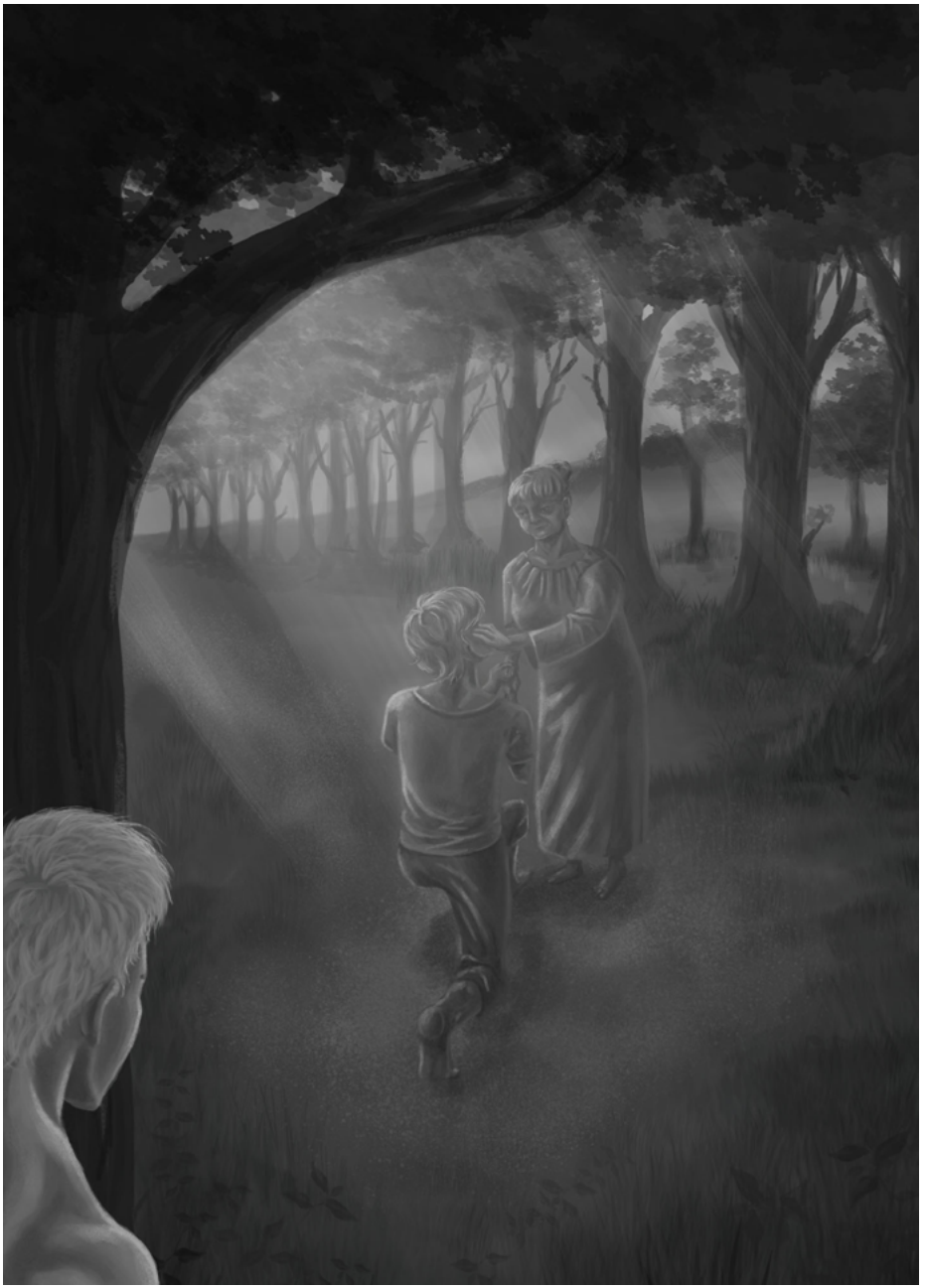

Bogna trzyma ręce przy tułowiu, przebiera palcami, prostuje je, a potem zaciska. Patrzy w dół, nie chce podnosić wzroku, ale usta się uśmiechają, choć próbuje być poważna. Długie, ciemne włosy, pozlepiane od wilgoci, opadają na ramiona i niżej, zasłaniając nieco piersi. Lubo mierzy ją wzrokiem od góry do dołu, całą nagą. Marszczy brwi, robi krok do przodu.

Bogna nie jest ani jak damy w sukniach, ani jak rusałki. Biodra ma szersze, a talię prostą, bez wcięcia. Szerokie ramiona nie współgrają z niewielkimi piersiami, a skóra, choć posrebrzana księżycowym światłem, ma oliwkową, przybrudzoną barwę, jakże inną od bladych lic panien idących na mszę.

Bogna podnosi wzrok, patrzy mu w oczy, wzdryga się mimowolnie. Wyciąga rękę, chce ująć jego dłoń.

– Lubo?

Duch dwoma palcami rozgarnia kosmyki jej włosów – kilka na lewo, kilka na prawo. Marszczy brwi. Trąca jej skórę opuszką palca, jest ciepła. Chłopak kręci głową, patrząc na zbyt duże brodawki. Widzi, jak ciało dziewczyny drży.

– Zimno mi – mówi Bogna.

Lubo wreszcie patrzy na jej twarz, na oczy, z których płyną łzy. Dreszcz przechodzi mu po plecach – takie piękno w tych oczach, ale i strach, i smutek.

Bogna zaciska powieki, tłumi łkanie. Ucieka, a Lubo stoi i patrzy przed siebie z podniesioną ręką, którą jeszcze chwilę temu muskał jej skórę. Świerzbi go w końcach palców wspomnienie ciepła ciała dziewczyny, jakby pąki puszczał.

Mleko mgły ciemnieje, to chmury zakryły księżyc. Wiatr szarpie włosy Lubomira, jest mu zimno. Patrzy jeszcze chwilę w cień, gdzie znikła Bogna, potem wraca wzdłuż sadu na aleję lip, do siebie. Tam będzie mógł wciąż patrzeć i głaskać ją liśćmi tej najdłuższej gałęzi, przecież wiatr przybiera na sile, rozkołysze konary, znów będą się trącać, ocierać, znów będzie przyjemnie.

Przychodzi burza, wicher dmie jak w śnieżycę. Gałęzie wyginają się boleśnie, aż w końcu łamią. Dwie na całej alei. Jedna Lubomira i jedna Bogny; te, którymi splatali się nad drogą.

Wspomnienia

Rano do leżących na drodze gałęzi przychodzą dwie siostrzyczki i braciszek z dymiącym trybularzem. Mamroczą:

– *Sancte Michael Archangele, defende nos in proelio...*

A gdy już kończą mamrotać, pojawia się więcej sióstr i radzą co też począć, i jaki diabeł zdrowe, grube gałęzie połamał. Uradzają, by po chłopów do wioski posłać: narąbią drwa, do drewutni zaniosą i jeszcze na ofiarę rzucą.

Rozchodzą się i wtedy przychodzi Zyta. Jest gruba, pomarszczona i stara, a jedynie po oczach i siwym kosmyku wystającym spod welonu widać, że to wciąż ta sama Zyta, co kazała lipy według swojego widzimisię posadzić. Staje nad złamanymi gałęziami, ale nie jojczy. Łapie się pod boki, patrzy to na Lubomira, to na Bognę, to w niebo, przez dziurę w zielonym sklepieniu nad drogą. Kręci głową, ale pod nosem chyba widać uśmiech.

Idzie do dziewczyny, obejmuje pień, przykłada ucho do kory. Lubo denerwuje się, bo teraz baba babie nagada i wyjdzie, że wszystko jego wina.

Po chwili widzi, jak Zyta idzie do niego. Próbuje wyczytać coś z jej twarzy, ale nie potrafi. Boi się, a strach ogarnia go od najgłębszych korzeni, aż po czubek. Spodziewa się krzyku, a może i gorszych rzeczy.

Ale staruszka przytula go, obejmuje tak samo jak Bognę. Lubo czuje to ciepło, przypomina sobie, jak był młodą lipą. Słońce ogrzewa liście, wiatr delikatnie kołysze konarami.

– Jesteś durniem – mówi Zyta spokojnym tonem.

Lubo zamiera, usztywnia gałęzie.

Jak to? – myśli.

– Tak to – odpowiada kobieta.

Lubo milczy, a Zyta uśmiecha się i przymyka oczy.

– Jesteś pięknym drzewem, Lubo. A, ona – pokazuje na Bognę – jeszcze piękniejszym. Pewnie niełatwo wam przejść do ludzkiej postaci, bo ludzkie ciała są śmieszne. Tu za mało, tu za dużo, tam płasko, choć miało być krągło, tam znowu krągło, choć chciałbyś prosto. I starzeją się szybko, znacznie szybciej niż wy.

Lubo przypomina sobie noc, mgłę i Bognę.

Mateusz Pawlak

– To ja kazałam was tak posadzić, całe dwa tuziny. Ułożyłam was parami według tego, co czułam w pniach i korzeniach. Nie chciałam, by któreś uschło, bo drzewa bez miłości usychają, Lubo, tak samo jak ludzie. Dlatego młode drzewa posadzone bez bratniej duszy obok, marnieją lub robactwo je zjada, tak jak i stare, które swych uczuć nie piastują. Nie możecie wstać i przesadzić się w inne miejsce, by wzrastać u boku innego drzewa. – Wzdycha. – Może gdyby ludzie też tak mieli, bardziej dbaliby o siebie nawzajem.

Zyta z trudem siada pod drzewem, plecy i głowę opiera o pień.

– Nie pomyliłam się. Wiem, że się nie pomyliłam.

Lubo zerka na Bognę. Ta ani drgnie, nawet liściem nie ruszy.

– Piękne rusałki do was przychodzą, prawda, Lubo? Ich młodość szybko mija. Tym szybciej, im bardziej brakuje im miłości, a wtedy... wtedy zostają z nich stare, pomarszczone baby wodne. – Zyta chichocze. – Takie jak ja.

Nie, ty nie...

– Cicho, proszę. Ja miałam mówić – karci, ale uśmiecha się pod nosem. – Złudne jest piękno ciała.

Zyta kiwa głową na złamane gałęzie.

– Długo się do siebie wybieraliście, nie jesteście już młodzi, a jeśli będziecie czekać, aż gałęzie odrosną... Wtedy patrz, Lubo, w oczy, a nie uschniesz.

Siostra milczy, wiatr przygasa, tylko ptaki śpiewają wśród listowia.

– Już czas – mówi.

Lubo myśli, że pójdzie, zostawi go, ale Zyta się nie rusza.

– Ja też kiedyś kochałam.

Lubo chciałby strząsnąć z siebie ptaki, niechże ucichną!

– Ja wciąż kocham.

Ptaki same milkną. Świerszcze i wiatr również.

– Jaśko był synem leśnika, co u mojego papy robił. Wszyscy ich szanowali, a papa cenił sobie towarzystwo znawcy leśnej flory podczas konnych przejażdżek po swoich borach. Tak się poznaliśmy. Wkrótce, zamiast wybierać się na samotne jazdy, brałam Jaśka ze sobą, by opowiadał mi o wszystkim, co można znaleźć w lesie. A mówił pięknie, z miłością na ustach i w oczach, a przecież papa sam zawsze mówił, żeby oceniać ludzi

po oczach. Gdy zakiełkowała miłość, okazało się, że papa nie wspomniał, że „ludzie" to jedynie szlachta, a nie, jak ich określał, „prostacy". Miłość okazała się złem, a zło się plewi. Jaśko poszedł w dyby i żywy z nich nie wyszedł, a ja trafiłam tutaj – wskazuje głową na bramę klasztorną – gdzie zło się plewi, a miłości nie szuka.

Milknie, a wszystkie lipy zdają się nachylać ku niej, by nie umknął im nawet szept.

– Dusze zostają tu, poza śmiercią, jeśli mają nierozwiązane sprawy. Jaśko mówił, żeby siać miłość, więc siałam. W rok po tym, jak go skatowali, sadził Maciej Kozioł lipy na drodze do klasztoru, a ja obiecałam sobie, że każda znajdzie miłość i żadna nie uschnie. Choć w was wierzę, to jednak nie wiem. To dobry czas, by zostać. Mam dla kogo.

Nikt jeszcze tego nie wie, ale serce Zyty staje. Tylko wiatr kręci się z cichym szmerem wokół staruszki.

Ślub

Martwą zakonnicę okadzają z mamrotaniem, a następnie ciało zanoszą do klasztoru. Chłopi rąbią gałęzie i porządkują aleję; wieczorem nie ma już śladu po hecach, jakie się tu wydarzyły.

Lubo chciałby płakać, ale nie wie jak; nie wyjdzie znów z siebie, bo boi się spotkać Bognę, boi się spotkać kogokolwiek. Zasypia wraz z ostatnim promieniem słońca.

Budzi go szelest, to wiatr porusza gałęziami lip. Jest pełnia i księżycowe światło maluje srebrny krąg przez wyrwę w liściastym sklepieniu. Coś biegnie między drzewami, tu obok sadu i tam, pod winnicą. Lubo wpatruje się, cienie wychodzą spomiędzy drzew i wzdłuż alei stoi szpaler wszelkich stworzeń nocy: skrzaty i lelki, bożątka i porońce, rusałki i rodzanice, baby i północnice, jest bies i borowy, są diabły i czarty, a nawet samo licho, wampierz i jakiś mniejszy smok. Takiej zgrai Lubo jeszcze nie widział i nadziwić się nie może. Wszyscy spoglądają ku bramie klasztornej, a tam w habicie stoi duch najprawdziwszy – Zyta. Uśmiecha się i patrzy w dół, ku stopom wzgórza. Lubo podąża za jej wzrokiem, ale

nie widzi dokładnie. Od łąki ciągnie się mgła, a z mgły wychodzi sylwetka, niewyraźna w cieniu drzew. Lubo wytęża wzrok, to człowiek? Nie! Duch, co patrzy na Zytę, a ona na niego. Siostra staje w srebrzystym kręgu między Lubo a Bogną i ściąga welon. Do niesfornego kosmyka, dołącza wodospad siwych włosów. Zyta zdejmuje habit i rzuca w bok. Stoi w cieniutkim gieźle, takim, jakie noszą rusałki, ale jest leciwa i zupełnie do nich niepodobna. Lubo odwraca z odrazą wzrok od starego ciała, ale w ostatniej chwili widzi jej twarz. Szczęśliwą. I już Drzewny Duch nie może oderwać się od tego widoku. Widzi każdą jej zmarszczkę, każdą fałdę na skórze, przebarwienia, blizny i znów czuje jej ciepło na korze, dotyk i szepty o miłości. To ta sama Zyta, jest tego pewien. Piersi nie unoszą się już dumnie pod materiałem, a niekształtne nogi znaczy pajęczyna ciemnych żył.

Gdy spogląda w dół, Jaśko jest już blisko. Ubrany jedynie w wełniane spodnie, wypina dumnie młodą pierś poszarpaną razami bata. Rany nie sączą krwi, jakby ktoś przemył je z troską. Twarz przyciemnia kilkudniowy zarost na wciąż młodzieńczej, jeszcze nieociosanej twarzy. Lubo zagląda w jego oczy i nadziwić się nie może. Młodzian patrzy tylko na swą wybrankę; żadna rusałka, rodzanica, czy północnica nie otrzymuje choćby przelotnego spojrzenia, a jego źrenice błyszczą tak, jak błyszczeć mogą tylko na widok największego skarbu.

Spotykają się w srebrnym kręgu. On klęka u jej stóp, ona kładzie mu dłoń na policzku, każe wstać. Stoją tak i patrzą tylko na siebie. Młode ręce Jaśka chwytają stare ciało Zyty, czy raczej Agnieszki, i podnoszą. Oboje pochylają się ku sobie. Całują. I wtedy wiatr wieje wśród liści, które szeleszczą niczym oklaski wielotysięcznego tłumu, a nocne dziwy na alei uśmiechają się tak, jak można się uśmiechać nie ustami, a jedynie sercem.

Lubo patrzy ponad Młodą Parą na Bognę. Jakże chciałby uchwycić jej wzrok, ale gdzie są jej oczy?

Jaśko zabiera swą żonę w dół, z dala od bramy klasztornej, a wszystko, co wzdłuż alei stoi, pochyla głowy przed oblubieńcami, którzy nikną na łące, we mgle.

Oczy

Codziennie wieczorem Lubo wychodzi z siebie, staje za pniem i patrzy na Bognę. Czeka na najdrobniejszy ruch, choćby cień. Za dnia ze wszystkich sił sięga młodymi gałęziami na drugą stronę alei. Jeszcze nie dziś i nie jutro, ale w końcu znów domkną sklepienie nad aleją lip.

Dzień za dniem, tydzień po tygodniu, Lubo nie widzi już nic poza Bognią. Mijają kolejne pory roku, a chłopak nie odwraca wzroku na żadną rusałkę czy młodą szlachciankę.

Gdy pewnego dnia, w nikłym świetle księżyca dostrzega sylwetkę po drugiej stronie alei, idzie w dół, wzdłuż sadu. Nie zerka przez drogę. Spogląda na swe ciało. Pomazana odbarwieniami szorstka skóra kryje pajęczyny żył. Bierze go wstyd, bo już nie wygląda jak Jaśko, ale wie, że nie może się zatrzymać. Wchodzi we mgłę, skręca w stronę dziewczyny. Słyszy chlupot, jak wtedy, lata temu.

Z mgły wychodzi ona. Nie zdążył spojrzeć na jej ciało – patrzy tylko w oczy, chwyta to spojrzenie i już wie, że nie puści. Podchodzi i kładzie jej dłonie na polikach. Mógłby tak trwać, zastygnąć na zawsze. Powieki same opadają, a usta łączą się po raz pierwszy.

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/27944

Mateusz Pawlak – młody fantasta uwięziony w ciele dorosłego inżyniera. Świat do góry nogami wywracają mu synowie, choć to jeszcze nic w porównaniu z tym, co wyprawia kochająca żona. Dlatego musiał tu napisać, że jest szczęśliwy. Jego teksty można znaleźć m.in. w antologii ***Stojąc po kostki w zapachu ryb*** oraz „Magazynie Biały Kruk". Rodowity ostrzeszowianin, miłośnik siatkówki i górskich wycieczek. I żony. Naprawdę.

Bogu niech będą dzięki

Grzegorz Kałużny

Bogusław miał bardzo religijną matkę. Znała na pamięć całą Biblię, dużo się modliła, nie grzeszyła. Można powiedzieć, że całe jej życie było świadectwem i to takim z paskiem. Jedynym niepasującym elementem, zagiętym rogiem świadectwa, dziurką po papierosie w papierze, rozmazującym się tanim drukiem, okazał się właśnie Bogusław. Może dlatego matka oddała Bogusława ludziom z Kolejki.

Czym jest Kolejka? Zacznijmy od tego, że filozof i analityk biznesowy Adam Iwański zebrał wizje proroków, przenajświętsze pisma, relacje, wywiady dotyczące ponownego przyjścia Chrystusa na ziemię i określił dokładne miejsce, w którym objawi się Zbawiciel. Wypuścił do internetu podsumowanie swoich przemyśleń oraz geograficzne współrzędne. Wkrótce pojawili się pierwsi wyznawcy. Z początku nieśmiało, pokornie jak baranki, jeden za drugim, ustawiali się w oczekiwaniu na pojawienie się swojego Pasterza. Kolejka.

Wierni zajęli pozycje w miejscowości Bogusławice w Wielkopolsce, pomiędzy Kaliszem, Turkiem, a Koninem. Nie pracowali, nie przemieszczali się, nie spotykali z rodziną czy przyjaciółmi; czekali w Kolejce, ciągle w tym samym miejscu, co najwyżej nieznacznie się przesuwając w drepczącym milczeniu.

Bogobojni biznesmeni finansowali zapasy dla wspólnoty, a wszelkie problemy logistyczne rozwiązywał niezastąpiony Adam Iwański, angażując pracowników swojej korporacji oraz korzystając z wszelkiej maści wolontariuszy. Sam Adam jednak nie był wyznawcą, nie stał w Kolejce, co więcej, nigdy nawet nie pojawił się osobiście w Bogusławicach, żeby powiedzieć „cześć" przyciągniętym przez swoje rewelacje akolitom. Nikt nie wiedział dlaczego.

Grupa składała się z mężczyzn oraz kobiet w różnym wieku. Były także dzieci, a najmłodszym był właśnie Bogusław. Wspólnota przyjęła go z radością, wierni wyobrażali sobie Jezusa, który przychodzi i gładzi dziecięcą

główkę z dobrotliwym uśmiechem. Niemowlak stanowił gwarancję dobrych relacji ze Zbawicielem, jak ściskany w ręku bilet na ulubiony koncert czy zielony kamyk, nieodłączny towarzysz podróży pociągiem.

Wprawdzie opieka społeczna zdawała się mieć pewne wątpliwości, związane z wychowaniem szkraba przez niemobilnych Kolejkowiczów, ale wielokrotne kontrole nigdy jakoś nie zakończyły się decyzją o odebraniu dziecka. Bogusław miał okrągłe, rumiane policzki, podszczypywane przez współoczekujących na Zbawiciela; najlepsze jedzenie, finansowane przez Adama i jego sponsorów, a nawet ubrany był w szwedzkie ciuszki dla niemowląt, które zdawały się w oczach inspektorów ostatecznie rozwiewać wątpliwości związane z zaniedbaniami w opiece nad maluchem. Ten zaś wyglądał na zadowolonego. Zajął miejsce na końcu Kolejki, podtrzymywany jeszcze przez przyjazne ręce, aby wraz z upływem lat stanąć dumnie wyprostowany w oczekiwaniu na Zbawiciela.

A lata mijały szybko. Wkrótce szkoły z Kalisza, Turku i Konina zaczęły rywalizować o możliwość nauczania Bogusława. Wspólnota podjęła decyzję, żeby poczekać na kolejne oferty. Ośrodki edukacyjne z innych miast w Polsce także złożyły propozycje, pojawili się nawet wysłannicy szkół zagranicznych. Ostatecznie po konsultacjach mailowych i telefonicznych z Adamem postawiono na edukację domową – dzieckiem zajęli się po prostu ludzie z Kolejki. Istniało zbyt duże ryzyko pojawienia się skazy na tym drogocennym klejnocie, rysy, którą w elastycznym i podatnym na wpływy umyśle dziecka może wyżłobić zewnętrzny świat, agresywnie wchodzący z brudnymi buciorami w ludzkie wnętrza, rugujący z nich wszelkie wartości.

Nauka skupiała się głównie na Bogu, a wydarzenia religijne były kontekstem poznawania świata. Bogusław uczył się czytać na Księdze Rodzaju; biologia i geografia opierała się na opowieściach o wężu, jabłku, arce Noego oraz ucieczce z Egiptu; fizyka opisywała zjawiska, takie jak rozstąpienie się morza przed Mojżeszem, zburzenie murów Jerycha czy chodzenie po wodzie przez Jezusa.

Jednocześnie Kolejka cały czas się wydłużała, przybywali nowi wierni w różnym wieku. Dorastający Bogusław w pewnym momencie dostrzegł czternaście miejsc za sobą dziewczynę.

„Dziewczynę?" – zapytacie. „Dziewczynę, tak" – odpowiem. W końcu krew nie sługa, serce nie woda, a hormony nie pokemony... czy jakoś tak.

Dziewczyna miała jasne warkoczyki i dwa duże piegi na nosie. Gdy Bogusław na nią patrzył, czuł ciepło rozlewające się wprost z klatki piersiowej na resztę ciała. I to ciepło szło coraz dalej i dalej, aż osiągnęło pewnego dnia koniec języka i ślinę na nim, co przełożyło się na pierwsze niezdarne słowa mające na celu zawiązanie relacji.

– Chcesz jabłko?! – krzyknął Boguś do właścicielki warkoczyków.

– Dzięki, mam swoje! – odkrzyknęła.

Było to prawdą. Mimo że Kolejka robiła się coraz dłuższa (wówczas ciągnęła się od Bogusławic aż do Rychwała), Adam Iwański nadal dbał o zaopatrzenie wspólnoty w produkty żywnościowe, odzież, leki i inne potrzebne przedmioty.

– A może chcesz kawałek żebra? – Nie poddawał się Bogusław.

– Dzięki, mam swoje. – Usłyszał odpowiedź.

Jak łatwo się domyślić, edukacja chłopca mocno wpłynęła na jego zdolności nawiązywania kontaktów. Przez najbliższy tydzień Bogusław zastanawiał się tylko nad jednym: zadaniem pytania w taki sposób, żeby wykluczyć odpowiedź „Mam swoje". Zrezygnował z pytań o imię, kolor oczu, pochodzenie, zainteresowania. W końcu postanowił poruszyć temat zupełnie oderwany od spraw materialnych, taki, który uznał nie tylko za najlepszy z możliwych, ale również za godny. Wierzył, że przez tak poprowadzoną rozmowę zyska uznanie w oczach wybranki serca. Zebrał się zatem w sobie i po kilku dniach milczenia krzyknął czternaście miejsc do tyłu:

– Jak myślisz, kiedy Jezus Chrystus przyjdzie do Bogusławic?

– W dupie to mam, jestem tutaj dla swoich własnych planów!

Bogusław był w szoku. Jak można mieć w dupie przyjście Chrystusa? Pocieszył go facet stojący przed nim, czterdziestoletni na oko pan Miecio:

– Nie przejmuj się, Boguś. Dziewczyna chce zrobić karierę i tyle.

– Jak to karierę?

– Kolejka od dobrych kilku lat znajduje się w centrum zainteresowania mediów. Przychodzą zatem tutaj takie różne osoby, próbujące ogrzać się w blasku fleszy i reflektorów. Jeśli postoją wystarczająco długo, to mają

szansę wystąpić w programie *Taniec w Kolejce*, *Kolejkarze*, a kto wie, może nawet zagrać w serialu *Na Kolejkowej* albo *Cierpnąc od Kolejki*.

– To podłe – oburzył się Bogusław.

– Nie mnie to oceniać. – Pan Miecio wzruszył ramionami. – Ani tobie, mówiąc szczerze. Jezus ich oceni, gdy przyjdzie.

Bogusław posmutniał, ale wizja Jezusa, oceniającego na Sądzie Ostatecznym zachowanie dziewczyny, bardzo go pocieszyła. Po kilku latach dalszego oczekiwania w świętym ogonku, zupełnie zapomniał o swojej pierwszej miłości. Czasem tylko, kiedy spał na stojąco, ściśnięty pomiędzy ludźmi, śniły mu się dwa duże piegi wesoło baraszkujące ze sobą na niewielkim i śmiesznie zadartym nosie.

Co jakiś czas młody Bogusław przesuwał się w Kolejce. Dreptał kilka kroków i zatrzymywał się centymetry od pleców pana Miecia okrytych w zależności od pory roku materiałem bawełnianej koszulki, wełnianego swetra czy goretexem szwedzkiej kurtki nieprzemakalnej (darczyńcy ze Skandynawii byli zawsze najhojniejsi). Wychowanek Kolejki nie wiedział, jak to się dzieje, że przesuwa się do przodu, ale cieszył się, że będzie bliżej Jezusa, gdy ten zstąpi na tę ziemię i odnowi jej oblicze.

Któregoś mroźnego ranka chłopak obudził się z drzemki, aby spostrzec, że zamiast Miecia stała przed nim niska matrona w futrze.

– A gdzie pan Miecio? – spytał Boguś.

– Widzi się z Jezusem.

– Jak to, Pan nasz przyjął go do siebie poza kolejnością? To oburzające!

– Ano, na to wygląda. Że przyjął.

Osoby stojące za Bogusiem wyjaśniły mu, że Miecio umarł. Nad ranem zabrali go wolontariusze Iwańskiego, którzy roznosili ciepłe napoje, koce i lekarstwa. Chłopak bardzo się zmartwił: najpierw skompromitowana dziewczyna, teraz bliska mu osoba, którą jako jedyną mógł tutaj nazwać przyjacielem. Został mu już chyba tylko sam Jezus Chrystus.

W istocie wydawało się, że tak właśnie było. Mimo że skład osobowy Kolejki ciągle rotował, Boguś starał się nie oglądać za siebie i nie dostrzegać niczego poza plecami kobiety w futrze. Nie nadążał, a może nie chciał nadążać, za wciąż zmieniającymi się twarzami, za wiekiem, za kolorem

włosów, za ubiorem, postawą, długością rąk, nóg, palców u dłoni. Kolorowy strumień osób płynął przed jego oczami, *Vistula of humans*, *Oder hominum*, Warta ludzkości. Bogusław nie zwracał na to uwagi, często po prostu stał z zamkniętymi oczami i modlił się do jedynej bliskiej mu osoby: *Jezu łaskawy w kolejkowym kościele, zwracam się do Ciebie, Ty jeden przynosisz mi nadzieję. Przedstawiam Ci, Jezu, wszystkie troski mojego serca: marzenie o dziewczynie z włosami w kolorze złota oraz z panem Mieciem na rozmowę ochota. Z pokorą i wielką ufnością, modlę się do Ciebie, bo Tyś mą jedyną miłością.*

Ludzie już nie tylko żegnali się w ramach codziennych modlitewnych aktów; po kilkudziesięciu latach czekania coraz więcej z nich po prostu żegnało się z życiem. Nieśmieszne, wiem, ale tak właśnie było. Inni porzucali Kolejkę, wyrywani z niej przez agresywną codzienność, intensywną szarość zwykłego dnia czy zaborczą nudę rozkładającą duszę od środka. Na ich miejsce przychodzili nowi i tylko Bogusław wciąż trwał. Już nie dziecko, nie młodzieniec nawet, a mężczyzna w średnim wieku, który całe życie spędził w Kolejce.

W czterdzieste drugie urodziny Boguś usłyszał za plecami rozmowę o Adamie Iwańskim.

– Dlaczego nasz dobroczyńca nigdy się nie pojawia osobiście?

– Bo tak naprawdę go nie ma.

– Jak to nie ma?

– Normalnie, nie istnieje.

– Umarł?

– Nie, nigdy go nie było, to wymysł Żydów, którzy chcą nas pognębić. Chcą, żebyśmy stali bezczynnie w Kolejce, zamiast pracować na swoje zbawienie.

– Ale przecież, stojąc w Kolejce, mniej grzeszymy.

– Powiedz to Jezusowi, kiedy przyjdzie.

– Więc wierzysz, że jednak przyjdzie?

– Aaa, sam już nie wiem, w co mam wierzyć.

Zasadniczo Boguś też nie wiedział, ale jaki miał wybór? Stał w Kolejce od urodzenia, to było jedyne życie, jakie znał. Gdzie miał pójść, co miał ze sobą zrobić?

Rozmów o Adamie Iwańskim słyszał jeszcze wiele. Niektórzy twierdzili, że Adam to sztuczna inteligencja, po angielsku: *Artificial Intelligence*, na co miały wskazywać jego inicjały. Inni byli przekonani, że musi być masonem. Jeszcze inni mówili, że z pewnością jest wysłannikiem zgniłej, zachodniej ideologii. Bogusław nie wiedział, kim naprawdę jest Adam. Wiedział za to, kim jest Jezus, na którego czekał w Kolejce.

Okrycie matrony, która stała przed nim, po kilku latach kompletnie wyliniało. Ona sama nie zniosła trudów oczekiwania i pewnego wieczoru jej martwe ciało zabrali wolontariusze Adama, odziani w kombinezony z inicjałami A.I. Po tym wydarzeniu Boguś już całkowicie zamknął się w sobie. Modlił się do Jezusa, wspominał Miecia i dziewczynę, śnił o włoskach futra delikatnie miziających mu twarz w trakcie odpoczynku na stojąco. Nawet się nie zorientował, że jest pierwszy w Kolejce, dopóki nie przyszedł Jezus Chrystus.

Jezus był odziany w biel, czy może sam był bielą. Takim kolorem, który jest matką wszystkich kolorów, czystym pięknem i piękną czystością. Zbawiciel miał opadające na ramiona miedziane włosy i brodę o nieco ciemniejszym kolorze, kontrastującą z jasną szatą. Jego oczy przywodziły na myśl przelewające się wody oceanów; Bogusław, kiedy zajrzał w te oczy, pomyślał o pierwszych dniach tworzenia świata, dźwigania kontynentów z wody i zapełniania ich życiem.

Mrugnął i wtedy zobaczył coś wielce osobliwego. Naprzeciwko niego stał człowiek w czapce i kożuchu, opatulony brązowym szalikiem. Za tym człowiekiem zaś rozciągała się jak okiem sięgnąć kolejka innych ludzi: od Bogusławic przynajmniej do Ostrowa Wielkopolskiego. Jezus zwrócił spojrzenie na szalikowca, ten zaś krzyknął z całych sił:

– Pan tu nie stał!

Bogusław zreflektował się, że ten oto uzurpator walczy o uwagę Zbawiciela, o odebranie łask przynależnych Bogusiowi od urodzenia, niemalże od poczęcia, a może jeszcze wcześniej – od momentu, kiedy myśl o nim powstała w głowie jego błogosławionej matki. Skurwysyn, zabierze mu Chrystusa na zawsze.

Jezus spojrzał na obu mężczyzn, a na jego klasycznie pięknym obliczu odmalowała się zaduma, aż miedziane włosy uniosły się nieco od świętego westchnienia.

– Faktycznie nie stałem – powiedział i wzniósł się wprost do nieba wśród dźwięków harf, trąb oraz innych instrumentów szarpanych oraz dętych.

Niektórzy świadkowie tego zdarzenia twierdzą, że anielskie chóry odśpiewały jeszcze *Idźcie w pokoju Chrystusa*, nie ma jednak zgody, czy faktycznie tak się stało.

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/27549

Grzegorz Kałużny – urodzony w 1985 roku w najstarszym mieście w Polsce. Absolwent Filologii Polskiej na UAM. Jego pierwsze opublikowane opowiadanie, ***Życie jak sen***, wzbudziło w czytelnikach dreszcze, potem było tylko gorzej (albo lepiej). Tworzy szeroko pojętą fantastykę, lubi bizarro, czasami wychodzi mu groza, choć zasadniczo nie wzbrania się przed żadnych gatunkiem. Jego mistrzowie to dziadek Stanisław, a dalej Lem, Mrożek i Gombrowicz.

Eleos

Jakub Kubal

Wczoraj przed blokiem postawili eutanazer.

Srebrna obudowa przypominającego jajko urządzenia błyszczy nowością. Górna część korpusu opatrzona jest logiem medkorpu Kyrios, na dolnej wytłoczono słowo Eleos, nazwę modelu. Boczne panele dotykowe mrugają zachęcająco obrazkami szczęśliwej rodziny: dwójka dorosłych i dwoje dzieci, siedzą na kanapie, uśmiechając się znad pękatej urny ustawionej na stoliku. Nie mam pojęcia co ten obrazek ma wspólnego z usankcjonowanym samobójstwem. Skąd to szczęście?

Nie ma już takich rodzin. Szczęścia też już nic nie zostało.

Przyjdź, zabij się, będzie ci lżej.

Do zapomnienia jeden krok, jeden, jedyny krok...

Urządzeń jest coraz więcej. Idąc przez pełne ludzkich cieni miasto, nie sposób nie natknąć się na któreś, czy to przed smutną galerią handlową, przy odczłowieczonym rynku, czy pod opustoszałą szkołą lub na zapomnianym kościelnym placu. Tak jak kiedyś automaty vendingowe albo paczkomaty, teraz przyszedł czas na trupomaty.

Jeden, jedyny krok, nic więcej.

Nie śpię. Siedzę w kuchni, skąd mam dobry widok. Z nosem przyklejonym do szyby obserwuję, czy ktoś zdecyduje się skorzystać.

W środku nocy pojawia się grupka ludzi, tych prawdziwych, w kapturach naciągniętych na głowy. Chcą być anonimowi, boją się rozpoznania, choć to przecież żadne przestępstwo. Jeden podchodzi do panelu, niepewnie klika, potem stoi tam dłuższą chwilę. Czyta informacje, które maszyna usłużnie wyświetla w wesolutkich barwach, na tle zdjęć kojarzących się ze szczęściem i błogością.

Tylko czyta.

O czym myśli?

Sam kiedyś zdecydowałem się podejść do jednej z tych maszyn i zapoznać się z jej działaniem. Zarzuciła mnie informacjami marketingowymi,

poradnikami, całym cholernym pakietem bełkotu dla konsumenta. A zrobiłem to tak, jak oni – w nocy, z maską zasłaniającą twarz, bacznie rozglądając się, czy nikt mnie nie widzi. Ciemna postać w kapturze, stojąca naprzeciw błyszczącego ustrojstwa, po wejściu do którego można spotkać inną ciemną postać w kapturze.

Dopóki kusi nocy mrok, do zapomnienia jeden krok.

Przed trzecią zakapturzeni odchodzą, a po siódmej opuszczam stanowisko obserwacyjne. Obmywam twarz, krople osadzają się na wargach. W ustach czuję dziwny posmak, przez który przestałem pić wodę z kranu, nawet przegotowaną.

Źle się czuję, to pewnie przez odwodnienie. Ostatnia zgrzewka mineralnej skończyła się w sobotę, nie miałem kiedy kupić nowej. Więc nie piłem. Tylko kawę wczoraj rano, ledwo przełknąłem, ale inaczej nie dałbym rady zwlec się z łóżka. No i jeszcze herbata wieczorem, równie ohydna.

Przebieram się w drugi komplet ubrań roboczych i wychodzę.

Powietrze też pachnie inaczej niż kiedyś.

Przed pracą odwiedzę matkę.

***

– Przepraszam – bąkam, potrącając w autobusie wysokiego mężczyznę w czarnym kombinezonie.

Odwraca się i już wiem, że nie ma sensu się kajać.

To nie prawdziwy człowiek, tylko jeden z butelkowych robotów hodowanych na farmach ludzi, pod bacznym okiem koncernów farmaceutycznych. Trochę jak u Huxleya. Setkami wypuszcza się stamtąd jednostki bite od genetycznej sztancy.

Jednostki, dobre sobie. Tyle dobrze, że tych nie warunkuje się do wykonywania konkretnych obowiązków, jedynie wyglądają podobnie.

Uśmiecha się jak debil.

Takich jak on jedzie ze mną kilkudziesięciu. Prawdziwych ludzi mogę policzyć na palcach jednej ręki. Tamci, sztuczni, nie rozmawiają, ale my też już nie rozmawiamy. Oni są przyszłością, my jesteśmy anachronizmem. Oni

szczerzą się jak kretyni, a na wymalowane na naszych twarzach zmęczenie nie da się patrzeć. Dlatego nie patrzymy. Rejestrujemy otoczenie, ale wzrok kierujemy do środka. Do wspomnień.

I obaw.

Wysiadam z burego autobusu na burym przystanku, w burym mieście pod ołowianym niebem.

Drzwi mieszkania są otwarte, matka jak zwykle siedzi w kuchni, czyta książkę. Taką prawdziwą, papierową. Uśmiecha się.

– Cześć, mamo – odzywam się, zaskakując ją swoją obecnością.

– O! Dawno cię nie było. Zjesz coś? Ugotowałam jajka.

Przywołuję na twarz blady uśmiech. Tylko matka potrafi zacząć rozmowę od tak zwyczajnego, a jednocześnie wyrażającego troskę, pytania. Powinienem być wdzięczny, że mogę je usłyszeć, ale nie potrafię. Ten uśmiech, sztuczny jak u manekina, to jedyne, na co mnie stać. A i tak jest szczerszy od chemicznych uśmiechów tamtych automatów, których coraz więcej wokół. Ale czy im ta szczera radość jest potrzebna? Czy mnie jest potrzebna? Kiedyś była.

– Dzięki, nie jestem głodny – kłamię, choć nie jadłem od wczoraj. – Co słychać?

– Chyba dobrze. Marnie wyglądasz.

– Wszystko w porządku.

W porządku, mamo.

Wszystko w porządku.

Oprócz tego, że w fabryce muszę wyrabiać normę taką samą jak butelkowi, przez co nie schodzę na przerwy.

I tego, że nie stać mnie na życie, bo opłacam mieszkanie, w którym dogorywam, udając, że sobie radzę.

Oraz oprócz tego, że coraz częściej myślę o śmierci.

Ale tak w ogóle, to wszystko w jak najlepszym porządku, mamo.

– Pamiętasz panią Borowską? Tę z parteru?

Całe szczęście zmienia temat.

– Tę od wiecznie ujadającego ratlerka?

– Pikusia. Tak.

– Co z nią?

– Przedwczoraj była u mnie. Długo rozmawiałyśmy. Wiesz, o życiu, o tym jak jest teraz, a jak było kiedyś.

– Uhum.

Milknie na chwilę. Dokądś zmierza. Tylko dokąd?

Podczas mojej poprzedniej wizyty mówiła o tym, co przeczytała. I o niskiej emeryturze, która ledwo starcza na przeżycie.

A tak naprawdę wcale nie starcza. Na to wspomnienie żółć podchodzi mi do gardła. To ja płacę za tę norę! Nie ma żadnego funduszu mieszkaniowego dla emerytów, mamo!

– Wczoraj skorzystała z eutanazera.

Jeszcze niedawno byłbym... Poruszony? Trochę.

– A co z Pikusiem?

Pytanie jest chyba nie na miejscu. W końcu ona mówi o śmierci człowieka, a ja dopytuję o psa.

– Zdechł miesiąc temu.

Ona też. Mama też już niewiele czuje. Powiedziała to tak swobodnie, bez pretensji, że interesuje mnie los Pikusia, a nie jej przyjaciółki.

– Nie ma po co tego ciągnąć. Jej słowa. Wszystko jest teraz inne, a najgorsze, że inni są ludzie. Bez prawdziwych uczuć, szczerych emocji.

– To butelkowi, mamo. Są jeszcze prawdziwi ludzie.

– Nie uważasz... Nie uważasz, że stajemy się tacy sami jak oni? Popatrz na siebie. Na mnie. Czujesz jeszcze coś szczerego, co wyrywa się na wolność? Bo jest prawdziwe? Radość. Żal. Troskę. Czujesz jeszcze smutek?

Niczego już nie czuję, mamo. Niczego, oprócz smutku.

– Muszę już iść – kłamię ponownie. – Spóźnię się do pracy.

Odwracam się łapiąc za wytartą klamkę obdrapanych drzwi wejściowych.

– Kocham cię, mamo – rzucam i wychodzę w burość.

Nie ścigają mnie żadne słowa.

***

Znów snuję się po mieście.

Do rozpoczęcia zmiany w fabryce zostały dwie godziny.

Coś się gromadzi, coś dojrzewa...

Miasto jest ciche, nie ma w nim prawdziwie miejskiego gwaru.

Wokół słychać jednostajny warkot samochodów, szuranie stóp po chodnikach, szum tramwajów. Mnóstwo dźwięków, a mimo to czuję się jakby otaczała mnie niczym niezmącona cisza. To przez mechaniczną powtarzalność tych dźwięków, która po jakimś czasie zamienia się w szum tła, a ostatecznie przestaje się ją słyszeć.

Nie ma, tak jak kiedyś, pisków opon, klaksonów, silników piłowanych na wysokich obrotach. Brakuje gwaru rozmów, dzwonków telefonów, muzyki dochodzącej z wnętrz mieszkań oraz lokali.

Jest tylko mechaniczna cisza.

Powietrze dziwnie pachnie.

Nie czuję się najlepiej.

W pobliżu podziemnego przejścia, w centrum, dostrzegam żebraka. To nie pierwszy raz, kiedy go widzę. Facet w wieku mojej matki, zaniedbany, z brudną czupryną posklejanych włosów, w znoszonym ubraniu, z wytartym od patrzenia w pustkę wzrokiem. Butelkowi nie zwracają na niego uwagi, a prawdziwi ludzie odwracają głowy i przyspieszają kroku.

To nie żadna znieczulica.

To strach.

Boją się, że skończą jak ten biedak.

A skończą. Wszyscy skończymy, każdy jeden, kto nie jest wyhodowany, kto nie przyjmuje sephir, kto nie jest szczęśliwy chemicznym szczęściem. Jeszcze się trzymają tego swojego człowieczeństwa, ale ono już odjeżdża, zostawiając ich na peronie przeszłości, spóźnionych, zdezorientowanych, czekających na skład, który nigdy nie nadjedzie. Wiedzą to, podskórnie czują, ale nadzieja nie pozwala na racjonalizm. Dlatego się boją.

To właśnie dla nich są eutanazery. Nie dla żebraka, bo on mimo wszystko jeszcze się nie poddał.

Ciekawe ilu z nich się złamie i w najbliższym czasie zacznie przyjmować tabletki szczęścia. Jak wielu z nich jest już na skraju, dosłownie jeden,

jedyny krok od ostatecznego zakwestionowania celowości swojego istnienia w nowym świecie?

Stawiam, że większość. Sephiry zamienią ich w zombie podobne butelkowym ludziom. Szczęście kosztem prawdy, brak trosk w cenie indywidualizmu.

Ci, którzy nie będą chcieli zapłacić, skorzystają z możliwości pozbycia się problemów za pomocą kilku kliknięć i wygodnego ułożenia się we wnętrzu trupomatu.

Takich jak ten żebrak nie będzie wielu. A ja? Nie wiem. Źle się czuję. Będę w pierwszej czy w drugiej grupie?

Odchodzę, odwracam się od biedaka. Idę do pracy.

Po drodze wstąpię do sklepu. Minę kilka eutanazerów. I kilkadziesiąt sephiromatów. Królestwo. Fundament. Chwała. Zwycięstwo. Harmonia. Srogość...

Nie, Gewura nie. Ona jest dostępna wyłącznie w aptekach, razem z Miłością.

Bina i Chochma z dostawą do klienta – tych nigdy nawet nie widziałem na żywo. Tylko dla najzamożniejszych, ekskluzywnie.

A Keter?

***

Taśma porusza się za szybko.

Biorę łyk wody z butelki, kosztem przepuszczenia kolejnych paczek.

Źle się czuję.

Do przerwy ponad godzina. Wtedy będę miał czas na zapakowanie spiętrzonych pudełek, które umknęły mi od początku zmiany. Jest ich więcej niż zazwyczaj, nie mam szans usiąść choćby na minutę.

Uśmiechy butelkowych, pracujących przy taśmach obok, bledną coraz bardziej. Tak samo u prawdziwych, którzy poddali się sephirom. Na przerwie wezmą Malchut i znów będą szczęśliwi. Ci z dozoru wezmą swoje pigułki, Jesod, z kolei ci nad nimi Hod, Necach jest dla...

***

Otwieram oczy.

Blask razi, zaczynam łzawić. W nozdrza uderza woń środków czystości i ten specyficzny zapach, który można wyczuć w gabinetach lekarskich. Zapach pustki przeplatanej niechętną obecnością tych, którzy muszą.

Ktoś do mnie podchodzi, słyszę kroki, przez łzy widzę ciemniejszą plamę na tle jasności. Ten ktoś łapie mnie za przedramię, czuję ciepły dotyk na skórze, chwilę potem chłód plastiku.

– Wygląda na to, że już wszystko w normie.

Kobiecy głos, mówi chyba do mnie. Przecieram oczy ręką, ciemna plama nabiera szczegółów, ogniskuję wzrok na rozmazanej twarzy. Brunetka o ostrych, ptasich rysach i bladych, ledwo widocznych ustach, szczerzy się do mnie chemicznie, groteskowo, jak pozbawiony warg truposz. Zerka na urządzenie, które przykłada do mojej ręki.

– Jak to się stało, że zapomniał pan wziąć Malchut?

Mrugam kilkukrotnie, zanim reszta otoczenia staje się wyraźna, a do mnie dociera sens zadanego pytania. Ale i tak go nie rozumiem.

– Ja... Ja nie biorę. Jestem czysty – dukam, zwilżając językiem spierzchnięte usta.

I oto nadszedł czas na niezrozumienie z jej strony.

– Chyba jeszcze pan nie wydobrzał po omdleniu spowodowanym odstawieniem. Poziom Malchut we krwi powoli wzrasta, niech pan jeszcze poleży.

Jak wygląda, czym objawia się panika? Bo raczej nie bieganiem z uniesionymi rękami, nie mam na to najmniejszej ochoty, a chyba właśnie panikuję. Jednocześnie w głowie czuję lekkość, co pewnie jest efektem działania sephiry, a to z kolei sprawia, że panikuję jeszcze bardziej. Podali mi pigułkę? Pieprzoną pigułkę?! Pigułkę gwałtu na wolności?!

– Kierownik polecił panu przekazać, że dzisiejszą dniówkę może pan odrobić po godzinach. – Stoi do mnie tyłem i gada, a ja duszę się ze strachu. – Za podany Malchut potrącimy panu z przyszłej wypłaty.

Nie. Ona nie rozumie. Ja przecież jestem czysty. Byłem czysty. Weźmiesz raz i nigdy nie możesz przestać, bilet w jedną stronę, inaczej umrzesz.

Smycz medkorpów dla produktów swoich farm, do której od lat próbują przekonać też naturalnie urodzonych. Według ostatnich danych zostało nas już mniej niż dziesięć procent, z czego ponad połowa dała się zniewolić sephirom. Ale nie ja.

Zawsze byłem czysty. Prędzej rozważyłbym samobójstwo niż zażycie pigułki. Rozważałem samobójstwo. Nie rozważałem zażywania pigułek.

To jakiś obłęd. Pomyłka.

– Ja naprawdę nigdy nie brałem. – Brzmię żałośnie, zdaję sobie z tego sprawę. – Czemu podaliście mi to świństwo?

***

Siedzę przy oknie.

Podwórze na zewnątrz jest takie samo jak zawsze, bure i nijakie, jestem tego pewien, ale dziś jawi mi się jakby weselsze. To Malchut, nie mam co do tego wątpliwości.

Rozważam samobójstwo. A w przerwach tych rozważań wsłuchuję się w siebie, w to, co się we mnie zmieniło od zażycia pigułki. Obserwuję, jak działa. A potem zastanawiam się, czy te lepsze, dla wyższych klas, działają podobnie. Necach, Tiferet, Chochma. Zwycięstwo, Harmonia, Mądrość. I pozostałe.

Nie wezmę Malchut, nie zażyję kolejnej pigułki. Umrę.

Mógłbym kupić Hod w aptece, wydać wszystkie oszczędności. Na Chesed nie byłoby mnie stać. Bo o to w tym chodzi: po tej drabinie możesz się piąć, aż do Chochmy, lub poniechać dalszej wspinaczki na którymś ze szczebli, zadowalając oczy widokiem, który się z niego roztacza. Droga w dół to śmierć.

Ale dlaczego nie ma Keter? Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś mówił o Keter inaczej, niż w gdybaniach na temat jej istnienia. A jeśli istnieje, to dla kogo? Dlaczego to drzewo nie ma Korony?

Przez brudną szybę spoglądam na błyszczący owal eutanazera.

Jajko, uniwersalny symbol życia – czegoś, co się zaczyna, z czego rodzi się nowe. Wypaczony, przeinaczony. Forma zgwałcona przez funkcję. Drwina.

Ciekawe, czy ktoś już z niego skorzystał?

***

Powinienem być w pracy, ale nadal siedzę na stanowisku przy oknie.

Podwórze już nie wydaje mi się weselsze, w końcu minęło prawie dwadzieścia godzin od wczorajszego powrotu do domu.

Nie czuję tej lekkości, co przedtem. Wróciło złe samopoczucie.

Chce mi się pić, więc wstaję i podchodzę do kuchennego zlewu. Kiedy wyszedłem z ambulatorium od razu pojechałem do domu, nie wziąłem plecaka z zakupami. Wszystko zostało w szafce.

Nalewam wodę do kubka. Ma ten sam okropny smak co ostatnio, ale to już nie ma znaczenia, niebawem zemdleję. A potem umrę.

Opróżniam naczynie do samego dna, napełniam ponownie i wracam do stołu.

To już niedługo.

***

Podnoszę głowę z kuchennego blatu. Musiałem przysnąć, czekając na śmierć. Nie pamiętam kiedy mnie odcięło.

Krzywię się w grymasie bólu, spowodowanym zdrętwiałym przedramieniem, na którym opierałem głowę, spoglądam na zegarek. Nie dowierzam i jeszcze przez kilkanaście sekund wpatruję się w tarczę, zanim dociera do mnie, że jest ósma rano, a ja nadal żyję. Nie czuję się najlepiej, suchość w ustach zapijam resztką wody ze szklanki.

Czemu żyję? Nie wziąłem Malchut.

Biję się z myślami.

Może wcale nie trzeba brać? Albo tak naprawdę nie podali mi narkotyku? Tylko po co w fabryce mieliby kłamać? Nic tu nie ma sensu.

Iść do pracy? Muszę odpracować wczorajszy dzień.

Kłębki myśli toczą się w mojej głowie, skotłowane, z końcem i początkiem umykającym przed próbami rozplątania chociażby jednego. I tak przez kilka długich godzin, aż wreszcie podejmuję decyzję, że przedwczorajszy incydent powinienem uznać za jakąś kuriozalną pomyłkę – błąd

w systemie, albo coś podobnego – i jeszcze przez jakiś czas pociągnąć tę żałosną wegetację, tak jakby nic nadzwyczajnego nie zaszło.

***

Z każdą godziną czuję się coraz gorzej. Paczki suną po taśmie, segreguję, nie nadążam.

Pociągam łyk z butelki, razem z powietrzem wysysam ostatnie krople wody.

Butelka zapada się, cienki plastik strzela i trzeszczy, kurczy się, a razem z nim kurczy się moja świadomość.

Czuję, że odpływam.

Déjà vu?

***

Otwieram oczy.

Blask razi, zaczynam łzawić. Poznaję ten zapach.

Ona podchodzi do mnie, słyszę kroki, łapie mnie za przedramię.

– Parametry w normie. – Głos jest mechaniczny, nie ma w nim choćby odrobiny ciepła i troski. – Nie zażył pan...

Wiem co będzie dalej.

Zrywam się z łóżka, odpycham ją. Kątem oka dostrzegam jak upada, uderzając głową o regał, ale mnie już tam nie ma, jestem na zewnątrz. Biegnę do szatni, zabieram plecak i wynoszę się z tej przeklętej fabryki.

Więcej tu nie wrócę.

***

Umieram.

Teraz już na pewno.

Ogarnia mnie coraz większa słabość, próbuję nie zemdleć.

I ten ból... Zaczęło się od głowy. Jakby ktoś wbijał w nią gwoździe – ostre szarpnięcie i moment ulgi, po chwili kolejne. Ucisk w płucach

przeszkadza w oddychaniu, jelita skręcają się w warkocze, bolą nawet zęby, oczy, język.

Drżącymi rękami łapię ostatnią butelkę wody, odkręcam korek, rozlewając zawartość zbliżam ją do ust. I kiedy udaje mi się upić pierwszy łyk, przychodzi zrozumienie.

Nigdy nie brałem sephir.

Nigdy nie piłem wody z kranu.

***

Ból jest nie do zniesienia.

Już blisko, jeszcze tylko kilka kroków. Srebrne jajko czeka na mnie. Lepiej tak, niż w cierpieniu...

Dotykam panelu urządzenia, wybieram procedurę uproszczoną, wystarczy podpisać oświadczenie. Ręka drży, ale daję radę i Eleos otwiera się, zapraszając mnie do wnętrza. Kilka osób przystaje i obserwuje moje samobójstwo. Niech patrzą, mnie już wszystko jedno.

Gdy pokrywa opada, wnętrze rozjaśnia się miękkim, złotym blaskiem, a panującą wewnątrz ciszę przerywa muzyka – spokojna, kojarząca się ze szczęściem. Opieram plecy o miękką okładzinę, a ta zaczyna puchnąć, otulając mnie coraz szczelniej i unieruchamiając. Cichy syk dobiegający z ukrytych gdzieś poza polem widzenia dysz powinien niepokoić, ale przecież na to czekałem, po to tu wszedłem.

Biorę głęboki wdech, świadom, że w płuca, razem z powietrzem, wciągam truciznę.

Już nie boli, jest dobrze.

Skupiam wzrok na włazie naprzeciw, na trzech słowach wytłoczonych po wewnętrznej stronie pokrywy, i wybucham śmiechem.

A więc tutaj się ukryłaś, Korono. Nicość, a po tobie już tylko nieskończoność. Nie idę ku światłu, staję się światłem.

Kyrios Eleos Terminal.

Usłysz mnie. Wysłuchaj.

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/27811

Jakub „Outta Sewer" Kubal – z pochodzenia Ślązak, z dochodzenia nie stuprocentowy; z nachodzenia stalker; z obchodzenia się z otaczająca go rzeczywistością – kpiarz. Zamiłowanie do fantastyki odziedziczył, wraz z kolekcją komiksów, po rodzicielce. Od późnych lat dziewięćdziesiątych zapalony erpegowiec, który pisanie scenariuszy w światach Warhammera, Faerunu, oraz kilku innych, w 2020 roku zastąpił pisaniem opowiadań. Lubi ciszę (okazjonalnie zakłócaną nowojorskim rapem), zbieranie grzybów (okazjonalnie halucynogennych) oraz zabawę słowami i znaczeniami. Uzależniony od coli, papierosów i dyskusji (najczęściej z samym sobą).

Marsjański Gambit

Agnieszka Fulińska

Zima 1877

Czerwień, morze czerwieni.

Enzo Pertusi od tygodnia śnił na czerwono.

Nie była to czerwień, którą znał z wczesnej młodości, spod Magenty i Solferino, choć pamiętał jak dziś przerażenie na widok urwanej dłoni, dziury w boku i sukna munduru nasiąkającego krwią. Nawet po prawie dwudziestu latach zdarzało mu się budzić z krzykiem na tamto wspomnienie.

Ta czerwień wgryzała się w umysł, a nie ciało Enza; kazała myśleć o wieczności i nieskończoności inaczej niż wtedy, kiedy jako siedemnastolatek był przekonany, że pole bitwy jest widokiem, który będzie miał przed oczami w chwili śmierci.

Czerwień pojawiła się, kiedy *professore* zachęcił go do spojrzenia przez okular. Kapitan w stanie spoczynku, intendent w armii Jego Królewskiej Mości, został wysłany do Specola di Brera, by omówić dostawy almanachów astronomicznych dla wojska. Zanim jednak zdążył wyłożyć sprawę, brodaty naukowiec zaciągnął go do teleskopu i kazał patrzeć.

Od tego dnia sny Enza były czerwone.

***

– Francesca, co ty znów wyczyniasz? Trzeba matce pomóc w kuchni. – Margherita pochyliła się nad dziewczynką, która na kawałku starej deski układała ułamki cegieł, nadpalone drewienka i kamyki. – Skaranie boskie z tobą. Żebyś ty się chociaż czasem odezwała!

Wzięła siostrzyczkę za rękę, na co Francesca zaprotestowała, jak to ona: wyrwaniem dłoni, prawie bezgłośnym parsknięciem i odwróceniem się tyłem do Margherity.

– Frances... – Dziewczyna urwała, bo mała podniosła się i odsłoniła najnowsze dzieło. – Co to jest?

Wymysły Franceski zawsze były plątaniną kresek, kółek i falistych linii; teraz jednak, po raz pierwszy, Margherita odniosła wrażenie, że czai się w nich ukryte życie. Wzdrygnęła się i na wszelki wypadek przeżegnała, by odgonić złe.

– Chodź. – Wyciągnęła do siostry rękę. – Pomożesz robić risotto.

Mała nawet nie drgnęła, zacisnęła tylko mocniej piąstki.

– O co ci chodzi?

Odpowiedziało jej świdrujące spojrzenie ciemnych oczu.

Margherita skapitulowała.

– Dobrze, zostań tu i układaj sobie, co chcesz.

Zebrała spódnicę i ruszyła ku studni. Wyciągnąwszy cebrzyk na kamienne ocembrowanie, odpięła go i odwróciła się w stronę domu – i krzyknęła, a większość wody wylała się z potrąconego naczynia. Koło studni, naprzeciwko Margherity, stała Francesca z deszczułką w wyciągniętych rękach.

– Czego ty chcesz? – Starsza dziewczyna z trudem powstrzymywała złość.

Siostra stała nieruchomo, bez słowa. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywała. Była trudna i nieusłuchana, lecz dziś naprawdę złe w nią wstąpiło.

Margherita przysiadła na studni i ukryła twarz w dłoniach. Miała ochotę płakać, a nie mogła sobie na to pozwolić. Od kiedy matka straciła władzę w nogach, oberża była na głowie starszej z córek. Signora Corti, owszem, siedziała w kuchni i czuwała nad przyrządzaniem potraw, a przygarnięty sierota Gianni pomagał przy gościach, których z roku na rok było coraz mniej, ale to Margherita musiała wszystkiego doglądać, o wszystko zadbać. Ojciec zginął w sześćdziesiątym, podczas *spedizione dei mille*, została po nim tylko czerwona koszula z czerwieńszą jeszcze plamą krwi na sercu. Matka umieściła tę relikwię wraz z pośmiertnym odznaczeniem w gablocie w sali jadalnej, więc córka musiała oduczyć się płakania na samo wspomnienie tego, jak czepiała się spodni i wysokich butów, kiedy odchodził, pełen wiary w przyszłość i włoską sprawę.

Francesca nie mogła być jego dzieckiem, choć nosiła jego imię. Starszą siostrę zawsze przechodził dreszcz na myśl o człowieku, który dziesięć lat

temu zatrzymał się w oberży, ona zaś, wtedy trzynastoletnia, roiła, że ojciec powrócił, cudem uratowany. Nigdy nie widziała twarzy tego mężczyzny, nie zamieniła z nim ani słowa.

Dziewięć miesięcy później na świat przyszła Francesca, a ludzie z miasteczka zaczęli się odwracać od Angeli Corti, bo kto to widział, żeby wdowa rodziła dziecko kilka lat po śmierci męża? Proboszcz chrztu odmówił, więc *nonna* Silvia udzieliła go potajemnie, a że coraz starsza Francesca nadal się nie odzywała, tylko siedziała na podwórku i układała z czego popadnie lub rysowała węgielkami powykręcane kształty, ludzie mniej chętnie zachodzili do oberży. Margherita zaś łapała się na myśli, że siostrzyczka jest córką ducha.

Omal nie krzyknęła, kiedy poczuła na dłoni dotyk.

Francesca stała przed nią jak wcześniej, lecz dopiero teraz Margherita dostrzegła, że obrazek jest inny niż zawsze.

– Co to jest? – zapytała, wskazując na budynek nieprzypominający ani ich domu, ani oberży, ani też niczego w Lodi.

Mała dziewczynka o ciemnych oczach patrzyła na nią tak, jakby mówiła, że ona też nie wie.

***

Miękki dywan tłumił kroki ambasadora. Hrabia di Robilant od kwadransa krążył po gabinecie, gestykulował, mamrotał pod nosem. Czasem przystawał, wyglądał przez okno, zerkał na stojącego przed biurkiem mężczyznę, po czym wracał do spaceru.

W całej ambasadzie panował chłód, kominki ledwie ogrzewały pomieszczenia, niemniej zmarznięty Giuseppe Sartori nie śmiał się odezwać, tylko stał z wzrokiem wbitym w karmazyn tapet. Ściany zdawały się zacieśniać wokół niego, jakby chciały go zmiażdżyć.

– Dam panu list do samego króla – odezwał się nagle ambasador. Ściany odsunęły się na swoje miejsce, tapety odzyskały wzór. – Samego króla, rozumie pan?

Hrabia pochylił się nad biurkiem, wziął pióro do ręki, umoczył je w kałamarzu – i na kartkę spłynął kleks, by rozprysnąć się niczym kropla krwi.

Co się ze mną dzieje?

Sartori usiłował zachować spokój; ambasador nie może zobaczyć, że trzęsą mu się ręce.

To przecież nie mogło być przez rozmowę, którą podsłuchał niedawno na balu karnawałowym u hrabiego M., pomniejszego radcy dworu, kiedy sumiennie wypełniał obowiązki specjalnego attaché włoskiego poselstwa, polegające na krążeniu wśród bogatych i wpływowych wiedeńczyków na rautach, w teatrze czy na Praterze. Rozmowę, która wydała mu się wtedy żartem, a parę słów ambasadora o niemieckich projektach nagle przedstawiło ją w zupełnie innym świetle.

Tydzień temu nie wspomniał o tym przełożonemu, a może powinien? Było już za późno; jeśli di Robilant się wścieknie, to Sartori pojedzie do Włoch, lecz wyląduje tam w areszcie, a nie na królewskim dworze.

Powiem królowi – postanowił, by uspokoić sumienie. *Albo ministrowi wojny* – dodał w myślach trochę bardziej realistycznie.

– *Signor* Sartori, pan mnie nie słucha! – W głosie ambasadora brzmiała groźba. Zanim jednak nieszczęsny attaché zdążył zareagować, mina hrabiego złagodniała, podobnie jak ton. – No, już dobrze, trzymam pana w tym zimnie od pół godziny. Niech pan słucha i zapamiętuje – di Robilant zatarł ręce – wiem, że jest pan w tym dobry. Dam panu tylko list polecający, całą resztę wyłoży pan Jego Królewskiej Mości osobiście.

Kiedy ambasador skończył, Sartori miał wrażenie, że śni. To, czego się dowiedział, niepokojąco współgrało z podsłuchaną rozmową.

***

Margherita straciła nadzieję, że ktoś z gości rozpozna budowlę, którą narysowała Francesca. Wszyscy kręcili głowami, niektórzy mówili, że może to jakieś pobliskie *palazzo*, które mogła widzieć. To zaś było niemożliwe, bo to nie było żadne pobliskie *palazzo*, a dziewczynka znała tyle okolicy, ile pokazała jej starsza siostra w tych rzadkich dniach, kiedy nie było wiele pracy. Sama tylko raz była w Mediolanie i zapamiętała stamtąd głównie hałas i kurz, wzniecany przez niezliczone powozy i konie. Przez chwilę stała

Marsjański Gambit

jak zaczarowana, patrząc na ogromną białą katedrę, która przywodziła jej na myśl koronki nonny Silvii. Potem trzeba było iść dalej, oddać list matki notariuszowi i wracać.

Zaniosła miskę pachnącej *minestrone* gościowi, który chwilę temu usiadł w kącie. Człowiek ten miał na sobie wojskowy mundur, a kiedy ujął łyżkę lewą ręką, Margherita zauważyła, że drugi rękaw ma zaszyty, jakby krył kikut. Nie zdążyła się zastanowić, co robi kaleka w armii, kiedy usłyszała za sobą ciche kroki.

Mężczyzna upuścił łyżkę, trochę zupy rozchlapało się na stół. Margherita odwróciła się gwałtownie i omal nie przewróciła Franceski. Dziewczynka trzymała w obu rączkach deszczułkę z rysunkiem budowli, którą zdążyła otoczyć powykrzywianymi kreskami, i wpatrywała się w gościa, jakby go znała.

On też miał w oczach coś takiego, co zaniepokoiło Margheritę. Zaskoczenie, a nawet niedowierzanie by zrozumiała, ale skąd lęk?

– *Mi scusate* – wydukał. – Co to...?

– Sama bym chciała wiedzieć.

Przysiadła na krześle naprzeciwko; Gianni poradzi sobie z parą podróżnych, ona potrzebowała chwili odpoczynku.

Blady uśmiech na twarzy gościa uświadomił jej, że błędnie zrozumiała jego pytanie.

– Pan wie?

Potaknął.

– Tak. To obserwatorium astronomiczne w Mediolanie, *la specola*.

To tak bardzo nie miało sensu, że Margherita bezwiednie się roześmiała.

– Niemożliwe – odparła. – Francesca nigdy nie była w Mediolanie, a ja też nie widziałam niczego takiego.

– Tego budynku nie sposób pomylić z innym.

Podniosła się z zamiarem powrotu do kuchni. On chwycił ją za rękę.

– Pani mnie bierze za szaleńca?

– Zupa panu wystygnie.

Nie puszczał jej dłoni. Nie było w tym nic z agresji, Margherita nie czuła zagrożenia; mężczyzna nie był pijany, nie próbował jej też do siebie przyciągnąć, więc tylko delikatnie szarpnęła ręką. Puścił.

– Nie jestem szaleńcem – wyszeptał.

***

Wyłożone czerwonym chodnikiem schody Villa Reale di Monza zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Giuseppe Sartori bywał w najznakomitszych pałacach Wiednia, talent aktorski pozwalał mu odgrywać dowolne role wobec arystokratów, bogatych kapitalistów czy sztywnych wojskowych, teraz zaś specjalny attaché co kilka stopni ocierał z potu dłonie i zwlekał z założeniem rękawiczek, aż stanie na tarasie, gdzie już czekał lokaj w dworskiej liberii.

Przemowę, którą miał skierować do Jego Królewskiej Mości, *attaché* ćwiczył od wyjazdu z Wiednia. Pamiętał doskonale słowa ambasadora, niemniej czuł, że jakkolwiek jest jedynie posłańcem, musi dodać coś od siebie, coś, co przekona króla, że on, Giuseppe Sartori, nie jest obłąkany ani też nie jest austriackim szpiegiem.

Dobrze, że to nieoficjalna audiencja – pomyślał, wstępując na ostatni stopień.

Otarł raz jeszcze dyskretnie pot i dłonią już w rękawiczce podał lokajowi bilet. Mężczyzna w zielonym fraku ukłonił się sztywno i poprowadził Sartoriego do wielkiego holu pałacu, a następnie plątaniną pomieszczeń do gabinetu, gdzie wsparty o parapet stał człowiek, którego Giuseppe nigdy jeszcze nie widział na własne oczy, lecz znał z niezliczonych portretów.

– Wasza Królewska Mość – powiedział lokaj – *signor* Sartori, *attaché* naszej ambasady w Wiedniu.

Człowiek stojący przy oknie odwrócił głowę, Sartori zgiął się w ukłonie, lecz król szybkim ruchem ręki wskazał mu krzesło, sam zaś opadł na fotel. Uwadze dyplomaty nie uszło, że Wiktor Emanuel jest zmęczony, bardzo zmęczony, i ma oblicze poorane zmarszczkami, choć nie jest przecież jeszcze stary.

– Cóż takiego mój drogi *conte* uznał za do tego stopnia niecierpiące zwłoki, że przysłał tu pana podczas mojego wypoczynku? – Głos króla był cichy, niepasujący do potężnej sylwetki i grubo ciosanych rysów.

Sartori wolałby stać, wygodne krzesło nie licowało ze sprawą najwyższej wagi, sprowadzało wiadomość do niedorzeczności, za którą uważał ją *attaché*.

Powtórzył słowo w słowo to, czego kazał mu się nauczyć na pamięć ambasador, nie pominął niczego. Zanim zdążył dodać, że jedynie referuje to, co polecono mu przekazać, Wiktor Emanuel wstał (Sartori natychmiast poderwał się z krzesła) i wyjrzał znów przez okno na szary zimowy ogród.

– O tym, że Kaiser i graf von Bismarck knują coś dużego, wiem nie od dziś – powiedział król. – O ich osiągnięciach technicznych też słyszałem. Szpiedzy donoszą, że pruskie sterowce osiągają już prędkość niewyobrażalną dla naszych inżynierów i latają na odległości, których byśmy się nie spodziewali. Francja ich nie doceniła, a ja wolałbym nie popełnić błędu mojego świętej pamięci cesarskiego sojusznika... – Wiktor Emanuel zamilkł na chwilę i Sartori zaczął już rozważać, co w tej sytuacji dyktuje etykieta, gdy monarcha odezwał się znowu: – Pański odpowiednik w Berlinie dwoi się i troi, żeby wykraść technologię, wiem, że pracują nad tym również Brytyjczycy... Ale lot na Księżyc? – Król zaśmiał się gorzkim, pozbawionym radości śmiechem. – To przecież szaleństwo!

Przez chwilę trwało milczenie. Sartori zastanawiał się, czy pod „szaleństwo" został podciągnięty również hrabia di Robilant i jego posłaniec, toteż następne słowa zaskoczyły go.

– Skoro już wie pan tyle o tej sprawie, zajmie się pan nią dalej. Jutro w południe zjawi się pan tu jeszcze raz, po wytyczne.

Jako lojalny poddany Jego Królewskiej Mości Sartori nie mógł odmówić, choć kiedy nazajutrz usłyszał konkretne polecenia, przemknęło mu przez myśl, że cały świat stoi na granicy szaleństwa. Na dodatek mógłby przysiąc, że rozmowie przysłuchuje się skryty w cieniu człowiek, którego zdecydowanie nie powinno tu być. Człowiek, który nie żył od szesnastu lat.

***

W czerwonym śnie Enza Pertusiego coś się poruszało.

Ciemniejsze kształty, niczym kolumny wojska, wiły się wokół czerwonej wieży specoli, zupełnie jak na rysunku dziwnego dziecka z oberży.

Powróciło wspomnienie miłej i ładnej młodej kobiety, zapewne córki karczmarza, i Enzo z ukłuciem w sercu pomyślał, że mógłby osiąść na wsi, zakosztować spokoju, gdyby nie to, że armia wyznaczyła mu rolę łącznika z obserwatorium – rolę, z której rozumiał głównie to, że była lepiej płatna niż zwykła praca w intendenturze. I zapewne byłaby od niej przyjemniejsza, bo ograniczała się do noszenia papierów opatrzonych pieczęcią „poufne", gdyby nie czerwone sny.

Stał właśnie przed ceglanym budynkiem, a kołyszące się na wieczornym wietrze gałęzie wyglądały prawie jak nieregularne linie na obrazku pokazanym mu kilka dni temu przez dziewczynkę spod Lodi. Mógłby nawet uznać, że tak właśnie było, gdyby nie to, że dziecko nigdy nie widziało specoli, a ciemne kształty pojawiły się w snach Enza wcześniej.

Jak żyły – pomyślał – *tętniące, pulsujące żyły*.

Drzwi obserwatorium otwarły się, lecz zamiast znajomego astronoma albo kogoś z personelu Enzo zobaczył wybiegającego mężczyznę w ubraniu tak eleganckim, jakby wybierał się do opery albo na przyjęcie. Nawet w marnym świetle gazowej latarni nie sposób było nie dostrzec, że człowiek ten miał wzrok kogoś, kto właśnie zobaczył diabła. Zanim jednak Pertusi go zagadnął, nieznajomy wskoczył do stojącego na rogu powozu, a woźnica ruszył z kopyta. Kapitanowi mignął wymalowany na drzwiczkach herb, którego nie zdążył w słabym świetle rozpoznać.

Enzo westchnął i rozpoczął wspinaczkę po stromych stopniach na kolejne piętra. Zajrzał do głównego gabinetu, lecz nikogo tam nie zastał. Odwrócił się ku klatce schodowej i zadrżał. Nieduże okienko wypełniała czerwona poświata.

Zacisnął powieki, a kiedy je otworzył, ujrzał zwyczajne gwiazdy na nocnym, styczniowym niebie.

– Jest pan wreszcie! Niech pan tu wejdzie, koniecznie! – dobiegł z góry, z samego obserwatorium, tubalny głos.

Marsjański Gambit

Chwilę później Enzo zderzył się w wejściu z *professore* w samej koszuli, z rozwiązanym fularem i rozwichrzoną, nieprzystrzyżoną brodą. Astronom chwycił go za ramię i pociągnął do teleskopu.

– Niech pan patrzy! To najpiękniejszy widok, jaki pan ujrzy w życiu!

Morze czerwieni nie stanowiło zaskoczenia, ciemnokarmazynowe rzeki opływające jaśniejsze plamy, owszem. I ruch, Enzo był przekonany, że widzi tętniące żyły jak we śnie, jak na rysunku dziewczynki z Lodi.

– Co to jest?

– Mars. Pański bóg, kapitanie, bóg wojny.

Wojna omal nie pozbawiła mnie życia, a nadal jej służę – zdumiał się Enzo i w tej samej chwili przypomniał sobie eleganckiego mężczyznę, wybiegającego z obserwatorium z obłędem w oczach. Ten człowiek wsiadł do powozu z herbem... Jakim herbem?

– *Professore* – zagadnął niepewnie – tu przede mną ktoś był, ktoś ważny, prawda?

Przez twarz astronoma przemknął cień.

– Tu nie było nikogo, nie u mnie – odpowiedział signor Schiaparelli tonem wyraźnie pozbawionym wcześniejszego entuzjazmu.

***

Stara szopa na tyłach oberży, w której trzymano nieużywane sprzęty rolnicze, stała się królestwem Franceski. Margherita oddała siostrze ponury budyneczek z czerwonej cegły, miała bowiem dość napadów furii młodszej siostry, kiedy ktokolwiek zniszczył konstrukcje z patyków i kamieni. Wybuchy złości były czymś nowym, więc Margherita rozważała wizytę u lekarza „od duszy", co sugerowała *nonna* Silvia, zasłyszawszy pogardliwe uwagi na temat takich doktorów wypowiadane przez proboszcza. Od awantury o chrzest babka omijała księdza szerokim łukiem, więc może da pieniądze na wyprawę do Pavii, gdzie podobno przyjmuje ktoś taki?

Stojąc na progu stodoły, w której wśród kawałków cegły, węgla, drewienek i wszelkiego innego śmiecia Francesca składała kolejne nie wiadomo co, Margherita podjęła decyzję.

Wróciła na podwórze, gdzie Gianni nabierał właśnie wody ze studni.

– Zajmiesz się dziś wszystkim – oznajmiła. – Przed wieczorem wrócę – dodała szybko na widok jego przerażonej miny. – Dasz radę.

Chłopak skończył niedawno szesnaście lat, był bystry i chętny do pracy, więc nie wątpiła w to zapewnienie.

Pół godziny później siedziała na ławce przed szkołą dla dziewcząt, którą kilka lat temu założyła w miasteczku Silvia Corti. Z niedużego budynku dochodził gwar, wśród którego nie było głosu Franceski i nigdy nie będzie, mimo że ta szkoła powstała z myślą o niej.

Kiedy uczennice rozbiegły się na głos dzwonka, w drzwiach stanęła zażywna kobieta, niewyglądająca na swoje prawie siedemdziesiąt lat. Margherita dopiero w tej chwili uzmysłowiła sobie, jak bardzo ciemne oczy, których spojrzenie przewiercało ją na wylot, przypominają Franceskę. Jakby naprawdę dziewięć lat temu oberżę nawiedził duch ojca.

Ucałowała z szacunkiem dłonie babki, ta zaś pogładziła ją po głowie, jak w dawnych latach, kiedy wnuczka była małą dziewczynką.

– Przyszłaś, bo chcesz wiedzieć. – To nie było pytanie. – Idźcie do domów, dziewczęta! – zawołała *nonna*. – Dziś nie będzie już lekcji.

Okrzyki radości poniosły się po ulicy, a potem wszystko ucichło, tylko ptak, który może wyczuł zbliżającą się wiosnę, świergotał w krzakach.

Margherita wyjęła z płóciennej torby plik starych rachunków; na ich odwrocie naszkicowała konstrukcje układane w stodole przez Franceskę. Na koniec wyciągnęła własnoręczny rysunek małej, ten sam, który wprawił w zdumienie kalekiego żołnierza. Żałowała, że tak obcesowo go wtedy potraktowała. Przestraszyła się, bo przecież skąd siostrzyczka miałaby znać mediolańskie budynki? Dziś nie była niczego pewna.

Babka wpatrywała się w podane jej obrazki w milczeniu. Położyła je na ławce, bez słowa ujęła dziewczynę za rękę i poprowadziła przez szkolną salę do znajdującego się za nią pomieszczenia.

Margherita zadrżała, kiedy stanęły przed gablotą podobną do tej, jaka wisiała w oberży. *Nonna* trzymała w niej *beretto* ojca, którego czerwień nigdy wcześniej nie wydawała się tak jaskrawa i tak krwawa jak teraz. Silvia Corti otwarła szafkę i podniosła czapkę, pod którą leżał niewielki kamyk,

Marsjański Gambit

równie czerwony jak koszule ochotników Garibaldiego, tylko poznaczony ciemniejszymi żyłkami.

– Kiedy on wrócił w sześćdziesiątym siódmym – powiedziała bardzo cicho – dał mi to.

Po policzku Margherity spłynęła łza. Rozum odmawiał wiary w słowa babki, a przecież wiedziała to od dawna.

– Dlaczego odszedł? – spytała, zanosząc się szlochem. – Dlaczego z nami nie został?

– Ponieważ dla umarłych nie ma miejsca wśród żywych, moje dziecko – odparła *nonna* Silvia i przytuliła wnuczkę mocno, jak wtedy, kiedy nadeszła wiadomość o śmierci ojca na dalekiej Sycylii i sześcioletnia Margherita tak strasznie, strasznie płakała.

Lato 1877

– Joseph Schneider, urodzony w Jenbach pod Innsbruckiem. Tyrolczyk?

Alfred Krupp przyglądał się stojącemu przed biurkiem przygarbionemu mężczyźnie w ubłoconej kapocie. Tamten potaknął.

– Tyrolczyk jak się patrzy, wasza wielmożność – odpowiedział cicho.

– Wyglądacie nieco na Żyda, Schneider – mruknął przedsiębiorca. – Nieważne, mój lekarz jest Żydem, a ja potrzebuję rąk do pracy. Macie rodzinę?

– Żona mnie odumarła, dziecko nie przeżyło, dlatego roboty szukam z dala od domu.

– Doskonale, zamieszkacie w takim razie w *Ménage*, Schneider, *Vorarbeiter* Horn wszystko wam wyjaśni. Na razie tylko podpiszecie to. – Podsunął kandydatowi na kolejny trybik w wielkiej machinie Kruppa wydrukowane przyrzeczenie lojalności wobec fabryki. – Czytać umiecie?

– Tak, *Herr* Krupp.

Kiedy Schneider przebiegł tekst wzrokiem, bardzo szybko, co nie uszło uwadze przedsiębiorcy, i podpisał, fabrykant gestem wskazał mu, że może odejść, a służący wpuścił następnego chętnego do pracy.

Kilka godzin później, kiedy Alfred Krupp udawał się na zasłużony odpoczynek w Villa Hügel, rodzina *Kruppianer* była liczniejsza o prawie trzydzieści osób.

– Mało, wciąż za mało – szepnął w mrok, zgasiwszy lampę naftową.

Kiedy tylko zamknął oczy, ujrzał pod powiekami czerwony blask ognia w najnowszej hucie i rozbłyski wystrzałów artyleryjskich na należącym do fabryki poligonie w Meppen.

– Zasłona dymna – prychnął z pogardą.

Wiedział, że tylko dzięki sprzedaży broni zdoła zrealizować najnowsze zlecenie Kaisera, do którego rekrutował rzesze robotników. Jeśli Amerykanie i Rosjanie kupią dostatecznie dużo stalowych armat, to wraz z płynącymi wciąż pieniędzmi z francuskich reparacji powinno wystarczyć na budowę tego jednego, jedynego działa, które przyćmi wszystkie osiągnięcia światowej techniki i zapisze nazwisko Alfreda Kruppa złotymi zgłoskami w annałach historii.

***

Doktor Morselli kiwał się na krześle, wpatrzony w pacjenta, który właśnie zakończył opowieść.

– Nie wiem, co powiedzieć, kapitanie – odezwał się w końcu. – To, że śni się panu morze krwi, nie jest niczym dziwnym, zważywszy, że omal nie zginął pan w bitwie. Nie wydaje mi się jednak, żeby kwalifikował się pan na pacjenta mojej kliniki.

– Czyli nie ma dla mnie pomocy? – Enzo Pertusi zwiesił z rezygnacją głowę.

Czerwone sny nie tylko go nie opuściły, ale wręcz przybrały w ostatnich tygodniach na sile. Na dodatek najwyraźniej zaczęły się zwidy. O ile miał absolutną pewność, że zimą podczas jednej z wizyt w Specola di Brera widział eleganckiego mężczyznę wsiadającego do herbowego powozu, cokolwiek by o tym nie mówił Schiaparelli, o tyle cień dostrzegany kątem oka w uliczce, przy której wynajmował mieszkanie, niepokoił go. Ktoś czający się w mroku to albo szpieg, a kto miałby śledzić mało ważnego pracownika wojskowej intendentury, albo duch. Enzo obstawiał to drugie, ponieważ *signora* Treccani, gospodyni, zaklinała się, że nikogo nie widzi.

– Kilka miesięcy temu, kiedy powstała klinika, napisał do mnie pewien narwaniec, student z Wiednia. – Rozmyślania przerwał Pertusiemu głos

lekarza. – Twierdzi, że marzenia senne są kluczem do naszej osobowości i chce je badać. Jeśli pan sobie życzy, odszukam list, może pan opisać swoje sny temu wariatowi, będzie miał materiał na pracę dyplomową.

Enzo pokręcił głową.

– Dziękuję, miałem nadzieję, że pan... – Uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, czego się spodziewał po tej wizycie. – Nie wiem, może miałem nadzieję, że zamknie mnie pan w szpitalu dla obłąkanych i będę miał spokój?

– Spokój? Aż tak źle się pan czuje z powodu tych snów? Czy może – doktor popatrzył wymownie na zaszyty rękaw kryjący kikut – męczy pana praca, zanadto obciążająca dla weterana?

– Bez pracy palnąłbym sobie w łeb – odparł bez namysłu Pertusi.

Wiedział, że to, w czym uczestniczył przez ostatnie miesiące, było już nie poufne, a tajne. Astronom zachowywał się dziwacznie, Enzo nosił coraz więcej korespondencji między obserwatorium a mediolańską delegaturą Ministerstwa Wojny, czasem trafił się nawet list z jeszcze wyższych sfer władzy. Widział na biurkach szkice machin i zastanawiał się, czy Włochy potajemnie szykują się do kolejnej wojny, a jeśli tak, to z kim. I co ma z tym wspólnego astronomia?

– To nie jest ciężka praca – wyjaśnił. – Ostatnio najbardziej wymagające jest chodzenie po schodach w obserwatorium, ale nogi mam na szczęście całe – dodał z uśmiechem.

– Obserwatorium? W Mediolanie? – Wzrok Morsellego powędrował ku stercie papierów leżącej z boku biurka.

Enzo zerknął w tamtą stronę i pobladł. To nie mógł być przypadek. Widział już kiedyś podobny obrazek.

– Co to jest? – Głos uwiązł mu w gardle, słowa zabrzmiały jak charkot.

– Rysunki mojej pacjentki, małej dziewczynki...

– Spod Lodi – dokończył Enzo. – Tak?

Opowieść popłynęła, niepewnym, zduszonym głosem, o tym, jak dziecko o dorosłych oczach wpatrywało się w niego w oberży, jak matka czy siostra dziewczynki uznała go za szaleńca, jak nie znajdował słów, by jej wytłumaczyć, bo nie wiedziałby, co ma mówić, bo jak wyjaśnić, że nieznajome dziecko widzi to samo co on?

Kiedy mówił, lekarz przeglądał obrazki, po czym wyciągnął jeden z nich i zaczekał, aż Pertusi skończy.

– Może pan mi powie, kapitanie, co to jest?

Karton zamalowany był ceglastą czerwienią ochry, a na tym tle wiły się ciemne kształty, dokładnie takie, jakie Enzo widział kilka dni temu w okularze teleskopu i na szkicu Schiaparellego.

– To jest Mars – odpowiedział. – Tak wygląda planeta Mars w teleskopie.

***

Vorarbeiter Horn, który znacznie lepiej niż na wytopie stali znał się na ludziach, przyglądał się pracy nowych nabytków. Papier podpisali, ale w napiętej sytuacji w Europie kto wie, czy Anglicy albo Francuzi nie podeślą szpiega. Francja niby ciągle liże rany po klęsce, a Anglia zajmuje się koloniami, lepiej jednak mieć wszystko pod kontrolą.

„Ten Schneider" – powiedział sam *Herr* Krupp, wskazując krępego mężczyznę zatrudnionego przed dwoma tygodniami – „widzi mi się, że to Żyd, a oni się z anarchistami i socjaldemokratami trzymają, tylko nam tu strajku trzeba".

Hornowi robotnik nie wyglądał na Żyda ani anarchistę; prędzej uznałby go za obcego agenta. Majster w siedemdziesiątym roku brał udział w oblężeniu Paryża i osobiście złapał kilku francuskich szpiegów, którzy próbowali dostać się do pilnie strzeżonych sterowców. Schneider miał podobnie jak oni oczy dookoła głowy i niezwykły zapał do pracy. No i podlizywał się staremu Kruppowi przy każdej wizycie w hali.

Najwyraźniej spieszno mu było do awansu, co z jednej strony nie dziwiło Horna, zwłaszcza że Tyrolczyk był bystry i techniczne sprawy chwytał w lot, z drugiej jednak zastanawiało. Skąd u człowieka, który, jak twierdził, stracił wszystko, taki zapał do życia? Gdyby zadurzył się w pannie, której rodzina za niego nie wyda, jeśli się nie wzbogaci, to *Vorarbeiter* by zrozumiał. Ale rozczarowany życiem wdowiec?

Jako zausznik Kruppa, wtajemniczony w wiele sekretów stalowego imperium, Horn miał oczy i uszy otwarte. Był człowiekiem od pilnowania,

czy gdzieś na sprawnie działającej machinie nie pojawi się niebezpieczna rysa. Austriacy byli zaś na liście osób, do których majster nie miał zaufania.

Tego dnia podczas fajrantu podejrzany z dużym zainteresowaniem przeglądał schemat techniczny ogromnego działa, oficjalnie wykonywanego na zamówienie indyjskiego maharadży, a w rzeczywistości mającego pokazać, jak bardzo wytrzymałe są materiały, które mają polecieć tak wysoko, jak człowiek nigdy nie latał.

– Znacie się na inżynierii, Schneider? – zagadnął Horn.

Robotnik pokręcił głową.

– Chodziłem trochę do szkół, potem w wojsku byłem – skrzywił się – jak nam pod Königgrätz tyłki spraliście, za przeproszeniem pana majstra. W artylerii żem służył, a to przecież temu – pstryknął palcem w schemat – zawdzięczacie zwycięstwo. Tylko to diabelstwo tak duże, że nie wiem nawet, jak to przetoczyć?

Na twarz Horna wypłynął pełen wyższości uśmieszek.

– A wy jak tu dotarliście aż spod Innsbrucku, hę? Chyba nie piechotą?

– Ano, pociągiem – przyznał Schneider i palnął się w czoło. – Jasne, parowóz to nawet taką kolubrynę uciągnie.

W sposobie mówienia tego człowieka pobrzmiewało coś, co nie dawało Hornowi spokoju. Coś... zbyt ułożonego jak na byłego żołnierza, który skończył zaledwie kilka klas.

Syrena wzywająca robotników z powrotem do pracy uniemożliwiła dalszą rozmowę; w imperium Kruppa przestrzegano regulaminu co do joty, a do zadań Horna należało też pilnowanie porządku.

Vorarbeiter wszedł do hali i przez dłuższą chwilę patrzył na strugi rozgrzanej do czerwoności surówki, spływającej niczym lawa do pieca. Schneider wraz z kilkoma innymi robotnikami obracał potężne śruby, by ustawić gruszkę pod odpowiednim kątem. Horn widział w życiu wielu artylerzystów i instynkt podpowiadał mu, że ten człowiek nie miał dużego doświadczenia z armatami.

– Kim pan jest, *Herr* Schneider? – mruknął pod nosem.

***

– *Signorina*?

Odwróciła się gwałtownie, a zaskoczenie szybko przeszło w niespodziewaną radość.

W drzwiach oberży stał jednoręki żołnierz, ten sam, który pół roku temu zainteresował się rysunkiem Franceski. Margherita chciała się do niego uśmiechnąć, przeprosić za niemiłe potraktowanie poprzednim razem, ale nie zdążyła.

– Proszę wybaczyć... widziałem rysunki pani siostry. U doktora w Pavii – dodał na widok jej szeroko otwartych oczu.

– Ach. – Spuściła wzrok i nerwowo skubała pasek sukienki. – Pan wtedy... ja... Czy pan też...? Nie, pan po prostu zna ten budynek, prawda? To nie ma nic wspólnego z... – Spojrzała wymownie na jego prawą rękę.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie. Choć trochę tak. – Uśmiechnął się blado. – Gdyby nie kalectwo, może nigdy bym nie zobaczył specoli. Gdzie mi, zwykłemu żołnierzowi, do astronomii?

– Pan... żyje? – Za późno ugryzła się w język.

Wciąż czuła w opuszkach palców niepokojące ciepło czerwonej grudki, którą pokazała jej *nonna* Silvia.

Twarz mężczyzny pozostała spokojna, pojawił się na niej jedynie cień niepokoju, jakby Margherita dotknęła czułej struny.

– Tak – odpowiedział – żyję. Choć są dni, kiedy nie jestem tego pewny.

Wskazała mu miejsce pod oknem, to samo, gdzie siedział poprzednio.

– Mam znów *minestrone*, zje pan?

Potaknął. A kiedy wróciła z miską, gestem jedynej ręki zaprosił, by usiadła.

– Czy... mógłbym porozmawiać z pani siostrą?

Zaśmiała się gorzko.

– Francesca nie mówi. Doktor twierdzi, że pewnie pozostanie na zawsze niemową. Mieszka teraz u babki, niedaleko.

Tak było od wiosny, kiedy matka zaczęła niedomagać i opieka nad obiema przerosła siły Margherity. No i tam mała siedziała za dnia wśród innych dziewczynek w szkole, może czegokolwiek się dzięki temu nauczy, a było jeszcze coś, o czym starsza siostra bardzo nie chciała myśleć.

Marsjański Gambit

Francesca zachowywała się w domu nonny spokojniej. Potrafiła godzinami stać przed gablotką, a kiedy brała do ręki czerwony kamyk, z jej oczu znikała obojętność i wydawało się, że jest zwykłym dzieckiem, a nie córką człowieka, który zginął kilka lat przed jej urodzeniem. Gdyby tylko nie to, że ciemne linie na powierzchni kamyka mrugały wtedy jak żywe.

– Ktoś z pani rodziny był z Garibaldim? – zapytał tymczasem żołnierz, wpatrzony w gablotę z czerwoną koszulą, a Margherita uświadomiła sobie, że nie zna jego imienia.

– Ojciec. Mój – podkreśliła.

Czemu to dodała? Żeby odgonić ducha? Gość z pewnością by uznał, jeśli w ogóle by się nad tym zastanowił, że Francesca to dziecko z drugiego małżeństwa karczmarki.

Powinnam to zdjąć, oddać babce – pomyślała. *Sprzedać oberżę, zająć się wraz z nonną szkołą*.

– ...pod Solferino.

Domyśliła się, że żołnierz opowiadał jej własne dzieje, a ona nie słuchała, bo we wspomnieniach i marzeniach zawędrowała znów do tamtego dnia, kiedy ojciec odszedł, wymachując dumnie trójkolorową chorągiewką, by dołączyć do ogromnej rzeszy Lombardczyków, którym zachciało się walczyć o włoską sprawę daleko na nieznanym Marghericie, obcym południu. Uświadomiła sobie, że ma o to żal, mimo że w szkole nauczono ją kochać nową ojczyznę i króla.

Miała też żal do matki, że powrót ojca zachowała tylko dla siebie.

– Nie wiedziałem już, kto umarł, kto właśnie kona, a kto przeżyje, widziałem tylko czerwoną krew tryskającą z tego – żołnierz uniósł kikut – a potem obudziłem się w lazarecie, żywy. Panią pewnie dziwi mundur, ale zostałem w armii, w administracji, nie miałem innego pomysłu...

– Dla umarłych nie ma miejsca wśród żywych – wyszeptała Margherita.

Obiecała żołnierzowi, że w niedzielę zabierze go do nonny Silvii i Franceski, a kiedy odjechał, zostawiła oberżę na głowie Gianniego, sama zaś weszła do pokoiku, w którym leżała matka.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – szepnęła, otarłszy pot z jej nieruchomej twarzy i odgoniwszy muchy. – Dlaczego nie pozwoliłaś mi się pożegnać?

Matka milczała, tylko wysilony oddech był znakiem, że jeszcze żyje. W charkocie Margherita dosłyszała echo słów, więc nachyliła się, by pochwycić szept.

– Kamienie z nieba. – Głos matki był słaby, lecz wyraźny. – Mówił o kamieniach z nieba. Pamiętaj.

***

Po raz pierwszy Enzo niemalże wbiegał na kolejne piętra specoli. Był dzień, więc Schiaparellego zastał w gabinecie, przy biurku zawalonym papierami: obliczeniami, rysunkami, wykresami.

Na tę stertę Pertusi rzucił kartę pokrytą gryzmołami Franceski.

– Co to jest? – Mina i ton astronoma świadczyły o tym, że Enzo się nie pomylił, nie uległ złudzeniom czy własnym fantazjom.

– To – odpowiedział – jest rysunek kilkuletniego dziecka. A to – położył na biurku kolejną kartkę – to narysowałem ja. To mi się śni, od kiedy spojrzałem przez ten przeklęty teleskop. I jestem pewny...

Zamilkł, gdyż Schiaparelli przerwał mu ruchem ręki, po czym rozgarnął papiery na biurku, wydobył jeden szkic i bez słowa podsunął go Pertusiemu.

– Ja to widzę od pół roku co noc, kapitanie – powiedział po chwili milczenia udręczonym głosem. – Bynajmniej nie w snach.

Ciemna, krwista czerwień pokrywała dolną część rysunku, powyżej zaś rozstępowała się, opływała jaśniejsze, regularne, prawie okrągłe plamy.

– Co to jest? – Tym razem pytanie zadał Enzo.

– Sam bym chciał wiedzieć – odparł astronom. – Niech pan siada. Niech mi pan najpierw opowie o tym dziecku.

Pertusi opowiedział więc o pierwszej wizycie w oberży pod Lodi i o wczorajszym spotkaniu z Silvią Corti i niemą Franceską. O ojcu, który zginął podczas wyprawy tysiąca, o czerwonej koszuli i czerwonym *beretto* trzymanych jako relikwie przez rodzinę. I o tym, że Margherita zapytała go, czy wie, czym są kamienie z nieba, o których wspomniała umierająca matka.

– Dlatego do pana przyszedłem – zakończył. – Pan wie, prawda?

Uczony pokiwał głową.

– Wiem o nich całkiem dużo, fascynowały mnie od dziecka. – Uśmiechnął się, zapewne do wspomnień. – Chciałem wiedzieć, czym są spadające gwiazdy, lecz ojciec, który znał wszystkie konstelacje na niebie, choć był tylko prostym rzemieślnikiem, powiedział, że to wie jedynie Stwórca. Domyśla się pan, że to tylko podsyciło moje pragnienie wiedzy?

Przez chwilę wodził palcem po własnym szkicu, potem położył go obok rysunku Franceski. Kształty były prawie identyczne.

– Piętnaście lat temu wykradłem Stwórcy sekret – astronom podjął opowieść z krzywym uśmiechem – więc mogę powiedzieć, że dzięki kamieniom z nieba jestem tutaj, choć nadal nie znam wszystkich ich tajemnic. A pół roku temu zmieniłem kierunek badań... Wie pan, w tym roku Mars jest wyjątkowo blisko Ziemi, mamy wielką opozycję... Ale miałem mówić o meteorytach...

Pertusi niewiele zrozumiał z dalszego wywodu poza tym, że kamienie z nieba rzeczywiście przylatują spoza Ziemi, z kosmosu. W pewnym momencie coś zwróciło jego uwagę.

– Marsala – powtórzył, przerywając wykład. – Pan wymienił tę nazwę, prawda?

– Owszem – odparł Schiaparelli – to jedno z miejsc, gdzie prawie pół wieku temu spadło z nieba mnóstwo kamieni. To dość tajemnicza sprawa, bo ich skład nie pozwala określić pochodzenia... Pan się dobrze czuje?

Przed oczami Enza przesuwały się jaśniejsze i ciemniejsze czerwone plamy. Uczony chwycił stojący na biurku dzwonek i chwilę później służący przyniósł szklanki z lemoniadą.

– Przepraszam, że pana zanudziłem naukowymi szczegółami – zaczął astronom – a pan pytał o Marsalę. Dlaczego akurat o to miasto?

– Bo tam zginął ojciec Franceski.

Zorientował się, że pomylił imiona. Schiaparelli też to chyba zauważył, chociaż nic nie powiedział.

***

– Studiować się wam zachciewa, Schneider?

Trzy dni wcześniej ulubiony szpicel Horna, niepozorny chłopak pochodzący z pobliskiego Dortmundu, wskazał w raporcie kilku potencjalnych wichrzycieli, głównie Bawarczyków („zawsze z nimi kłopoty" – mruknął Horn).

Zagadnięty o to, jak się sprawuje Schneider, na którego zwrócił uwagę sam pan Krupp, Hans Bauer wzruszył ramionami.

„Cichy, spokojny, bardzo uważny" – powiedział. I dodał tylko, że nie o Innsbrucku, ale raczej o Bozen gadał, jakby urodził się czy mieszkał po drugiej stronie Alp.

No i zamiast do znajdującej się na terenie fabryki birsztuby Schneider chodził do biblioteki, przeznaczonej głównie dla inżynierów. Teraz Horn przydybał go siedzącego z książką na ławce w gasnącym wieczornym świetle. Nisko nad horyzontem płonęły czerwone światła: ognie fabryki, przyćmiewające gwiazdy na niebie.

Horn pomyślał o wielkim projekcie, o którym robotnicy rozchodzący się teraz do baraków na noc, nie mieli pojęcia. Właśnie dlatego ludzie pokroju Schneidera go niepokoili: mrówki nie powinny znać planów królowej.

– Zawsze byłem ciekawy świata – odparł robotnik, zamykając książkę.

– Dużo podróżowaliście? – zapytał Horn z nieudawanym przekąsem.

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

– Tyle co na wojnę i tutaj. – Schneider rzucił mu spojrzenie spode łba.

– A ja słyszałem, że i Südtirol wam nieobcy. Kim wy naprawdę jesteście, Schneider?

Zapadło milczenie, z daleka dochodziły głosy pracowników nocnej zmiany. Horn wciągnął powietrze głęboko do płuc; w przeciwieństwie do Berthy Krupp kochał Essen, zapachy fabryki i żar pieców. Czytał w nich wielki zamiar swoich dwóch bogów: Kaisera i fabrykanta, lękał się więc zepsutych trybików w maszynie, zwłaszcza ludzkich trybików.

Schneider tymczasem rozejrzał się wokół, a kiedy upewnił się, że są sami, nachylił się ku Hornowi i wyszeptał konfidencjonalnie:

– Chciałbym porozmawiać na osobności z *Herr* Kruppem.

W pierwszej chwili *Vorarbeiter* zamierzał wołać strażników i kazać im aresztować Schneidera, lecz coś go powstrzymało. W oczach tego człowieka nie dostrzegał nuty szaleństwa, którą widywał u anarchistów i innych burzycieli porządku. A gdyby nawet robotnik przemycił pod kapotą pilnik z zakładu, Horn umie się obronić. Na wszelki wypadek wymacał w kieszeni składany nóż.

– Załóżmy, że *Herr* Krupp zechce z wami porozmawiać. Cóż takiego mielibyście mu do powiedzenia?

Tamten sięgnął pod kapotę. Majster przygotował się na kontratak, lecz robotnik wyciągnął jedynie kartkę, na której było coś nagryzmolone. Horn przyjrzał się bliżej i w pierwszej chwili myślał, że pracownik wykradł któryś z tajnych planów. Potem jednak dostrzegł, że rysunek wygląda na amatorski, choć odrysowany niewątpliwie z technicznego, a opis jest po włosku.

Serce zabiło mu mocniej. Włosi stanowili wielką niewiadomą. Kaiser miał wobec nich plany, ale szczwany lis Wiktor Emanuel nie będzie chciał sojuszu z Austrią... Chyba że byłoby czym go zaszachować. Zresztą podobno niedomaga, co za pech, a syn to zupełnie inna sprawa. Horn nadzorował niedawno wysyłkę wspaniałego zestawu myśliwskiego, któremu towarzyszyły mechaniczne zabawki, cud techniki, prezent od Krupp Stahlwerk...

– Myślę, że *Herr* Krupp mógłby być zainteresowany tym i podobnymi dokumentami – powiedział flegmatycznie Schneider.

Jakkolwiek Horn miał ochotę porwać papier i biec do Villa Hügel, ostrożność nie pozwalała pokazać entuzjazmu. Pozostawała jeszcze jedna sprawa.

– Załóżmy, że *Herr* Krupp mógłby być zainteresowany takimi papierami. Mnie jednakowoż ciekawi, dlaczego pan je tu przywiózł? Dlaczego pan się u nas zatrudnił?

Spod zmrużonych powiek obserwował bardzo dokładnie twarz rozmówcy. Dostrzegł cień przestrachu, niepewności. Uwadze Horna nie uszło też, że Schneider wytarł spocone dłonie o umazane smarem portki, a potem nerwowym ruchem usiłował zdrapać ze skóry brud.

– Skłamałem w papierach – mruknął. – Pochodzę z Lombardii, z austriackiej rodziny. Kilka lat temu Włosi odebrali nam dom, większość naszych wyjechała, ja z początku nie chciałem. – Skrzywił się i zagryzł wargę.

Zaciskające się i rozluźniające palce, krople potu na czole, wszystko to budowało wiarygodny obraz.

Chyba że to wybitny aktor – pomyślał Horn. Zerknął jeszcze raz na kartkę.

– Skąd to macie?

– Nie skłamałem, że byłem w wojsku. Tyle że nie pod Königgrätz, ale w siedemdziesiątym zdobywałem Rzym. A potem... odebrano mi żołd, wyrzucono z armii, żem Niemiec. Zatrudniłem się przy produkcji urządzeń mechanicznych, montowałem wielki teleskop w Mediolanie – wskazał na kartkę – i tam znalazłem to.

Zemsta za doznane krzywdy to potężna motywacja – uznał Horn.

– Czemuście od razu nie poszli do kogoś wysoko postawionego?

– A kto by mi uwierzył? Jestem nikim, ale podsłuchałem to i owo, więc... Tu miałem nadzieję poznać kogoś, dostać się do ważnych person. Dużo Austriaków się u was zatrudnia.

Horn zdecydował. Raz kozie śmierć.

– Stawicie się jutro rano w biurze dyrektora.

Spojrzał na całkiem już ciemne niebo: nad czerwonymi oknami hal, nad łuną latarni gazowych oświetlających fabryczne miasteczko, widniała wyjątkowo duża czerwona gwiazda. *Vorarbeiter* uśmiechnął się w duchu: jak dobrze pójdzie, bóg wojny zapewni mu szybki awans.

***

– Rzeczywiście taki sam – szepnęła Margherita, kiedy wysiadła z powozu.

Przed sobą miała budynek z czerwonej cegły, zwieńczony kopułą, jak na rysunku Franceski.

Mała nie zareagowała na przyjazd tutaj, patrzyła na specolę obojętnym wzrokiem, co wręcz rozczarowało Margheritę, a kapitana Pertusiego (zapytała go w końcu o imię i nazwisko, a on bardzo zabawnie zawstydził się, że sam się wcześniej nie przedstawił) chyba też.

Francesca zaciskała piąstkę, w której trzymała rodzinną pamiątkę – kamyk przyniesiony przez ojca, kiedy wrócił z Sycylii po siedmiu latach. Kamień z nieba, o którym mówiła matka, jak twierdził kapitan. Margherita nie musiała szukać daleko: czerwony kamyk nonny Silvii był tym, czego kazała szukać umierająca. Nie rozumiała jednak, w jaki sposób miałoby to przybliżyć ją do ojca.

Zgodziła się pokazać kamyk ważnemu uczonemu w Mediolanie, mimo że nie rozumiała po co. Za to rumieniec wypełzający na policzki podpowiedział jej dlaczego. Zgodziła się, bo chciała znów spotkać się z Enzem Pertusim, przejechać się z nim powozem, przejść po mieście.

– Chodźmy już – powiedziała i chwyciła siostrzyczkę za rękę.

Kapitan podał jej ramię; poczuła, że się rumieni, bo nikt wcześniej nie traktował jej jak damy. Przyjęła wsparcie i nawet odważyła się na uśmiech. Odpowiedział tym samym, a jej zrobiło się cieplej na sercu.

We wnętrzu specoli wszystko było dziwne i nowe. Na trzecim piętrze, w drzwiach przestronnego gabinetu, pełnego książek (było ich dużo więcej niż w szkole, więcej nawet niż u doktora Morsellego), powitał ich wysoki brodaty mężczyzna. Zanim Pertusi zdążył się odezwać, a Margherita zareagować, Francesca wyrwała się jej i wbiegła na schody. Astronom przeprosił i znikł na wąskiej klatce prowadzącej jeszcze wyżej.

Margherita zerknęła na Enza, który potaknął. Wspięli się po niewygodnych stopniach, a na samej górze dziewczyna stanęła jak zamurowana. Wielkie pomieszczenie wypełniały metalowe machiny, jakich w życiu nie widziała, a przy ogromnej tubie wymierzonej w otwarty dach, nad którym widać było rozgwieżdżone niebo, siedziała Francesca.

Dziewczynka poruszała ustami, choć nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Kamyk wysunął się jej z dłoni i leżał teraz na podłodze. Margherita podeszła i podniosła go; siostra nie zareagowała.

– Proszę – powiedziała Margherita. – Kapitan Pertusi mówił, że pan chciał to zobaczyć.

Astronom wziął czerwoną grudkę do ręki i przez chwilę przyglądał się jej, pomrukując pod nosem.

– Pani pozwoli, że zatrzymam to na kilka dni?

Marsjański Gambit

Zagryzła wargę.

– To pamiątka rodzinna. Ojciec...

Uświadomiła sobie, że nie może powiedzieć prawdy. Jeśliby to zrobiła, zostanie uznana za szaloną, zamknięta w zakładzie.

– To przywiózł przyjaciel ojca – skłamała szybko i pochwyciła badawcze spojrzenie Enza – razem z innymi pamiątkami.

– Kapitan Pertusi mówił, że pani ojciec zginął pod Marsalą – odparł astronom. – To nie jest kamień z Marsali. To jest... – Obracał grudkę w palcach, sięgnął po lupę i przyjrzał się z bliska. – To mi bardziej przypomina deszcz meteorytów z sześćdziesiątego szóstego.

Margherita zadrżała. Ojciec wrócił rok później. Nie zdążyła jednak nic powiedzieć ani wymyślić kolejnego kłamstwa, bo *professore*, jak mówił o nim Pertusi, gwizdnął i podbiegł do stolika, położył kamyk na jednym z instrumentów i przez dłuższą chwilę przyglądał mu się przez maleńką tubę skierowaną w dół. A potem, nie odrywając oka od przyrządu, zaczął szybkimi ruchami ręki szkicować na czystej kartce.

Kiedy skończył, podszedł do kapitana i pokazał mu rysunek. Enzo pobladł i spojrzał astronomowi prosto w oczy.

***

W czerwonym śnie Enza Pertusiego ciemne pulsujące kształty nabrzmiewały, jakby miały pęknąć. A potem czerwień skurczyła się do rozmiarów kamiennej grudki wielkości piąstki dziecka. Na jej powierzchni układały się ciemne linie, które astronom nazywał *canali*, choć dla Enza były żyłami.

Obudził się z czerwonego snu w przedświtowej godzinie. Czerwona gwiazda, bóg wojny, bladła już na niebie za oknem. W dłoni Enzo czuł chropowaty kształt kamyka, który zostawiła mu Margherita. Czuł w tym geście obietnicę, niczym pierścionek zaręczynowy.

Wiedziony niezrozumiałym impulsem wyszedł przed dom. Na ulicy, między wysokimi kamienicami było ciemno, lecz w jednej z bram mrok miał inną barwę, jakby sycił się blaskiem czerwonej planety. Poświata układała się

w ludzką sylwetkę, Enzo zaś nie miał już wątpliwości, kim musi być cień przyglądający mu się od kilku tygodni z bram i zaułków.

Śmiało ruszył w tamtym kierunku z palcami zaciśniętymi na krwistej grudce, a kiedy stanął przed mężczyzną w czerwonej koszuli i czerwonym *beretto*, wyciągnął przed siebie otwartą dłoń. Kamyk pochwycił poblask gasnącej gwiazdy i pierwszych promieni słońca; złote światło wydobyło ciemniejsze żyłkowanie.

– Co tam się stało? – zapytał Enzo, choć się domyślał.

Szept widmowego człowieka był cichy jak szelest gałęzi na wietrze.

– Umarłem, kula trafiła mnie prosto w serce. Upadłem na ziemię, w której coś żyło. Pochowali mnie w tym właśnie miejscu, czułem, jak krew wsiąka w ziemię. – Francesco Corti mówił cicho, lecz szybko, nerwowo, jakby nie zostało mu wiele czasu. – A potem... potem zobaczyłem gwiazdy, deszcz gwiazd, z których jedna uderzyła mnie w tę samą ranę, w samo serce.

Rozchylił koszulę i Pertusi ujrzał rozerwaną tkankę i tętniące żyły, układające się w zbyt dobrze znany mu wzór. Nie musiał spoglądać na grudkę, która pulsowała żywym ciepłem w jego dłoni, by mieć pewność, że wszędzie: na powierzchni kamyka, w okularze teleskopu, na rysunkach Margherity i na przemienionym, ożywionym sercu Cortiego zobaczy ten sam układ ciemnoczerwonych linii.

– Wróciłem do domu, lecz nie mogłem zostać – szeptał tymczasem cień. – Nie należę do tego świata, choć nie jestem ani żywy, ani umarły. Matka to odgadła, żona nie... Moja rodzina, pan się nimi zajmie, prawda? Pana to też dotknęło, ale pan żyje.

– Mam zatem ojcowską zgodę, by prosić o rękę pańskiej córki?

Signor Corti potaknął.

– A co stanie się z panem?

– Nie wiem – odparł duch czy też nie duch, Enzo nie miał pojęcia, czym właściwie stał się jego przyszły, miał nadzieję, teść. – To mnie przemienia – wskazał na pierś – choć nie wiem w co. Mam wiedzę, której nigdy nie posiadałem. Byłem oberżystą, zresztą wie pan. Nie chodziłem dużo do szkół. A teraz... – Wskazał ręką na niebo. – Wiem o tym wszystko, widziałem światy, o których nie śniło się ludzkiemu oku.

– Odejdzie pan tam? – Enzo wskazał roztapiającego się w blasku świtu Marsa.

– Może. A może kiedyś poprowadzę tam ludzi? Astronom i król przecież o tym myślą, prawda?

Te słowa tak zaskoczyły Pertusiego, że ledwie dosłyszał ostatnie słowa Cortiego, którego postać rozpływała się w złoto-czerwonym świetle.

– Tak, zrobię wszystko, by uczynić ją szczęśliwą – wyszeptał, po czym z dłonią zaciśniętą na pulsującym życiem kamyku ruszył piechotą w kierunku Lodi, gdzie, był tego pewny, Margherita wyczekiwała już jego powrotu.

Zima 1878

Schody Villa Reale w Monzy przykrywał tym razem czarny kir, a lokaj stojący u ich szczytu miał na sobie czarną liberię, jedynie ze śladami zieleni. Giuseppe Sartori otrzepał żałobny frak z niewidocznych pyłków i dał się poprowadzić do znanego już gabinetu.

Nie zdziwił się na widok trzech mężczyzn, z których dwóch świat uważał za zmarłych: jednego od prawie siedemnastu lat, drugiego od dwóch tygodni. Ambasador zapewne przebywał teraz w Rzymie, na uroczystościach pogrzebowych w Panteonie, lecz specjalny attaché miał specjalne zadania.

– Doskonale się pan spisał – odezwał się starszy z rzekomych nieboszczyków, całkowicie żywy hrabia Cavour. – Bismarck połknął haczyk, program marsjański już ruszył.

– To nie ja – odparł Sartori z udaną skromnością – ale *Herr* Schneider.

Zgarbił się lekko, potarł nerwowo ręce. Po kilku miesiącach pracy w fabryce dorobił się odcisków na dłoniach, choć ostatnio, dopuszczany do coraz większej komitywy z inżynierami i nawet samym Alfredem Kruppem, nie zajmował się już przelewaniem surówki ani klepaniem blachy.

– Mój syn podpisze traktat z Niemcami i Austrią, który w odpowiedniej chwili się zerwie – odezwał się król, a właściwie były król. – Pan zostanie naszym człowiekiem u Kruppa. Nie podobają mi się prezenty, które stamtąd przychodzą, zajmie się pan ich rozpracowaniem.

Sartori ukłonił się i potaknął.

– Jeśli wolno o coś zapytać – powiódł wzrokiem po wszystkich zebranych. – Domyślam się, że pan premier – zerknął na Cavoura – wolał usunąć się w cień, żeby dać pozór słabości naszego państwa, podobnie jak teraz Jego Królewska Mość – raz jeszcze pochylił głowę. – Ale co tak naprawdę sprzedałem Niemcom, to wie chyba tylko pan? – zwrócił się do stojącego w cieniu człowieka, którego widział raz w życiu, pół roku temu, w Specola di Brera.

– Kanały marsjańskie – odparł astronom. – Rzekomą mapę planety i nasze równie rzekome plany kolonizacji. Dzięki temu uzyskamy technologię, która pozwoli nam wygrać wyścig na Księżyc.

– Tych kanałów nie ma, jak rozumiem? – zapytał Sartori, a Schiaparelli przytaknął. – Co w takim razie tam jest? Coś przecież widziałem...

Wzdrygnął się na wspomnienie ciemnych linii pulsujących dziwacznym życiem, przecinających powierzchnię planety oglądaną w okularze.

– Lepiej, żeby pan tego nie wiedział – wtrącił się Cavour. – Jeszcze nie. Kto nic nie wie, nie może się przypadkiem wygadać.

Giuseppe Sartori, urodzony w południowym Tyrolu z matki Włoszki jako Joseph Schneider, nie mógł nie przyznać mu racji.

***

Czerwone sny nie przerażały już Enza Pertusiego. Był w nich spokój, mimo że pochodziły od boga wojny.

Margherita płakała, gdy opowiedział o spotkaniu z ojcem, lecz Francesca bez słowa włożyła siostrze do ręki marsjański kamyk i spojrzała na Enza niemal z naganą. Kiedy łamiącym się głosem zapytał, czy dziewczyna zechce zostać jego żoną, a ona otarła łzy i przytaknęła, odniósł wrażenie, że obok nich na mgnienie oka pojawił się cień mężczyzny w czerwonej koszuli i *beretto*.

Po ślubie Pertusi zrezygnował z pracy w intendenturze i został nauczycielem w szkole dla dziewcząt w Lodi, choć podejrzewał, że przeszłość i rząd kiedyś upomną się o niego i o rodzinną pamiątkę.

Póki co wieczorami przesiadywał z żoną przed domem i razem wypatrywali czerwonej gwiazdy na niebie.

– Tam jest ojciec – mówiła Margherita do Franceski, a dziewczynka potakiwała z powagą.

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/28748

Agnieszka Fulińska – buduje alternatywne historyczne światy, w których najchętniej by zamieszkała. Platonicznie zakochana w wielkich wodzach z przeszłości (od Aleksandra Wielkiego i Cezara przez Fryderyka Wielkiego do Napoleona); naukowo zajmuje się historią i kulturą Francji w XVIII i XIX wieku. Jest autorką licznych opowiadań publikowanych w antologiach, a także współautorką młodzieżowej serii powieści fantastycznych *Dzieci dwóch światów* (Galeria Książki), wraz z Aleksandrą Klęczar. Kocha operę, muzea i podróże samochodowe po Europie. Prowadzi blog i facebookowy fanpage *Napoleon inaczej* (https://altronapoleone.home.blog/).

Miłość Schrödingera

Daniel Kordowski

Marta obudziła mnie, bym objął wartę.

Otworzyłem oczy, dostrzegłem jej twarz nachylającą się nade mną i od razu sobie o wszystkim przypomniałem. Na pocałunek zareagowałem zdziwieniem oraz bierną akceptacją, która przerodziła się w podniecenie. Marta wciąż była cholernie piękna, to jedno się nie zmieniło. Kochaliśmy się. Nie, to złe słowo. Pieprzyliśmy się.

Marta zamknęła oczy. Zaufała mi i pozwoliła porwać się chwili. Krajobraz za oknem ponad ramą łóżka zmieniał się za każdym razem, gdy na niego zerkałem, ale wtedy to było nieważne. Wspomnienia uleciały, czas się zapętlił i przez te kilka chwil byliśmy tylko ja i ona.

To zabawne, jeżeli pomyśleć, że trzy dni wcześniej jedynym, czego chcieliśmy, to rozstać się i nie spotkać nigdy więcej.

Jakaś część mnie nadal tego pragnęła – z Martą na pewno było tak samo. Przecież nie pasowaliśmy do siebie. Morze gorzkich słów, które padły z naszych ust, nie wyparowało. Tylko wybór mieliśmy niewielki.

W końcu byliśmy ostatnimi ludźmi na Ziemi.

***

Biegniemy przez wymarłe miasto, raz po raz odwracając się nerwowo za siebie, skąd – z tonącej w ciemności oddali – dobiega nas chrzęst tego, co nas ściga. Nie pomaga fakt, że musimy trzymać się za ręce, ale w takiej sytuacji to jedyny gwarant, że nie zgubimy się na zawsze. Marta jest niewiarygodnie szybka, ledwo za nią nadążam. Przypominam sobie studia, kiedy ona trenowała triathlon, podczas gdy ja ćwiczyłem chlanie na umór i bieg do łazienki.

Docieramy do drzwi pobliskiego budynku. Zamknięte.

***

Od pewnego czasu miewałem ten sam sen.

Po raz pierwszy śniłem go miesiące przed Tamtym Dniem. Przedzierałem się w nim przez tłum tak samo ubranych, podobnych do siebie ludzi, spiesząc się dokądś, próbowałem biec w gąszczu przechodniów, którzy zdawali się w ogóle nie poruszać. Za to wszyscy patrzyli w jednym kierunku – na mnie.

W końcu było ich tylu, że nie mogłem przebić się dalej. Ciała ludzi zbitych w jedną masę zaciskały się wokół mnie niczym kleszcze. Przygniatały. Pozbawiały oddechu.

Potem się budziłem.

Jednak w ostatnich dniach, gdy wyrwany ze snu nagłym przypływem adrenaliny rozglądałem się wokół i wracała do mnie pamięć o tym, że na całym świecie poza mną była tylko ta jedna osoba leżąca obok, wrażenie obręczy zaciskającej się na klatce piersiowej wcale nie ustępowało.

***

Zegarek wskazywał dwunastą, co kompletnie nic nie znaczyło. Słońce chyliło się ku zachodowi, śnieżne zaspy migotały niczym diamenty, a przecież mieliśmy połowę maja. To znaczy: jeszcze trzy dni wcześniej mieliśmy. Pory roku stały się równie pozbawione znaczenia, co godziny.

Marta otworzyła lodówkę, którą wstawiliśmy do sypialni, i odwróciła się do mnie z wyrazem twarzyznanym mi aż za dobrze. Chciała się kłócić.

– Nic nie ma! Przecież były tu jeszcze wczoraj – oznajmiła z wyrzutem, wskazując na puste wnętrze, wcześniej pełne zapasów. – Zasnąłeś, przyznaj się!

– Może to przez drzwiczki. Nie są przezroczyste, więc nie widać, co jest w środku. Jeszcze wiele musimy się nauczyć – powiedziałem ze spokojem. To najbardziej ją drażni. Zwłaszcza, kiedy mogę mieć rację.

Marta zaczęła rozglądać się po pokoju zagraconym do granic możliwości. Zebraliśmy tu wszystko, co niezbędne, tak jak zaleca komunikat. Wiedziałem, co robiła. Szukała różnic. Kiedy byłem dzieckiem, rozwiązywanie takich łamigłówek było sposobem na nudę. Od kilku dni było o wiele bardziej istotne.

W końcu znalazła. Dostrzegła to, co chciała. Wskazała stojące na komodzie zdjęcie z wakacji. Byliśmy na nim razem na tle Alp. Tyle że nigdy tam nie pojechaliśmy – góry nie są dla mnie.

– Nie zasnąłeś, co? – Wykrzywiła usta z niesmakiem.

No i co mogłem na to odpowiedzieć?

– Musimy znaleźć coś do jedzenia. – Wstałem z łóżka, rozglądając się za spodniami. Nie było ich tam, gdzie je zostawiłem.

Cmoknąłem z poirytowania. Jak to się wszystko pochrzaniło! I najgorsze, że tym razem to była moja wina. Zresztą, cokolwiek się działo, to zawsze była moja wina.

– Idź sam – rzuciła Marta, choć wiedziała, że to mrzonki.

Gdybym tak zrobił... Nie będę ukrywał, kusiła mnie czasem ta myśl.

Marta odwróciła się plecami, by udawać, że zainteresowała ją zawartość szuflady na bieliznę. Jeszcze wczoraj wrzuciliśmy tam kilka garści baterii, tak na wypadek, gdyby nagle zabrakło prądu.

Wtedy zostanie nam chociaż radio.

Patrzyłem na jej spięty kark, który kilka godzin wcześniej obsypywałem pocałunkami. W tym momencie wydawał się należeć do całkiem obcej osoby. Ze mną było tak samo. Zupełnie jakbym przez chwilę nieuwagi zmienił się w kogoś innego.

Najgorsze, że nie mogłem tego wykluczyć. W końcu tak się działo ze wszystkim, co nas otaczało. Chociaż właściwie tak było zawsze, nie tylko od tych trzech piekielnych dni.

Radiowy szum przerodził się w dźwięk komunikatu, powtarzanego dzień w dzień co trzy godziny. Cokolwiek by się nie działo – on jeden się nie zmieniał. Ostatnia cząstka zbawiennej, przewidywalnej rutyny, jaka nam pozostała.

Dzięki niemu Marta wierzyła, że ktoś nas kiedyś znajdzie, a wtedy wszystko znów wróci do normy. Ja straciłem resztki złudzeń. I to już dawno temu.

***

Z tymi ostatnimi ludźmi na Ziemi to nie takie proste, jak mogłoby się wydawać.

Nie było żadnej katastrofy, globalnego kataklizmu, wojny, epidemii. Koniec świata przyszedł nagle i – jeżeli wierzyć treści komunikatu – dla każdego z osobna.

Dla mnie i Marty był to zwykły, niedzielny poranek, jeden z wielu cichych dni. Walizka przyniesiona z piwnicy już czekała w szafie, żebym ją spakował. Siedzieliśmy przy kawie. Trochę razem, a trochę osobno, posyłając sobie nawzajem ukradkowe spojrzenia. To nas uratowało. To znaczy: pozwoliło zostać razem.

Chcąc zagłuszyć ciszę, włączyłem radio. Wtedy po raz pierwszy usłyszeliśmy komunikat.

– Co za bzdury – westchnąłem, zmieniając częstotliwość.

Jednak bez względu na to, jaką wybrałem, słyszeliśmy to samo nagranie, klarowne i niezmącone najmniejszym szumem.

– To jakiś żart? – powiedziałem do siebie i wyjrzałem za okno.

Rozbite, porzucone samochody zalegały na ulicy. Nikt nie spacerował po chodnikach. Nie słychać było szczekania wyprowadzanych psów ani świergotu ptaków.

– Co się dzieje? – zapytała Marta, dołączając do mnie.

Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do matki. Odpowiedziała jej automatyczna sekretarka.

Dziesięć minut później siedzieliśmy obok siebie i nerwowo wybieraliśmy każdy zapisany numer w naszych skrzynkach kontaktowych. Żaden nie odpowiedział.

– Zobaczę, co u sąsiadów – sapnąłem, idąc ku drzwiom.

Nim przekręciłem zamek, dopadła mojego ramienia i ścisnęła je kurczowo.

To nie tak, że uwierzyła w szaloną treść radiowego komunikatu, który atakował nas na każdej stacji, ale po prostu wolała dmuchać na zimne. Nic dziwnego, zawsze była ode mnie mądrzejsza.

Sprawdziliśmy wszystkie drzwi na naszym piętrze, potem w całej klatce, na koniec w całym budynku.

Nie było nikogo prócz nas.

***

Od kolejnych drzwi, dających nadzieję ocalenia, dzieli nas jakieś dwadzieścia metrów. Najdłuższe dwadzieścia metrów, jakie widziałem. Odgłosy zbliżającego się zagrożenia przybierają na sile, jakby o asfalt uderzał piaskowy deszcz. Rzucamy się do biegu, ale gubimy tempo. Marta upada, ciągnie mnie w dół, ale udaje mi się utrzymać na nogach.

Przez ułamek sekundy, ledwie mgnienie w skołowanym umyśle, zastanawiam się, czy nie puścić jej dłoni i nie pobiec samemu. Zaraz potem przychodzi poczucie winy, jakaż to potworna myśl zrodziła się w mojej głowie.

Pomagam jej wstać i ruszamy dalej. Coś za nami jest coraz bliżej i nabiera rozpędu.

***

Płynące z głośników słowa przypominają nam, że kłótnia nie ma sensu. W zasadzie nic już nie ma sensu, ale tę myśl zostawiam dla siebie. Na razie ciągnę to dalej, nie zabraknie czasu, żeby się poddać.

Widzę poruszające się bezgłośnie wargi Marty. Traktuje komunikat jak mantrę, jak modlitwę nowej religii. Sam mam te słowa wyryte w pamięci.

Uwaga, tu Ostoja! Jeśli słyszysz tę wiadomość, skup uwagę na osobie najbliżej ciebie. Patrz na nią, złap ją za rękę. Nie pozostał nikt prócz was. Może jesteście we dwoje, może jest was kilkoro. Nikogo innego nie spotkacie do czasu, aż was znajdziemy.

Po pierwsze: kontakt wzrokowy lub fizyczny jest konieczny, byście zostali razem – a twój partner lub partnerka to klucz do twojego ocalenia. Jeśli się rozdzielicie, na zawsze zostaniecie sami.

Po drugie: musicie przetrwać, jak najmniej oddalając się od miejsca, w którym jesteście. Znajdźcie bezpieczne schronienie. Zbierzcie zapasy. Umieśćcie wszystkie niezbędne wam przedmioty na widoku, w tym samym pomieszczeniu, gdzie będziecie przebywać. Możliwie często sprawdzajcie, czy są na miejscu.

Po trzecie: kiedy jedno z was śpi, drugie musi trzymać wartę. Świat wokół was będzie się zmieniał – tym bardziej, im dłuższe będą przerwy w waszej obserwacji. Skupcie się na miejscu, w którym jesteście. Niech pozostanie możliwie najmniej zmienione. Dzięki temu was znajdziemy.

Powtarzam: tylko kontakt fizyczny lub wzrokowy gwarantuje wam, że nie zostaniecie sami i nie zgubicie się bez możliwości odnalezienia.

Tu mówiła Ostoja! Azyl dla ludzkości rozproszonej w bezliku światów. Oczekujcie nas. Przetrwajcie. Gdy was znajdziemy, dowiecie się wszystkiego. Oddział Ratunkowy jest w drodze. Powtarzam, Oddział RAT w drodze. Oddział RAT w drodze.

Nic mnie tak w życiu nie irytuje, jak niedopowiedzenia. Dlatego za każdym razem, gdy komunikat dobiega końca, mam chęć rzucić radiem o ścianę.

***

Trzymając się za ręce, przemierzaliśmy puste ulice miasta, szukając sklepu, który warto splądrować. To nie takie proste, kiedy okolica zmieniła się do tego stopnia, że nawet napisy na szyldach są wypisane w języku, który kompletnie niczego nie przypomina.

W miejscu wielobranżowego dyskontu natrafiliśmy na sklep z bronią. Rozbiłem szybę gablotki, wyjąłem strzelbę i zacząłem rozglądać się za nabojami.

– Ty w ogóle umiesz strzelać? – zapytała Marta z niedowierzaniem. Dobrze wiedziałem, co chciała przez to powiedzieć. „Czy ty w ogóle coś potrafisz?", tak naprawdę brzmiało to pytanie.

– Umiem wiele rzeczy – odpowiedziałem, chociaż ostatni raz trzymałem broń w rękach na farmie wuja Franka, kiedy miałem trzynaście lat.

– Co w ogóle chciałbyś z tym zrobić? Jesteśmy sami, nawet zwierzęta zniknęły.

To prawda, a przynajmniej jak dotąd napotkaliśmy tylko chmary owadów i stada dzikich szczurów. Jeśli było tak, jak mówił komunikat, i to nie wszystko wokół się zmieniało, tylko my poruszaliśmy się w jakimś strumieniu rzeczywistości, to bez wątpienia we wszystkich z tych światów szczury obejmą panowanie.

– Na wszelki wypadek – odpowiedziałem, bo co miałem powiedzieć?

Nigdy jej nie wspomniałem o fantomowych ludziach.

***

Zauważyłem ich pierwszego dnia, niedługo po tym, jak wróciliśmy do mieszkania. Marta była roztrzęsiona, słaniała się na nogach. Ja czułem się jak w niepokojącym śnie, z którego nie potrafiłem się obudzić.

Obydwoje nie chcieliśmy myśleć o tym, że już więcej nie zobaczymy swoich bliskich. Wtedy było to dla nas równoznaczne z ich śmiercią. Dopiero wysłuchawszy ponownie komunikatu, tym razem skrupulatnie obracając w myślach każde słowo, udało nam się ze strzępków informacji ułożyć obraz tego, co się stało.

– Czytałem niedawno o testach nowego akceleratora cząstek. Chyba gdzieś w Chinach – powiedziałem, gdy próbowaliśmy się pozbierać. – Chcieli badać superpozycję kwantową. Może to ma związek z... – Przerwałem, bo właśnie dostrzegłem coś za oknem.

Na dachu przeciwległego budynku stał ubrany na czarno mężczyzna. Wyprężony na baczność, trwał twarzą zwrócony ku naszemu oknu.

– Widzisz go? – zapytałem, ale gdy tylko mrugnąłem, tamten zniknął.

Marta nie zdążyła spojrzeć. Trzymała papierosa w drżącej dłoni i próbowała się zaciągnąć.

– Zauważyłeś kogoś? – zapytała z kiepsko skrywaną nadzieją.

– Nie – odparłem po chwili namysłu. – Przywidziało mi się.

Tego dnia widziałem mężczyznę w czerni jeszcze kilkukrotnie, ale zawsze wtedy, gdy Marta nie patrzyła. Za każdym razem, tak mi się wydaje, był o krok bliżej krawędzi dachu.

Następnego dnia też go widziałem, ale tym razem nie był sam. Dołączyły do niego trzy niemal identyczne zjawy, a budynek, na którym stały, zbliżył się nieco do naszego, więc cała czwórka miała gdzie kontynuować swój ślimaczy marsz, przypominający połączenie zabawy w chowanego z grą w ciuciubabkę.

Tamtej nocy – to znaczy w czasie, który uważaliśmy za noc – gdy daliśmy się opanować pożądaniu, przyglądało nam się już dwunastu fantomowych ludzi. Byli tak blisko, że rozróżniałem ich twarze.

Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że gdzieś już ich kiedyś widziałem.

Możliwe, że po prostu zaczynałem wariować.

***

To jakiś koszmar.

Nogi mam odrętwiałe, po części ze zmęczenia, po części ze strachu. Marta próbuje wykrzesać z siebie resztki sił, następne drzwi są niedaleko. Nie łudzę się jednak, że będą otwarte. Próbujemy biec, choć coraz częściej się odwracamy, nie patrzymy przed siebie.

Już bez trudu rozpoznajemy to, co nas ściga. Jest tak blisko, że nawet w nikłym świetle gwiazd, których akurat nie przysłaniają chmury, możemy to dostrzec.

Naciskam trzecią już klamkę. Drzwi nie ustępują.

A miało być inaczej. Miało być zupełnie inaczej...

***

Sklep znaleźliśmy za rogiem, przedarłszy się przez śnieżne zaspy. Spakowaliśmy do toreb całą gotową żywność, jaką udało nam się znaleźć. Nie zebraliśmy tego zbyt wiele, jakby ktoś już tu był przed nami. To wcale nie byłoby takie złe – spotkać innych ludzi.

Nim wyszliśmy, przystanąłem przed półką z czasopismami anglojęzycznymi i grzebałem chwilę w magazynach popularnonaukowych, ignorując westchnienie Marty, która wzmogła uścisk na mojej dłoni.

– Patrz, tutaj – wskazałem wyciągnięty egzemplarz „Physics Today". – Na pierwszej stronie. „Chiński akcelerator cząstek zbada granice kwantowego splątania".

Marta rzuciła okiem i wydała z siebie mruknięcie, niczym kot.

– Myślisz, że to przez nich? – zapytała, szczerze mnie zaskakując. Nie sądziłem, że będzie zainteresowana. Po prostu chciałem jej to pokazać.

– Nie wiem – odpowiedziałem z wahaniem. – Ale mechanika kwantowa opisuje cząstki, które znajdują się w wielu miejscach czy stanach jednocześnie, tak jakby było na raz kilka rzeczywistości. Dopiero kiedy poddamy je obserwacji, przyjmują określone wartości. Czy nie to samo dzieje się teraz... ze wszystkim?

– Jak w tym eksperymencie z kotem – podjęła temat.

W jednej chwili przypomniałem sobie dziewczynę, w której się zakochałem, i nasze rozmowy o czymkolwiek ciągnięte do bladego świtu.

– Tak, dokładnie! – potwierdziłem. – Tylko ten kot może być żywy, martwy albo w milionie innych stanów pomiędzy.

Marta posmutniała. Dostrzegłem to w jej oczach, zawsze wtedy wydają się przygaszone.

– Myślisz, że nas odnajdą?

– To pewnie kwestia czasu – powiedziałem to, co chciała usłyszeć. – Chodźmy już.

Kiedy opuściliśmy sklep, na zewnątrz trwała wiosna, więc zdjęliśmy kurtki i przewiązaliśmy je w pasie. Ruszyliśmy pod rękę i miałem wrażenie, że nie tylko z przymusu, że tak właśnie byśmy szli, gdyby świat się nie rozpadł, tylko nie dźwigalibyśmy wtedy wyładowanych po brzegi toreb. Żałowałem jedynie, że nie szukałem dokładniej nabojów i nie zabrałem tamtej strzelby.

Skręciliśmy za róg, gdzie już prosta droga prowadziła do naszego nowo wybudowanego osiedla – wtedy chwila beztroski pękła jak mydlana bańka.

W miejscu naszego bloku rósł las.

– Wiedziałam! Wiedziałam, że tak będzie! – wykrzyknęła Marta, wyrywając dłoń. – Mogliśmy zrobić coś innego. Przeszukać inne mieszkania. Wyprawa do sklepu to był idiotyzm!

„Dlaczego wcześniej nic innego nie zaproponowałaś?" cisnęło mi się na usta, ale wiedziałem, dokąd ta dyskusja zaprowadzi i nie miałem ochoty na kłótnię. Wręcz przeciwnie, czułem się w pewnym sensie wyzwolony.

– I dobrze. Dosyć mam tej bezczynności! Znajdźmy samochód i pojedźmy gdzieś. Nad morze. Albo do Paryża. Zróbmy coś zamiast siedzieć i czekać, aż do reszty zwariujemy.

– Co ty wygadujesz?! – obruszyła się. – Komunikat...

– Chrzanić komunikat! Nieznani ludzie katują nas nim co kilka godzin, już mi się od tego rzygać chce. Przez to siedzimy w strachu przed zamknięciem oczu. Podczas gdy... – Puściłem torbę, a ta uderzyła o asfalt z łoskotem; miałem tam kilka słoików. Chwyciłem oburącz dłoń Marty. – To może być

dla nas szansa! Zobacz, możemy pojechać gdziekolwiek! Spać, gdzie chcemy, robić, co chcemy! Za niczym nie musimy gonić. Pamiętasz, jak szaleńczo byliśmy kiedyś zakochani? Jakby cały świat nie istniał! To jak, pojedziesz ze mną? Nie musisz się spieszyć z decyzją, mamy mnóstwo czasu.

Marta milczała. Zastanawiała się. Jej źrenice tańczyły, to patrząc na mnie, to przeskakując między kącikami oczu. W końcu uśmiechnęła się delikatnie i wypowiedziała jedno słowo:

– Paryż.

***

Minęło kilka godzin, trzeci dzień dobiegł końca, nawet słońce postanowiło dopasować się do zgubionego rytmu i znikało za horyzontem. Jechaliśmy w milczeniu znalezionym na ulicy SUV-em.

Jego właściciel najwyraźniej musiał zniknąć akurat w momencie, kiedy włożył kluczyk do stacyjki – pomyślałem.

Potem jednak uświadomiłem sobie, że ten konkretny SUV był tylko reprezentacją jakiegoś innego samochodu, zaobserwowanego przeze mnie w niewiadomej chwili przed Wielkim Oddzieleniem – jak zacząłem nazywać Tamten Dzień – i równie dobrze mógł nie istnieć nigdy wcześniej, a więc nie było możliwości, by ktoś go porzucił.

Skąd w takim razie jego obecność? Skąd bierze się cokolwiek?

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym mniej znajdowałem odpowiedzi, a więcej pytań. Rzeczywistość zaczęła przypominać mechanikę kwantową, a jak powiedział jeden z mózgowców, którzy zjedli na niej zęby: mechaniki kwantowej tak naprawdę nikt nie rozumie.

Skręciliśmy w kierunku miasta, gdy słońce zniknęło, ustępując miejsca nocy. Zmierzch okrył budynki półprzeźroczystą, granatową chustą. Tak, rozmyśliliśmy się. To znaczy Marta się rozmyśliła, słysząc w radiu komunikat. Milczeliśmy. Jej dłoń spoczywała na moim udzie, ale między nami ziała przepaść.

Po dziewczynie, w której się zakochałem, nie było śladu.

Jakby to ująć w słowach pasujących do sytuacji? Nasze stany kwantowe przyjęły przeciwstawne wartości.

***

Marta krzyczy, nawet nie próbuje uciekać. Ja stoję w bezruchu, wpatrzony w makabryczną plątaninę, jeszcze większą niż poprzednio.

– Zamknij oczy! – wołam w ostatnim, desperackim zrywie, z nadzieją, że gdy ponownie je otworzymy, monstrum już nie będzie.

Jakby nasze zmysły i myśli miały jakąkolwiek władzę nad tym, co nas spotyka...

***

Zgasiłem silnik na skraju lasu, jak najbliżej miejsca, w którym ostatniego ranka była nasza klatka schodowa. Marta spała na tylnym siedzeniu, ściskając jedną z toreb wyładowanych prowiantem. Drugą trzymała w nogach. Kontakt fizyczny to forma zabezpieczenia – jedyna, jaką mieliśmy. Pozostawała też nadzieja, że zawartość nie zmieni się w masę rupieci.

Patrzyłem na Martę w lusterku wstecznym. Wystarczyłby niewielki ruch, bym stracił ją z oczu. Zastanawiałem się, jak długi czas musi upłynąć od obserwacji, aby ta zdążyła się zdezaktualizować. Dziwne, że jeszcze tego nie sprawdziliśmy.

Zmieniłem pozycję na skrajnie niewygodną i oparty plecami o kierownicę patrzyłem bezpośrednio na – chcąc, nie chcąc – miłość mojego życia. O ile tak można było nazwać łączące nas uczucie. Nasza więź przypominała kota Schrödingera: żywa lub martwa, zależnie kiedy otworzyć pudełko.

Minęła godzina, potem następna. Las szumiał jednostajnie. Żeby nie zasnąć musiałem czymś zająć umysł, więc sięgnąłem po omacku do schowka i wyciągnąłem z niego pierwszą rzecz, która nawinęła się pod rękę. Mapa. Świetnie. Bezwartościowy przedmiot, którego mogłem użyć. Położyłem go na siedzeniu pasażera, odliczyłem do pięciu i sprawdziłem, czy jest na miejscu. Potem odczekałem dziesięć sekund. Potem trzydzieści. Potem... usłyszałem coś.

W ostatniej chwili opanowałem instynktowną potrzebę odwrócenia się.

– Marta! – zawołałem. – Obudź się.

Wyciągnąłem rękę i potrząsnąłem jej ramieniem.

– Musisz wstać – powtarzałem niecierpliwie, kiedy rozchylała sklejone snem powieki. – Coś tam jest. W lesie.

Te kilka słów wystarczyło, by wróciła do przytomności.

Przecisnęła się do przodu, na siedzenie pasażera, ale nie odpaliłem jeszcze silnika. Siedzieliśmy w milczeniu, zapatrzeni w ciemność gęstwiny. Moja dłoń, zamknięta między obiciem drążka a ręką Marty, pociła się nieprzyjemnie. Miałem ochotę ją wyciągnąć.

Liście poruszyły się. Najpierw nieznacznie, gdzieś w głębi, ale to, co powodowało ich ruch, zbliżało się i podążało prosto na nas. Fantomowi ludzie, przebiegło mi przez myśl, ale to nie mogli być oni. Nigdy nie widziałem, żeby wprawiali w ruch otoczenie.

Pod wpływem impulsu zerknąłem w lusterko i ujrzałem ich, stojących ledwie kilkanaście metrów za samochodem. Nigdy nie byli tak blisko.

– Cholera! – krzyknąłem.

– Co robisz? – szepnęła Marta z naganą, gdy wrzuciłem wsteczny i ruszyłem, wciąż patrząc w lusterko.

Przekonamy się, czy jesteście prawdziwi – powiedziałem do siebie w myślach, kiedy coś wypełzło z lasu i pojawiło się tuż przed maską auta.

– Chryste! Co to?! – wrzasnęła Marta, wbijając paznokcie w moją dłoń.

W kierunku SUV-a podążał ogromny robak, niewiele mniejszy od samochodu. Nie, to nie była pojedyncza istota. To całe mrowie wijów, wieloszczetów i pijawek splecionych ze sobą, jakby stanowiły jeden organizm. Niemożliwe, by to mogło się poruszać – a jednak pędziło w kierunku naszego auta.

Dodałem gazu, wykręciłem na wstecznym i poprowadziłem auto jak najdalej od robaka. Marta zacisnęła rękę na moim udzie, by nie rozdzieliło nas w trakcie jazdy, gdyby straciła mnie z oczu.

– Co to było? Chryste, co to było? – powtarzała raz po raz, z trudem łapiąc oddech.

Pędziliśmy przez miasto, a robaczy stwór, choć zadziwiająco szybki, został w tyle. O fantomowych ludziach przypomniałem sobie dopiero za zakrętem. Zniknęli, jak zawsze.

***

Minęło pół godziny, nim się zatrzymaliśmy. Marta była blada, jakby sama śmierć wyszła jej na powitanie. Nie mogłem rozluźnić dłoni zaciśniętej na kierownicy. Oboje oddychaliśmy jak po półmaratonie i patrzyliśmy sobie w oczy. Skurcz powoli mijał.

– Co to było? – zapytała Marta po raz setny, jakbym miał gdzieś magiczną księgę z odpowiedziami na wszystkie pytania. – Nie goni już nas? Co teraz zrobimy?

Patrzyłem na nią tępo, nie wiedząc, co mam powiedzieć.

– Miałaś rację, nie powinniśmy się ruszać z bloku. To moja wina, zasnąłem, spieprzyłem sprawę i teraz goni nas jakieś cholerstwo. Nasz związek też ja spieprzyłem...

– Przestań – uciszyła mnie, ale ton nie współgrał ze słowami. Chciała, żebym kontynuował. To była chwila jej triumfu.

– To prawda. Gdyby nie ten pokręcony koniec świata, nie bylibyśmy już razem. I to też byłaby moja wina – ciągnąłem.

Marta nachyliła się i pocałowała mnie. Odwzajemniłem pocałunek. Rozgarnąłem jej włosy, objąłem kark. Kocham ją. Tak, w tamtej chwili byłem tego pewien.

Nagle ziemia zaczęła drżeć i usłyszeliśmy stłumiony trzask.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na drogę. Przez ulicę, dokładnie pod naszym SUV-em, biegło pęknięcie. Rozszerzało się z sekundy na sekundę, tworząc istną przepaść.

– Wysiadaj! – krzyknąłem.

Marta otworzyła drzwi. Niemal wypchnąłem ją na zewnątrz i zaraz sam wyskoczyłem z auta, tym samym wyjściem. Po chwili samochód spadł na dno przepaści, która nabrała trzech metrów szerokości, aż w końcu przestała się powiększać.Patrząc w głębię, która pochłonęła auto, objąłem Martę ramieniem.

– Zdążyłabym! – rzuciła, wyrywając się, padła na kolana i zaczęła szlochać.

– Musimy się schować – powiedziałem. – Tamto może wrócić.

Daniel Kordowski

– Daj mi spokój! Mam już to wszystko w dupie! – wrzasnęła, zalewając się łzami. – To jest jakieś piekło!

– Musimy iść – ponagliłem ją.

Powinienem dać jej czas, jednak pozostawaliśmy na widoku. Gdyby tylko tamto coś pojawiło się za rogiem... Miałem wrażenie, że byliśmy obserwowani, ale nie mogłem się rozejrzeć. Musiałem mieć Martę w polu widzenia. Dostałem gęsiej skórki, a przez kręgosłup przemknął dreszcz.

Wbrew pozorom, panowanie nad wzrokiem wymaga sporej samokontroli.

– Możesz mnie zostawić – dopowiedziała Marta, ocierając twarz. – Chciałeś to zrobić, więc nie krępuj się.

I w tamtej chwili już sam nie wiedziałem, co powinienem czuć.

Usiadłem obok, przysunąłem się dyskretnie i objąłem ją. Położyła głowę na moim ramieniu i siedzieliśmy tak nad krawędzią przepaści, która pochłonęła nasze kolejne schronienie wraz ze wszystkim, co znaleźliśmy.

Coś załaskotało mnie w kostkę. Zerknąłem – maszerowała po niej stonoga. Niedaleko znalazłem drugą, która zbliżała się do Marty. Dalej następną i kolejną. Wypełzały z przepaści.

– Idziemy stąd, szybko! – Poderwałem się, a Marta wraz ze mną.

Robaków było coraz więcej, kłębiły nam się u stóp. Strząsaliśmy je i rozdeptywaliśmy w biegu, starając się nie patrzeć za siebie, gdzie z maleńkich podłużnych ciał zaczęła formować się jedna masa, którą widzieliśmy wcześniej.

Skierowaliśmy się do najbliższego budynku, jednak nie mogłem pozbyć się przeświadczenia, że drzwi będą zamknięte.

***

Marta krzyczy, nawet nie próbuje uciekać. Ja stoję w bezruchu, wpatrzony w plątaninę chitynowych ciał, jeszcze większą niż poprzednio. Owalna paszcza rozwiera się kilkanaście metrów od nas, ale potwór nie zwalnia – chce nas stratować, zalać falą odnóży i segmentowych ciał.

– Zamknij oczy! – wołam w ostatnim, desperackim zrywie, z nadzieją, że gdy ponownie je otworzymy, stwora już nie będzie.

Atak nie nadchodzi. Zamiast tego słyszę szum i serię trzasków, a chwilę potem czuję ciepło na policzku.

Unoszę powieki i pierwsze, co widzę, to ogień. Robacze ciała skwierczą, padając na zimny asfalt. Oddziela mnie od nich sylwetka kogoś jakby astronauty w skafandrze. Rura wychodząca z butli na jego plecach zmienia się w lufę miotacza ognia.

Zerkam na Martę. Nie krzyczy. Nic nie mówi. Nawet się nie rusza, tylko obserwuje człowieka znikąd, który pojawił się, by ocalić nam życie.

W powietrzu unosi się smród stopionej chityny. Robaki skwierczą w ogniu lub pękają od ciepła. Stoimy z Martą jak zahipnotyzowani, patrząc na spalające się bezkręgowce. Minęło może pół minuty i jest po wszystkim. Stwór – czymkolwiek był – zmienił się w popiół lub, skwiercząc i płonąc, rozpełzł się po zakamarkach i szczelinach w poszukiwaniu ratunku, zaś przybysz odwraca się ku nam. Płomyk pełga u wylotu lufy miotacza, a ta wycelowana jest w nas.

Wgapiamy się w niego, a nasze oczy pewnie nie wyrażają nic, poza bezdenną pustką w naszych głowach, która przegnała wszelkie myśli dające się ubrać w słowa.

– Nie dotarł do was przekaz?! – woła astronauta dziwnie piskliwym głosem. – Mieliście zostać w jednym miejscu i nie dopuszczać do zmian! Właśnie widzieliście, dlaczego.

– Prze... przepraszamy – odpowiada zbita z tropu Marta.

– Jak to? – Tyle wychodzi z plątaniny pytań, które krążą mi po głowie. – Kim jesteś? Co się tu dzieje? – Mam zamiar wyrzucić z siebie jeszcze kilka tego typu ogólników, kiedy zauważam trzy litery wypisane na kombinezonie wybawcy: RAT i przypominam sobie treść komunikatu.

Chcęcoś powiedzieć, ale wszystkie pytania ulatują mi z głowy, gdy dostrzegam zbliżające się stado szczurów. Dziesiątki, setki osobników zbiegają się przy szczątkach bezkręgowców i, zerkając na nas, zabierasię do uczty. Marta wygląda tak, jakby miała zaraz paść nieprzytomna.

– Matko... – szepcze. – Ile ich...

Łapię ją, nim uderza o asfalt.

Astronauta odwraca się w kierunku gryzoni, a potem przekręca hełm.

– Bez obaw, one pracują dla nas – uspokaja, odsłaniając szczuropodobny pysk.

***

– Jeszcze raz – mówię, próbując ułożyć sobie w głowie wszystkie fakty, którymi zasypał nas szczuroczłek.

Marta siedzi obok mnie, oparta o ścianę budynku. Ogień, podsycany paliwem z butli skafandra, daje ciepło, światło i przyjemne uczucie schronienia, chociaż siedzimy na chodniku, niedaleko truchła robaczego monstrum. Nasz wybawiciel uparł się, by zostać w tym miejscu. Im częściej zmieniamy położenie i dalej się zapuszczamy, tym bardziej świat będzie chciał nas zabić, stwierdził – a my nie mamy podstaw, by mu nie wierzyć.

– Każda zmiana powiększa rozdźwięk między wami a światem wzorcowym – wyjaśnia szczuroczłek, rysując palcem po zakurzonym chodniku. – Rzeczywistość zaś dąży do ujednolicenia. Ściągnięcie was z powrotem wymaga ogromnego nakładu energii, ponieważ wasz wektor jest przeciwny... – wzdycha i przechodzi do sedna. – Żeby pozbyć się nadmiarowych rzeczywistości, najłatwiej jest wyeliminować rozproszonych obserwatorów. Wtedy sytuacja wróci do normy i prawa mechaniki kwantowej wrócą na miejsce, z którego nie powinny się rozprzestrzeniać. To znaczy do najmniejszej możliwej skali.

– To rozumiem – przytakuję, choć jakaś część mnie domaga się obszerniejszego wytłumaczenia. – Ale jak to się w ogóle stało? Jak doszło do tego... rozproszenia?

Szczuroczłek ściera rysunek wyglądający jak drzewo z połamanymi gałęziami i nachyla się nad ogniem.

– Wyobraźcie sobie zamknięty układ i jednego obserwatora, który nadzoruje każdy z jego elementów. A potem dochodzi do zwarcia i na chwilę gaśnie światło. To właśnie przytrafiło się podczas ostatniego eksperymentu, kiedy ciekawscy fizycy zechcieli podejrzeć, jak działają trybiki układu.

– Obserwator? – wtrąca Marta, dotychczas przypatrująca się w milczeniu konsumującym gryzoniom. – Masz na myśli Boga?

– Mówię o jednym z przymiotów rzeczywistości, nie chcę go odnosić do żadnego z lokalnych wyobrażeń, jednak, jeżeli chcesz, możesz go tak nazwać. My z Ostoi pomagamy wam dostać się z powrotem do pierwotnej rzeczywistości...

– Której dogląda Bóg – kończy za niego Marta, a szczuroczłek przytakuje.

– Jeszcze trzydzieści sekund i możemy ruszać – oznajmia, sprawdzając odczyty z opaski na przedramieniu. – Jeśli to wszystko, to...

– To ma być wszystko? – przerywam mu. – A co z Ostoją? Czym jest? Skąd się wzięła? Czym ty jesteś? I jak w ogóle nas stąd chcesz zabrać?

– I dlaczego szczury? – pyta Marta, a nasz rozmówca uśmiecha się rozbawiony.

– Szczury to inteligentne zwierzęta. Do tego ewolucja wyposażyła je w mechanizmy, które nie tylko pozwalają im wyczuć zmieniającego położenie obserwatora i podążyć za nim, ale też dostroić się do umysłów innych członków stada, by przemieszczać się wspólnie – wyjaśnia z odrobiną ekscytacji i dumy. – Właśnie dlatego mam w sobie DNA szczura. Tylko tacy jak ja mogą zabrać rozbitków z powrotem do domu. A Ostoja? To miejsce, z którego pochodzę. Chociaż miejsce to nie najwłaściwsze określenie – na chwilę zawiesza głos. – Wyobraźcie sobie bezmiar możliwości. Nieograniczony potencjał, domagający się zrealizowania. Gdybyście tylko wiedzieli, do czego zdolny jest umysł... – ponownie zerka na czasomierz i chwyta mnie za rękę, a drugą wyciąga w kierunku Marty. – Już czas. Przekaz się rozpoczął, są w nim zakodowane koordynaty. – Z urządzenia na przedramieniu zaczynają płynąć dobrze znane dźwięki komunikatu. – Wsłuchajcie się, będzie łatwiej. Jeśli nie uda się teraz, to możemy spróbować za trzy godziny. Później mechanizm bezpieczeństwa automatycznie przeniesie mnie do waszego świata wzorcowego.

– Mam nadzieję, że więcej nie usłyszę tego szajsu – wzdycham. – Przemyślcie jego treść, bo obecna nic nie tłumaczy.

– Kiedy następnym razem będziemy nadawać multiwymiarową wiadomość z ukrytymi współrzędnymi, dam ci znać – odcina się szczuroczłek. – A teraz słuchajcie i... i... – zacina się i zaczyna drgać.

Nie wiemy, czy to element procesu, więc czekamy, jednak kiedy piana zaczyna ciec mu z pyska, wiemy, że coś jest nie tak. Podrywam się, łapię go za ręce – i tylko patrzę, bez jakiegokolwiek pomysłu, co teraz.

– Nie patrz tak! Zrób coś! – Marta panikuje.

Szczuroczłek z wywróconymi oczami wije się w konwulsjach, aż w końcu ruchy jego ciała ustają. Nie widać nawet oddechu. Ostrożnie układam go na chodniku, a dokoła zbiegają się szczury, jak spóźnieni żałobnicy.

Zza kołnierza skafandra powoli wypełza długi na piętnaście centymetrów, zdeformowany przez ogień wieloszczet.

***

Jeżeli piekło to brak Boga, to doskonale wiem, jak wygląda.

Marta śpi. Nie mam jej tego za złe, sen to czasem najlepsza i jedyna ucieczka przed tym, co nas przerasta. Jednak, jeśli ona śpi, to ja muszę czuwać, w końcu tak się umówiliśmy. Chyba że...

Patrzę na zwłoki szczuroczłeka i na martwego robaka opodal, który po zadaniu śmiertelnego ciosu wypełzł, by zdechnąć. Szczury nie ruszyły żadnego z nich. Siedzą tylko wkoło i obserwują nas, jakby na coś czekały.

I może rzeczywiście czekają.

Przypominam sobie wszystko, co powiedział nasz niedoszły wybawca i zatrzymuję się na jednych z ostatnich słów. Tych o automatycznym powrocie. Od śmierciszczuroczłeka – tak o nim myślę – minęły ponad dwie godziny, więc jego ciało niebawem zniknie. Tylko, czy to musi być on?

Odpinam urządzenie okalające rękaw skafandra i ważę je w dłoniach. Czy samo to wystarczy? Nie wiem, ale sprawdzenie nic nie kosztuje.

Siadam z urządzeniem obok Marty.

Wiem, że ona nie będzie miała odwagi tego zrobić. Już to przerabialiśmy. Nie odejdzie, choćby nie wiem, jak było źle. I przez to mnie znienawidzi, jeszcze bardziej niż teraz. Nie jestem pewien, czy mnie kocha, ale nienawiść – tak, tę musi czuć, przynajmniej chwilami.

Poprzednim razem też na mnie spadła decyzja o odejściu.

Właściwie to nie wiem, czemu nam się nie udało. Nie sposób wskazać jednego wielkiego problemu, osobistej traumy, dramatu, który nas rozdzielił. To było tysiące małych, codziennych spraw, tak jednostkowych, ulotnych, nieważnych, że trudno by je spamiętać.

Wedle czasu wskazywanego na urządzeniu, do ponownej emisji komunikatu pozostały dziewięćdziesiąt dwie sekundy, biorę się więc do roboty i – mam nadzieję, że to wystarczy – przypinam to ustrojstwo do ramienia.

Do ramienia Marty, oczywiście.

Może dlatego, że mam skłonność do autodestrukcji? A może właśnie uchyliłem wieko pudełka, w którym skrywały się moje uczucia do niej i powiedziałem „sprawdzam"?

Wstaję i patrzę na nią, pogrążoną w spokojnym śnie niczym niewinne dziecko.

Jeszcze minuta.

Nie chcę czekać. Zamykam oczy i odliczam do sześćdziesięciu. Z mapą doszedłem do trzydziestu i nic to nie dało, więc teraz podwajam czas.

***

Kiedy otwieram oczy, jest jasno. Na ulicy brak śladu po ognistych językach i martwych bezkręgowcach albo koczujących w pobliżu szczurach. Nasz wybawca również zniknął. Tak samo Marta.

Za to pojawili się oni. Fantomowi ludzie. Zajmują całą ulicę i chodnik w obydwu kierunkach i wszyscy patrzą na mnie. Nie poruszają się, nie mówią, chyba nawet nie oddychają, tylko obserwują. Że też nie rozpoznałem ich wcześniej, przecież śniłem o nich niemal co noc.

Nie mają świadomości, są bardziej jak rzeczy – można na nich patrzeć lub ich wykorzystać. Nawet się nie dziwię ich obecnością, w końcu teraz tylko ja obserwuję ten wariant rzeczywistości. Jest mną naznaczony. W zasadzie, jeżeli jestem tu sam, a świat wokół zmienia się tak, jak chce ślepy traf, to jawa niewiele się różni od snu.

Wiem, co musi być dalej, więc ruszam, najpierw powoli, ale wkrótce biegnę przez tłum. Z coraz większym trudem przebijam się przez kolejne,

ciaśniej spakowane warstwy ludzkiej masy, aż w końcu nie mogę zrobić kroku ani nawet złapać tchu.

A wtedy zaczynam wszystko rozumieć, przestaję się opierać i zamykam oczy.

***

Co się stanie, jeżeli, będąc sam w kwantowym świecie, zasnę, a ten straci obserwatora? Będzie trwał w niezmienionym stadium, póki na niego nie spojrzę? Zmieniał się jak w kalejdoskopie i ustali swój kształt dopiero w momencie, gdy otworzę oczy? Czy może w ogóle nie będzie istnieć, nim ponownie nie zacznę go obserwować?

Obserwujący kształtuje rzeczywistość, teraz to pojmuję.

Fantomowi ludzie pojawili się, bo o nich śniłem.

Znalazłem artykuł w magazynie, bo wcześniej próbowałem o tym opowiedzieć.

Nasz blok zmienił się w las, bo chcieliśmy wyjechać.

Atakowały nas robaki, bo za dnia zwróciłem na nie uwagę.

Przepaść pochłonęła samochód, bo wcześniej pomyślałem o przepaści dzielącej mnie i Martę.

Drzwi były zamknięte, bo miałem przeczucie… Nie. Bo obawiałem się tego.

Mapa, którą próbowałem zniknąć, przedstawiała Paryż – a może mi się tylko wydaje?

Nawet szczuroczłek… Widziałem szczury. Słyszałem komunikat… Nasz niedoszły wybawca mógł nie być samodzielną istotą, a stanowić tylko krzywe odbicie wcześniejszych doświadczeń. Wybawieniem przywołanym z oceanu wszechmożliwości, tak jak wcześniej samochód, którym chcieliśmy wyjechać.

I sam pusty świat, w którym byliśmy z Martą na siebie skazani. Tak samo, jak uprzednio skazywaliśmy się na ten związek, jak gdyby nie było nikogo innego na Ziemi.

To miało sens… choć wcale nie musiało być prawdą. Mogę to sprawdzić, gdy otworzę oczy.

A co, jeśli nigdy się nie obudzę? Czy w ogóle będę musiał? Jeśli nie ma świata wokół mnie, to nie ma też mojego ciała. To nie ono jest obserwatorem, tylko Ja. Mogę trwać we śnie w nieskończoność. Mogę wyśnić cokolwiek. Mogę zaobserwować w sennym marzeniu całą historię zmyślonego wszechświata, od Wielkiego Wybuchu, przez powstanie gwiazd i planet, narodziny życia, aż do... do tego, co sam obmyślę na koniec. Każda z moich wizji będzie mogła się urzeczywistnić. Czy właśnie o tym mówił szczuroczłek?

Już wiem, dlaczego tamto coś chciało nas zabić – szczuroczłekmylił się co do tego, wcale nie chodzi o wykasowanie rozrastających się odnóg rzeczywistości. To dlatego, że byliśmy o krok od odkrycia, jak rodzą się bogowie.

Sam się o tym przekonam, już za chwilę, gdy tylko zasnę.

***

Ciemność, nicość, cisza. Rozpadam się w bezczasie i bezprzestrzeni. Sam, całkiem sam. Aż nagle...

– Kochanie, nic ci nie jest? Otwórz oczy, proszę. Nie wygłupiaj się.

Mijają chyba wieki, nim rozpoznaję znaczenie słów, jakbym nie słyszał ich przez całe żywota. Niepewnie unoszę powieki, których, zdaje mi się, jeszcze chwilę wcześniej w ogóle nie czułem. Widzę przed sobą twarz Marty, zmartwioną i uszczęśliwioną zarazem.

Rozglądam się wokół i rozpoznaję nasze mieszkanie. Nic się nie zmieniło od tamtego ranka, co najwyżej przybyło kurzu. Dwie filiżanki z dawno wystygłą kawą stoją na stoliku. Gdzieś zza ściany dobiegają mnie dźwięki radia.

Podchodzę do okna. Część porzuconych samochodów została zabrana, inne zepchnięto poza jezdnię.

– Co się stało? – poruszam wargami, a z gardła wydobywa się dźwięk, choć w ogóle nie miałem zamiaru niczego powiedzieć. – Jak to możliwe?

– Wróciliśmy do domu – odpowiada Marta. – Razem. Dałeś mi to – wskazuje urządzenie na przedramieniu – żebym się uratowała, ale wyszło na to, że przenieśliśmy się oboje. To już koniec tamtego koszmaru. – Rzuca mi się w ramiona i całuje w usta. – Jeśli tam rządziły te całe prawa kwantów, to

widać my jesteśmy jak dwie splątane cząsteczki – dodaje z uśmiechem. Po jej policzkach spływają łzy.

Tak samo jak po moich.

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/28633

Ich zabawy (18+)

Rafał Łoboda

Pracować przy zwłokach zacząłem w połowie lat dziewięćdziesiątych. Z trudem skończyłem technikum, i szukając pracy, by udobruchać zawiedzionych rodziców, trafiłem przez kolegę do domu pogrzebowego na przedmieściach Łodzi.

Byłem chłopakiem od wszystkiego: naprawiałem drobne usterki, które zdawały się nigdy nie kończyć, nosiłem trumny, zamiatałem, sprzątałem zwiędłe kwiaty po ceremoniach. Po kilku tygodniach szef chwycił mnie za ramię i spytał, czy pomógłbym przy ubieraniu nieboszczyka. Zgodziłem się. Byłem za młody, aby tchórzyć przed śmiercią. Wtedy pierwszy raz zobaczyłem nagą kobietę, jeśli nie liczyć obscenicznych pornosów, które oglądałem z kumplami po szkole. Mogła mieć koło czterdziestki; wtedy wydawała mi się bardzo stara. Przyniesiono ją z chłodni i ułożono na błyszczącym, metalowym stole. Udając, że bardziej interesują mnie podłużne nacięcia na chudych przedramionach, zerkałem na jej piersi, płaskie i szare, jakże odmienne od wielkich cudów natury z kolorowych pisemek. Umyliśmy ciało, ubraliśmy w czarną garsonkę, rajstopy i nieco obdarte buty na wysokim obcasie.

Asystowałem coraz częściej. Miałem grube paluchy, niezbyt zręczne, za to nie odstraszały mnie rozmaite wydzieliny ani zapachy. Wytrzymywałem ostrą woń chemicznych preparatów, a także przegniły odór topielców, ciężki i klejący się do ubrania. Szef narzekał na moją niezręczność, ale nie miał wyboru. Niewielu garnęło się do takiej pracy.

Wkrótce poznałem dziewczynę – pracowała w osiedlowym spożywczaku, na okrągło słuchała Bon Jovi i miała bladą, wręcz mleczną skórę. Uwielbiała mocny makijaż; nakładała sobie czerń na powieki, wargi i paznokcie. Bez przerwy kłóciła się o to z rodzicami. Przeżyliśmy ze sobą nasz pierwszy raz, potem wydaliśmy masę pieniędzy – głównie moich – na hotele, w których przy dźwiękach *Slippery When Wet* pieprzyliśmy się do upadłego, aż ostatecznie zrozumieliśmy, że nic z tego nie będzie i jednak do

siebie nie pasujemy. Ona poznała jakiegoś gościa z długimi włosami, który grał w amatorskiej kapeli rockowej, a ja uznałem, że tak będzie lepiej. Jej wyjątkowo blada skóra, mokra i lepka po seksie, zaczęła przypominać mi ciała z domu pogrzebowego. Bywało, że mdliło mnie po stosunku.

Rozstanie zniosłem gorzej, niż myślałem. Pewnego dnia w moje ręce wpadł katalog biura podróży. Otumaniony samotnością, oglądałem go na ławce pod szarym zimowym niebem. Strony pełne błękitu i słońca zdawały się karykaturalnie nierzeczywiste. Jedno zdjęcie szczególnie mnie zafascynowało. Młoda Tajka stała na plaży, uśmiechając się i zapraszając gestem do siebie. We włosy miała wpięty fioletowy kwiat. Nie mogłem napatrzeć się na jej skórę. Nie smoliście czarną, jak u ludzi, którzy nie uciekli z pożaru, ale w kolorze porannej latte. Jasny brąz pobudzający wyobraźnię. Twarz dziewczyny prześladowała mnie odtąd w myślach. Dlaczego? Nie potrafiłem odpowiedzieć.

Dzień po dwudziestych urodzinach rodzice dali mi do zrozumienia, że skoro mam pracę i zarabiam, najwyższy czas, abym wyniósł się z domu. Moje dwie młodsze siostry ochoczo im przytakiwały. Braciszek nic nie mówił. Jest opóźniony w rozwoju, a rodzice kochali go mocniej niż pozostałą trójkę, choć mama często przez niego płakała.

Wynająłem mieszkanie, wciąż zdecydowany, aby odwiedzić Tajlandię i zobaczyć na własne oczy brązowoskóre dziewczyny z kwiatami we włosach. Od tej pory odkładałem każdą wolną sumę.

Przybywało zleceń. Żałobnicy chcieli żegnać zmarłych przy otwartych trumnach, więc czesaliśmy, myliśmy, maskowaliśmy kremami ciemne wykwity i wciągaliśmy ubrania na zesztywniałe kończyny. Pracowałem, ile mogłem. Szef często mnie krytykował, ja zaś przyjmowałem reprymendy w milczeniu. Bałem się stracić jedyne źródło zarobku. Koszty samodzielnego życia mnie przytłaczały; rodzina wyciągała ręce po pieniądze, grając na poczuciu winy. Frustrację wyładowywałem na zmarłych. Oni nie mogli się bronić. Znosili wszystko, a ja wyobrażałem sobie, że mają twarze szefa, mojej byłej, ojca lub matki. Nawet głupiego braciszka. Gdy zostawałem sam w prosektorium, bluzgałem na nich przy wtórze wentylatorów, podśmiewałem się z obwisłych piersi oraz skurczonych penisów – i przez pe-

wien czas było mi lepiej; czułem, że nie jestem najsłabszy, najgorszy. Potrafiłem uderzyć nieboszczyka pięścią w szczękę, by chwilę później ukrywać ślady. Zacząłem palić, nawet w pracy, a niejeden papieros kończył zgaszony na zimnej skórze.

Pewnego dnia mieliśmy pracować nad topielcem. Facet napuchł od długiego przebywania pod wodą, jego rysy twarzy prawie uległy zatarciu.

– Przypomina zbitek rozgotowanych pierogów – zażartowałem.

– Co z tobą, chłopcze? – Szef miał ponad sześćdziesiątkę na karku. – To też człowiek. Bierz się do pracy.

Po kilkunastu minutach staruszek nie wytrzymał.

– Idę się przewietrzyć.

Wzruszyłem ramionami i dalej robiłem swoje. Kiedy próbowałem wepchnąć napęczniały język do sinych ust, coś białego mignęło między zębami. Odruchowo zabrałem rękę i wzdrygnąłem się, myśląc, że lada chwila jakieś wodne stworzenie wypełznie z tej niecodziennej kryjówki. Zamiast tego usłyszałem cichy bulgot, po czym strumień spienionej mazi wytrysnął z ust i opadł na masywną pierś.

Plwocina ułożyła się w równo wykaligrafowane litery mojego imienia:

Ignacy

Stałem nieruchomo. Jęknąłem cicho, jakbym nie potrafił się zdecydować czy śmiać się, czy krzyczeć. Więc nie zrobiłem nic, a kiedy po minucie wrócił szef, wciąż tkwiłem bez ruchu, wbijając spojrzenie w miejsce, gdzie litery wsiąkły w skórę, nie zostawiając najmniejszego śladu.

– Czego się guzdrzesz? – usłyszałem.

Dokończyliśmy topielca. Potem zwolniłem się z reszty dnia dzięki naprędce skleconej wymówce i ruszyłem w miasto. Byłem przepracowany, zmęczony wymaganiami rodziny i reprymendami szefa. Stąd przywidzenia. Musiałem odpocząć. Przypomniawszy sobie, że dziś piątek, ruszyłem o zmierzchu do klubu nocnego. Odwiedzałem któryś przynajmniej raz w tygodniu. Muzyka – głośna do przesady – pozwalała zapomnieć o szumie wentylatorów i brzęczeniu komór chłodniczych, gwałtowne ruchy tańczących sylwetek były zaś miłą odmianą od bezruchu umarłych. Gdzie indziej tak wielbiono życie i młodość?

Tego wieczoru dopisało mi szczęście.

Iza. Izabella. Zaczęło się od jednego tańca, przeszło do pocałunku i obmacywania piersi w ciasnej kabinie męskiej toalety, skończyło na wymianie numerów telefonów. Nazajutrz poszedłem do pracy, tylko lekko zaniepokojony wydarzeniami z poprzedniego dnia, za to otumaniony nowo poznaną boginią. Nasz związek rozkwitł gwałtownie, za szybko. Kochała solarium, a ja wielbiłem jej skórę – tak cudownie gładką i brązową. Skończyły się żarty z umarłych, pożegnałem frustrację. W zakładzie pogrzebowym robiłem, co trzeba – profesjonalnie, szybko, dokładnie – marząc tylko o ponownym spotkaniu z Izą. Obraz Tajki z kwiatem we włosach zniknął z moich myśli jak poranna mgła w promieniach słońca.

Mijały miesiące. U progu świąt Bożego Narodzenia szef zasnął przed telewizorem i już się nie obudził. Dom pogrzebowy przejęła jego córka. Za namową Izy wypiąłem się na rodzinę. Finanse się poprawiły, więc korzystaliśmy z życia. Paliliśmy trawkę, chodziliśmy do restauracji, kochaliśmy się bez opamiętania i równie mocno kłóciliśmy. Istna burza uczuć. Było wspaniale.

Któregoś dnia przyszedłem do pracy na haju. Poprzednia noc zaczęła się seksem, skończyła stertą wyzwisk oraz płaczem, więc znalazłem ukojenie w marihuanie. Byłem wykończony. W korytarzu minąłem grubego kolesia – który też tu pracował – i za cholerę nie mogłem sobie przypomnieć, jak się nazywa.

– Wyjąłem dla ciebie sztywniaka – powiedział.

Staruszek w sali wyglądał jak worek na kości. Bardzo szczupły, wręcz wychudzony. Zamknąłem drzwi i oparłem się o nie, zbierając siły do pracy. Według karty życzeniem rodziny było dokładne ogolenie krótkiego zarostu. Walcząc z własną ręką o kontrolę nad palcami, nałożyłem piankę. Teraz brzytwa. Uniosłem ostrze nad martwą twarzą.

– Damy radę, prawda, kolego? – uspokoiłem denata. – Ciach, ciach i będziesz gładziutki.

Zamachałem brzytwą kilka razy jak na filmach akcji. Odcięty czubek nosa staruszka przeturlał się po policzku i spadł na podłogę.

Skryłem twarz w ramieniu, płacząc ze śmiechu. Uspokoiłem się dopie-

ro po paru minutach, ale wystarczył rzut oka na okaleczonego nieboszczyka, bym znów parsknął.

– Wybacz, Quasimodo. Nie poznałem cię od razu – zdążyłem wystękać, nim ponownie zakryłem usta rękawem.

Czekało mnie zszywanie. Podniosłem odcięty nos i przyłożyłem do rany. Światło jarzeniówki odbijało się od łysej czaszki.

Wtedy zobaczyłem. Plamy wątrobowe na skórze czoła miały kształt liter:

quasimodo wyborne

Nie bałem się. Przecież to nie mogło być prawdziwe. Takie rzeczy się nie zdarzają. W przypływie maniakalnej, narkotycznej wściekłości przysunąłem brzytwę do liter i odciąłem płat skóry. Odszedł gładko. Zadowolony skinąłem głową. Teraz wystarczyło wyciąć identyczny kawałek z uda, nałożyć na czaszkę, przyszyć i zamaskować. Nikt nie pozna różnicy.

Dostrzegłem coś kątem oka, gdzieś na zapadniętej piersi trupa. Nachyliłem się i ujrzałem inny napis z plam wątrobowych:

wiemy co myślisz

Po chwili trzymałem już dwa płaty skóry i gorączkowo szukałem kolejnych oznak mojego szaleństwa. Postanowiłem je wyciąć. Wyciąć wszystkie! Nadgarstek? Ciach! Udo? Ciach! Słowa na kredowobiałej skórze drwiły ze mnie:

cudownie

bawisz nas

dalej dalej

Pasma układałem na brzuchu staruszka, bo nie mieściły się już w dłoni.

Brzytwa – moja najwierniejsza przyjaciółka, moja ostoja rozsądku – bez litości wycinała chorą tkankę szaleństwa, bezczelną skórę, która...

– Boże!

Podniosłem wzrok. W drzwiach stał gruby facet z wyrazem osłupienia na twarzy.

– Marek! – Pstryknąłem palcami. – Przypomniałem sobie, jak się nazywasz!

Zwolniono mnie za porozumieniem stron. Nowa szefowa uznała, że źle zniosłem śmierć jej ojca, wypaliłem się czy tym podobne bzdury. Nie przyznałem się Izie. Wystarczyły dwa tygodnie, abym znalazł taką samą

posadę w domu pogrzebowym „Chryzantema". Miałem doświadczenie i chęć do pracy. Zależało mi na niej. To wystarczyło.

Odtąd w robocie zjawiałem się wyspany, czysty jak kryształ. Żadnych drinków wieczorami, żadnej trawki. Iza stwierdziła, że zrobiłem się trochę nudny, a ja po prostu nie chciałem, aby powtórzyła się sytuacja z halucynacjami – bo przecież całe zajście musiało być wynikiem omamów po marihuanie.

Mijały lata. Mody przychodziły i odchodziły, kolejne partie zmieniały to, co dobre i psuły to, co wymagało naprawy. Ożeniłem się z Izą. Żegnałem siostry, kiedy wyjeżdżały na studia. Trzymałem matkę za rękę, gdy umierała. Pogodziłem się z ojcem i wysłuchiwałem jego obaw co do przyszłości mojego opóźnionego brata.

Później na świat przyszła Amelia. Biorąc ją po raz pierwszy na ręce, nie poczułem się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie i zrozumiałem, że nie zostanie moim oczkiem w głowie.

Nie nadawałem się na ojca.

Iza-imprezowiczka ustąpiła miejsca Izie-matce: przestała chodzić na solarium, seks ją męczył, a rozmowy ze mną uznała za stratę czasu, który mogłaby poświęcić córeczce. Całkowicie oddała się Amelii, ja zaś zostałem sprowadzony do roli dostarczyciela pieniędzy. Kłóciliśmy się coraz częściej, a przy córce – obdarzonej niezwykle głośnym, piskliwym głosem – tęskniłem za spokojnymi ścianami prosektorium. Próbowałem wygrzebać z serca jakieś uczucia dla Amelii, ale znalazłem tam jedynie popiół i ciszę. Nie obwiniałem rodziny. Problem leżał we mnie. Wielekroć patrzyłem na córkę i Izę, wyobrażając sobie, jak leżą na metalowym stole, obie nagie, zwiędłe i nieruchome. Dlaczego nie byłem już tym młodzieńcem, który szukał krzyku, muzyki i ruchu w nocnych klubach? Każdego dnia przed lustrem zapewniałem siebie, że wciąż jestem młody, choć widziałem, jak moja twarz nabiera ostrych, twardych rysów kamiennej rzeźby. I czułem się zmęczony, tak potwornie zmęczony.

Obwiniałem zmarłych. Puste oblicza śniły mi się po nocach. Śmierć. Ludzie na ulicach, w telewizorze, w gazetach. Martwi. Wszyscy martwi, podrygujący bez sensu, zanim trafią do ziemi. Kawałki mięsa. Tyle z nich zostawało.

Ich zabawy (18+)

Szukałem innych ofert pracy, ale żadna nie mogła się równać z obecną pod kątem zarobków lub wymagań.

Utknąłem.

Wytrzymałem w tym stanie apatii parę lat, przedkładając towarzystwo komputera nad własną rodzinę. Męczyliśmy się w trójkę, więc rozwód przyjąłem niemal z ulgą. Nie miałem nic na swoją obronę. Straciłem mieszkanie i wlepiono mi alimenty, które zamieniły moje życie w ponurą wegetację.

Wynająłem kawalerkę w zaniedbanej kamienicy. Kłótliwi sąsiedzi i zbyt cienkie ściany, rozkrzyczani pijacy na podwórku i nieszczelne okna. Koszmar.

Na pozór żyłem.

Chodziłem, rozmawiałem, pracowałem, jadłem i wydalałem, jednak wiedziałem, że to tylko fasada, pod którą nie ma już mnie, lecz tylko zlepek organów, który jakimś cudem wciąż działał. Odrywałem kartki z kalendarza – jedna za drugą, jedna za drugą – i patrzyłem, jak miesiące odchodzą na zawsze, a ja wraz z nimi. Zjadałem byle co i siadałem przed ekranem, szukając tam czegoś nieokreślonego, czegokolwiek zdolnego na nowo wypełnić mnie pasją. Na podobieństwo górnika schodziłem głębiej i głębiej, odkrywając strony i miejsca nieprzeznaczone dla cieszących się rutyną codziennego życia. Oglądałem pozostałości ofiar wypadków, nagrania egzekucji dokonanych przez kartele narkotykowe oraz wszystkie brutalne, odrażające rzeczy, które można zrobić dzieciom. Weekendami moje ciało zarastało brudem, ale ów mogłem zmyć pod prysznicem. Nie potrafiłem za to pozbyć się brudu z własnej duszy. Czasami włóczyłem się po mieście, szukając w burdelach dziewczyn o brązowej skórze, lecz nawet seks przestał być czymś więcej niż zwierzęcą kopulacją i czułem po nim jeszcze większą pustkę niż zazwyczaj.

Iza czasem dzwoniła, nagrywała wiadomości. Jak sobie radzisz? Odezwij się. Amelia o ciebie pytała. Odezwij się. Musimy porozmawiać. Jesteś tam? Ignacy!

To zdarzyło się zimą. Z każdym dniem świat tracił jesienne barwy na rzecz szarości. Ciemność, gdy przychodziłem do roboty, ciemność, gdy wychodziłem. Tego wieczoru na stole leżał Ignacy. Zdarza się. Przypadek, zbieżność imion. Dziesięć lat starszy ode mnie, podobnie podpuchnięte oczy i twarz, na której nawet po śmierci nie widać było spokoju, tylko bezbrzeżną pustkę.

A może tylko mi się wydawało. Może podświadomie łączyłem siebie z tym łysiejącym Ignacym, informatykiem zmarłym z powodu pękniętego tętniaka.

Patrzyłem na jego ciało i zastanawiałem się, czy żył z dnia na dzień, czy może miał plany, marzenia, odsunięte w czasie na później. I wtedy pomyślałem o sobie. Co mi zostało? Obserwowanie gasnącej młodości, codzienność z ekranem komputera i przygotowywanie zwłok, aż któregoś dnia sam zajmę miejsce Ignacego-informatyka na srebrnym stole. Nagi, zaniedbany kawał mięsa.

Usiadłem. Przypomniałem sobie twarz Tajki z katalogu sprzed wielu lat. W jednej chwili zrozumiałem, że jeszcze tylko tam, w dalekim kraju pełnym słońca i barów karaoke, mógłbym znaleźć odrobinę szczęścia. Nie miałem pojęcia, skąd wziąć pieniądze. Wiedziałem za to, że chcę zamieszkać w Tajlandii. Do domu wróciłem wciąż bez pomysłu.

Iza nie dawała mi spokoju. Odezwij się! Amelia była chora. Interesuje cię to? Oddzwoń! To twoja córka. Ignacy!

Zadzwoniłem.

– Ignacy... – zaczęła, ale jej przerwałem.

– Nie chcę widzieć ani ciebie, ani twojej córki. Znajdź sobie kogoś. Dostajesz pieniądze, więc odpieprz się ode mnie raz na zawsze.

Nie odezwała się więcej.

Parę dni później nadeszła śnieżyca. Mróz wciskał się przez szpary w oknach, przez ściany słyszałem echa wieczornych *Wiadomości*. Któryś z sąsiadów wyzywał żonę od dziwek. Z kubkiem gorącej herbaty sprawdzałem kurs kryptowalut – chciałem zarobić coś na boku, gdy za plecami usłyszałem kapanie.

Obróciłem się. W pierwszej chwili uznałem, że sąsiad miał awarię w łazience. Na suficie powiększała się czarna plama, z której lało coś śmierdzącego jak zepsute mięso. Zerwałem się z krzesła w poszukiwaniu miski, zerknąłem na podłogę i zamarłem.

Litery.

Żarówka przygasła, szumiąc, jakby miała zaraz pęknąć, więc ściany pokoju zniknęły w cieniu. Powodowany głupią fascynacją, ostrożnie zrobiłem kilka kroków i nachyliłem się nad słowami.

Ich zabawy (18+)

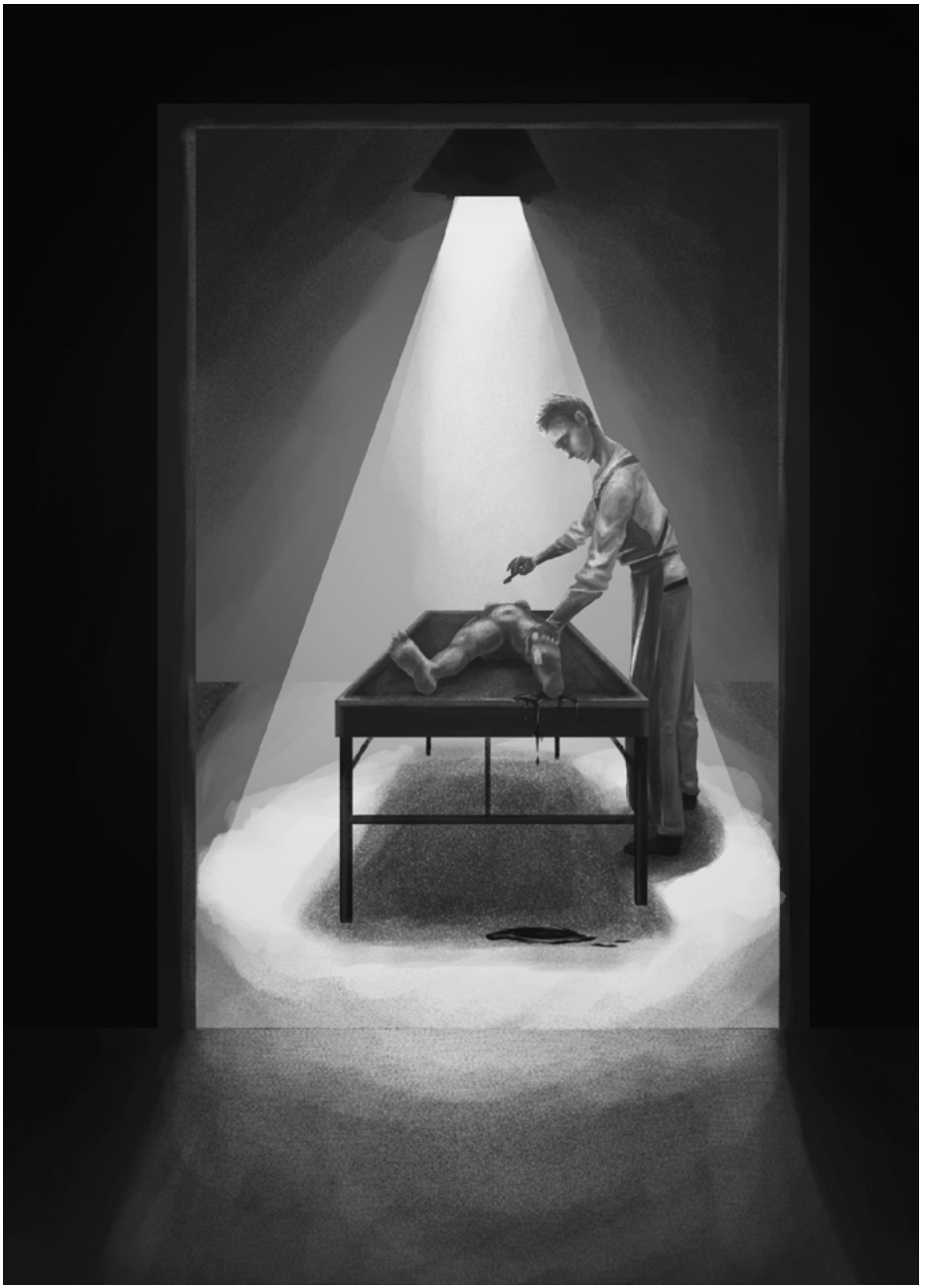

bawisz nas

– O, Boże! – westchnąłem i wtedy ciecz poruszyła się, tworząc nowe wyrazy: *wykorzystaj zmarłych zabaw nas wykorzystaj zmarłych nie pożałujesz*

Wybiegłem z mieszkania. Potrzebowałem odetchnąć świeżym powietrzem – nie z powodu odoru, który unosił się już na całej klatce – lecz ze względu na wspomnienia wydzieliny z topielca i plam opadowych staruszka. Więc to była prawda? Nie przemęczenie i skutek marihuany? Zanim zdążyłem pozbierać myśli, ze schodów zbiegła pani Łapacka, sąsiadka.

– Panie Ignacy, pan może wie, co tak śmierdzi? Zdaje się, że to z mieszkania Kowalskiego. No coś okropnego!

– On nie żyje – odparłem cicho.

– Niemożliwe! Rozmawiałam z nim dziś rano.

Ale nie żył. Po otwarciu drzwi strażacy znaleźli w kącie pokoju wystraszonego buldoga, a w kuchni, przy stole ze świeżo uszykowaną jajecznicą, pana Kowalskiego – otyłego kawalera – w stanie zaawansowanego rozkładu, jakby gnił w mieszkaniu już od miesięcy. Płyny, które wyciekły z ciała przesączyły się przez mój sufit. Policjanci kręcili głowami i zadawali wiele pytań, które nie przybliżyły ich do odpowiedzi.

– Skąd pan wiedział, że ofiara nie żyje?

– Pracuję w zakładzie pogrzebowym. Rozpoznałem wydzielinę.

Niewyjaśniona sprawa. Wkrótce mieszkanie Kowalskiego odwiedził ksiądz, wezwany przez sąsiadów.

Nie wstrząsnęły mną ostatnie wydarzenia. Spałem lepiej niż wcześniej, uspokojony obranym celem – Tajlandią. Cokolwiek mówiło przez wydzieliny z pana Kowalskiego, nie życzyło mi źle, zatem posłuchawszy rady o wykorzystaniu zmarłych, wpadłem na pomysł, jak zdobyć pieniądze.

Nienawidziłem tych kawałków mięsa, które nauczyliśmy się szanować jedynie przez wzgląd na żywych.

Wziąłem wieczorne zmiany. Kilka dni upewniałem się, że nikt mi nie będzie przeszkadzał, wreszcie byłem gotów. Patrząc na ciało łysego osiłka z wielkim tatuażem husarii na piersi, uznałem, że zacznę od czegoś prostego, by uspokoić nerwy i sumienie, choć podejrzewałem, iż to drugie już dawno umarło. Po godzinie miałem przed sobą nieboszczyka

wymalowanego niczym drag queen. Zrobiłem kilka zdjęć, zmyłem makijaż i przygotowałem ciało według standardowych procedur.

Istnieją miejsca w sieci, gdzie można zaspokoić każdy rodzaj ciekawości. Pochwaliłem się tam zdjęciami umalowanego mięśniaka, zbierając kilkanaście umiarkowanie entuzjastycznych komentarzy i sugestie nadesłania czegoś ostrzejszego.

Z martwym ciałem można uczynić zdumiewające rzeczy. Skromne oszczędności wydałem na dodatkowe kosmetyki, nici do szwów i narzędzia, aż w ukradkiem przynoszonej do pracy torbie zebrała się kolekcja niczym z taniego horroru. Oglądałem dzieła sztuki: rzeźby i obrazy, a potem odwzorowywałem ich wynaturzoną wersję za pomocą zwłok. Nic wielkiego, trochę rozciętej skóry, nieco organów na wierzchu, przebieranki, takie czy inne pozy. Po kilku tygodniach miałem już grono oddanych wielbicieli. Odczekałem jeszcze trochę i przestałem nadsyłać nowe zdjęcia, argumentując, że za bardzo ryzykuję, a nie stać mnie na utratę pracy.

Zacząłem otrzymywać datki w kryptowalutach. Chcieli, abym nie przestawał, abym ich zaciekawił, rozśmieszył, zdegustował. Byli skłonni za to płacić.

O to mi chodziło.

Zamieniłem głowy parze wisielców, a także upozowałem na ich twarzach ogromne zdziwienie. Pstryk, kilka fotek, podpis: Empatia. Później przyszycie głów do odpowiednich ciał, zakrycie szwów i wisielczej bruzdy dużą warstwą kremu. Nikt się nie zorientował.

Przed Wigilią trafiły do mnie ofiary wypadku samochodowego: kobieta z małym dzieckiem. Rozciąłem jej brzuch i wsadziłem do środka dziecko, ustawiając je za pomocą drucików i nici, aby wyglądało, jakby wychodziło przez ranę. Nazwałem tę sesję: Cesarz.

Zachwycone głosy błagały o więcej. Z ulgą patrzyłem, jak saldo w moim portfelu z kryptowalutami rośnie z dnia na dzień. Czułem, że znów żyję. Ściskałem rękę zapłakanego ojca, którego pięcioletniego syna przygotowywałem dzień wcześniej, kiwałem głową z szacunkiem, składałem kondolencje, a w myślach chichotałem, wyobrażając sobie szok rodziny, gdyby zobaczyli, co kryje się w spodniach leżącego w trumnie dziecka. Tajlandia zbliżała się

z każdym zdjęciem i filmikiem; te drugie zamawiali najwięksi niedowiarkowie lub najwięksi fani.

Bywało, że wieczorami zerkałem w stronę niedbale zamalowanej plamy na suficie mojego mieszkania i zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś ujrzę dziwne słowa. Nie obchodziło mnie to. Byłem tak blisko celu. Uświadomiłem sobie, że po rozpoczęciu nowego życia nie chcę mieć już do czynienia ze zwłokami. Nigdy. W żaden sposób. Odpowiadała mi kariera ochroniarza, barmana lub chociażby sprzątacza w którymś z setek nocnych klubów. Byle móc patrzeć na brązowoskóre dziewczyny.

Po kilku miesiącach czułem się wyczerpany. Apetyt wielbicieli mojej twórczości wciąż rósł. Więcej, ostrzej, brutalniej. Rzeczy, które wcześniej ich szokowały, teraz nazwali nudnymi. Nadsyłali własne pomysły, najczęściej zbyt ryzykowne lub nie do zrealizowania z powodu ograniczeń ludzkiego ciała.

Wyznaczyłem sobie termin wyjazdu, sprawdziłem loty. Zamierzałem dokończyć obiecane zdjęcia, przyjąć wpłaty i zniknąć z sieci bez słowa.

Zima, dwudziesta trzecia. Moja ostatnia robota. Młoda dziewczyna, blondynka. Przedawkowała leki; plotki głosiły, że zakochała się nieszczęśliwie w koleżance z klasy. Była piękna. Takie cieszyły się największą popularnością, zupełnie jak za życia.

Podciągnąłem jej nogi na krawędź stołu i rozchyliłem. Wizję *Perły* nosiłem już od kilku tygodni, czekając na odpowiednie ciało. Wpierw starannie wydepilowałem denatce krocze, następnie wziąłem łyżkę, wybrałem oko, w którym widziałem mniejsze oznaki zmętnienia rogówki i wyjąłem je ostrożnie z oczodołu. Musiałem uważać, aby nie rozpadło mi się w dłoni; po śmierci oczy tracą sprężystość. Odciąłem nożyczkami nerw wzrokowy.

Topniejące resztki błękitu w tęczówce ustępowały przed brudną bielą. Ukląkłem między nogami dziewczyny; kciukiem i palcem wskazującym rozchyliłem jej wargi – gładkie, lodowate – po czym umieściłem między nimi oko. Zamknęły się na nim jak krawędzie małża.

Perła.

Sięgnąłem po telefon. Jedno zdjęcie, drugie, trzecie... Teraz kilka ujęć z boku.

Ich zabawy (18+)

Gałka oczna poruszyła się, spoglądając na mnie martwą źrenicą.

Wydałem zduszony jęk i zatoczyłem się do tyłu, opierając plecami o szafkę z przyborami. Oko śledziło mój każdy ruch. Żyły na udach dziewczyny napęczniały czymś czarnym, nogi zadrżały jak podłączone do prądu, a ja mogłem tylko patrzeć skamieniały, niezdolny nawet do zaczerpnięcia oddechu, by krzyknąć. Z dźwiękiem wody puszczonej z kranu cuchnąca, ciemna maź trysnęła z pochwy na kafelki przede mną i zaczęła kształtować się w litery.

widzimy cię

nie możesz odejść

Wzdrygnąłem się, zerwałem z twarzy maseczkę. Z trudem oddychałem. Nie przerażały mnie litery ani smród, silniejszy niż kiedykolwiek, ale ruch białego, wyschniętego oka i nabrzmiałych ud.

– Mam dość – szepnąłem w kierunku liter, a one ułożyły się w odpowiedzi:

nie możesz odejść

nudzimy się

– Kto... – Przełknąłem ślinę. – Kim jesteście?

tacy jak ty

nie żywi nie umarli

pomiędzypomiędzypomiędzy

Zgasło światło. Szum wentylacji zaczął słabnąć.

Drżącą ręką sięgnąłem do kieszeni, wymacałem komórkę. Nie działała. Znalazłem się w całkowitej ciemności, wciskając przyciski telefonu jak oszalały i oddychając jak najciszej.

Wtedy usłyszałem. Trzask stawów, tarcie skóry o metal i po chwili miękkie kroki bosych stóp. Jeden, drugi, trzeci. Powolne, wręcz ociężałe.

Zbliżały się. W głowie ujrzałem, jak blondynka rozszarpuje mi gardło zębami, ale trwałem w miejscu, sparaliżowany obezwładniającym strachem.

To coś zatrzymało się i w tym samym momencie światło wróciło.

Krzyknąłem.

Stała plecami do mnie, blisko – na wyciągnięcie ręki. Rozpuszczone włosy sięgały jej do łopatek. Niżej, pod białą skórą ujrzałem napis z plam pośmiertnych, czerwonych i różowych.

nie możesz odejść

– Panie Ignacy! – Zza drzwi, jak z innego świata, dobiegł głos starego dozorcy. – Wszystko w porządku?

Niech tu nie wchodzi. Boże, niech tu nie wchodzi. Otworzyłem parę razy usta, próbując zmusić gardło do wysiłku, w końcu odkrzyknąłem:

– Tak! Ok. Tylko się... przestraszyłem.

Dozorca zaśmiał się.

– No ja myślę! Korki w porządku. Posprawdzam, czy nie było zwarcia.

I nacisnął klamkę. Światło znów zgasło.

– Niech to cholera! – krzyknął. Był w pomieszczeniu; zamknął za sobą drzwi.

Milczałem. Rozszalałe serce ledwo trzymało się w piersi.

– Ależ tu śmierdzi! – krzyknął dozorca. – Jak pan tu może pracować? Przeklęta latarka też nie działa. Czemu pan teraz łazi? Panie Ignacy, proszę stać, naprawdę.

To nie ja chodziłem.

Wtem mokry odgłos, jakby ktoś zacisnął w pięść dłoń pełną błota, sprawił, że zadrżałem. Żarówki rozbłysły na nowo.

– Cholerna rudera – westchnął staruszek. Zaczął krążyć po sali, oglądając gniazdka i urządzenia.

Nie zwracałem na niego uwagi. Plama na podłodze zniknęła. Blondynka leżała na stole w normalnej pozycji.

Dozorca zerknął na nią.

– Szkoda młodej, nie? No, wszystko tu gra. Już panu nie przeszkadzam. Idę szukać dalej. Dobranoc. – Zamknął za sobą drzwi.

Kilka minut zbierałem się, by podejść do dziewczyny. Powodowany przeczuciem, uniosłem jej powieki. Obie gałki oczne były na swoich miejscach, choć jedna wydawała się bardziej zapadnięta.

Nie byłem w stanie dokończyć pracy. Wyszedłem, zadzwoniłem do szefa, powiedziałem, że odchodzę i niech mnie nie szuka, mam dość. Rozłączyłem się, zanim odpowiedział.

Nie opublikowałem *Perły*. Skasowałem ją z pamięci telefonu tego samego wieczoru. W lustrze ujrzałem na skroniach pierwsze ślady siwizny. Czy były tam wczoraj?

Ich zabawy (18+)

Kilka dni później siedziałem już na pokładzie samolotu. W międzyczasie nie odebrałem żadnego połączenia, nie przeczytałem żadnego SMS-a.

Zrzuciłem poprzednie życie jak starą skórę. Dwie przesiadki, uśmiechnięte stewardessy, Bon Jovi w słuchawkach dla wspomnienia starych dobrych czasów. Nad Zatoką Bengalską, wpatrzony w nieskończony błękit nieba i oceanu, postanowiłem zostać lepszym człowiekiem. Naiwne, staroświeckie przyrzeczenie, ale tylko ono mi pozostało.

***

Na suficie cicho obraca się wentylator. Gdzieś z dołu dobiegają rozmowy obsługi hotelowej i pierwszych gości, schodzących na śniadanie. Stukają wypełnione kawą filiżanki z białej porcelany.

Leżę w łóżku, czuję na twarzy pierwsze promienie wschodzącego słońca. Ning – młoda, piękna Ning – leży tuż obok; usnęła, zarzuciwszy rękę na moją pierś i teraz, rankiem, wciąż mnie obejmuje. Spotkałem ją kilka dni temu w barze. Nad uchem miała wpięty kwiat.

Chciałem tego. Pragnąłem przez długie lata.

Dławię się poczuciem straty.

Twarz Ning jest skryta w poduszkach, zasłonięta czarną plątaniną włosów.

W pokoju cuchnie, a ręka mej słodkiej kochanki jest lodowata. Nie mam odwagi się poruszyć.

Patrzę na żyły na przedramieniu Ning. Są wypukłe – niemal przebijają brązową skórę – czarne i skręcone w kształt liter:

zabaw nas

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/28771

Rafał Łoboda – próbuje sił w różnych gatunkach, od przygodowych komedii do horrorów ekstremalnych. Publikował w „Nowej Fantastyce", *Granicach Nieskończoności, Fantastycznych Piórach*. Jego opowiadania ukazały się również w antologiach: *Wszystkie kręgi piekła* oraz *Baźnie*. Ekonomista z wykształcenia. Mieszka w Kołobrzegu z żoną i synem.

Mglistowie

Filip Duval

Wtedy to leżała w nim na czatach cząstka człowiecza, śledziła wilka, nazywała go bydlęciem i bestią, psuła i zatruwała mu każdą radość czerpaną z prostej, wilczej, dzikiej natury.

Hermann Hesse, ***Wilk Stepowy***

Bolało.

Bolało, ilekroć odrywał wzrok od pożółkłych liści drzew i wracał nim do tak dobrze znanych, tak drogich rysów twarzy.

Petra siedziała naprzeciw niego. Wiklinowy bujany fotel skrzypiał z cicha, gdy kołysała się w rytm podmuchów wiatru ciągnących znad jeziora. Patrzyła tępo przed siebie, zawiesiwszy spojrzenie na nieokreślonym punkcie za plecami Ottona. Nie walczył o jej uwagę. Mówił rzadko, bo do rozmowy trzeba dwojga. Monologi nie były jego mocną stroną.

Mimo to odwiedzał Petrę, kiedy tylko mógł. Ponoć stanowił wyjątek. Wizyty u obłąkanych żon szybko przykrzyły się innym mężom. Lecz nie jemu. Niczego nie wyglądał tęskniej niż spokoju w ogrodzie stołecznego szpitala psychiatrycznego. Zwykle zastawał Petrę taką, jak dziś – siedzącą na werandzie w czarnej, zapinanej pod szyją sukni, z siwymi włosami upiętymi w kok, martwym spojrzeniem piwnych oczu i spokojem zastygłym w coraz głębszych z roku na rok zmarszczkach.

Cmoknąwszy żonę w czoło zwykle siadał naprzeciw, zapalał fajkę i nieruchomiał w skrzypiącej wiklinie, grzęznąc w ciszy, wspomnieniach i ułudzie bezpieczeństwa, które dawały mu te wizyty. Nigdzie bowiem nie czuł się bardziej na miejscu niż w tym ogrodzie, na tej werandzie, a zwłaszcza – przy tej kobiecie.

– Czemu tak wcześnie? – zapytała Petra po kwadransie milczącego *tête-à-tête*.

– Później mam robotę. Wiesz, służba nie drużba.

– Nie lubię rano. Mgła jeszcze. Od jeziora i lasu ciągnie.

Istotnie, o tej porze mgła jeszcze dość gęsto zasnuwała ogród, nadając mu tajemniczą aurę.

– Wiem, Petro. Siostra Ursula wspominała. Postaram się przychodzić później.

Nie odpowiedziała, znów utkwiwszy spojrzenie w dali.

Chwilę później drzwi werandy otworzyły się, a w progu stanął młokos w granatowym uniformie. Mnąc czapkę w dłoniach, ruszył nieśmiało naprzód. Wnosząc po jego minie, sprawa nie cierpiała zwłoki.

Westchnąwszy, Otto wstał z fotela, obciągnął marynarkę i zerwał z oparcia płaszcz, zaś sfatygowany melonik wsunął sobie pod pachę. Niby świętą relikwię, z namaszczeniem ujął bezwładną dłoń Petry i złożył na niej wilgotny pocałunek.

– Muszę iść. Zajrzę w przyszłym tygodniu – szepnął.

– Później. Gdy minie mgła – odparła sennie.

Młody policjant wyprężył się przed Ottonem jak struna i zasalutował. Jako zwykły krawężnik był mu winien szacunek, wszak polityczni stali w hierarchii dobre cztery szczeble wyżej.

– Czego? – burknął Otto, wymijając chłopaka.

– Morderstwo, komisarzu Steinberg! Okropne, krwawe morderstwo!

– Ciszej, durniu, i bez epitetów. Gdzie?

– W operze, panie komisarzu. Na Rosengasse.

– Rosengasse, powiadasz – cmoknął. – Ofiara?

– Freiherr von Petz – odrzekł młodzian zniżonym głosem. – Ponoć spadł z dachu, lecz...

– W końcu coś ciekawego – przerwał mu Steinberg. – Ale wystarczyło zadzwonić.

***

Mżyło, gdy wysiadał z automobilu przed imponującym gmachem Opery Cesarskiej. Bywali tu z Petrą. Nieczęsto, bo bilety nie leżały na ulicy, ale bywali. Petra kochała operę.

Rozchlapując kałuże, ruszył żwawo przed siebie, bez trudu odszukawszy krwawe lądowisko von Petza. Wszak tłum gapiów nie stał obok szczerzącej się kolumnami fasady po to, by podziwiać front budowli.

Warcząc rozkazy i nie żałując łokci, Otto przedarł się przez ciżbę. Nad rozsmarowanym na chodniku ciałem kucali już chłopcy z wydziału zabójstw. Ich obecność zapewne dziwiłaby Steinberga, gdyby nie uprzednia rozmówka z młodym policjantem. Pozornie bowiem Freiherr von Petz wyglądał na klasycznego samobójcę. Leżał na brzuchu w kałuży krwi z połamanymi, nienaturalnie wygiętymi kończynami. Jego twarz pozostawała wprasowana w bruk, a elegancki frak mienił się szkarłatem.

Nadzorujący oględziny sierżant zbliżył się do Ottona. Skinął mu uniżenie głową i zdjął melonik, odsłaniając łysinę. Steinberg znał go. I nie lubił.

– Czemu go ruszaliście, Fuchs? Palce was świerzbiły? – warknął.

– My nie...

– To jak go rozpoznaliście? Po butach?

– To Bauer taki ciekawski. – Sierżant wskazał blondyna, stojącego na uboczu z nietęgą miną. – Zrzygał się, ledwie odwrócił ciało.

– Na cholerę go z powrotem odwracał? Żebym się nie połapał?

Sierżant spuścił wzrok, w nerwach szarpiąc kozią bródkę.

– Bauer! – krzyknął Otto. – Do ciebie mówię, chłopcze! Pokaż nam facjatkę denata. Niech no zażyje słoneczka. Mało go dziś, ale zawsze coś.

Blondyn spojrzał z lękiem na sierżanta, a gdy pojął, że nie otrzyma odeń wsparcia, ruszył niechętnie ku ciału. Otto parsknął na widok rozdygotanych, pałąkowatych nóg policjanta. Zwrócił się do Fuchsa:

– Zabierz mi stąd tych ludzi. Rozumiem, że już po rozpytaniu?

– N-nie... Czekaliśmy na komisarza...

– Zdecyduj się, Fuchs. Albo macie politycznych w dupie, albo respektujecie wytyczne – syknął. – Rusz się. I wyślij część chłopców do opery, za godzinę chcę mieć całą obsługę na Schwarzgasse. Zanim kulturalni zwalą mi się na łeb.

Sierżant skinął głową i ruszył wypełniać rozkazy. W międzyczasie pod operę dotarło wsparcie, dzięki czemu policjanci wreszcie opanowali tłum

i mogli zabrać się za poszukiwanie świadków. Otto zaś przystąpił do oględzin ciała, odwróconego na wznak drżącymi dłońmi Bauera.

– Byliśmy pewni, że skurwysyn sam skoczył – mruknął młodzieniec. – Że to kolejny cholerny samobójca.

– A cóż ci, chłopcze, szkodzą samobójcy? – zapytał komisarz, kucając przy zmasakrowanym truchle.

Także od frontu von Petz wyglądał na klasyczną ofiarę grawitacji. Zmiażdżony nos i usta, połamane zęby, pęknięta czaszka wyraźnie odkształcona w miejscu kontaktu z brukiem. Tezie tej przeczył jednak pewien szczegół – rozległa rana na piersi, wyzierająca spod porwanego fraka i koszuli.

– Jak to, co mi szkodzą? – zdziwił się Bauer. – To ohydni, parszywi tchórze. Wrzód na zdrowej tkance społeczeństwa.

Otto parsknął w głos, nie przerywając badań. Rana miała poszarpane krawędzie, jakby od pazurów. Nie to było jednak najciekawsze. Steinberg wsunął dłoń między frędzle zakrwawionej skóry, w głąb obnażonego wnętrza. Kątem oka dostrzegł, jak Bauer zielenieje.

– Wrzód, powiadasz? A ja sądziłem, że lwia część tego twojego społeczeństwa może się od samobójców uczyć – mruknął.

Jego dłoń prześlizgnęła się między ostrymi krawędziami połamanych żeber i... trafiła na pustkę.

– Uczyć, panie komisarzu? Wybaczcie, ale niby czego?

Von Petzowi wyrwano serce. Przed czy po upadku – tego Steinberg na razie nie wiedział. Wyjął dłoń z trzewi arystokraty i podniósł się z kucek. Jeszcze raz obejrzał ciało. Liczba niewiadomych przytłaczała. Stolica roiła się od wszelkiej maści zorganizowanych bądź niezrzeszonych sabotażystów, konspiratorów i buntowników. Znał ich metody, rozumiał hasła i pobudki. Tym razem był jednak w kropce. Wiedział, że to jedna z tych spraw, w których morderca nie zechce mu się przedstawić z imienia i nazwiska.

Otto nie zaszczycił Bauera odpowiedzią. Mijając go, wytarł skrwawioną dłoń o klapę jego munduru. Dołączył do chłopców Fuchsa, krzykiem i pałką wymuszających posłuszeństwo na gapiach.

– Jak tam? Mamy jakichś świadków? Ktoś coś widział, ktoś coś słyszał? – Przemknął wzrokiem po twarzach cywili.

– Jak zwykle – bąknął Fuchs. – Chętnych do spowiedzi brak.

Steinberg przespacerował się przed stadkiem mieszkańców, którzy stopniowo zaczęli się orientować w swoim położeniu.

– Nie ma rady! Trzeba dać im konfesjonał – rzekł z uśmiechem Otto. – Proszę państwa pod ścianę. Żywiej, żywiej! – Klasnął w dłonie, a policjanci zepchnęli gapiów pod fasadę kamienicy. – Co piątą osóbkę zapraszam na Schwarzgasse. Departament Policji Politycznej ugości was po królewsku. Reszta pokryje koszty wiktu, opierunku i... lekarza. Jak pewnie wiecie, spowiedź bywa bolesna. A pokuta... oj, nawet bardziej – rzucił w stronę lamentującego tłumu, z którego ludzie Fuchsa konsekwentnie odławiali co piątego pechowca.

***

Otto stał przy krawędzi operowego dachu, a wiatr wzdymał poły rozpiętego płaszcza. Komisarz szukał tu odpowiedzi na pytania o tożsamość sprawcy, jego motywy, powiązania, bliższe i dalsze konsekwencje zbrodni. Sam dobór ofiary był mocno zagadkowy. Von Petz wszak, choć szlachetnej proweniencji i względnie majętny, nie wydawał się Steinbergowi szczególnie łakomym kąskiem. Nie bywał na balach, nie spiskował po klubach, nie zadawał się z damami wątpliwej reputacji, umiarkowanie sprzyjał cesarzowi, lecz w politykę mieszać się nie zwykł, podobnie jak angażować w sprawy i sprawki stołecznej socjety. Do miasta przyciągały go jedynie teatr i opera. Na co dzień wolał wiejską sielankę.

Dlaczego więc on? I czemu w taki sposób? Otto daremnie szukał poszlak. Owszem, przy granitowym gargulcu znalazł kałużę krwi, a jej rozbryzgi dostrzegł także na zielononiebieskiej płaszczyźnie dachu i powykrzywianych gębach rzygaczy. Lecz nic poza tym. Żadnych odpowiedzi.

Poza jedną, tą przemilczaną, nieudzieloną Bauerowi na jego młodzieńcze, głupie pytanie.

Czego może nauczyć samobójca?

Steinberg spojrzał w dół, na mrówczą pracę policjantów i rozpacz pędzonych do automobili świadków. Podniósł wzrok na szarzyznę ulic, kamienicznych pierzei i stołecznego nieba.

Konsekwencji – odrzekł Bauerowi w myślach, po czym zszedł z dachu. Miał ludzi do przesłuchania.

***

W katowni cuchnęło tytoniem i krwią. Szare obłoki dymu kłębiły się pod sufitem, jakby zaraz miał z nich spaść deszcz. Dwóch policjantów siedziało naprzeciw skutego kajdankami starca. Łysa żarówka migotała nad wąskim, kulawym stołem.

Steinberg odpoczywał w ciemnym kącie pokoju i pykał z fajki. Był znużony godzinami bezowocnych indagacji. Przesłuchiwanych albo szkolono, jak wytrzymać przypalanie papierosami, wyrywanie zębów i miażdżenie palców, albo po prostu nic nie widzieli. Ottona drażniło, że śledztwo nie posuwa się naprzód. Może gdyby kulturalni nie zwędzili mu najbardziej obiecujących świadków...

Departament Policji Kulturalnej, w skrócie DPK, lubił bruździć politycznym. Te dwie formacje zajmowały ten sam szczebel w hierarchii, a ich kompetencje się przenikały. Kulturalni wyłazili ze skóry, by napsuć konkurentom krwi, choćby poprzez pretensje do świadków, którzy nagle okazywali się tajnymi współpracownikami DPK. Rzecz jasna polityczni w odwecie czynili tak samo.

– Co widziałeś?! – ryknął na przesłuchiwanego Strobl, tępe bydlę o sadystycznym zacięciu. – Pracujesz tam, do cholery, czy nie?!

– Pracuję, tak, pracuję... – wymamrotał tamten, kuląc się na rozklekotanym zydlu. – Ale n-nie widziałem...p-pana von P-Petza...

Strobl nagle chwycił stolik i zwalił go na bok, torując sobie drogę do świadka.

Otto cmoknął z niesmakiem.

– Wystarczy. Wyprowadzić – mruknął spod ściany. – I posprzątać, nie będę siedział w tym chlewie. Z następnym świadkiem rozmówię się osobiście.

Ani Strobl, ani jego kompan nie oponowali. Wynieśli starca, przetarli podłogę śmierdzącą szmatą i ustawili meble na pierwotnych miejscach. Gdy skończyli, do pokoju wprowadzono niejakiego Hahna, operowego

stróża, który spóźnił się na poranną zmianę i został odłowiony z kręgu gapiów.

Skryty w mroku, Steinberg z uwagą przyglądał się wchodzącemu. Patrzył, jak strażnicy sadzają go na zydlu, jak częstują serią kuksańców i kopnięć. Krępy mężczyzna przyjmował to obojętnie.

Otto odczekał dłuższą chwilę po wyjściu strażników. Chciał, by ofiara dojrzała. Zniecierpliwienie i strach przed nieznanym kiełkowały z różną prędkością – u jednych rychło, u innych zaś dopiero po kilku dniach aresztu. Mimo wszystko warto było podsycić je tuż przed przesłuchaniem.

Nie minął kwadrans, gdy Hahn począł się rozglądać, wiercić i chrząkać. Urządzenie pokoju, panujący w nim zaduch i jęki dochodzące zza ściany zaczynały przynosić efekt. Trzeba jednak było drugiego kwadransa, by operowemu stróżowi zupełnie puściły nerwy.

– Długo mnie tu będziecie trzymać?! Mam robotę, dzieci do wykarmienia! Kto mi dniówkę wypłaci?! Wy?!

Nikt nie odpowiedział.

– Uczciwych ludzi ściągacie z ulicy, wywozicie diabli wiedzą, gdzie, a teraz co?! Rozmyślili się, wielcy panowie polityczni?!

– Bynajmniej – rzekł w końcu Steinberg.

Hahn wzdrygnął się na dźwięk jego głosu. Otto ruszył powoli naprzód, dbając, by każdy krok wybrzmiał głośno i wyraźnie. Obszedł Hahna od tyłu, minął stolik i usiadł naprzeciw stróża. Patrzył nań długo i uważnie, póki niewypowiedziana groźba, która zawisła w katowni, nie złamała w przesłuchiwanym oporu. Wreszcie stróż skurczył się, zgarbił, zaklął i westchnął.

– Dobrze, już, dobrze. Co chcecie wiedzieć?

Otto wciąż uporczywie milczał.

– Widziałem go. O to wam chodzi, tak? Tak?

Steinberg walnął lewą pięścią w stół. Kawał drewna odpadł od blatu i zastukotał na podłodze. Strumień gorącej pary buchnął z wywietrzników w rękawie Ottonowego płaszcza, gdy trybiki mechanizmu dostosowywały się do nowej pozycji ramienia.

– Chcemy prawdy, Hahn. Nagiej prawdy – syknął.

– Wyznam wszystko – zadeklarował Hahn, mimo lęku w oczach.

– Zamieniam się w słuch.

– Wiecie, że zmianę o ósmej zaczynam. Wiecie, że o ósmej mnie w operze nie było. Zapiłem wczoraj, kum wpadł z okowitką, na wspominki się zebrało...

– Do rzeczy.

– O wpół do dziewiątej byłem dopiero na Rosengasse. Gazetkę jeszcze u Karla na rogu kupowałem, kiedy coś mnie podkusiło i rzuciłem okiem na operę. Zastygłem, jak słup soli jakiś, Karl mi gazetkę podaje, a ja nic.

– Bo?

– Coś się działo na dachu. Ruch jakiś, a widzieliście, by ktoś po dachach dla zabawy skakał? Mrużę oczy, wzrok wytężam, a tam człek jakiś na gargulca się wspina. Myślę sobie: no zleci, kark skręci, tyle będzie.

– I zleciał – mruknął Otto znużony.

– Ano nie.

– Nie?

– Nie. – Hahn pochylił się nad stołem i zniżył głos. – Podchodzę bliżej, patrzę, a na dachu nie jeden, a dwóch ludzi siedzi! Tyle że ten drugi dziwny jakiś, wielki i cały czarny. Ale nie czarny, jak to inni, w płaszczu czy we fraku ciemnym, ale cały w mrok odziany.

– Konfabulujecie, Hahn – warknął Steinberg, a para znów buchnęła spomiędzy szwów płaszcza.

Hahn skulił się, pochylił łysawą głowę.

– Nie, przysięgam! To ten człowiek dopadł von Petza!

Steinberg milczał chwilę, układając w głowie rewelacje stróża. Żaden świadek ich nie potwierdził. Mimo wszystko Otto odnosił wrażenie, że to Hahn jako jedyny nie łże.

– To... monstrum. Jak wyglądało?

– Z daleka patrzyłem, jakieś kontury, gmatwaninę widziałem, ale nic konkretnego. Że to Freiherr von Petz, ba, że to szlachetka w ogóle, dowiedziałem się, jak mnie już tu wieźliście.

– Gardzicie szlachtą, Hahn? – zapytał Steinberg. – Cieszy was ta śmierć? Może żałujecie, że to nie wy sprzątnęliście błękitnokrwistego?

– Co? – Stróż wybałuszył oczy. – Ja? Nie... nigdy w życiu!

– Strobl! – zawołał Steinberg. Śledczy w mig zmaterializował się w progu. – Zostawiam panów, mam coś do załatwienia – rzucił na odchodne.

***

Morderczy prawy prosty wstrząsnął światem Steinberga. W ostatniej chwili uniknął lewego sierpa, który jak nic zwaliłby go z nóg. Odpowiedział serią ciosów na korpus przeciwnika – barczystego zawalidrogi o żółtych ślepiach gada. W oczy bestii zajrzało widmo porażki.

Publika, ciasnym kręgiem otaczająca walczących, ryczała nieludzko, bluźniąc i chlapiąc piwem. Pod nogami Steinberga wylądował kufel. Szkło rozprysło się w drobny mak. Otto rzucił tłumowi wściekłe spojrzenie, co przypłacił mocnym hakiem na podbródek. Zatoczył się, ale ustał. Wiedział, że musi szybko skończyć walkę. Napięcie w piwnicy rosło.

Unikiem wywinął się spod kombinacji krótkich prostych. Trybiki lewej ręki zarzęziły z cicha, zębatki pokąsały stal, a para buchnęła, furkocząc pasami porwanej koszuli. Metalowa pięść łupnęła draba w szczękę. Kość pękła, a przeciwnik Steinberga padł mu do stóp z rozwidlonym językiem wywalonym na wierzch.

To nie przypadło do gustu klienteli *Alptraumbeisla*. Fala gniewu wezbrała wokół komisarza, szalonego na tyle, by zapuścić się do miejsca schadzek wywrotowców, szpiegów, morderców i terrorystów, połączonych jedną ideą – nienawiścią do cesarza i jego sług, w tym zaś przede wszystkim do politycznych.

Otto liczył na małą bójkę, w której zostałby zaatakowany jako pierwszy. Zyskałby wówczas powód, by wywrócić *Alptraumbeisla* do góry nogami. Potrzebował uzasadnienia dla przełożonych, którzy wprawdzie dawali milczącą zgodę na przemoc, ale panicznie bali się zamieszek. Pamięć o dwóch wojnach domowych była wciąż żywa w kręgach najwyższej władzy.

Poza tym Otto tęsknił za walką. Cieszył się nią w pierwotny, zwierzęcy sposób. Z pasją tłukł trupioblade oblicza, wybijał zęby, łamał szczęki, łuki brwiowe i haczykowate nosy. Czerwona i czarna krew zachlapywała mu

oczy, a szponiaste łapska targały jego odzienie. Miał to za nic. Znów był na froncie, znów walczył o życie i je odbierał. Przeciwnik się nie zmienił, nienawiść została ta sama. Jakże szybko owionął go smród okopów, potu, fekaliów i gnijących ciał. Jakże tamten ból przypominał Ottonowi ten, gdy cios holdy rzucił go na kolana, a kopniak fafnira wgniótł w posadzkę niby robaka. Wyrwał się spod gradu uderzeń i dobył rewolweru. Metalowe, połyskujące platyną ramię drżało, gorące od pary i cuchnące smarem.

Zbity w kupę wróg wyczekiwał jego ruchu. Szkarłatne, srebrne i czarne jak noc hipnotyzujące ślepia wwiercały mu się w mózg. Czyżby dziś postęp ulec miał starej, ciemnej magii?

– Mało ci, hyclu? – zapytał, wychodząc na czoło grupy, brodaty niks o spuchniętej twarzy i wodnistych oczach. Z jego zgrzebnej, przepasanej liną szaty obficie ściekała woda. – Z bronią w ręku toś odważny, co? Reszta hycli pewnie czeka za ścianą. Sprytnieście to sobie ułożyli.

Niks kroczył zuchwale, a oczy nabiegły mu krwią. Steinberg nie cofał się, był gotów do dalszej jatki. W bębenku rewolweru tkwiło sześć kul. W pochewce na udzie czekał krótki nóż. Sztuczne ramię ostygło, pokłady pary kłębiły się w miedzianych rurach.

– Wołaj ich, wołaj śmiało – syknęła zza pleców niksa zakapturzona, smukła holda. – Chętnie was pokosztuję.

Atmosfera gęstniała, a staromagiczni wciąż napierali. Otto czuł, że traci kontrolę. Ulgę przyniósł mu nagły powiew chłodu ciągnącego od drzwi. Ze zdziwieniem patrzył, jak żelazna, zdawałoby się, determinacja przeciwników kruszeje z każdym krokiem. Zmory, alpdrücki i holdy chyłkiem wracały na miejsca. Przewaga topniała, choć Otto nie pojmował, czemu. Po chwili stał przed nim już tylko brodaty niks. I ktoś, kto krył się za plecami staromagicznego.

Chłód zastąpił trzaskający mróz. Przyobleczona w czerń postać wyrosła zza brodacza. Śnieżnobiała twarz zawisła mu nad głową jak uliczna latarnia, lecz z pustych, zasinionych oczodołów nie padł choćby promyk światła. Jasne, łyskające złotem pukle spłynęły na lico Ingi von Strigg, muskając ostrą linię żuchwy. Bordowe, rozciągnięte w szerokim uśmiechu wargi obnażyły cztery rzędy ostrych zębów.

W *Alptraumie* zapadła grobowa cisza. Niks zatrzymał się i rozejrzał na boki, odkrywszy widać nagły brak wsparcia. Odwrócił się na pięcie i spotkał twarzą w twarz z podkomisarz DPK.

Von Strigg zaatakowała od razu. Wpiła się w szyję niksa, unosząc go znad posadzki. Brodacz nawet nie jęknął. Jego ciałem wstrząsnęły konwulsje, nogi wierzgały w spóźnionej próbie ucieczki. Po chwili obwisł w ramionach Ingi. Wypuszczone z uścisku ciało zwinęło się na podłodze jak brudna, mokra szmata.

Podniósłszy wzrok znad pozbawionego duszy ciała, Otto miał przed sobą już nie przerażającą, żywcem z koszmaru wyciągniętą postać, lecz zwyczajną blondynkę o niebieskich oczach i figlarnym uśmiechu, ubraną niecodziennie, bo po męsku. Von Strigg kciukiem otarła wilgotne kąciki ust i, podchodząc do Steinberga, wyjęła zza pazuchy papierośnicę. Po drodze nachyliła się nad świecznikiem, zaciągnęła odpalonym odeń skrętem, i stanęła przed komisarzem osnuta szarą mgiełką dymu.

– Komuś tu się przykrzy za biurkiem, co? – zapytała chropawym głosem. Chwilę patrzyła mu w oczy, jakby szukała w nich dawnej iskry. – Chodźmy, trzeba cię opatrzyć – dodała, po czym obróciła się na pięcie i ruszyła ku wyjściu z piwnic *Alptraumbeisla*.

Otto z wahaniem podążył jej śladem.

***

Opory nie minęły, gdy stanął u stóp kamienicy w której mieszkała von Strigg.

– Co ty, zgubiłeś się? – spytała Inga drwiąco, wyjrzawszy przez uchylone drzwi. – Nie udawaj, że zapomniałeś piętra. No, chodź! – ponagliła.

Steinberg usłuchał. Coraz bardziej doskwierało mu zmęczenie i ból po walce w *Alptraumie*. Z rozciętego łuku brwiowego sączyła się krew, a stłuczone kolano co rusz odmawiało posłuszeństwa, nie wspominając o pomniejszych obrażeniach.

Z ulgą zamknął za sobą drzwi mieszkania Ingi i rozsiadł się w miękkim, przyjemnie chłodnym fotelu w kącie salonu. Panował w nim mrok, z którym ledwo radziła sobie świeczka w kandelabrze na okrągłym stoliku.

Steinberg zsunął się po oparciu fotela, przymykając oczy. W zakamarkach pomiętego płaszcza odszukał fajkę. Niestety, była złamana, ktoś pewnie nastąpił na płaszcz podczas awantury. Zrezygnowany, Otto sięgnął ku papierośnicy von Strigg. Bez pytania, jakby echo dawnych uniesień dawało mu prawo do bezczelności. Zapalił.

Inga weszła do salonu z naręczem bandaży, gazy i buteleczką spirytusu. Rozłożyła cały ten arsenał na stoliku, a sama przycupnęła na podłokietniku fotela, zakasawszy rękawy koszuli. Krawat miała obluzowany, błyszczące guziczki przy kołnierzu były odpięte. Otto spuścił wzrok.

– Jak mnie znalazłaś? – spytał, by przełamać niezręczną ciszę.

– Pomyślmy... Gdzie polityczny szukałby winnych zabójstwa arystokraty? W kościele? Może na cesarskim dworze? Nie... czekaj...

– Czyli też dostałaś von Petza? Czemu?

– Och, Otto... – Inga parsknęła cicho. – Ty go dostałeś, bo to szlachetka, a ja, bo nie spadł z chlewu, tylko z dachu cholernej opery. Nie szukałabym w tym drugiego dna.

– Czyżbyś krytykowała cesarskie służby? Ocierasz się o konspirację.

– Dziś już chyba każdy jest podejrzanym, każdy ma swój ogon, swój cień, setkę uszu przylepionych do drzwi. Nic się nie stanie, jak czasem wymsknie mi się nieopatrzne słówko – rzuciła cierpko. – A teraz zaciśnij ząbki. Będzie szczypało.

Zwilżyła gazę alkoholem i przyłożyła ją do brwi Steinberga, by zetrzeć zakrzepłą krew. Ottona przeszedł dreszcz, gdy zimne palce Ingi musnęły skórę. Choć umysł chciał zapomnieć, ciało pamiętało wszystko.

– Już nie udawaj, że boli – napomniała go. – Nie będę cię żałować. Nie te czasy, mój drogi.

***

– Co u ciebie słychać?

Inga spoczywała na szezlongu, ćmiąc papierosa. Otto siedział naprzeciwko, w tym samym fotelu co wcześniej.

„Już mi się nie śnisz" – chciał powiedzieć, lecz zmilczał.

– Po staremu – rzekł w końcu.

– A z Petrą?

– Bez zmian.

– Przykro mi.

Szukał w jej głosie nieszczerości, łgarstwa skrytego pod woalem współczucia. Rozstali się w dniu, gdy po powrocie do domu zastał Petrę siwą, milczącą i ślepą. To, w czym Inga widziała nowy początek, dla Ottona było końcem. Nie wyobrażał sobie, że mógłby dalej brnąć w romans przy takich okolicznościach. Inga ponoć rozumiała. Ale czego naprawdę życzyła Petrze, mógł się tylko domyślać.

– Von Petz... Macie jakieś tropy? – zmienił temat.

– Kulturalna ma pomagać politycznemu? – zadrwiła. – Nie. Nie mamy absolutnie nic. Informatorzy z opery ledwo go znali. Von Petz dla nas nie pracował, nie mamy go w żadnych rejestrach. Tuszę, że i u was pusto.

– Zwykły, szary człowiek.

– A za wojny? Bo że był z niego cesarczyk, to wiem.

– Jakaś nędzna robota w zaopatrzeniu. Oficerski stopień miał, ale kariery nie zrobił.

– Nie to, co ty – rzekła Inga ni to z wyrzutem, ni to żartobliwie.

Puścił zaczepkę mimo uszu. Siedzieli tak w milczeniu, on – oficer jazdy, któremu za pierwszej wojny zaklęcie alpmanna oderwało rękę, i ona – więźniarka numer 9520 obozu dla staromagicznych w Regenbogen, gdzie podczas drugiej wojny funkcję raportowego pełnił nie kto inny, jak Otto. Tam się poznali. Dwie ofiary dwóch wojen, z których każda toczyła się o to samo. O magię, której staromagiczni strzegli przed złaknioną postępu tłuszczą, chcącą wykorzystać ją do rozbudowy tego, co materialne. O magię i pieniądze, które rzekomo mogli wyczarować znikąd, a którymi nie chcieli się dzielić z ludem głodującym na ulicy.

Otto nie wiedział, dlaczego akurat Ingę chciał chronić. Zajedno było mu, co dzieje się z resztą osadzonych. Zwykle łatwo odwracał wzrok od okrucieństw blokowych, kierownika czy komendanta. Ale nie, gdy dotyczyły Ingi. Wprawdzie nie mógł powstrzymać badań, które prowadzili na niej obozowi lekarze, ale gdzie tylko się dało, tam pilnował, by nie spotkała jej

krzywda. Tylko dzięki temu przeżyła niewolę, a gdy czasy stały się sprzyjające, Otto wyjednał dla niej zwolnienie z obozu. Warunki były dwa – wydanie wszystkich obozowych spiskowców i bezwarunkowa służba cesarzowi. Inga zgodziła się bez namysłu. Czasem wypominała Ottonowi, że ją do tego zmusił. On twierdził, że dławią ją spóźnione wyrzuty sumienia.

– Co tak tyka? – spytał, nagle zirytowany natarczywym dźwiękiem.

– Ach, miałam ci pokazać! – zawołała, wstając z szezlonga.

Otto ruszył niepewnie jej śladem. Przeszła do sypialni i pochyliła się nad stojącym na komodzie, przypominającym maszynę do pisania urządzeniem ze szklaną, elipsoidalną bańką i miedzianym ustnikiem. Tykanie dobiegało spod bańki, gdzie malutka igła skakała po rozpiętej kartce papieru, dziurkując ją ze zmienną częstością. W środku elipsoidy unosiła się ciemna chmura, przywodząca Ottonowi na myśl znajomą twarz niksa.

– Co to, u licha?!

– Seelensauger. Wielki sukces cesarskich naukowców. Owoc eksperymentu numer 9520 – odparła zagadkowo. – Skradziony z obozu, po latach odnaleziony przez bohaterską sierżant DPK, awansowaną na podkomisarza mimo jej wątpliwych powiązań. Później znów zniknął, tym razem z magazynu Departamentu. – Posłała Steinbergowi szelmowski uśmiech.

– Ty to ukradłaś? Cholera, Inga, jak się dowiedzą...

– To siedź cicho i nie zgrywaj służbisty – warknęła. – Potrzebuję go, Otto. Po wyjściu z obozu nie trawię już staromagicznych dusz. Odsysam je i skubię po kawałku. Inaczej choruję. Bardzo – dodała szeptem, a oczy miała zaszklone od łez.

Otto westchnął przeciągle i, nie mówiąc nic więcej, wziął Ingę w ramiona.

Później rozmawiali jeszcze długo, na przemian smucąc się, weseląc, spierając i złoszcząc. Potem zaś oboje zasnęli, każde w obranym przez siebie, strategicznym miejscu: Otto w fotelu, a Inga na szezlongu.

***

Fale silnego wiatru przetaczały się przez skromny kwadracik Friedenplatzu, szarpiąc gałęziami brzóz, wyrywając parasolki z dłoni eleganckich dam i strącając meloniki z głów mężczyzn.

Petra lubiła tu spacerować.

Wymięty i obolały po nocy spędzonej na fotelu, Otto odzyskiwał siły przy filiżance czarnej kawy i dwóch bajglach z szynką. Po drugiej stronie kawiarnianego stolika siedziała Inga, także z kawą i papierosem. Nie jadła, przed wyjściem do dna opróżniwszy bańkę Seelensaugera. Niks miał ponoć małą duszyczkę, którą mogła podzielić bez ryzyka choroby.

– Co planujesz dalej? – zapytała, strząsając popiół na bruk.

Otto wzruszył ramionami.

– Będę liczył, że kogoś najdzie ochota do zwierzeń. Na Schwarzgasse mam kilku kandydatów.

– Żaden nie powiedział dotąd nic ciekawego?

– Swoimi się zajmij – burknął.

Inga błysnęła wszystkimi czterema rzędami zębów, a błękit jej oczu przygasł. Już szykowała cierpką replikę, jednak nim uraczyła nią Ottona, z głębi Friedenplatzu doszedł ich głośny, rozpaczliwy wrzask. Jak na rozkaz poderwali się z krzeseł i ruszyli w kierunku, z którego dochodził krzyk.

Z każdym krokiem makabryczna scena nabierała kształtów. Usmarowane krwią ciało leżało rozciągnięte na bruku między ławką a brzozą. Steinberg rozpędził gęstniejącą wokół grupkę spacerowiczów, a Inga pochyliła się nad trupem.

– I co? – zapytał.

Posłała mu drwiący uśmieszek, mówiący: „Badaj go sobie sam".

– Bez serca, jak von Petz – rzekła w końcu. – Nie znam go. A ty?

Otto przyjrzał się uważnie zaniedbanej, brudnej twarzy.

– Nie – mruknął. – Czy ktoś z państwa widział, co zaszło? – zagadnął trzymających się na uboczu ludzi. – Spacerujecie w tę i we w tę po pięć razy, trup na środku placu by wam raczej nie umknął.

– Oczywiście, że nie. – Przed szereg wystąpił otyły dżentelmen w przyciasnym surducie. Monokl w prawym oku mężczyzny samoistnie wysuwał się i chował na wzór teleskopu.

– Więc?

– Gdy przyszliśmy tu z Margarete, trupa nie było. Na pewno, panie władzo. Spacerowaliśmy właśnie środkiem.

– To prawda – wtrąciła partnerka grubasa, ujmując go pod ramię. – Żadnego ciała, a tu nagle, po którymś kółeczku, bach! Jakiś pan cały we krwi leży pod brzózką.

– Bach, mówi pani... Zabójcę ktoś widział? Denat nie spadł przecież z nieba.

– A wiadomo to, panie władzo? – włączył się do rozmowy jakiś mikrus z muszkieterskim wąsem. – Na Rosengasse ponoć tak właśnie stary von Petz skończył.

– Czyli jak zwykle, tak? Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał? Ofiary też nie znacie? – zapytał Otto z rezygnacją. Wizja kolejnych daremnych przesłuchań wyjątkowo źle go nastrajała.

– Widać przecież, że to wagabunda jakiś. Brudny, śmierdzi jak stodoła, przyodziewek chyba drugą wojnę domową pamięta – znów odezwał się ten z monoklem. – Jak nie pierwszą.

– A ty pamiętasz? – Z boku odezwał się ktoś, kogo Steinberg wcześniej nie widział.

Oczy wszystkich zwróciły się ku śniademu mężczyźnie z siwymi warkoczami, który – wyprężony jak struna – siedział na ławce tuż obok zwłok. Choć pytanie mogło być skierowane tak do grubasa z monoklem, jak i do Steinberga, mężczyzna patrzył prosto w oczy komisarza, rozwiewając wszelkie wątpliwości.

Otto ruszył w jego stronę, podobnie jak Inga. Poorana zmarszczkami twarz starca nie zdradzała choćby cienia emocji.

– Mówiliście coś, przyjacielu? – spytał ze wzgardą.

Czerwonoskórych było w cesarstwie niewielu, a ci, którzy już się w nim znaleźli, przywiezieni zza oceanu na pokładach statków, pełnili zwykle niewolną posługę na rzecz możnych.

– Pytałem, czy pamiętacie wojnę, komisarzu Steinberg – wycedził tamten.

– Wyglądam ci na oseska? – Otto oparł but o siedzisko ławki i nachylił się nad mężczyzną.

– Nie. Choć zdajesz się równie zagubiony.

– Co to ma znaczyć? – warknęła Inga. – Mówisz do przedstawiciela prawa!

– Czego? – spytał czerwonoskóry, przekrzywiając głowę.

Uderzenie stalowej pięści wypchnęło go z ławki, gruchocząc drewniane oparcie. Starzec upadł na plecy, zasypany drzazgami. Otto przeskoczył siedzisko i już, już miał chwycić mężczyznę za klapę płaszcza, gdy ten rozpłynął się w powietrzu. Oniemiały komisarz powiódł wzrokiem dookoła.

Czerwonoskóry stał trzy sążnie dalej, wsparty ramieniem o latarnię. Steinberg warknął wściekle, dobywając broni. Inga tymczasem gnała już ku mężczyźnie, wzywając go do poddania się. Choć stłuczone kolano utrudniało sprawę, Otto starał się dotrzymać kulturalnej kroku.

Z Friedenplatzu dali nura w wąską gardziel zaniedbanej uliczki. Przewaga uciekiniera topniała, miał jednak w zanadrzu swe kuglarskie sztuczki. Skorzystał z nich, gdy von Strigg wyciągała już ku niemu rozcapierzone palce. Skłębiony obłok buchnął jej w twarz, alejkę spowiła mgła, a mężczyzna zniknął.

Więcej już się nie pokazał.

***

– To tutaj – wyszeptał fafnir, kuląc się za załomem podmiejskiego kanału.

– Na pewno to ten właz? Nie chciałbym dostać pogrzebaczem w łeb, ledwo się wychylę.

– Tak, komisarzu, tak. – Informator kiwał zapamiętale głową. – Drabinkę dostawicie i będziecie w spiżarce *Alptrauma*. Właz zostawiłem otwarty, jak kazaliście.

– A ten śniady kuglarz? Widziałeś go tam?

Fafnir uciekł na bok gadzim wzrokiem, zjeżył srebrzystą łuskę. Nie chciał mówić.

– Co z moją Klarą? Wypuścicie ją? Ciągle tylko obiecujecie, za nos wodzicie...

– Wypuścimy, wypuścimy. Nic się nie bój – zapewnił Otto. – Więc?

– Bywa tam, chyba kwaterę najmuje na piętrze. Dziwny typ.
– A teraz? Jest u siebie?
– Ch-chyba tak – zająknął się fafnir, przestępując z nogi na nogę.
– Świetnie. Panowie, wchodzimy – rozkazał Otto.

Grupa uderzeniowa, składająca się z najgorszych zakapiorów, jakich DPP i DPK miały pod ręką, ruszyła naprzód. Jako że von Petza znaleźli polityczni, a brodacza z Friedenplatzu zgarnęła Inga, wspólne śledztwo wydało się „górze" zasadne. Przełożeni Steinberga kręcili nosem, ale jemu było wszystko jedno.

Chciał tylko złapać mordercę.

***

Zgodnie z obietnicą fafnira, właz był otwarty. Funkcjonariusze cichcem wtłoczyli się do spiżarni *Alptrauma*. Otto wszedł tuż za nimi.

Wkrótce piwnicą wstrząsnęły grzmoty wystrzałów, kakofonia krzyków, bluzgów, tłuczonego szkła i trzasku pękających kości. Otto nie brał udziału w walce. Przemknął chyłkiem przez piwnicę i parter, który opanowała już druga grupa uderzeniowa. Gdzieś w tym chaosie mignęły mu jasne włosy Ingi, lecz nie zależało mu na spotkaniu. Przeciwnie, chciał dopaść czerwonoskórego sam. Były bowiem szczegóły śledztwa, którymi Otto nie podzielił się z dawną kochanką. Zataił, że zarządzany przez von Petza pion dostarczał sprzęt badawczy do obozu Regenbogen. Przemilczał też tożsamość drugiej ofiary, w której rozpoznał podległego mu niegdyś blokowego. A może i tak wiedziała? Może to ona taiła fakty przed nim, dając złudne poczucie przewagi?

Z bronią w ręku, pospiesznie wszedł schodami na piętro. Lokatorom zdążyła się już udzielić zbiorowa histeria. Klękali, padali Steinbergowi do stóp, błagali i zawodzili, byleby dał im spokój. Większość nie należała nawet do staromagicznych. Tylko piwnice *Alptraumbeisla* nosiły piętno konspiracji. Na powierzchni lokal udawał legalną gospódkę dla uczciwych mieszkańców i przyjezdnych.

Steinberg roztrącał spanikowane kobiety i mężczyzn, wymierzał kopniaki i ciosy rękojeścią rewolweru. Na motłoch szkoda mu było metalowej

pięści. Przetrząsał pokój za pokojem, w pogardzie mając baśniową prywatność i znany klechdom domowy mir. Nigdzie nie znalazł poszukiwanego starca, a pytani o niego histerycy bełkotali tylko i grzęźli w wykrętach.

Wreszcie wyważył kopniakiem drzwi ostatniego pokoju i wparował do środka z wyciągniętym przed siebie rewolwerem. Tym razem dopisało mu szczęście. Na widok czerwonoskórego usta komisarza rozciągnęły się w triumfalnym uśmiechu.

Mężczyzna siedział na podłodze nagi, ze skrzyżowanymi nogami, jego rdzawobrązowa skóra lśniła w nikłym blasku świec. Miał zamknięte oczy, zawodził i szeptał coś pod nosem. Otto zbliżył się, uśmieszek spełzł mu z twarzy. Dostrzegł zagadkowe, wpisane w okrąg znaki, które otaczały czerwonoskórego niczym fosa zamek. Otto nie poznawał żadnego z nabazgranych kredą symboli, ale domyślał się, że to stara magia. Nie dał dokończyć czaru.

– Wyłaź z kręgu! Wyłaź, albo odstrzelę ci łeb!

Starzec otworzył oczy. Widok Ottona wyraźnie go ucieszył. Szepnął jeszcze słówko, po czym niespiesznie wstał i wystąpił poza magiczną barierę. Rozłożył szeroko ramiona i kiwnął Steinbergowi głową.

– Chodźmy – rzekł, a wówczas pokój zajął się ogniem.

***

Duma czerwonoskórego skapywała ze złamanego nosa na podłogę katowni. Surowe spojrzenie znikło pod fioletem opuchlizny. Ostre rysy twarzy rozmyły się, wybełtane z krwią, sińcami i sczerniałą, przypaloną papierosami skórą.

Mimo to nie wyrzekł słowa.

– Zacznijmy od początku – zaordynował Otto, krążąc wokół starca jak krogulec nad szczurem. – Kawy? Papierosa? Może po bajgla kogoś wyślę?

Przesłuchiwany ani stęknął. Siedział nagi na zydlu i patrzył komisarzowi prosto w oczy. Strobl łupnął głową więźnia o blat stołu. Nie pomogło.

Steinberg tracił cierpliwość. Cudem wyszarpnęli go z łap kulturalnych, którzy rościli sobie do niego prawa. Doszło nawet do szarpaniny, którą załagodziła dopiero von Strigg. Stanęło na tym, że przekażą więźnia kulturalnym

po dwudziestu czterech godzinach od zatrzymania. Była piąta nad ranem. Ćwierć wyznaczonego czasu minęła bezowocnie. Nic nie wskazywało na to, by mieli coś osiągnąć.

– Wyjdź – warknął do Strobla.

Dryblas westchnął i opuścił katownię. Gdy zaskrzypiał rygiel, Steinberg ponownie odezwał się do przesłuchiwanego:

– Dałeś się złapać. Dlaczego, skoro wcześniej tego samego dnia uciekałeś?

– Zląkłem się. Później byłem gotów. – Czerwonoskóry wzruszył ramionami.

– Czemu zabiłeś tych ludzi?

– Nikogo nie zabiłem.

– To co tu robisz?

– Napawam się – rzekł z chłodnym triumfem.

– Czym, jeśli wolno spytać?

– Twoją niewiedzą. Niezrozumieniem, co się wokół ciebie dzieje.

– Nie pogrywaj ze mną. Ode mnie zależy, czy wyżyjesz.

– Nic się nie zmieniło, co?

– Rzucasz zagadkami. Co chcesz osiągnąć? Zanudzić mnie na śmierć? Świadkowie zeznali: ciała nie było na Friedenplatzu, pojawiło się znikąd, zupełnie jak ty. Mamy to na piśmie.

– Świadkowie? Mówisz o tej garstce przerażonych ludzi, którym groziłeś Schwarzgasse? Mieli się przyznać, że omijali trupa, że przechodzili nad nim i nie podnieśli larum?

– Czyli wszyscy to kłamcy. Poza tobą.

– Widzieli, co trzeba było widzieć. Nie widzieli, czego lepiej nie widzieć. Do tego ich przyzwyczailiście.

– A ty postanowiłeś zwrócić na siebie uwagę i oderwać mnie od świadków, z których mógłbym wycisnąć prawdę. Innymi słowy: celowo utrudniłeś śledztwo.

– Przeciwnie. Ja ci je ułatwiam.

Otto usiadł za stołem i westchnął. Choć więzień ewidentnie z niego kpił, Steinberg nie mógł uciec wrażeniu, że stary kuglarz to trop, który istotnie zbliża go do rozwiązania zagadki.

– Zaopatrzeniowiec, blokowy i ja, raportowy. Powiązania są oczywiste. Co łączy z nami ciebie?

– Nie pamiętasz – stwierdził czerwonoskóry po chwili. – Naprawdę nie pamiętasz. Właściwie nie powinienem się dziwić. Może... może to ci co nieco rozjaśni – rzekł, unosząc prawe ramię.

Otto od razu poznał wypalone tuż przy łokciu gwiazdki i numer pod nimi. Takie samo piętno nosiła Inga. Skąd pomysł na oznaczanie więźniów w ten sposób? Teorii było wiele. Ponoć pomysłodawcy gwiazdki kojarzyły się z iskrami, które krzesały niektóre z czarów. Na przykład ten, który pozbawił Ottona ręki.

– Kolejne igraszki. – Steinberg cmoknął z niesmakiem. – Wcześniej nie miałeś piętna.

– Widziałeś, co trzeba było widzieć.

Otto nie wytrzymał. Szarpnął się nad stołem, stalowa dłoń sięgnęła siwego warkocza i pociągnęła zań, aż więzień grzmotnął całym korpusem o blat. Otto owinął włosy starca wokół pięści i tak trzymając, zwrócił się do kuglarza:

– Dałem ci szansę. Marnujesz ją.

– Ty również – wyrzęził czerwonoskóry.

Otto zasypał go gradem wściekłych, pełnych frustracji ciosów. Potem zostawił broczącego, połamanego więźnia na stole, wezwał Strobla i wybył z katowni. Potrzebował świeżego powietrza, dobrego trunku i snu. Czuł, że inaczej zwariuje.

Złośliwy chichot losu objawił się przed nim w osobie posterunkowego Weinbergera, ściskającego w dłoniach jakiś kanciasty przedmiot.

– Czego? Wychodzę – warknął.

– Komisarzu, kazaliście przynieść wszystko, cokolwiek ostało się z pożaru w *Alptraumie*.

– No. – Otto zatrzymał się w pół kroku. – Co tam macie?

– Jedyna ocalała książka. Nienaruszona, mimo że ukryta pod poduszką, która spłonęła do szczętu wraz z łóżkiem.

Steinberg zmarszczył brew. Wyrwał księgę z rąk Weinbergera. Była stara i zakurzona, a wytłoczony na twardej oprawie napis niemal się wytarł. Otto

z trudem odczytał tytuł: *Serce z lodu albo gusła i zabobony plemion niewolnych do cesarstwa sprowadzone*. Na okładce nie było nazwiska autora.

– Dzięki, Weinberger. Dobrześ się spisał – mruknął, wsadziwszy książkę pod pachę. – A, ważna sprawa. Przejrzyjcie z łaski swojej rejestr więźniów obozu Regenbogen. Szukajcie więźnia numer 1879. Jak się czegoś dowiecie, od razu dzwońcie. Będę w domu.

***

Sen nie nadchodził. Z fajką w zębach i szklanką brandy w dłoni, Steinberg siedział rozciągnięty w fotelu, a zamknięta księga spoczywała mu na kolanach. Wzdragał się przed jej otwarciem. Odwlekał ten ruch, jakby nie chciał poznać rozwiązania zagadki, jakby nie dość się zmęczył i napocił podczas ostatnich trzech dni.

W salonie paliły się wszystkie światła. Przeciwnie do Ingi, której sztuczne, elektryczne światło przywodziło na myśl sale obozowego szpitala, Otto robił wszystko, by w żadnym kącie pokoju nie czaił się cień. Ot, pokłosie chwil grozy, gdy z urwaną ręką przeleżał noc na dnie okopu, przytulony do stygnącego truchła wierzchowca. Wróg wysiekł cały oddział Ottona. Aż po wschód słońca, gdy wraz z jutrzenką przybyły spóźnione cesarskie odwody, towarzyszył mu tylko mrok i pogruchotany zewłok siwka.

Steinberg pociągnął łyk trunku i na chybił trafił otworzył księgę. Pożółkłe, zakurzone kartki sprawiały wrażenie, jakby miały zaraz obrócić się w popiół. Były pełne symboli, opisów i niezrozumiałych inkantacji. Zawierały instrukcje dotyczące odprawiania rytuałów, rzucania klątw i przyzywania istot, o których Otto nawet nie słyszał. Różniły się od wszystkich znanych mu, zamieszkujących stolicę bytów.

Wzrok komisarza padł na osobliwą ilustrację, przedstawiającą dość prymitywną podobiznę człekokształtnego stwora o wilczym pysku i długich szponach. Choć cała postać była czarna, pośrodku jej korpusu ziała żółta – niegdyś zapewne biała – plama. Otto z trudem odczytał nazwę istoty: *wendigo*. Serce Steinberga zabiło mocniej. Nachylił się nad lekturą, nerwowo pocierając wąs.

Zrodzon ze wzgardzonej miłości, sam lodowate mając serce, ludzkiego wciąż pożąda. Z piersi, nieważne – niewieściej czy męskiej – wyrywa je krwawe, afektami wciąż tętniące i zabiera z sobą, ciało nieszczęsne ostawiając wronom. Ofiary swe dobiera, zadając śmierć li tylko tym, co z utraconym kochankiem dzielą cechy. Za dnia człek jakoby zwykły, nocą skórę bestii przyobleka, wilczą gębą straszy i zębami kłapie, a kto podle jego szponów wejdzie, żyw się nie uchowa. Salwacji szukać jeno w kręgu Anaszarów albo w ogniu warto. Śmiercią skończyć się musi tak ucieczka trwożliwa, jako i orężny opór. Li dwie tylko wspomniane solucje życie uratować mogą. I modlitwa, jeśli kto wierzący. Silny duch to mus, jeśli kto się na wendigo zasadza, opętać bowiem potrafi i człeka słabego na swe podobieństwo odmienić. Kto wątłe ma wnętrze i serce kruche, niechaj łowów na wendigo poniecha i pola ustąpi tym, co nie lękają się mroku

– przeczytał z szybko bijącym sercem. Poniżej zaś rozrysowano wspomniany krąg Anaszarów, kimkolwiek byli, z objaśnieniami do każdego znaku, który się na rzeczony krąg składał. Podobieństwo do symboli nabazgranych kredą przez czerwonoskórego było oczywiste.

Wstrząśnięty odkryciem, Otto dolał sobie brandy. Zasłużył. Policjant z jego stażem wie, kiedy trafia na przełom. Musiał jeszcze tylko złożyć w całość wszystkie porozrzucane elementy. I dowiedzieć się, kim jest tajemniczy więzień numer 1879.

Najpierw jednak postanowił wypić. Za siebie, za Petrę, za sprawę, za... Ingę.

I za światło.

***

Pałki wodne szeleściły, wzruszane słabym wiatrem. Tafla jeziora była spokojna, cicha, spowita gęstą, białą mgłą. Podobnie jak przybrzeżny lasek, intensywnie pachnący wilgocią i butwiejącym listowiem. Świt powoli wypierał mrok nocy.

Wsparty szponiastą łapą o pień sosny, wendigo patrzył na ciemne kontury szpitala. Zbliżył się, węsząc i strzygąc uszami. Nie przekroczywszy bariery lasu, sięgnął wzrokiem ponad ogrodem i werandą. W jednym z okien szpitala paliło się światło. Padało na plecy wątłej kobiecej postaci,

wyglądającej przez okratowaną szybę. Wiedział, że mimo ciemności patrzą sobie prosto w oczy.

Trwało to tylko chwilę, światło zaraz zgasło, a kobieta znikła w głębi szpitalnego pokoiku. Wendigo stał jeszcze w bezruchu, jakby liczył na jej powrót, lecz wkrótce dał za wygraną. Skute lodem serce wprawiało całe ciało w drżenie. By to wytrzymać, musiał biec. Znał cel gonitwy, odkąd wynurzył się z dna jeziora.

Gnał bez opamiętania, najpierw wzdłuż brzegu, później lasem, aż wreszcie wpadł między stołeczne kamienice i mknął dalej ciasnymi uliczkami miasta. O tej porze było jeszcze puste, ciche, jakby umarłe. Tylko sterowce patrolowały niebo, wiązkami sztucznego światła przeczesując teren.

Tropił. Od dobrych kilku mil czuł w nozdrzach zapach kolejnej ofiary. Mocna woń ambry wiodła go alejami, placami, mostami i zaułkami, kazała się wspinać na dachy i schodzić do kanałów. W końcu dopiął swego. Nadrzeczną promenadą szła smukła kobieta w meloniku i męskim, watowanym płaszczu. Stukot obcasów odbijał się od fasad czynszówek. Paliła papierosa.

Kilka sążni przed nią kroczył śpiesznie jakiś mężczyzna, także odziany w czerń. Patrzył co chwila przez ramię, a jego ciepłe, ludzkie serce biło coraz szybciej. W końcu rzucił się do ucieczki. Kobieta parsknęła cicho, cisnęła niedopałek do rzeki, po czym ruszyła tropem lękliwego jegomościa.

Pognał za dziwaczną parą. Usłyszał syk, a tuż po nim stłumiony jęk. W nozdrza wendigo uderzyła woń siarki, zmieszana z nutą krwi i jakimś ulotnym, nieznanym zapachem. Gdy stanął u wlotu uliczki, mężczyzna dogorywał. Wysoka, nad wyraz chuda postać trzymała go w garści, wpijając w miękką szyję zęby. Ofiara zapadała się w sobie niczym dziurawy balon.

Wendigo skoczył naprzód. Kobieta cisnęła weń pozbawionym duszy ciałem. Unik przyszedł bestii łatwo, podobnie jak atak. Ofiara może i była szybka, silna i zwinna, lecz to on miał serce z lodu. Mogłaby oberżnąć mu członki, rozłupać czaszkę i wyjeść oczy, a on przeżyłby i szukał okazji, by ją złowić. Była bez szans.

Tańczyli krótką chwilę w takt kłapnięć szczęk, gwizdu szponów, sapnięć i powarkiwań. W końcu, po serii ciosów przeciwniczki, wendigo

zdołał wrazić pazury w jej trzewia. Z odrazą wyszarpnął łapę z plątaniny jelit. Nie tam celował. Kobieta ze zdziwieniem dotknęła plamy wykwitłej pod mostkiem. Przerażona spojrzała na prześladowcę. Sięgnął ku jej sercu.

– Jak nie żona, to kochanka, co? – zapytał ktoś z boku.

Zaskoczony wendigo podskoczył, chybiwszy celu. Warknął, taksując intruza pełnymi gniewu, wilczymi ślepiami. Śniady mężczyzna o siwych warkoczach uśmiechał się doń spod ciemnej latarni. Stał pośrodku nabazgranego kredą okręgu, a po dłoni – niby pająk – skakała mu samotna, złota iskierka.

Wendigo uciekł, byle dalej od ognia. W tej samej chwili ranna kobieta upadła twarzą w błocko, a wiekowy czerwonoskóry roześmiał się w głos.

Umilkł, zaskoczony, ujrzawszy za sobą Steinberga.

***

Natarczywy dźwięk dzwoniącego telefonu wyrwał komisarza ze snu. Chwiejnym krokiem pospieszył do aparatu.

– Halo – wybełkotał.

– To pan, komisarzu? – W słuchawce zaterkotał głos Weinbergera.

– Nie, cesarz.

– Udało mi się dostać do archiwów z aktami obozu Regenbogen.

– I?

– Znalazłem więźnia numer 1879. Nazywał się Algon Quin.

Otto potarł wąs. Nieuchwytne skojarzenie zamajaczyło na skraju pamięci. Nagle zmarszczył brew.

– Nazywał?

– Tak. Według akt nie przeżył drugiej serii badań.

– Niemożliwe! – Uderzył pięścią w tarczę telefonu. – Ile miał lat?

– Dziewiętnaście.

– Co? Nie... To się kupy nie trzyma. Dziś miałby trzydzieści pięć. W celi mamy starca. Łże jak pies!

– Chyba... chyba tak. Tylko...

– Co „tylko”?

– Panie komisarzu, bo ja się trochę nie wyznaję na tych rejestrach. Tu jest, zaraz po nazwisku, jakby taka... dwójka w nawias wzięta.

– Dwójka? To znaczy... – Steinberg wziął w płuca potężny haust powietrza. – W obozie był drugi Algon Quin. Umarł syn, a ojciec żyje – stwierdził, gdy kawałki układanki złożyły mu się w całość. – Szukaj drugiego Quina. A więźnia dawaj do katowni. Zaraz będę.

– Tylko że... tu jest taki mały problem.

– Problem? Jaki problem?!

– Więźnia nie ma w celi.

Na te słowa krew odpłynęła Steinbergowi z twarzy. Zacisnął palce na słuchawce, aż pobielały.

– To go, do ciężkiej cholery, znajdźcie! – wrzasnął. – Ma czekać w katowni! – rozkazał i rzucił słuchawką.

Otarł spoconą twarz. Alkohol wciąż szumiał mu w głowie, a rewelacje Weinbergera mieszały się z realistycznym snem sprzed kilku minut. Przysiadł na komódce, wzdychając ciężko. Pytania kąsały go jak wściekły rój pszczół. Śnił już nieraz o Indze, śnił o tym, co robili i co będą robić. Ale to było dawno temu i sądził, że minęło bezpowrotnie. A teraz coś takiego. Nie wiedział, czy to zwykły majak, czy coś, czym powinien się zmartwić. Jej rana... upadek... strach. Wydawały się takie realne. A czerwonoskóry? Może to on sprowadził sen? I co miało znaczyć to cholerne pytanie?

„Jak nie żona, to kochanka, co?" – zupełnie jakby to on stał za szaleństwem Petry, co przecież nie było możliwe. Nie, na pewno nie.

Chodził w tę i we w tę po salonie, mamrocząc jak wariat. Głowił się, czemu najpierw był we śnie potworem, a potem nagle stał w zupełnie innym miejscu. Przed oczyma wciąż miał zdziwione oblicze starego kuglarza.

Sprawa ze zwykłego zabójstwa przepoczwarzyła się w coś osobistego, boleśnie dotykającego komisarza. Nie wiedział tylko, dlaczego.

Nagle zląkł się, że bestia wciąż obserwuje Petrę. Wykręcił numer do szpitala.

– Siostro, wszystko u was dobrze? – zapytał, gdy w telefonie rozbrzmiał głos opiekunki Petry.

– Ano, bez zmian, panie Steinberg. A stało się co?

– Nie kręcą się koło szpitala jakieś dziwne typki? Staromagiczni?

– Panie Ottonie, ja pana proszę! To porządny szpital – odparła siostra Ursula.

– To dobrze. W razie czego od razu dzwońcie na Schwarzgasse.

– Coś się dzieje? Jakiś pan niespokojny.

– Na razie nic, czym powinna się siostra martwić – rzekł kojąco. – A, jeszcze jedno. Przypomnijcie mi, z łaski swojej, jaka przyczyna stoi za chorobą Petry? Wieki temu o tym rozmawialiśmy, zatarło się to i owo.

– Panie Ottonie, myśmy przecież o tym nigdy nie rozmawiali. Nie chcieliście, nie mogliście słuchać – przypomniała siostra. – Zdaliście się w pełni na nas.

– Nieważne, siostro. Odpowiedzcie – polecił ostrzejszym tonem. Starej widać coś pomieszało się w głowie.

– Szok, panie Steinberg. Małżonka zobaczyła coś, co zachwiało jej światem, okaleczyło wiarę i zabrało chęć do życia. Petra wolała schować się głęboko w sobie, niż istnieć na zewnątrz.

– Mówiła kiedykolwiek, co zaszło? Macie jakieś hipotezy? Metafory mnie nie obchodzą.

– Nie. Odkąd przyprowadził ją pan do nas dwa lata temu, milczy jak zaklęta. Czasem tylko rzuca pojedyncze słowa, bez ładu i składu.

– Jakie?

– Cóż... to była chyba „mgła", „krew", „śniadanie" i... „potwór" – wyliczyła.

Otto bez słowa odłożył słuchawkę.

***

W amoku wybiegł z domu i pognał boso na Schwarzgasse. Przechodnie oglądali się za nim, szepcząc „wariat", lecz nawet tego nie słyszał. Zawładnęło nim olśnienie, które rozbłysło w steranym umyśle niby pierwsza, jarząca się dzięki starej magii żarówka.

Spisek. Wszystko było spiskiem Algona Quina, Ingi i... Weinbergera. Tkany po niteczce plan zniszczenia Ottona jawił mu się wyraźnie, jakby

sam go układał. Cynizm konspiratorów, ich wyrachowanie i zegarmistrzowska precyzja zasługiwały na uznanie. Lecz Steinberg ani myślał honorować zdrajców.

Z hukiem wpadł przez wrota Schwarzgasse, do dyżurnego wrzasnął tylko: „Gdzie posterunkowy Weinberger?!", a gdy ten wskazał podziemne archiwa, komisarz rzucił się biegiem w tamtym kierunku. Nieważny był już ból kolana, nieważna chwiejność kroków, cuchnący alkoholem oddech czy lecąca na łeb, na szyję reputacja.

W kilka susów pokonał wiodące ku piwnicom schody, a pasek szlafroka powiewał za nim niby wilczy ogon. Otto kopniakiem otworzył drzwi archiwum. Ujrzawszy pochylonego nad księgami Weinbergera, rzucił się nań z obłędem w oczach.

– Panie komisarzu, co... – Nie zdołał dokończyć posterunkowy, uderzony stalową pięścią w twarz.

Otto chwycił go za mundur, uniósł znad biurka i cisnął o ścianę.

– Ja ci dam, skurwysynu, pana komisarza! – wrzasnął i wymierzył Weinbergerowi kilka ciosów w brzuch.

– K-komisarzu... ja nie...

– Milcz! – krzyknął znów, zdzieliwszy policjanta otwartą dłonią w twarz. – Miałeś dyżur, gdy przyszła tu moja żona, tak czy nie?!

– C-co... j-ja n-nie wiem...

– Dwa lata temu! Dzień, gdy oszalała! Wiem, że pamiętasz!

– T-tak – wyrzęził posterunkowy.

– Po co przylazła? Hę? Gadaj!

– N-nie... wziął p-pan... kanap-pek... p-przyniosła...

Rzucił Weinbergera na podłogę i kopniakiem wcisnął go w kąt pomieszczenia.

– Co jej nagadałeś?! Co powiedziałeś, że zwariowała?!

– J-ja... po-pomyliłem się... po-powiedziałem do n-niej... I-Inga...

Stalowa pięść spadła na bark młodzieńca, łamiąc go z trzaskiem. Kość przebiła mundur i wyszła na wierzch.

– Durniu! Skończony durniu! – krzyczał raz po raz Otto. Nastąpił piętą na dłoń Weinbergera. – Gdzie ją wysłałeś? Do domu, jak każdy dyżurny?

Co?! Co tu zobaczyła, że oszalała, podły śmieciu?! Kibel?! Szatnię?!

– Nic! Nic nie widziała! Z-zaklinam się!

– Nie łżyj! – Wgniótł dłoń Weinbergera w podłogę. – Gdzie polazła?! Gdzie, kurwa, polazła?!

– Pod katownię! Byliście tam, pracowaliście nad więźniem! Pewnie... pewnie... was widziała...

– Tak lepiej – warknął Otto i kopniakiem pozbawił Weinbergera przytomności.

***

Przybycie Steinberga na Schwarzgasse wzbudziło spore zainteresowanie. Pobicie posterunkowego bynajmniej go nie rozwiało. Dlatego też, przydybany przez kolegów *in flagranti*, Otto musiał przebić się przez nich siłą.

Rewolwer Weinbergera odstraszył co bardziej tchórzliwych, resztę załatwiła stalowa pięść komisarza. Nie miał czasu na wyjaśnienia, którym i tak zapewne nikt nie dałby wiary. Poza tym podejrzewał, że lwia część politycznych była zamieszana w spisek przeciw niemu.

Pognał do katowni. Miejsce wyznań, konfesjonał zbity z krwi, potu i łez był tym, czego Otto potrzebował. Wiedział, że to tam czekają wszystkie odpowiedzi. Bo, o ile rozumiał motywacje Weinbergera, chcącego pchnąć własną karierę naprzód po trupie Ottona, i pojmował rolę Ingi – pałającej żądzą zemsty kochanki, o tyle postać Algona Quina wciąż pozostawała dla niego zagadką. Czuł jednak, że w pokoju przesłuchań wszystko się wyjaśni.

Gdy dotarł do żelaznych drzwi katowni, po piętach deptało mu czterech czy pięciu funkcjonariuszy. Wpadł do pokoju przesłuchań i zamknął drzwi od środka. Dla pewności zablokował klamkę krzesłem.

Odetchnął, mimo nawoływań policjantów. Poczuł się bezpieczny. Przymknął powieki. Mętlik w głowie nie ustawał.

– Zmęczony? – zapytał Algon Quin.

Stał w ciemnym kącie pomieszczenia, gdzie podczas zeznań zwykł przesiadywać Otto.

– Wiedziałem, wiedziałem, że tu będziesz! Nie uciekłbyś ot tak, dla zabawy.

– Jak i nie uciekłem od mojego syna, gdy wierciliście mu w głowie.

– No tak, dwóch Quinów. Jedyni w obozie, a ja zapomniałem – przyznał Otto z niesmakiem.

– Mogłem się przedstawić wcześniej, ale nie chciałem ci ułatwiać pracy. Dość ci pomogłem.

– Ale czemu ja? – Otto wystąpił naprzód. – Byłem tylko raportowym. Ani nie tłukłem was, jak blokowi, ani nie badałem, jak lekarze, ani nie głodziłem, jak kierownik.

– Tylko ty zostałeś. I tylko ciebie przeklął mój syn.

– Przeklął?! Za co, do cholery?

– Nie pamiętasz, jak do ciebie przyszedł? Jak błagał, byś zwolnił chorego ojca od pracy?

– Nie – zełgał Otto.

– Za to, jak przyjął odmowę, wskazałeś go do badań.

– Nie, Quin.

– Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa. Chleb i sól naszych czasów.

Czerwonoskóry wychynął z cienia i stanął twarzą w twarz z komisarzem. Oblicze starca nie nosiło choćby śladu tortur.

– I za to... za to zrobił ze mnie wendigo? – zapytał niepewnie Steinberg.

– Wendigo? – zdziwił się Quin.

– Czytałem twoją księgę. Magiczne monstrum o sercu z lodu.

Stary kuglarz spojrzał badawczo na komisarza. Po chwili jego twarz rozjaśnił lekki uśmieszek.

– Cóż... tę prawdę chyba musisz odkryć sam – rzekł. – A to ci pomoże. – Podał Steinbergowi kawałek kredy.

Otto zważył ją w dłoni, obejrzał z każdej strony.

Co więcej mi zostało? – spytał sam siebie.

Dla Steinberga sprawa przedstawiała się jasno: Inga znała Quinów jeszcze z obozu i razem z nimi uknuła plan zemsty na załodze Regenbogen. Młodszy z Indian przeklął Steinberga, a von Strigg uwiodła komisarza, by w przyszłości zniszczyć mu życie. W międzyczasie skorumpowała Weinbergera, który na dany znak wyjawił Petrze brutalną prawdę o jej małżonku.

Stary czerwonoskóry zaś pełnił rolę nadzorcy, zwłaszcza po śmierci syna. To w jego zgonie komisarz doszukiwał się spóźnionego działania klątwy. Quin senior zapewne ujawnił się, by sprawdzić, czy wreszcie odniosła skutek. Wnosząc z ostatnich wydarzeń, miał wszelkie powody do satysfakcji. Wspominał wszak, że z załogi obozu przy życiu ostał się tylko Steinberg.

Ukuta teoria zagnieździła się w umyśle komisarza i z każdą chwilą zyskiwała na wiarygodności. W misternej układance brakowało tylko jednego elementu, tylko on – Otto – jaśniał białą plamą na szkarłatnej mapie zbrodni. Musiał mieć pewność, że to on jest mordercą, zrodzoną z klątwy bestią bez krzty sumienia. Nie myślał już o spisku. Był tylko on i prawda, którą musiał z siebie wydostać.

Zaczął od kilku prostych, kierowanych do wnętrza pytań, które szybko przerodziły się w żądania.

Wyjdź! – rozkazywał bestii.

Wyłaź, mówię! – warczał, wbijając palce w trzewia.

Nie pomagało, od słów przeszedł więc do ciosów – najpierw otwartą dłonią, potem pięścią. Również bez powodzenia.

Nie zostało mu nic innego, jak usłuchać sugestii czerwonoskórego, który przyglądał mu się z uwagą. Puszczając mimo uszu wrzaski dochodzące zza żelaznych drzwi, komisarz minął Quina i zdjął ze ściany pas z narzędziami. Usiadł na rozchwianym zydlu, a narzędzia wraz z rewolwerem Weinbergera złożył na kolanach. Schylił się i zaczął rysować wokół zydla symbole. O dziwo, pamiętał je doskonale.

Gdy skończył, przemknął stalowymi opuszkami po narzędziach. Na Schwarzgasse lubili prostotę. Ufali staremu dobremu młotkowi, obcęgom, metalowym rurkom i rozgrzanym prętom. Na początek Otto wybrał młotek. Zamachnął się i z całej siły huknął w stłuczone kolano.

Noga wygięła się pod dziwnym kątem, a oczy zaszły Steinbergowi łzami, lecz prawda nie wyszła na jaw.

Opór przesłuchiwanego nie zniechęcił, lecz tylko zagrzał Ottona do dalszej pracy. Zacisnął palce na obcęgach, swoim ulubionym narzędziu. Zważył je w stalowej dłoni i już miał przystąpić do dzieła, gdy opadło go nagłe zwątpienie. Jednocześnie pożądał i lękał się bólu. Nie wiedział, któ-

rej części mózgu posłucha zbudowana na starej magii ręka. Dotąd działała bez zarzutu, lecz teraz to zbliżała się, to oddalała od rozpostartych palców prawej dłoni.

Otto trwał tak, tocząc trzecią wojnę domową. W końcu pokonał opór, wszak nad wszystko cenił konsekwencję. Obcęgi zacisnęły się na paznokciu serdecznego palca i na raz, dwa, trzy wyrwały go z osady. Trysnęła krew, a Steinbergowi zrobiło się słabo. Zadrżał na zydlu, lecz nie ważył się spaść poza krąg. Chciał prawdy, nie śmierci.

Po krótkich zmaganiach zabrał się za kolejny paznokieć. I następny. I jeszcze jeden, aż wszystkie pięć palców wieńczyły krwawe, tryskające krwią kikuty. Świadomość opuszczała go coraz częściej, ból trawił ciało, organizm opuszczały soki, a cholerna prawda wciąż nie wychodziła na jaw. Dla profesjonalisty pokroju Steinberga był to policzek.

Otworzył więc usta. Brudne, lepkie od krwi szczypce objęły górny siekacz. Komisarz rwał zęby w amoku, jęcząc i plując szkarłatem na lewo i prawo. Ciałem targały spazmy, kikuty palców płonęły ogniem, gdy z bólu zaciskał je na udzie. Płakał, gdy małe, zżółkłe perełki sypały mu się z ust wraz z poszarpanymi kawałkami dziąsła.

Prawda nie przychodziła.

Wówczas zdecydował się na krok ostateczny. Zważając, by nie przekroczyć granic kręgu, sięgnął po rewolwer, który wcześniej spadł na podłogę. Ucapił go stalową dłonią i, płacząc, przytknął do krocza.

– Zrobić z policjanta mordercę... – wyrzęził i pociągnął za spust.

Katownią wstrząsnął rozdzierający bębenki grzmot, który zagłuszył wrzaski Steinberga. Sparaliżowany bólem, komisarz zwalił się z zydla poza kredowy okrąg. Wówczas rozległ się inny krzyk, a raczej ryk, który jakimś cudem wyszedł z gardła Ottona. Silne konwulsje raz po raz wstrząsały jego ciałem. Nagle poczuł, jak coś w jego trzewiach pęka, jak wnętrze kruszy się i rozdziera na dwoje. Krzycząc, obserwował, jak z piersi wyłaniają się kończyste szpony, owłosione łapy, a wreszcie wilczy łeb i reszta potwornego cielska.

W tej samej chwili drzwi katowni otworzyły się, a za nimi, pośród tłumu policjantów, stała Inga. Skoczyła w stronę Steinberga i uklękła nad

nim, nic nie robiąc sobie ani z wendigo, ani z podpierającego ścianę Quina, który parsknął śmiechem.

– Nie ta strona, komisarzu, nie ta strona – rzekł z pogardą i opuścił katownię, mijając tłoczących się przy Steinbergu policjantów. – Jednak prawdę mówią, że pobieżna lektura nie uczy – dodał, gdzieś z odmętów Schwarzgasse.

Nikt nie zareagował. Nikt nie skoczył na Quina, nikt nie otworzył ognia do wyłażącej z trzewi Ottona bestii.

Inga gładziła go po twarzy, w kółko powtarzając tylko: „Mój biedny, mój kochany". Zaczęła zmieniać postać. Zawisła nad gasnącym ciałem komisarza i spojrzała nań pustymi oczodołami. Przez blade oblicze przemknął cień smutnego uśmiechu.

Otto rozejrzał się po raz ostatni. Nigdzie nie znalazł potwora, ani śladu rany na swojej piersi. Westchnął, przerażony.

Bodajby cię sumienie zżarło! – przypomniał sobie słowa prawdziwej klątwy młodego Algona Quina.

A potem osunął się w mrok.

***

Przeglądając się w sypialnianym zwierciadle, Inga otarła chustką krwawą łzę. Nie pierwszą wylaną przez niego i nie ostatnią wylaną za nim.

Ciaśniej zawiązała krawat, a na ramiona zarzuciła czarną, watowaną marynarkę. Syknęła cicho, gdy rana brzucha dała o sobie znać. Goiła się szybko, wszak niełatwo zabić strzygę.

Włożyła na głowę melonik i przekrzywiła go, by rondo przysłaniało oczy. Już miała wyjść, gdy nabrała ochoty na jeszcze jedno, przelotne spojrzenie. Podeszła do Seelensaugera i położyła dłoń na elipsoidzie. W środku szamotała się gęsta jak mleko, choć raczej szara niż biała, wykrzywiona twarzyczka. Inga czule pogłaskała bańkę, a przeczytawszy słowa, wydziurkowane igłą na kartce papieru, rozpromieniła się.

Dobrze było go mieć z powrotem.

Posłała urządzeniu całusa i opuściła mieszkanie.

Dobry humor opuścił ją, ledwie stanęła na bruku. Cel jej spaceru bynajmniej nie nastrajał do śmiechu. Zmierzała bowiem do szpitala psychiatrycznego, którego stałą lokatorką była małżonka Ottona.

Nie chciała odwiedzać Petry, niosła jej wszak przykrą wiadomość o śmierci męża. Wciąż nie rozumiała, dlaczego Steinberg to wszystko zrobił. Dlaczego skatował jakiegoś szczeniaka, dlaczego stłukł politycznych i czemu... czemu torturował sam siebie. Czego chciał się dowiedzieć? Co odkryć? Inga nie pojmowała. Z trudem przyjęła też fakt, że podczas tortur prawdopodobnie chybił krocza i zamiast tego przestrzelił sobie tętnicę. To sugerował ostateczny raport. Polityczni mogli mieć w swych szeregach wariata, ale nie samobójcę. Tak czy owak, Otto umierałby kilka, może kilkanaście minut w niewyobrażalnym bólu. Wyssanie jego duszy było łaską. Tak przynajmniej zeznała podczas śledztwa.

Do szpitala mieli posłać któregoś z politycznych, ale nie znaleźli zbyt wielu chętnych. Poza tym, mimo oczywistej niechęci, czuła się w obowiązku przekazać Petrze smutne wieści jak należy. Byle chłystek ze Schwarzgasse tylko spartaczyłby sprawę, rzuciwszy parę suchych zdań bez troski o stan obłąkanej. Inga chciała, żeby zrobiono to dobrze. Tyle była tej kobiecie winna.

***

Dotarłszy pod szpital, przystanęła u stóp schodów. To tutaj, podczas gdy Otto zakatowywał się na Schwarzgasse, zastrzelono tajemniczego Algona Quina, który jakimś cudem zdołał uciec z aresztu. Żałowała, że nie zdążyła go przesłuchać. Była ciekawa, czy to on zabił von Petza i tego blokowego z Regenbogen.

Co jednak interesowało ją bardziej, to słowa, które czerwonoskóry wrzeszczał, wtargnąwszy do szpitala. Z ustaleń policji wynikało, że indagował personel o „prawdziwego wendigo" i żądał, by go doń zaprowadzono. Próby ujęcia zbiega spełzły na niczym. Pojawiał się w przypadkowych miejscach, znikał i materializował za każdym razem bliżej szpitalnych ogrodów. Gdy wpadł na werandę, śmiertelnie postrzelił go stróż. „Śmiertelnie" – tak stanowił raport, choć ciała nie odnaleziono.

Pomarudziwszy przy wejściu, Inga zdecydowała się przekroczyć progi szpitala. Pokierowano ją na tyły budynku, do ogrodu, gdzie pani Steinberg miała zażywać popołudniowego, chylącego się już ku zachodowi słońca.

Tam też ją zastała. Odpoczywała na werandzie, bujając się lekko w fotelu. Promienie padały na jej zmęczoną twarz i siwe włosy. Patrzyła przed siebie na jesienny las.

Von Strigg przycupnęła w progu, nagle zawstydzona i dziwnie skrępowana. Idylliczna scena zdała jej się świętością, której nie wolno psuć. Po chwili niepewność Ingi rozwiała sama Petra.

– No, chodź, chodź. Przecież słyszę, żeś przyszedł! – zawołała. – Widzisz, mówiłam, że im później, tym lepiej. Żadnej mgły, żadnej mgły! – mówiła radośnie, szczebiocząc jak podlotek.

Inga postąpiła naprzód i stanęła obok zmizerniałej, a mimo to wyraźnie szczęśliwej kobiety. Wiedziała, że powinna wyprowadzić ją z błędu co do swej tożsamości, lecz jakoś nie mogła się na to zdobyć.

Nagle kobieta chwyciła Ingę za rękę, palcami zimniejszymi nawet od dłoni von Strigg. Uśmiechnęła się do byłej kochanki męża.

– Słyszysz, jak pięknie szumi las? – zapytała.

W odległej gęstwinie Inga dostrzegła ruch.

– Piękny dziś dzień... zaiste, piękny. Poszłabym do opery... O, albo na przechadzkę Friedenplatzem! To jest myśl, czyż nie? – zapytała Petra.

Między drzewami zamajaczyło wielkie, włochate cielsko. Inga szarpnęła się, chcąc wyrwać dłoń z uścisku obłąkanej.

Na próżno. Petra trzymała zbyt mocno.

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/28836

Filip Duval – mól książkowy i kanapowy znawca kina. Miłośnik produkcji z czasów polskiej szkoły filmowej oraz Złotej Ery Hollywood, namiętny czytelnik literatury poświęconej dziewiętnastemu stuleciu i okresowi międzywojnia, a także pasjonat komiksu retro i neo-noir.

Mistrz i Małgorzata

Magdalena Ostrowska-Dołęgowska

W szarawym świetle gasnącego dnia dom wyglądał tak, jak Robert go sobie wyobraził. Ponura, porośnięta bluszczem posiadłość, odbijająca się w spokojnej tafli jeziora, była idealną scenerią dla twórczego umysłu pisarza. Podjechał bliżej i zgasił silnik. Mgła w oddali sunęła powoli, to odsłaniając, to zasnuwając bielą kolejne fragmenty lasu, a na przedniej szybie osadzały się maleńkie kropelki. Nad drzwiami wejściowymi rozbłysło światło. Robert wyczekiwał pojawienia się gospodarza, lecz kątem oka złowił ruch we wstecznym lusterku. Obrócił się gwałtownie i drgnął, gdy tuż obok jego ucha rozległo się stukanie.

– Pan Sanders? – zapytał mężczyzna, którego twarz pojawiła się za szybą. – Och! Wystraszyłem pana. – Zaśmiał się przepraszająco, gdy Robert otworzył drzwi. – Rowan Stone. – Gospodarz wyciągnął dłoń na powitanie.

– Zapaliło się światło – wyjaśnił Robert, wciąż poruszony.

– Ach! Musieli wreszcie włączyć prąd. Zapraszam.

Wewnątrz było ciemno, ponuro i chłodno, a na domiar złego już od progu do uszu dobiegała irytująca pieśń niedokręconego kranu.

– Światło w sieni trzeba naprawić, myślałem, że to żarówka, ale widać to większy problem – rzekł mężczyzna, zapraszając Roberta i znikając we wnętrzu domostwa. – Tu jest kuchnia kaflowa, wody można nagrzać, herbatę ugotować. Jest i zwykła, gazowa.

Mężczyzna postąpił za nadzorcą. W kominku płonął ogień, wypełniając salon pomarańczową poświatą. Sięgające ziemi okna wychodziły na łąki, a sofa wyglądała na taką, w której można się wybornie zanurzyć na popołudniową drzemkę.

– Drewno jest w szopie za domem, a tam leży duży zapas świeczek. – Wskazał gestem w stronę szafek. Jego twarz poorana była zmarszczkami, a włosy znaczyła siwizna. Wyglądał jednak na silne chłopisko. – Ostatnio mieszkał tu himalaista, a przed nim taki dziwak i jedna stara aktorka. Wszyscy, co to nie szukają towarzystwa. – Spojrzał znacząco.

– Uciekli przez „duchy”? – zapytał Robert, starając się, by ostatnie słowo brzmiało zabawnie.

– Ach, czyli nagadali panu w miasteczku, że tu straszy. Może to i prawda… Ale tylko trochę! – zaśmiał się. – Lokatorzy narzekali na hałasy. Najmniej to przeszkadzało starej aktorce, bo i tak była głucha. – Zarechotał. – Dożyła tu swoich dni.

– To znaczy, że tu umarła? – zdumiał się Robert, a stary wzruszył ramionami.

– Na ganku ducha wyzionęła. W bujanym fotelu. Jakby tam ktoś łobuzował, to musi ona. – Mrugnął porozumiewawczo.

– Pan ją znalazł?

– Ano ja. Właściciele siedzą w Londynie, a moja rodzina opiekuje się tą posiadłością od pokoleń. Pokażę panu piwnicę. – Skinął głową i poprowadził gościa korytarzem. – Mówił pan, że książkę pisze? Co to będzie?

– Powieść grozy – odrzekł Robert, uśmiechając się nerwowo, gdy Rowan otworzył paskudnie skrzypiące drzwi.

– Fiu, fiu! – Stary pokręcił głową i zapalił liche światło.

Przypominające watę cukrową pajęczyny w kątach sugerowały, że dawno nikt nie zapuszczał się tutaj z miotłą.

– Tu jest pompa – wskazał gestem, gdy zeszli na dół – ale jest też studnia, za domem. A tam piec. – Zaprosił go do drugiego pomieszczenia.

Panował tu zaduch, a obok zardzewiałego ustrojstwa piętrzył się stos czarnych kamieni. Rowan otworzył drzwiczki i dorzucił węgla, po czym otrzepał dłonie.

– No! Napaliłem już jakiś czas temu, woda powinna być ciepła. Wygód nie ma, ale za tę cenę, to jak darmo. Pytania?

– Dziękuję, Rowanie. Jak cię znaleźć?

– Mój numer i adres. – Wsunął mu w dłoń karteczkę. – Tu telefonu nie ma, ale we wsi jest budka. No i zaglądam, czy czego nie potrzeba. Nie za często, bo żonę mam pod opieką. Rak.

– Och, przykro mi.

Robert odprowadził mężczyznę do drzwi.

– Szybko się pan nauczy mieć przy sobie zapałki. – Mrugnął do niego. – Weny życzę! – Zarzucił na głowę kaptur i wyszedł w mrok. – To tylko dom, panie Sanders – krzyknął, wsiadając do samochodu. – To ludzie świrują, jak zostają sami.

***

Pierwsza noc wymęczyła Roberta, jakby rozładował pociąg węgla. Przewalał się z boku na bok, co chwilę budził i nasłuchiwał. Stary dom zadręczał go szeptami, cichymi trzaskami i posykiwaniem rur. Mężczyzna mógłby przysiąc, że wśród tych wszystkich dźwięków był też tupot myszy. Tylko czym się żywiły, gdy nikt tu nie mieszkał? Żałował, że nie wypytał Rowana o poprzednich lokatorów.

Obudził się skostniały, przed wygasłym kominkiem. Ból pleców przypomniał, że młodość się przeterminowała, a pulsująca tępo głowa dodawała od siebie, że przedobrzył z whisky. Dzień okazał się tak samo ponury i mglisty jak wieczór, a jedynym, na co Robert miał chęć, było porządnie się wyspać.

Rozpakował walizki i urządził gabinet w pokoju z ciężkim dębowym biurkiem i dużym oknem, wychodzącym na jezioro. Rozstawił maszynę i zaśmiał się na myśl, że tak kiedyś wyobrażał sobie pisanie książek. Miał wtedy o dwadzieścia lat mniej, a jego głowę wypełniały marzenia, które nie zderzyły się jeszcze brutalnie z rzeczywistością.

Opowiadania, które pisał, wygrywały w konkursach literackich, lecz pies z kulawą nogą nie zainteresował się żadną z jego ambitnych powieści. I pewnie darowałby sobie to głupie marzycielstwo, gdyby nie Marta – miłość jego życia, która rzuciła go dla rozchwytywanego autora żenujących romansideł o wampirach. Najpierw nie mógł w to uwierzyć, potem targował się z losem i zawziął, żeby zyskać sławę znacznie większą niż „Pan Drakula". Siedział w małym, dusznym mieszkanku i stukał po nocach. Zmarnował mnóstwo czasu i papieru, rozsyłając maszynopisy po wydawnictwach. Na darmo. Lata mijały, a jemu odpowiadała głucha cisza.

A potem poznał Dolores. Pracowała w wydawnictwie Mroczne i nie owijała w bawełnę.

– Napisz coś dla kur domowych, które jako dziewczynki chciały umrzeć z miłości albo powieść o seryjnej morderczyni, tropionej przez przystojnego detektywa po czterdziestce. Potem możesz wyjąć z szuflady swoje wynurzenia.

Nadal pamiętał skręt żołądka, jakiego doznał, gdy za przykład dała mu powieść „Pana Drakuli". Zagotowało się w nim. Teraz to była sprawa honoru. Zdecydował, że jeśli marzenie o utarciu nosa temu dupkowi od zębatych nastolatków ma umrzeć, niech będzie to chociaż piękna śmierć. Postawił wszystko na jedną kartę. Zrezygnował z pracy i wynajął ruderę na dalekiej północy. Na kilka miesięcy, może rok.

W fantazjach Roberta okno zawsze było otwarte i wpadał zza niego śpiew słowików, a nie przeszywający do kości wiatr. Ale dobre było i to. Zrobił kawę i zasiadł do pracy. Jednak maszyna z widokiem na jezioro nie chciała pisać sama, a noc pełna lęku okazała się raczej sposobem na nabawienie się nerwicy niż biletem na spotkanie z weną. Gdy podłoga wokół biurka wypełniła się bielą pogniecionych kartek, dał za wygraną. Zaczął pisać list.

Droga Marto!

Przeprowadziłem się na północ, do domu, o jakim kiedyś marzyliśmy. Spodobałaby Ci się weranda i widoki. To niezłe odludzie, a w miasteczku mieszkają sami dziwacy. Znakomita sceneria do pisania powieści.

Mam nadzieję, że jesteś w dobrym zdrowiu i

Wyrwał kartkę z maszyny i dorzucił do kolekcji, zdobiącej podłogę.

Cholerny desperat – pomyślał.

Kolejne dni spędzał na rąbaniu i noszeniu drewna. Wybierał się również na krótkie spacery po okolicy i rozglądał za śladami myszy. Na próżno. Wieczorami padał przed kominkiem po paru łykach whisky. Wypożyczył magnetowid i kasety, żeby zabić czas. Zniósł maszynę do salonu, a gdy budził się w nocy, zapalał świece i próbował wydusić z siebie choć kilka linijek.

Czasem budziło go zawodzenie wiatru w szparach okien, innym razem miał wrażenie, że słyszy szelest i nucenie niosące się po murach domostwa. Ograniczył się do przebywania w salonie, kuchni i łazience, lecz każdego wieczoru robił obchód domu. Nie zapuszczał się tylko do piwnicy.

Pewnej nocy ze snu wyrwał go deszcz dudniący o ganek. Miał wrażenie, że ktoś kręci się po domu. Leżał przez chwilę wstrzymując oddech, a gdy skrzypnęły drzwi, zerwał się na równe nogi. Złapał latarkę i przez chwilę walczył z nią, jakby próbowała uciec. W końcu odnalazł włącznik. Świecąc po kątach, wyszedł na korytarz. Snop światła padł na drzwi do piwnicy. Zmartwiał. Pamiętał ten dźwięk, ale piwniczka była ostatnim miejscem, w które miał chęć zapuszczać się po nocy. Wrócił do salonu i dorzucił do kominka. Uzbrojony w latarkę i ostry nóż, leżał i czekał, aż wstanie dzień.

***

Po ulewnej nocy nadszedł cudny poranek. Pierwszy słoneczny, odkąd Robert zamieszkał w tej ponurej posiadłości. Wypił kawę, obserwując tańczący na łąkach opar, a potem zszedł do piwnicy. W pomieszczeniu z węglem panował zaduch, a piec był ciepły. Ktoś musiał go wczoraj rozpalić. I tym kimś nie był Robert.

Mężczyzna poświecił latarką po podłodze i zamarł, gdy dostrzegł ślad drobnej stopy. Rozejrzał się i potknął o drewniany stołek, który z pewnością nie stał poprzednio w tym miejscu. Wśród narzędzi znalazł łom i, zachowując ostrożność, zajrzał w każdą najmniejszą szparę. Nic nie znalazł.

Miał chęć wybrać się do miasteczka i zadzwonić do Rowana, lecz gdy przypomniał sobie: „ludzie świrują, jak zostają sami" – zrezygnował.

Kilka kolejnych nocy zeszło mu na nasłuchiwaniu, a nie doczekawszy się sensacji, nad ranem zapadał w sen. Stary zarządca w końcu go odwiedził, lecz Robert nie podjął tematu pieca ani śladu stopy.

A gdy zaczynało mu się już zdawać, że wszystko to sobie uroił, drzwi znowu zaskrzypiały. Wyskoczył spod kołdry jak oparzony i pomknął do piwnicy. Drogę po schodach pokonał w ciemności, a gdy znalazł się na dole, dostrzegł łagodne pomarańczowe światło. Wszedł do kotłowni ściskając łom,

lecz jedynym, co słyszał, było jego własne dudniące serce i szum dobiegający z pieca. Wokół stołka było nakruszone.

– Kto tu jest? Wyłaź! – krzyknął, starając się udawać pewnego siebie.

Zaciśnięta na łomie dłoń zbielała, a ciało mężczyzny było naprężone niczym struna. Poświecił latarką po podłodze i dostrzegł ślady. Kończyły się przy przeciwległej ścianie, we wnęce, która wyglądała teraz inaczej, niż gdy sprawdzał ją poprzednio. Podszedł i w bezbrzeżnym zdumieniu spostrzegł, że ściana jest krzywa. Pchnął ją i usłyszał szczęk zębatek mechanizmu, gdy tajemne przejście wpuściło go do tonącej w mroku komnaty. Pospiesznie przeczesał ją światłem latarki i przełknął ślinę. Pomieszczenie wyglądało na kryptę.

Na półkach w głębi piętrzyły się słoje z podejrzaną zawartością, a na kamiennym stole leżały narzędzia. Po obu stronach we wnękach umieszczono sarkofagi. Jednak uwagę Roberta przykuł ten znajdujący się pośrodku pomieszczenia. Błyszczał od złota i kamieni szlachetnych. Mężczyzna zastawił drzwi stołkiem, na wypadek, gdyby chciały się za nim zamknąć. Ostrożnie podszedł bliżej i spojrzał na zdobienia. Zatopione w ciemnym drewnie złoto układało się w znajome kształty. Ptaki, piórka, otwarte oczy, dzbany i zygzaki, które pamiętał jak przez mgłę z lekcji historii.

Nigdy nie pasjonował go starożytny Egipt, a filmy o faraonach i mumiach działały na niego lepiej niż porządna dawka melatoniny. Za to w tym starym dworze musiał kiedyś żyć prawdziwy amator podobnych klimatów. Pierwszą myślą, która wybrzmiała w głowie Roberta było: *A teraz grzecznie na górę i do samochodziku, zanim coś obudzisz, Bob*.

Odwrócił się w stronę wejścia, ale stołek stał tam, gdzie go zostawił. I choć mężczyźnie trzęsły się kolana i wiedział, że to najgłupsza rzecz, jaką można zrobić, odchylił pokrywę sarkofagu.

Był pusty.

W tej samej chwili poczuł na karku dotyk.

– A! Aaa! Aaa! – wrzasnął, odskakując gwałtownie.

– Aaa! A! Aaaa! – zawtórowała mu postać w świetle latarki.

– Aaa! – Robert rozwrzeszczał się na dobre i w panice potknął o sarkofag, z pełnym impetem rąbnął o ziemię i upuścił latarkę, pogrążając pomieszczenie w egipskich ciemnościach.

Przez chwilę nie działo się nic. A gdy światło znowu rozbłysło, zobaczył w nim upiorną twarz spoglądającą prosto na niego. Wpełzł w kąt i dyszał ciężko, czekając na najgorsze.

– M-m-m... m-m-m... m-m-mu... Jesteś m-m-mu.... M-m-mumią! Prawdziwą m-m-mumią! – wyjąkał szczękając zębami.

Postać zmrużyła oczy i posłała mu gniewny grymas.

– Och... A pan jesteś doprawdy nieuprzejmy – rzekła i wyszła z krypty, zabierając stołek.

***

Uświadomienie sobie, że wciąż żyje i ów stan rzeczy najwyraźniej nie zmieni się w ciągu najbliższych chwil, zajęło Robertowi sporo czasu. Upiorna postać nie zamknęła go w krypcie, czego się spodziewał, a gdy wychynął ze swojego kąta, nie wyglądała nawet na taką, która chciałaby się na niego rzucić. Siedziała na stołeczku przy otwartych drzwiczkach pieca, z brodą opartą na splecionych dłoniach i wyglądała na urażoną.

Mężczyzna okrążył ją powoli, ściskając w ręce odnaleziony łom i przyjrzał się mumii uważnie. Kościste obojczyki i po części pozbawione skóry ręce przyprawiały o skręt kiszek. Mumia była chuda jak młoda brzózka, ale figurę miała niczego sobie. Szeroki, pożółkły bandaż ładnie opinał talię i zarysowywał linię bioder. To zasuszone ciało z całą pewnością należało kiedyś do pięknej kobiety. Zdradzały to także rysy jej twarzy. Wydatne kości policzkowe, przyjemna linia żuchwy i drobny nosek. Gdyby nie pożółkłe zęby wystające przez sporą dziurę w policzku, można by nawet powiedzieć, że nadal prezentuje się nieźle. Choć niewątpliwie nie z tą naburmuszoną miną, ściągniętymi brwiami i ustami w dzióbek. Robert chciałby móc zrzucić to, co widział, na whisky, ale tej nocy nie wypił ani kropelki.

Oszalałem – pomyślał z przekonaniem. *Doszczętnie*.

– Gapi się pan.

Drgnął, gdy głos mumii wyrwał go z zamyślenia. Była tam. Namacalna i gadatliwa. No, może nie bardzo, ale i tak mówiła znacznie więcej, niż spodziewał się po mocno zleżałym trupie.

– Przepraszam. Pierwszy raz widzę mumię.

I pierwszy raz rozmawiam z kimś, kto powinien leżeć spokojnie w grobie – dodała jakaś część jego umysłu.

No pięknie, zaczynam gadać sam ze sobą.

Wariat! – zapiszczało coś jeszcze. Bardzo cienko.

– W komnacie obok ma pan jeszcze sześć. Może raczy się pan pogapić na tamte?

– Och! One też wyłażą? – Robert struchlał i spojrzał nerwowo w kierunku krypty.

– Nie, zachowują się raczej jak suszone śliwki – prychnęła i dorzuciła kilka węgielków do pieca.

Zapanowała długa, niezręczna cisza. Mumia poprawiła chustę owiniętą wokół głowy i szyi. Materiał niewiele miał już wspólnego z bielą, ale współgrał z kolorem skóry.

– Późno już – zauważył w końcu. – Proszę o wybaczenie, że zakłóciłem pani spokój – dodał, siląc się na grzeczność i wycofując ostrożnie.

– Och, jasne! Niechże pan sobie idzie! Tylko się pan na schodach nie zabije, jak będzie wiał! – wybuchła. Wstała i wycelowała w niego kościsty palec. – Spokoju to ja mam po dziurki w nosie, drogi panie!

Była wyższa niż Robert sądził, a gdy się poruszała, słyszał cichuteńkie trzaski i skrzypienie. Cofał się, aż dotknął plecami ściany. Próbował powstrzymać szczękanie zębów, ale pewnie było je słychać w trzech okolicznych miasteczkach.

– Spokój. Jest. Śmiertelnie. Nudny. – Dźgnęła go nagim paliczkiem.

– M-m-ma swoje plusy! – wydusił cienkim głosem, a oczy kobiety zwęziły się niepokojąco.

Myślał gorączkowo, jak wyjść z tej patowej sytuacji. Kluczyki... Gdzie je zostawił? W kurtce, a może na blacie w kuchni? Czy jeśli ją teraz odepchnie, zdoła uciec na górę?

– Jeśli ci n-n-nudno, pani, może chciałabyś, żebym opowiedział ci h-h-historyjkę? – wypalił, a kobieta przekręciła głowę, jak zdziwione zwierzę. – Może być... o wampirach?

***

Siedział w samochodzie, obserwując krople deszczu spływające po szybie. Miasteczko dopiero budziło się ze snu, a on nie zmrużył oka. Musiał wrócić po swoje rzeczy, ale nie miał ochoty robić tego samotnie. Może powinien zadzwonić po Rowana? Możliwości były tylko dwie – zwariował albo mumia naprawdę tam była.

Sparodiował powieść „Pana Drakuli", spodziewając się, że przypadnie jej do gustu, a mumia rzeczywiście słuchała jak urzeczona. Śmiała się, dopytywała, chciała wiedzieć wszystko o bohaterach. Niczym Szeherezada wplątywał kolejne wątki i obiecał, że wróci następnej nocy, choć wcale tego nie planował. Chciał tylko wyjść z piwnicy żywy.

Ale teraz był nawet trochę zły, że te głupoty tak jej się spodobały.

W końcu wrócił i gdy zobaczył wystukane na wkręconej w maszynę kartce: *Dziękuję, coś w nim pękło*.

„Zachowują się jak suszone śliwki" – przypomniał sobie. Czy to oznaczało, że jest tam sama jak palec? Samotna na wieczność?

Pewnie wszystkie żywe stworzenia, z którymi się spotkała, reagują wrzaskiem i jąkaniem się, po czym wieją, gdzie pieprz rośnie – pomyślał.

Było mu jej żal.

Guzdrał się i zwlekał do wieczora. Na wszelki wypadek, gdyby należało uciekać, nawet nie zamoczył ust w alkoholu. A gdy zrobiło się ciemno, wziął krzesło i zszedł do piwnicy.

To, że jego osobliwa towarzyszka już czeka, zdradzało całkiem donośne chrupanie.

– Witaj, pani. – Odchrząknął i przystawił sobie krzesło. W bezpiecznej odległości.

– Dobry wieczór. Dlaczego ma pan takie wielkie oczy? – zapytała, przerywając konsumpcję.

– Ten chleb... On jest całkiem... yyy... czerstwy – wypowiedział ostatnie słowo z dużym trudem.

– Lubię czerstwy chleb.

– Ale ten jest tak twardy, że można by było nim zabić – powiedział i natychmiast ugryzł się w język. – Skąd go pani wzięła?

– Zachomikowałam. Przy poprzednich mieszkańcach lepiej szło się wyżywić. Przy panu można uschnąć z głodu.

– Potrzebuje pani jeść? – zdumiał się.

– Nie. Ale lubię. Ostatni jegomość zostawił dużo zmumifikowanego jedzenia.

– Ma pani na myśli... to liofilizowane dla himalaistów? – zaśmiał się.

– Nie wiem co to znaczy liofifizowane i limalaistów.

– Dolewa się zagotowaną wodę i daje suchej marchewce drugie życie!

Kobieta obdarzyła go długim spojrzeniem i zrozumiał, że znowu palnął.

– Woda to zło – rzekła w końcu. – Jaką ma pan dziś dla mnie historyjkę?

– Może najpierw pani mi coś opowie? Na przykład, jak pani na imię i dlaczego siedzi tu pani w towarzystwie czerstwego chleba i suszonych śliwek?

– Małgorzata – westchnęła. – A to jest naprawdę długa historia.

***

Gdy wrócił na górę, dniało już, jednak jeszcze długo leżał na sofie, nim zasnął. Historia mumii była lepszym scenariuszem niż cokolwiek, co sam by wymyślił. To była opowieść o pragnieniu nieśmiertelności i miłości, która miała przezwyciężyć śmierć. Nie obyło się w niej bez intryg i szaleństwa, które sprawiło, że na wieczny odpoczynek trafiło znacznie więcej ciał, niż planowała zabrać kostucha. I oczywiście, jak w porywającej powieści, wszystko musiało skończyć się dramatem.

Opowieść sięgała czasów, gdy angielscy podróżnicy zaczęli zwozić na wyspy odkryte w Egipcie mumie.

– Wszyscy poszaleli na ich punkcie! – krzyknęła Małgorzata. – Każda licząca się rodzina pragnęła mieć takie starożytne truchło na własność, żeby zabawiać gości. Czego to ludzie nie robili! Mężczyźni dla uciechy wkładali palce w różne nieprzyzwoite miejsca, a kobiety piszczały jak nietoperze, gdy kolejne warstwy bandaży padały na ziemię. Wieczory umilały historyjki o klątwach faraonów i mumiach szukających zemsty na ludziach, zakłócających

im spoczynek – prychnęła. – Ale było coś jeszcze, co rozpaliło wyobraźnię wielu arystokratów. Idea nieśmiertelności – rzekła i zapatrzyła się w ogień. – Jak grzyby po deszczu wyrosły pracownie, oferujące balsamowanie zwłok. A niektórzy, jak mój szlachetny małżonek, próbowali na własną rękę... – Zamyśliła się. – Eksperymentował na ciałach, które wykupywał z kostnicy. Tak przynajmniej twierdził. – Uśmiechnęła się, a dziura w policzku nadała jej twarzy upiorny wygląd. – Ja byłam tu w krypcie pierwsza.

– Na co zmarłaś? – wszedł jej w słowo.

– Suchoty – odrzekła i zapatrzyła się w ogień. – Po mnie pojawiły się kolejne żony. Ale – wzruszyła kościstymi ramionami – żadna nie miała szczęścia. Pogniły albo uschły i pomarszczały, ale wyłazić z sarkofagu nie zaczęły. Czekałam na niego. Długo.

Nie doczekała się. Choć zabalsamowane zwłoki hrabiego wyglądały na znacznie bardziej profesjonalną robotę, dusza do nich nie powróciła. Śmierć rozdzieliła ich na zawsze. Robert miał na końcu języka stwierdzenie, że może dlatego, że był złym człowiekiem i zwyczajnie poszedł do piekła, jednak nie podzielił się tą myślą z pogrążoną w nostalgii kobietą.

Leżąc na sofie dumał o tym, że z hrabiego musiało być niezłe ziółko, skoro naszykował sobie cały harem. Ciekawość, że żadnej z jego żon nie udało się dożyć starości.

Sinobrody – pomyślał.

Może tę baśń powinien jej opowiedzieć następnym razem. Choć z drugiej strony, lepiej jej nie wkurzać. Niech ma swoją romantyczną opowieść. Bo co innego jej zostało? Zresztą wolał towarzystwo mumii w tęsknym nastroju, niż kipiącej gniewem i pragnieniem zemsty.

Nad ranem zdradził jej swój najlepszy pomysł na powieść. Małgorzata jednak nie tylko nie zachwyciła się, lecz wyglądała, jakby zjadła coś nieświeżego.

– Nie wydajesz się ukontentowana dzisiejszą historyjką – zauważył.

– Nie za bardzo – przyznała. – Smętna.

– Może nie jest to typowa powieść grozy tylko horror psychologiczny. – Próbował bronić swojej idei. – Widzisz, ten dom jest tak naprawdę...

– To, co mi opowiedziałeś wczoraj! – weszła mu w słowo. – To było dobre!

Z Roberta uszło powietrze.

– Nie ja to wymyśliłem – przyznał kwaśno.

– Szkoda...

Zapanowało milczenie.

– Pasjonująca historyjka musi być o miłości i intrygach – rzekła w końcu, a on sapnął i przewrócił oczami.

– Wyglądasz, jakbyś trochę już żył na tym świecie, a zdajesz się nic nie rozumieć. Jutro wymyśl, poproszę, coś bardziej ekscytującego!

– Niech będzie – westchnął. – Ale spotkamy się na górze. Na wypadek, gdyby twój małżonek postanowił jednak poczuć się lepiej. Jeśli coś ma mnie zaskoczyć, wolę, żeby była to pleśń wyłażąca ze słoika z dżemem.

Małgorzata zaśmiała się uroczo, zakrywając dłonią pożółkłe zęby.

***

Przez cały dzień nie zdążył nawet zrobić sobie kawy. Obudził się wczesnym popołudniem z głową pękającą od pomysłów. Co jakiś czas przerywał opętańczy stukot, by skreślić kilka pospiesznych słów na kartce i śmiał się do swoich pomysłów. Wena nie tylko nadeszła, lecz wparowała do jego życia rydwanem zaprzężonym w stado bizonów.

– Puk, puk!

– Daaa! – krzyknął i złapał się za serce. – Małgorzato! Śmiertelnie mnie wystraszyłaś.

– A wyglądasz całkiem żywo – zaśmiała się. – I chyba dobrze ci idzie. – Skinęła na maszynę. – O czym to?

– O myszach, nawiedzonym domu i młodej damie, która nie potrafi spokojnie uleżeć na cmentarzu!

– Hm... Brzmi znajomo. Skończyłeś już?

– Dopiero się rozkręcam – przyznał z nieukrywaną ekscytacją.

Resztę nocy spędzili na sofie. Małgorzata słuchała, wygrzewając kościste stopy przed kominkiem, i bawiła się kawałkiem bandaża opadającym z ramienia. Zadawała intrygujące pytania o szczegóły, co zmuszało Roberta do lepszego wyklarowania pewnych spraw.

– To naprawdę ciekawa historyjka – zdecydowała w końcu. – Ale ten jej kochaś śmierdzi na odległość. Ślepa gęś domyśli się, że to on stoi za śmiercią Victorii. Mógłbyś trochę to zakamuflować.

Ziewnęła i przeciągnęła się.

– Jutro o tej samej porze?

Kolejne dni pędziły niczym buchająca parą lokomotywa. Dopiero po tygodniu, gdy lodówka i szafki kuchenne zaświeciły pustką, a żołądek przypomniał Robertowi bolesnym skurczem, że do czegoś służy, wybrał się do miasteczka. Zrobił solidne zapasy i podjechał do Rowana, zapłacić mu za dwa miesiące z góry i zapewnić, że wszystko jest w porządku.

Przez pierwsze dni po odkryciu obecności Małgorzaty był jak ofiara wojny podskakująca za każdym razem, gdy przeciąg trzaśnie drzwiami. Zrywał się i kręcił w kółko, gdy zaswędział go kark i oglądał się nerwowo, nawet pochłonięty pisaniem. Gdy jednak siadywali wieczorami przed kominkiem i czytał swojej towarzyszce to, co napisał w ciągu dnia, jego dusza śpiewała. Nie spodziewał się takiej muzy.

Szybko polubił dziewczynę. Zadawał jej wiele pytań o przeszłość, tęsknoty, moment, gdy zrozumiała, że jej ukochany nigdy się nie przebudzi i samotność, która przyszła potem. To wszystko stanowiło dla niego źródło inspiracji i pomagało lepiej budować bohaterów.

Małgorzata opowiadała chętnie. Gestykulowała przy tym żywo, wściekała się, lamentowała, łkała i popadała w zadumę, przyglądając się drobniutkim palcom. Uznał, że pocieszna z niej istotka, choć charakterna.

Robert starał się na różne sposoby umilać dziewczynie czas, bo gdy była wesoła, robiła się gadatliwa, a pomysły na kolejne sceny kwitły jak maki na łące. Pewnego razu przyniósł spiratowaną kasetę z filmem *Sok z żuka*, którego premierę widział rok wcześniej w kinie. Początkowy sceptycyzm Małgorzaty rozpłynął się niczym mgła, gdy opętani przez duchy goście jęli tańczyć wokół stołu śpiewając *Banana boat song* Harry'ego Belafonte. Śmiała się do rozpuku, ocierając suche łzy.

Mumia okazała się również znakomitą towarzyszką do gry w kości, której nauczyła ją stara aktorka. Lady Trenton nie była wcale taka głucha, jak twierdził Rowan, a dla kobiety o artystycznej duszy, stojącej już jedną

nogą w grobie, mumia w piwnicy była prawdziwą atrakcją. Dyskutowały o życiu, oglądały stare filmy i grały o pieniądze. Lecz pewnego dnia Lady Trenton usiadła na ganku z filiżanką herbaty i już nie wstała. Zostawiła kolekcję peruk i strojów, kilka ciekawych książek i pudełko kaset. Resztę zabrał daleki kuzyn, który ponoć wyjątkowo ucieszył się z takiego obrotu spraw. Małgorzata została znowu sama, a gdy już przypomniała sobie, jak to jest mieć kogoś u boku, było jej z tym ciężej.

– Ty też znikniesz. Napiszesz swoją książkę i odejdziesz – powiedziała pewnej nocy, bawiąc się puklem włosów.

Robert nie wiedział, co odpowiedzieć, siedzieli więc w milczeniu.

– Na razie nigdzie się nie wybieram – rzekł w końcu. – Poza tym, przyjdzie przecież ktoś nowy. Może nawet będzie umiał tańczyć – zażartował, lecz wyraz twarzy Małgorzaty nie zmienił się. Pierwszy raz od dawna pisarz poczuł się nieswojo.

***

Po tamtej nocy coś się zmieniło. Małgorzata stała się bardziej markotna i przychodziła na górę rzadziej. Również stukanie maszyny nie było już tak intensywne, jak wcześniej. Czasem zamierało na długo, a wkręcona w nią kartka bielała pustką.

W końcu, gdy mumia nie pojawiała się przez kilka dni, z duszą na ramieniu i żołądkiem zawiązanym w supeł, zdecydował się zejść na dół. Odnalazł ją tam, gdzie najbardziej nie chciał – w sarkofagu. Leżała z rękami założonymi na piersi i gapiła się w sufit.

– Małgosiu, dobrze się czujesz? – zapytał nieśmiało, przyklęknąwszy obok.

Mumia milczała, a Robertowi zdawało się, że robi to znacząco.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – Ujął delikatnie jej suchą dłoń, a gdy palce się poruszyły, drgnął.

– Myślałam o tym, co powiedziałeś – odrzekła, siadając gwałtownie.

Nie odskoczył jak oparzony tylko dlatego, że trzymała go za rękę.

– Ja naprawdę potrzebuję kogoś... kogoś takiego jak ja! Pełnego życia! – zakrzyknęła, a Robert przełknął ślinę. – Kogoś z temperamentem! Młodzieńca

do tańca i różańca, śmiechu, gier i... z którym mogłabym wszystko! Kogoś, kto zostałby tu ze mną na zawsze... – urwała. – Rozumiesz, co mam na myśli, Robercie? – zapytała z dziwną mieszaniną udręki i nadziei, a on zmartwiał.

– Na zawsze – powtórzył cicho.

– Zrobisz to dla mnie? – zapytała przymilnie, a od jej spojrzenia można było nabawić się cukrzycy.

Zaniemówił.

– Prosisz, żebym... Ale skąd... Ja nawet nie wiem jak...

– Małżonek mój zostawił sporo notatek. Poćwiczymy na kotkach. – Uśmiechnęła się upiornie. – Prześpij się z tym – dodała i ułożyła się wygodnie w swoim sarkofagu, zamykając klapę i zostawiając Roberta w oszołomieniu.

***

Podjęcie decyzji zajęło mu cały tydzień. Małgorzata nie przyszła przez ten czas na górę ani razu. Nawet wtedy, gdy udawał, że śpi. Żadnych skrzypiących drzwi, tupania. Nic. Stwierdził, że właściwie powinien się z tego cieszyć. Miał spokój, którego pragnął, żadna zmora nie grasowała po salonie. To jednak okazało się najgorsze. Bez mumii dworzyszcze było tylko starą chałupą, a Rowan ani trochę nie był mroczny i inspirujący.

Nadeszła odpowiedź od wydawcy.

Robercie!

To, co mi przysłałeś, jest naprawdę znakomite! Chrupiące karaluchy, gnijąca narzeczona i gra w kości! Jesteś niemożliwy. Północ Ci służy! Bardzo podobała mi się scena danse macabre na cmentarzu. Wykreowałeś cudowną postać Śmierci. Nie mogę doczekać się kolejnej części. Ma zadatki na bestseller! Nie zepsuj tego!

Dolores

Sądził, że list nim wstrząśnie, lecz wywołał tylko więcej obaw i wyrzutów sumienia. Zdecydował, że musi się zgodzić na warunki Małgorzaty. A raczej sprawić, by sądziła, że się zgodził.

I od kiedy powiedział: *tak*, wszystko wkroczyło na zupełnie nową ścieżkę.

***

– Wyglądają jak kurczęta na świąteczny rosół. Może zostawiłbyś następnemu futerko? – zapytała, spoglądając Robertowi przez ramię.

– Małżonek twój, moja droga, nie zostawił wskazówek, jak obchodzić się z sierścią. Poza tym nie zależy ci chyba na tym, żeby twój przyszły towarzysz był wilkołakiem, nieprawdaż?

Małgorzata zaśmiała się czarująco i rozsiadła na kamiennym blacie obok kociego truchełka.

– Dobrze ci idzie, Robercie – zauważyła.

– Ja bym rzekł, że jest jeszcze wielce daleko od dobrze. Ale przynajmniej nauczyłem się już sprawniej je patroszyć. Wpadłem wczoraj na to, że serce można by wysuszyć w piekarniku, jak grzyby. Swoją drogą, obserwowałaś już ten proces, prawda? – zgadywał. – Jak pan mąż balsamował twoje następczynie.

Twarz Małgorzaty stężała.

– Obserwowałam tych, na których ćwiczył, ale nie żadną z nich. Przebudziłam się później. Przemiana zajmuje sporo czasu.

– Wyobrażam sobie, że musiałaś być zawiedziona. Wiesz, że nie jesteś jedyna.

– Natarłeś już wnętrze solą? – Zmieniła temat.

– Tak. Jeszcze soda i do leżakowania – westchnął. – Jego też można by trochę podsuszyć w piekarniku... Ale jakby Rowan to zobaczył...

– Nie ma co kombinować. Dorosłego chłopa i tak nie podsuszysz – przypomniała mu. – Myślisz, że pierwszy kiciuś nadaje się już do nasmarowania oliwą i woskiem? – uniosła figlarnie brew.

– Dałbym mu jeszcze parę dni. Ale możemy sprawdzić, czy trociny w brzuchu nie nabrały wilgoci.

Zgromadzenie niezbędnych ingrediencji nie było tak problematyczne, jak sądził Robert. Natryt, którego używano niegdyś do balsamowania zwłok, wciąż miał zastosowanie w przemyśle. Do samego procesu dało się

przyzwyczaić, choć w początkowej fazie był dosyć obrzydliwy, zwłaszcza gdy przychodziło do usuwania mózgu.

Najbardziej kłopotliwe okazało się pozyskiwanie materiału, jak wolał o tym myśleć. Bezpańskich kotów w miasteczku nie brakowało, a ich odławianie na wątróbkę było dosyć łatwe, choć w niektórych przypadkach wyjęcie kota z kartonu musiało się odbywać z pomocą bardzo grubych rękawic. Robert próbował, rzecz jasna, nęcić koty zatrutą wątróbką i mieć ten problem z głowy, ale futrzaki nie były głupie. Dlatego przywoził je do domu i sprawę „ułożenia do snu" zostawiał Małgorzacie. Podobnie jak dziwaczne rytuały i przygotowanie medalionów z wizerunkiem Bastet – bogini miłości, tańca, domowego ogniska i uciechy kotów. Robert nie miał pojęcia, że w Egipcie istniało specjalne bóstwo od takich rzeczy.

Gdy zakonserwowany żywicą i zabandażowany materiał na pierwszą kocią mumię spoczywał już w mroku krypty, Małgorzata zaczęła na powrót przebąkiwać o celu ich eksperymentów. A krótko potem jęła nawet stukać paliczkami o blat, gdy Robert próbował się skupić na pisaniu, albo siedziała i gapiła się na każdy jego ruch.

– Och, Małgorzato! – Nie wytrzymał w końcu. – Bezpańscy młodzieńcy nie włóczą się po miasteczku łasi na podroby!

Mumia zmrużyła oczy, a w salonie powiało chłodem.

– Obiecałeś – przypomniała.

– Tak, ale... – zawahał się. – Nie znam nawet twojego gustu! Co jak wybiorę jakiegoś, który ci nie podpasuje? Wspólna wieczność to ważna sprawa!

– Jeśli kogoś tu przyprowadzisz, to ci powiem. Na razie nie dałeś mi nawet szansy!

– Czyli mam się jeszcze bawić w swata? – Zbulwersował się, a ona założyła ręce na piersi i ściągnęła usta w dzióbek. – Gosiu, ja nie jestem szczególnie towarzyski. Mieszkam na odludziu i jedynymi osobami, które spotykam, są Rowan, stary Marvin ze sklepu i fryzjer Bob!

– Czyli kłamałeś! – wybuchła i rąbnęła dłonią o biurko tak mocno, że cudem tylko nie posypały się kości. – Wcale nie zamierzałeś mi pomóc! Myślałeś, że zadowolę się kotami, jak jakaś stara panna! – wrzasnęła.

Porwała ze stołu równiutko ułożone kartki maszynopisu i rozrzuciła je po pokoju, a potem pobiegła do swojej piwnicy trzaskając drzwiami tak, że z sufitu posypała się farba.

Zbieranie powieści po całym salonie pomogło Robertowi się uspokoić, ale i tak był na Małgorzatę zły. Nadchodził czas, by kończyć całą tę zabawę i znikać. Kolejne kilka dni spędził na pospiesznym pisaniu zakończenia. Nie był z niego dumny, choć było przyzwoite. Tyle że odstawało poziomem od reszty. Postanowił też zrobić sobie wakacje od tego przeklętego odludzia i zawieźć Dolores maszynopis.

Podróż dobrze mu zrobiła. Posłuchał muzyki, przewietrzył głowę, poszedł na porządny obiad, a wydawczyni wyrwała mu kopertę z rąk. Jednak gdy spotkali się po kilku dniach, nie zdziwiła go jej skwaszona mina.

– Robercie, z całą pewnością twoja powieść trafi na pierwsze strony gazet. Jako genialne dzieło z piekielnie rozczarowującym zakończeniem, napisanym na kolanie – podkreśliła ostatnie słowa i położyła przed nim grubą kopertę zatytułowaną: *Póki śmierć nas nie rozłączy*. – Wykreowałeś niesamowitą postać. Niech zrobi coś, po czym czytelnik będzie się bał zostać sam w domu.

***

– Małgorzato! Otwórz! – Dudnił pięścią w ścianę.

Była zamknięta na głucho i gdyby nie widział jej otwartej tak wiele razy, nie uwierzyłby, że kryje się tu jakieś tajemne przejście.

– Proszę! Załatwiłem to! Będziesz mogła pooglądać swoich młodzieńców! Spędzą tu cały weekend! – zaskomlał. Ściana wciąż trwała niewzruszona.

Gdy poznał dziewuchę bliżej, nie potrafił zrozumieć, jak jej mąż wyobrażał sobie spędzenie z nią wieczności.

Głupia, kapryśna mumia – pomyślał, a ściana drgnęła.

Małgorzata nadal była nadąsana.

– Moja wydawczyni organizuje spotkania dla ludzi, którym wydaje się, że nauczą się w ten sposób pisać. Siedzą razem przez dwa dni, prześcigają się w co dziwniejszych porównaniach, opisując zmywanie naczyń

albo parowanie skarpetek i kłócą się, jak zapisywać dialogi. A potem wracają do wiecznego wyczekiwania przy skrzynce na listy – paplał.

– Nie idzie ci beze mnie, co?

– Nie idzie – przyznał bardzo niechętnie po upływie pomniejszej wieczności.

– Zbyt miła ta twoja umarlaczka – rzekła w końcu. – Powinieneś dodać jej trochę charakteru. Wiesz, czego jeszcze potrzebuje dobra historyjka? Mrocznej tajemnicy – wyszeptała mu prosto do ucha, a potem zniknęła, zamykając przejście.

Tej nocy, gdy siedział na sofie tuż obok niej, przyglądając się, jak wpatrzona w ekran telewizora nawija kosmyk peruki na chudy palec, zrozumiał, że to nie przypadek, że żadne z pozostałych nie zbudziło się z wiecznego snu.

Ta myśl nie dawała mu spokoju już od dłuższego czasu. Drążyła głowę niczym korniki. Za nic nie wierzył w suchoty. Ten łajdak, hrabia, dobrze wiedział, co robi i Małgorzata musiała to odkryć krótko po przebudzeniu. Nie była zakochaną dziewuszką z siankiem w głowie. Wyobrażał sobie żal kobiety, której ktoś kiedyś powtarzał, że jest jedyna i wyjątkowa, a potem napakował sobie piwniczkę całą zgrają atrakcyjnych młódek. Ale teraz, gdy Robert poznał tę hultajkę bliżej, pojął, że jej zemsta dosięgła również samego oblubieńca. Nie była naiwna, ale impulsywna – owszem. Ciekawiło go, czy żałuje. Zaśmiał się na myśl, że los całkiem łaskawie obszedł się z małżonkiem.

Odkąd Małgorzata wróciła na górę, po salonie znowu niósł się stukot maszyny. Robert czuł tremę, gdy łapała w palce kolejne, świeżo zapisane kartki i czytała w milczeniu, zajadając oranżadkę w proszku. Opisywał właśnie wszystko to, co wywnioskował o historii swojej towarzyszki. A ona tylko się uśmiechała.

***

Nadszedł weekend i Robert przypomniał sobie, dlaczego nie lubił spotkań „młodych literatów". Jedni wcale nie byli młodzi, za to głęboko sfrustrowani, drudzy próbowali udawać znacznie bardziej doświadczonych

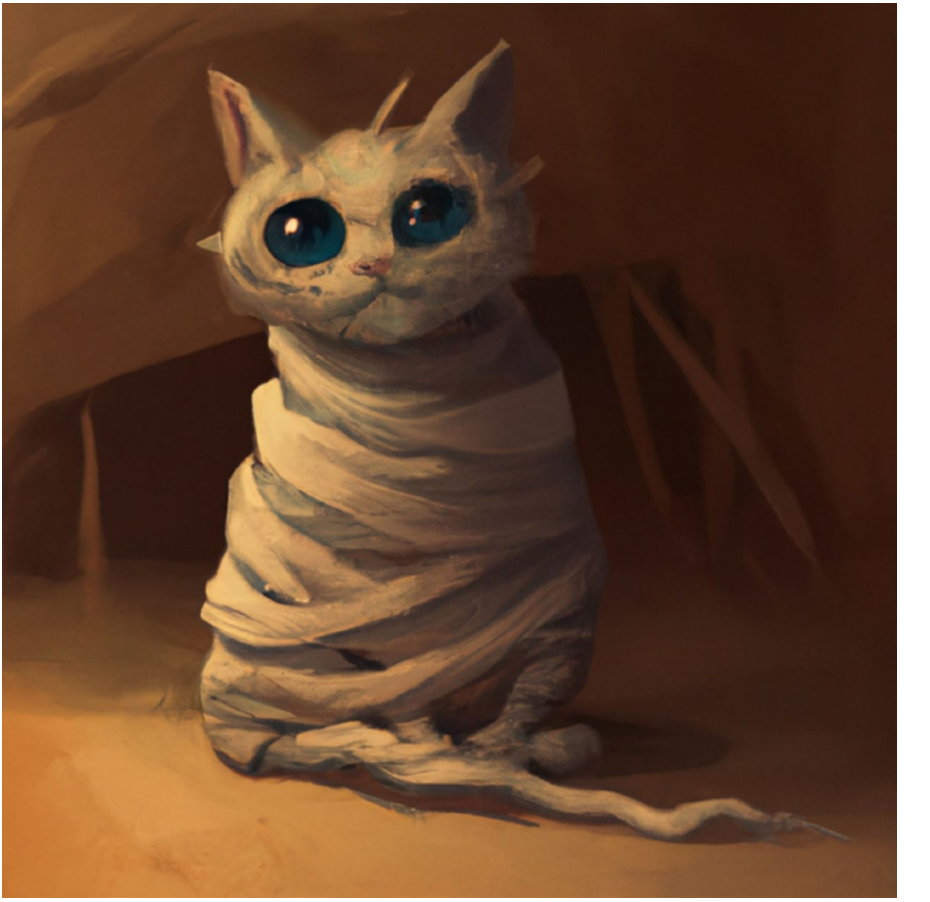

niż byli w istocie. Ci irytowali go bardziej. O pisaniu zdawali się wiedzieć wszystko. W teorii. Bo gdy zapytał ich o wydane książki, obdarzali go urażonymi spojrzeniami, wzmiankowali coś o wygranych konkursach, bąkali o prościutkich gustach czytelników i zmieniali temat.

Nawiedzony dom na pustkowiu zrobił wrażenie na wszystkich. A gdy Robert opowiedział im o starej aktorce, zdobył uwagę nawet tych, którzy wyglądali na najbardziej nadętych snobów.

Większość dnia spędzili na tworzeniu efekciarskich wypocin na zadane tematy, a wieczorem zasiedli do czegoś, na co wszyscy zdawali się najbardziej czekać – upajania się niskoprocentowym alkoholem w pomarańczowym świetle świec. Było na tyle ciemno i głośno, że nikt nie zauważył mumii przemykającej na granicy światła. Tylko Robert wiedział, że coś czai się w mroku.

– Gość po prostu zapadł się pod ziemię! – Słowa mężczyzny, którego kosmata broda przypominała mech, przebiły się przez zgiełk.

– Pojmujesz, Nerdalu? Można szukać śmierci po kangczendzongach i sziszapangmach, a potknąć się o jej kosę gdzieś na zapyziałej północy Anglii.

– O czym mówicie? – zapytał Robert z zaciekawieniem.

– Dragorin był na spotkaniu literatów w Glasgow i opowiada właśnie o temacie, który mu się trafił – odrzekł ten, którego nazwano Nerdalem.

– To było spotkanie fantastów i miłośników horrorów – wyjaśnił Dragorin. – Zwykle biorą na tapet prawdziwe historie. Zaginięcia, nierozwiązane zagadki kryminalne. Wychodzą z tego znakomite rzeczy! Teksty, rzecz jasna, trzeba zwykle trochę doszlifować, ale...

– I co stało się z tym gościem od Kangczeng... deng? – Robert wszedł mu w słowo.

– A sam czort raczy wiedzieć! – Dragorin wzruszył ramionami. – Dziwak to był i samotnik. Wrócił z Himalajów i ponoć trudno mu się było odnaleźć. Przyjechał tu, na północ, i słuch po nim zaginął.

– Zaginął – powtórzył Robert.

– Przepadł jak kamień w wodę. Ponad rok już będzie, jak się stracił.

– Pewnie samobójstwo. Oni z tych gór normalni nie wracają. – Zauważył blady patykowaty chłopak z włosami związanymi w lichą kitkę.

– To by ciało gdzieś naszli! – dodała grubsza kobieta, która zabrała ze sobą robótkę i klekotała zawzięcie drutami.

– Może go coś zeżarło? – zapiszczała chuda okularnica, która rzadko się odzywała, ale, jak zauważył Robert, pisała najlepiej z nich wszystkich.

– Albo zmienił się w wąpierza i odleciał ku wschodzącemu księżycowi – zarechotał Nerdal.

Dalej Robert już nie słuchał. Myśli pędziły niczym lawina. Być może tajemnica tkwiła w czymś innym, niż dotąd sądził. Bo skąd pewność, że zabalsamowane zwłoki na dole naprawdę należały do żon hrabiego?

Przez resztę weekendu układał sobie to wszystko w głowie. Mógłby wyjść razem z gośćmi, zadzwonić na policję, pokazać im ścianę z tajemnym przejściem, przecież w końcu znajdą sposób, by je otworzyć. Albo... zablokować drzwi do piwnicy, zalać dom benzyną i cieszyć oczy strzelającymi pod niebo płomieniami. Nie, wtedy ścigaliby go za podpalenie. Mógłby też po prostu stąd wyjść. Miał pomysł na zakończenie, które sprawi, że Dolores spadną majtki. Nie potrzebował już tego miejsca.

Spakował się i sięgnął po ostatnią część powieści do szuflady biurka.

Była pusta.

***

Z ciężkim sercem przyglądał się, jak młodzi literaci zanoszą rzeczy do samochodów. Mógłby chrzanić ten maszynopis i odjechać. Teraz, gdy był jeszcze czas. Przecież miał tę powieść w głowie. Zdołałby ją odtworzyć, choć z pewnością nie tak, jak za pierwszym razem.

Trzasnęły drzwi i, jedno za drugim, auta wygramoliły się z podjazdu. Odprowadzał je wzrokiem, czując na barkach coraz większy ciężar. A w końcu poczuł także muśnięcie kościstej dłoni. Odwrócił się powoli i ich spojrzenia się spotkały.

Złapał mumię za wychudzoną szyję i pchnął na ścianę pogrążonej w mroku sieni. Wydało mu się teraz całkiem śmieszne, że tak się jej bał. Co niby mogło mu zrobić to stare próchno? Dlaczego spodziewał się, że będzie silna lub obdarzona mocą? Naoglądał się za dużo VHS-ów.

– Czy któryś z młodzieńców przypadł ci do gustu, Małgorzato? – wycedził.

– O, tak – uśmiechnęła się szelmowsko i z impetem dźgnęła go w oko, wywijając się z uścisku. Zdezorientowany złapał za bandaż, a ona zdzieliła go po twarzy i kopnęła boleśnie w piszczel, uciekając do salonu. Dopadł jej i z całej siły pchnął na stół, po którym się przetoczyła i upadła z trzaskiem po drugiej stronie, wzbijając w powietrze całą ryzę papieru.

– Himalaista ci nie wystarczył? Czy zgnił, biedaczek? – krzyknął.

Doskoczył, nim zdążyła się podnieść, i szamotali się jak dwa wściekłe kocury, ale to on miał przewagę. Złapał za upiornie kościste nadgarstki i unieruchomił ją.

– Od jego melancholii można było dostać niestrawności – wysapała Małgorzata.

– No tak, potrzebujesz więcej wrażeń! – zaśmiał się obłąkańczo i poderwał ją z podłogi. Szarpała się i próbowała gryźć, ale był bardzo zdeterminowany. Pociągnął ją w stronę drzwi i przeniósł przez próg. Wierzgała nogami, gdy niósł ją w stronę jeziora, a zęby odnalazły w końcu kawałek skóry i Robert zawył z bólu, ale nie puścił.

– Zróbmy coś szalonego! Orzeźwiającego!

Deski pomostu zadudniły pod stopami mężczyzny, a w głosie Małgorzaty pojawiła się panika.

– Natychmiast mnie puść!

– Ależ proszę!

Postawił dziewczynę na pomoście, a gdy zamachnęła się by rąbnąć go pięścią, zrobił unik i pchnął ją do jeziora.

– Nie! – zdążyła krzyknąć krótko, nim woda zamknęła się nad zasuszonym ciałem.

Robert przez chwilę sycił oczy widokiem bąbelków wypływających na powierzchnię, po czym popędził do domu. Zamknął drzwi na zasuwę i pognał do piwnicy. Serce szamotało się w piersi jak spanikowane zwierzę. Przeszukał wszystkie kąty i sarkofag Małgorzaty. A potem z trwogą zajrzał do pozostałych. Trzy były puste – musiała pozbyć się konkurentek na amen; w dwóch znalazł zdeformowane szczątki, a w ostatnim, owinięte w bandaże, spoczywało dosyć świeże ciało. Na

tyle duże, że musiało należeć do mężczyzny. Gardło Roberta spięło się boleśnie i poczuł duszność. Sprawdził wszystko jeszcze raz, lecz nie znalazł maszynopisu. Cholerna umarlaczka postanowiła najwyraźniej zabawić się z nim w kotka i myszkę. Wziął łom i, bardzo wkurzony, wrócił na górę.

Jeszcze na schodach usłyszał, że ktoś jest w domu. Zaklął w duchu. Przeszedł powoli przez korytarz i dostrzegł na kamiennej posadzce mokre ślady drobnych stóp. Prowadziły do salonu. Dalszą drogę znaczył bandaż wijący się po podłodze niczym wąż. Kończył się na oparciu sofy. Robert zacisnął mocniej dłoń na metalu i zrobił jeszcze kilka kroków. A potem drgnął, gdy usłyszał chrząknięcie z drugiej strony salonu. Owinięta w koc, zanurzona w fotelu Małgorzata przyjrzała się swojej wilgotnej, chudej nóżce, po czym posłała pisarzowi przeciągłe spojrzenie.

– To było nieuprzejme – rzekła mrużąc oczy. – Ale muszę przyznać, że trudno się z tobą nudzić, Robercie.

Posłała mu czarujący uśmiech, a zaraz potem usłyszał za sobą skrzypnięcie podłogi, poczuł tępe uderzenie i wszystko zgasło.

***

Zamek ustąpił z głośnym szczęknięciem i Rowan wszedł do ponurej sieni. Stukot maszyny do pisania urwał się nagle, a w ciszy wybrzmiał dźwięk łap lądujących na ziemi. Mężczyzna wszedł do salonu, odstawił torby i pogłaskał zwierzątko, które jęło węszyć, co przyniósł.

– Witaj, sierściuszku – zagadnął.

– To chyba niezbyt fortunne określenie w ich przypadku – zaśmiała się Małgorzata, przeciągając się na krześle.

– Witaj, pani. Przywiozłem chlebek. – Uśmiechnął się.

– Dziękuję. Obudził się przedwczoraj. – Skinęła na ciekawskiego kocura. – Nazwałam go Muminek.

– Uroczy – przyznał Rowan. – Następnym razem przywiozę suszone szprotki – obiecał zwierzątku. – Zamówiłem węgiel, a pojutrze przywiozą

drewno. Oranżadki w proszku nie było. Za to mam niespodziankę – zamachał kopertą, po czym wsunął ją w kościstą dłoń.

– Z wydawnictwa. – Małgorzata zmrużyła oczy z satysfakcją. Rozdarła kopertę i przeczytała list pobieżnie. – Dolores pyta, czy może przekazać adres niejakiej Marcie Stevens. – Ściągnęła brwi. – Pisze też, że na drugą część dostali jeszcze większe zamówienie. A krytycy mówią, że jest bardziej „równa", trzyma w napięciu od samego początku i ma znacznie mniej słabszych momentów – zaśmiała się.

– Gratulacje, pani. – Rowan skłonił się lekko. – Żal wyobrażać sobie minę pana Sandersa, gdy się o tym dowie.

– Och, tak... – zaśmiała się uroczo, spoglądając na nieskoordynowany kłębek bandaży, który przeturlał się przez salon. A potem spojrzała w dal i dodała: – Już nie mogę się doczekać!

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/29094

Magdalena Ostrowska-Dołęgowska – autorka książek *Szczęśliwi biegają ULTRA* i *Mam tak samo jak Ty*. Z wykształcenia i zamiłowania geograf i psycholog. Lubi mżawkę, kalosze i uśmiercanie głównych bohaterów.

Co w pustelni się staje, w pustelni ostaje

Mateusz Pawlak

Tegoroczna wiosna niczym miała się nie różnić od poprzednich, jednak w marcu, poza ciepłym powietrzem z dolin, wiatr przygnał również Zuzkę Curusiową, do tego wystrojoną jak na Święty Marcin. Stare babsko – trzydziesta piąta wiosna już kark jej przyginała – miłą było odmianą od leciwych pryków z czyrakami i młodych byczków z rzeżączką, choć burzyła wieloletni mir pustelnika. Tak się bowiem przyjęło, że chłopy do gaju, do Michała zachodzą, a baby wiedźmę w borze odwiedzają. A wiedźmy, wiadomo, pustelnik nienawidził z wzajemnością.

Zuzka ledwie próg domu przekroczyła, a już jęła spódnice podwijać: jedną, drugą, trzecią.

– Michale Pustelniku, w krzyżu mnie łupie: o, tu. – Wypięła dwa krągłe pośladki i palcem pomiędzy nie wskazała.

Coś zachrobotało pod łóżkiem. Staruszek rozwiązał troczki kołnierza i pożałował, że dopiero co do pieca drwa dorzucił – taki gorąc się w chałupie zrobił.

– Krzyż to trochę wyżej – odpowiedział drżącym głosem i przeżegnał się szybko. – O, tu. – Opuścił spódnice kobiety i dłoń przyłożył tam, gdzie kończył się gorset w kolorowe kwiaty.

Przycisnął, zatoczył dłonią krąg na skórze, ścisnął w palcach. Zuza syknęła, aż biodrami do przodu rzuciła, a pustelnik tylko głową z ulgą pokiwał.

– Maści namieszam. Jutra gotowa będzie, przyślijcie męża, a na ten czas niech wam robi ciepłe okłady z kory wierzby.

Kobieta opuściła ramiona, jakby innej recepty oczekiwała.

– Sama przyjdę, z niego żadnego pożytku nie ma.

Znów się Michał przeżegnał, ale przytaknął, bo nie trzeba w żeniaczki iść, żeby wiedzieć, że ze starą babą nie ma co zadzierać. Ślinę głośno przełknął, bo jeszcze jedno chciał powiedzieć:

– Aby wam żadne diabły łona ogniem piekielnym nie przypiekły, pantalony noście. Ino świeże.

Odwróciła się Curusiowa z krzywym uśmiechem, trochę spode łba spojrzała, a trochę smutno, ale przytaknęła i poszła.

Ledwie wśród drzew zniknęła, westchnął Michał głęboko i w chałupie okna pootwierał. Niech przeciąg wygna wszystkie złe myśli, co z Zuzką przyszły.

Coś zagwizdało i jęło się gramolić spod łóżka.

– Dyć pustelnik z ciebie albo wzorowy, albo chujowy. Zależy, jak na to patrzeć – powiedziało pokraczne stworzenie, nie większe niż kot, za to łyse i do niczego niepodobne.

Michał już niemal wystudził rozpalone lędźwie i głowę, gdy ta znów zaczęła się gotować.

– A ty co tu robisz, Francik? Do Wielkiej Nocy jeszcze miesiąc z okładem – ofuknął domowego stwora.

Chochołek Francik przypałętał się do Michała, gdy pustelnik ze śpiewem na ustach szedł do chaty. Zamieszkał razem z nim, miedzy rupieciami, i przy każdej okazji przedrzeźniał i przezywał biedaka, figle płatał, a ten nijak nie potrafił sobie poradzić, aż sięgnął do zapasów bimbru i schlał się do nieprzytomności. Z natury złośliwy chochołek szybko w melancholię popadł, bo ileż można wyśmiewać jednego człeka? Tedy rozejm zawarli, że w drogę wchodzić sobie nie będą, a nawet na każdą Wigilię Bożego Narodzenia i w Niedzielę Zmartwychwstania do wspólnego stołu siądą.

– Biały tyłek Zuzki mnie przyzwał, bo to ładny tyłek był. A Zuzce, jak i wszystkim innym wiadomo, że dobry pustelnik dupczy, jak mu się panna wypina.

– To nie panna, tylko mężatka. I nie chciałem, i nie wypadało. Co ci w ogóle do tego?

Chochołek wzruszył ramionami, ale wyszczerzył zęby chytrze, jak to złośliwy stwór.

– Co w pustelni się staje, w pustelni ostaje – powiedział powoli.

Francik ledwie uskoczył przed lecącą chochlą.

– Idź precz i żebym cię przed Wielką Nocą nie widział!

Michał chwycił jeszcze miotłę i za chochołkiem wymachiwał, bo choć to puste słowa i nawet złej myśli nie zasiały, to sprawiły, że już nie patrzył na niektóre sprawy tak samo.

***

Na drugi dzień Zuzka już od progu kożuch i gorset zdjęła.

– Taki tu gorąc, pustelniku, macie. Maści namieszaliście?

Michał nie zważał, że znów strojna w kolorowe kwiaty przyszła, zaczął z kociołka maść wygrzebywać i napełniać nią naczynie. Coś zagwizdało spod łóżka, aż się mężczyzna wzdrygnął, ale Francika nie dojrzał.

– Proszę, niech wam mąż... – Przerwał, bo odwrócił się do Zuzy, a ta już bez koszuli stała, nagusieńka od pasa w górę.

Gęsia skóra ją oblazła, a piersi, których do niczego przyrównać nie potrafił, stwardniały, bo w chacie wcale gorąco nie było i wiatr gnał od jednego okna do drugiego.

Michał zerkał na cycki Zuzki, a cycki spoglądały na niego. W gardle wyschło mu jak w bożonarodzeniowy poranek po Wigilii z chochołkiem, pot ściekał po skroniach. Wzdychnął i wszystkie siły zbierając, odwrócił się do ściany. W świetle paleniska zobaczył, jak Francik wygląda zza stągwi z szeroko otwartymi oczami.

„Co w pustelni się staje, w pustelni ostaje" – jakby usłyszał szept chochołka.

Pokręcił głową i zacisnął powieki.

– Zuzko – zaczął, z trudem podnosząc wzrok. – Jakiż zły duch dręczy twe myśli, że przyszłaś pocieszenia szukać w ramionach starego pustelnika?

Kobieta wnet spąsowiała i wzrok spuściła. Lekko bokiem stanęła, a rękoma błądziła po ciele, jakby nie wiedziała, co powinna zasłonić.

Pustelnik zerwał koc z łóżka, zarzucił na nagie ciało Zuzki, pozamykał okna, by się nie zaziębiła, i siadł, tuląc ją, jak matka tuli dziecko. Kobieta toczyła wielkie łzy, pociągała nosem i trzęsła się przy tym jak dwukółka na kocich łbach.

– Mąż mój, Antek ochlejmorda – zaczęła – już trzy lata mijają, jak z siwuchą pakt diabelski zawarł. On ją w mordę leje, ona go przez łeb siecze. Strach mnie co dzień bierze, czy z karczmy wróci, bo gadają, że pruskie oficery za darmo spijają, by wojskowy kontrakt na dwadzieścia lat do podpisu dać. A to chłop niezgorszy, cham zwykły, ale i dzieci, i mnie nie bija, nie krzyczy, nie gwałci. Ale też nie przytuli i nie pocieszy. Niegdyś patrzył

na mię jak na skarb cenniejszy ode złota, a teraz? – Machnęła ręką. – A ja wciąż niestara, choć też nie podlotka, i kochać chcę jak wtedy, gdy porywał mnie od rodzicieli.

Rozpłakała się kobiecina bez reszty, a Michał jął dumać, co począć trzeba. Bo choć sam przed żeniaczką uciekł, już go z wiedźmą swatali, to niejeden cham do niego po radę przychodził, tedy wiedział, co w żonatych duszach gra.

– Chłop się nigdy nie przyzna, ale i jemu ciężko. Pewnie też chciałby do tych lat wrócić, bo chłopskie serca miłości łakną bardziej niźli siwuchy w szary zmierzch. Toć zrobimy tedy tak...

Uradził Michał plan działania, jak to Antka od wódki wyswobodzić, a Zuza miała mu co tydzień spowiadać, jak postępy idą. W międzyczasie w pustym kotle chochlą mieszał, by tylko nie patrzeć, jak kobieta na powrót koszulę i gorset przywdziewa. Zoczył Francika i syknął, i prychnął, ale stwór wciąż się gapił.

***

Chwilę po tym, jak wyszła, do chaty pustelnika wszedł rudy chłopak. Francik ledwie umknął przed jego oczami. Przybysz zmierzył Michała i wnętrze chaty wzrokiem dumnym, jakby nie chłopskim, a jednocześnie rozsiał po chałupie odór zjełczałego masła i szczyn. Siadł na krześle i czekał, co na te bezczelności gospodarz powie.

Nie po włosach, lecz po fetorze Michał poznał Rostka Gudbaja, bo nikt tak nie śmierdzi jak szpicle i plotkarze. A Rostek największym był plotkarzem we wsi. Istna baba w chłopskiej skórze, ale w jego pogłoskach zawsze prawda się kryła, a od siebie dodawał tylko odrobinę.

Pustelnik milczał, bo z myśli wciąż jeszcze próbował wyrugować cycki Zuzy.

Przybysz nie wytrzymał. Westchnął i sam zaczął, choć pogardliwy grymas nie schodził mu z twarzy.

– Na czarach się znacie, prawda? Wszak dobry z was pustelnik. – Uniósł brwi.

Michał nic nie odparł.

– A dobry pustelnik – ciągnął Gudbaj – dziewki dupczy, wszyscy to wiedzą. Zuza Curusiowa u was była, najsampierw widziałem, jak idzie do gaju, bo droga obok mojej chaty prowadzi. A później samem przez otwarte okno widział, jak przed tobą cyckami świeciła. Tyś ją wydupczył na wszystkie strony, stary zbereźniku. Niech się o tym dowie jej żonkoś, Antek Curuś. Chłopina wielki jak dąb, z łatwością ci kości przetrąci, a za czary po chałupie czerwonego kura puści.

Urosła gula w gardle Michała.

– Idźcie precz, szatanie – krzyknął, choć bez przekonania.

Rostek tylko podniósł uspokajająco dłoń.

– Kto do was chodzi, zawsze wszyscy ode mnie wiedzą. Zmilczę o hecach, jakie tu wyprawialiście, ale tylko, jak swe czary w ruch puścicie. – Patrzył uważnie na Michała, jak ten z niedowierzania gębę otwierał. – Ta Zuza zdrowa, cycki do pasa jeszcze jej nie wiszą. Miłosnych eliksirów uwarzcie, urok rzućcie czy inną klątwę. Czarcim sposobem sprawcie, żeby mi dać przyszła. Na jutro będzie gotowe?

A skoro starzec nie zaprzeczył, Rostek wstał i ruszył do wyjścia. Drzwi same trzasnęły za nieproszonym gościem.

– A to chuj. – Usłyszał Michał spod łóżka.

***

Siedział pustelnik wieczorem w świetle paleniska. Wygrzebał z ziemianki butelkę najmocniejszej gorzałki, siadł z cynowym kubkiem przy blacie. Niedługo czekać musiał, Francik wszedł na drugi koniec stołu i gestem poprosił, by jemu też nalać.

Siedzieli w milczeniu, bo tak też można wódkę pić – razem, choć każdy pogrążony we własnych myślach.

Trzy ćwierci butelki wychlali, jak przemówił chochołek zachrypłym głosem:

– Wkurwił mnie.

Obaj tylko pokiwali głowami i wciąż milczeli. W milczeniu znaleźli kolejną flaszkę, w milczeniu pili dalej, aż przyszedł ten moment, gdy wyznali sobie braterską miłość. Francik jednak na tym nie skończył.

– W drogę mi czas, Michale. Przybyłem tu w pierwszy dzień twego pustelnikowania i dobrze mi się żyło z tobą pod dachem. Ale to nie po chochołkowemu całe życie w jednym miejscu spędzić.

Michał słuchał.

– Wypraw mnie w długą z tym kurwim synem. Jak Zuzka powiada, po gospodach prusackie oficery chadzają, do armii werbują, przyda mi się taka przygoda. Gudbajowi także. Niech tylko chłopina z tej chaty ze śpiewem na ustach wyjdzie, a resztę sam załatwię.

Wiedzieć trzeba, że taka chochołków natura – przystają do tych, co z wesołą melodią na ustach ich mijają.

Pustelnik słuchał przyjaciela i tylko głową kiwał, jak to się robi pijackim zwyczajem, gdy żal za gardło ściska.

***

Rostek przyszedł nazajutrz, a pustelnik zauważył, że zadbany, wykąpany, bo zjełczałym masłem czuć było tylko trochę.

Nad paleniskiem już pyrkał wywar ze wszystkiego, co wokół chaty znaleźli: trawy, spróchniałych gałęzi, wczesnowiosennych kwiatów, wody z kałuży, ale i ptasich gówien, martwej myszy i obgryzionych kości. Na sam koniec Michał i Francik naszczali jeszcze do kociołka. Cała chałupa zaśmierdła, ale pustelnik stwierdził, że warto było.

Chytry uśmieszek Rostka szybko przygasł.

– Dajcie jeszcze wasze kłaki – powiedział Michał.

Nic to nie pomagało, nawet w diabelskiej magii, ale ohydna to rzecz pić własne włosy, więc pustelnik nie wahał się ani chwili.

– A teraz słuchajcież, jak Zuzę do wyra zagonić. Wypijecie ten tu eliksir miłości...

– Ile? – zapytał rudy, zatykając nos.

Michał wpatrywał się w bulgoczącą breję.

– Chochelkę. – Usłyszał chrząknięcie spod łóżka. – Ale dla pewności wypijecie całą kwartę.

Gudbaj zzieleniał.

– I w manierkę weźmiecie, by popijać co sto kroków – dodał pustelnik, ukradkiem sprawdzając, czy nie pozwolił sobie na zbyt wiele. – A teraz najważniejsze. Jak już łykniecie eliksir, odejdziecie stąd w te pędy z pieśnią na ustach i śpiewać będziecie aż do pierwszych rozstajów. Śpiewajcie, co chcecie, byle wesoło i z całego serca, bo to o serce Zuzy igry się toczą.

Rostek spuścił ramiona, a z twarzy zniknęła mu buńczuczna pewność siebie.

– Nie kantujecie aby, czarowniku? Bo jak nie zadziała, to krotochwila wróci do ciebie szybciej niż wicher.

– Magia starożytnych przodków potrzebuje rytuału, a kto ceremonii nie dopełni, ten klątwę na się sprowadzi.

Gudbaj wychodził trzy razy z chaty, by zaczerpnąć powietrza, zanim nos zatkał i łyknął wywaru.

– Nie uroń ani kropli – przestrzegał Michał i z maskowaną uciechą patrzył na chłystka.

Ten, jak już nabrał powietrza, zaintonował:

– *Z tamtej strony jeziora, stoi lipka zielona...*

I pognał do wsi. Michał ledwie uchwycił moment, gdy w ślad za Rostkiem ruszył Francik. Jeszcze przez chwilę słyszał, jak ich głosy się nakładają, a potem wszystko zagłuszyły wiatr i ptaki.

I żal. Bo pustelnik zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu jest naprawdę sam. Żaden stwór domowy mu chaty nie nawiedza. A samotność jest najgorszą trwogą dla człowieka.

Wywalił więc kocioł z resztkami miłosnych eliksirów daleko za chatę, wszystkie okna pootwierał, a sam w strumieniu twarz przemył, włosy ulizał i poszedł do boru, do chaty wiedźmy. Bo przecież być tak nie może, żeby człowiek nie mógł się na kogo złościć i z kim godzić. A do Wielkiej Nocy został jeno miesiąc z okładem.

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/29476

Pokuta

Dariusz Zasadzki

Noc Piotr nienawidził biegania, odkąd pamiętał. W podstawówce biegał tylko na zaliczenie. Pech chciał, że patronem szkoły był Bronisław Malinowski, więc oprócz intensywnych zajęć na WF-ie dochodziły jeszcze zawody długodystansowe w ciągu roku szkolnego. Na szczęście dobrowolne. Wziął w nich udział tylko raz, nie wytrzymał presji środowiska, ale żałował nawet tego jednego. Brakowało mu tchu, powietrze paliło w klatce piersiowej, nogi ledwo niosły. Wyprzedzały go młodsze roczniki i to bolało najbardziej. Wtedy skończył ze sportem, zanim w ogóle zaczął.

Teraz, po prawie dwudziestu latach, wrócił do biegania. To był świadomy wybór. Tylko wtedy o *tym* nie myślał. Paradoksalnie brak kondycji, przez który kiedyś zrezygnował, okazał się zbawienny. Wysiłek przesłaniał mu wszystko, wyłączał ze świata, odcinał od myślenia. A początki były trudne. Gdy zaczynał pół roku wcześniej, mając dobre kilkanaście kilogramów nadwagi, nie potrafił przebiec dalej niż kilkaset metrów. Teraz, gdy trochę schudł, mógł biegać dłużej, choć nadal z dużym wysiłkiem. Zbawienne kilkadziesiąt minut w innym świecie. W świecie ciszy.

Czerwony na twarzy, dyszący, na skraju możliwości fizycznych, wybiegł z parku i skręcił w ulicę, przy której mieszkał. Od razu powrócił niepokój, przyśpieszył więc, byle się zmęczyć, by przez chwilę nie myśleć. Skupił się na tym, wyrównał oddech i zawrócił.

***

Marta wyprostowała się na krześle. Za dwadzieścia minut kończyła służbę. Spojrzała na kolegę, który właśnie pochłaniał kanapkę. Chciała coś powiedzieć, ale dała spokój. Dzisiaj miała jeszcze kilka spraw do załatwienia na mieście. Bardzo nie lubiła wstawać za piętnaście piąta, ale zmiana na komisariacie od szóstej do czternastej miała zdecydowanie najwięcej plusów. Zostawało jej po pracy jeszcze pół dnia, często

bezcenne. Owszem, zdarzało się, że z czternastej robiła się siedemnasta albo i później, ale nie dzisiaj.

Zadzwonił telefon na biurku.

– No? – rzuciła krótko do słuchawki, czując, co się święci.

– Przyszła jedna pani, chce złożyć zawiadomienie. – Padła odpowiedź.

– Jezu! Jest za piętnaście druga.

– Aspirant Adamczyk. – Usłyszała ściszony głos dyżurnego. – Przypominam, że jest pani na służbie i...

Rzuciła słuchawką.

– Palant. – Wstała ciężko i złapała kurtkę.

– Co, odwiedzinki na koniec? – Mężczyzna uśmiechnął się do kanapki.

Podniosła rękę, żeby walnąć go przez plecy, ale ostatecznie nacisnęła klamkę i wyszła z pokoju.

– Proszę, niech pani wejdzie. – Patrzyła z satysfakcją, jak Bartek szybko chowa jedzenie do biurka. – Starszy aspirant Tuszyński.

– Dzień dobry – przywitała się starsza pani.

Marta okrążyła biurko, ukradkiem przyglądając się kobiecie. Urabiała ją od pierwszej minuty. Zanim doszły do pokoju, miała już pełną strategię.

– Tak jak mówiłam, zawiadomienie zawsze zdąży pani złożyć. – Wyjęła formularz, markując, że chce zacząć pisać. – Ale życia córce to przecież nie wróci, prawda?

Spojrzała ze współczuciem na rozmówczynię, to akurat zrobiła szczerze.

– Prawda – odpowiedziała w końcu kobieta, tracąc początkową pewność siebie.

– Otóż to. – Marta utwierdzała ją w tym przekonaniu. – A jeśli zięć pochował żonę, to jak to będzie wyglądać? Przed rodziną, sąsiadami? Otwarcie grobu i trumny to poważna sprawa. Jest pani na to gotowa? To może wiele zmienić, pewnych spraw już się wtedy nie cofnie.

Kobieta milczała.

– Zróbmy tak. – Marta wstała, żeby nie stracić przewagi. – Proszę dać sobie jeszcze kilka dni, może tygodni. Nikomu nie grozi przecież

niebezpieczeństwo. I jeśli nadal będzie pani przekonana, że zięć nie pochował żony właściwie, to proszę wtedy do nas przyjść.

W ostatniej chwili ugryzła się w język, mało nie powiedziała „do mnie".

– Dobrze. – Starsza pani wstała i chłodno spojrzała na dziewczynę.

Wyszła bez słowa.

– Ona tu wróci – prorokował Bartek, wyciągając z powrotem niedokończony posiłek.

Marta spojrzała na zegarek, „dziesięć po drugiej". Super!

– To wtedy poproszę na dyżurce, żeby przysłali ją do ciebie! – zawołała, wychodząc z pokoju.

– Nawet mi tak nie pierdol! – Usłyszała na pożegnanie.

***

Piotr zamknął drzwi od mieszkania i przyzwyczaił wzrok do panującego półmroku. Niechętnie ruszył do pokoju. Stuletnia podłoga cicho skrzypiała, ale zdążył już do tego przywyknąć. Pchnął stare, przeszklone skrzydło i wszedł do środka.

Agata siedziała na szafie, czając się do skoku jak małpa. Ostatecznie spełzła powoli na podłogę, węsząc dokładnie.

– Biegałeś.

Mężczyzna popatrzył z góry. Lepiąca się do niej nocna koszula przypominała pomarszczoną skórę staruszki. Kiedyś była piękną brunetką, teraz z przetłuszczonymi włosami i cerą przypominała bardziej konkubinę kloszarda niż kobietę, za którą niegdyś oglądali się mężczyźni. Rzucił klucze na biurko i ciężko usiadł na kanapie. Żona wspięła się po nim na łóżko, a później wyżej, na zagłówek.

– Jestem głodna – szepnęła mu do ucha.

Wyciągnęła się i nachyliła z drugiej strony.

– Długo cię nie było. Dasz mi pić? – Rękoma oplotła jego szyję. – Daj!

– Nie ciągnij mnie. – Uwolnił się z jej dłoni.

– Daj! – powtórzyła. – Długo czekałam.

Nie odezwał się, ściągnął powoli bluzę i przylgnął plecami do kanapy. Zdjął opaskę z przedramienia, odsłaniając wenflon. Odpiął korek. Agata od razu podpięła wężyk od kroplówki, który ciągle nosiła przy sobie, i mocno zassała. Pijąc, zeszła z oparcia i ułożyła się w pozycji embrionalnej z głową na jego udach. Położył dłoń na jej włosach, odchylił się do tyłu i spojrzał w sufit. W rogu zaczęły pojawiać się żyły. Najpierw wysunęło się kilka cienkich, ale po chwili było ich już kilkadziesiąt, największe miały grubość palca. Dotarły nad kanapę i skłębiły się nad nim. Kropla krwi spadła mu na czoło.

Przebudził go dzwonek do drzwi. Rozejrzał się, Agaty nie było w pokoju. Wstał zbyt szybko i zachwiał się. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma, ale po chwili przeszło. Sięgnął po czystą koszulkę i poszedł do drzwi.

– Co tak długo? – usłyszał powitanie teściowej, jak tylko otworzył.

– Spałem. – Poprawił T-shirt i włosy.

– O tej porze? – Kobieta spojrzała z przyganą. – W nocy się śpi.

– Przyszła mama w konkretnej sprawie? – Trochę zbyt mocno podniósł głos, ale irytowały go te przytyki.

– Przechodziłam obok, to wstąpiłam.

Piotr przyzwyczaił się już do tych przypadkowych odwiedzin, ale ani razu nie wpuścił teściowej do środka. Czekał w milczeniu, aż znowu coś z siebie wyrzuci.

– Przyszłam zapytać, czy pójdziesz ze mną na cmentarz. – Spojrzała na niego badawczo. – Na grób Agatki.

Chciał jej stanowczo odpowiedzieć, ale powstrzymał się. Nic by to nie dało.

– Mówiłem, że niepotrzebnie mama tam chodzi. Agaty tam nie ma.

***

Od kilku dni niepodzielnie panował upał. Siedząc na komisariacie, Marta marzyła, żeby pójść do domu. Nie dało się wytrzymać w tym ukropie. Korzystając z chwili spokoju, zalogowała się na konto bankowe.

– Co za palant – powiedziała do siebie, sięgając po telefon.

Wstała i podeszła do otwartego okna, szukając odrobiny wiatru. Wybrała numer do byłego.

– To ja. – Zaczęła bez powitania. – Nie widzę przelewu.

Do pokoju wrócił Bartek, sadowiąc się głośno na krześle. Odwróciła się do niego plecami.

– Jakie zapomniałem?! – Ścisnęła mocniej telefon, mając ochotę sprzedać kopa przez łącza. – Myślisz, że nie mam co robić, tylko do ciebie wydzwaniać?

Wzięła głęboki wdech, żeby się jeszcze bardziej nie zdenerwować.

– Nie rzucam się. – Usiadła z powrotem na krześle. – I nie interesuje mnie, co tym razem wyskoczyło.

Słuchała tłumaczeń, które ciągle były takie same.

– Jutro ma być przelew. – Z trudem powstrzymała się, żeby nie dodać „kurwa". – I pamiętaj, że nie dzwonię do ciebie po prośbie, chociaż takie próbujesz robić wrażenie – dodała, rozłączając się.

– Co? Znowu zalega z alimentami? – Bartek zawsze był bezpośredni. – Mogę z nim pogadać, jak chcesz.

– Nie. – Zaczęła szukać fajek w torebce. – Sama to ogarnę.

– Dyżurny cię woła. – Mężczyzna sięgnął po jedną ze stosu teczek. – Górecka wróciła.

– Kto? – Marta odstawiła torebkę, wkładając papierosy i zapalniczkę do kieszeni.

– Ta babcia od pustego grobu.

– Cholera...

– Dobrze, zapytam jeszcze raz – powiedziała Marta powoli. – Dlaczego uważa pani, że zięć, Piotr Boski, nie pochował córki?

– Mówiłam już, nie pozwolił mi jej zobaczyć w kostnicy! – Starsza kobieta mocno ściskała torbę. – Po co miałby to robić, jeśli nie po to, żeby coś ukryć?

– To, że nie zgodził się na pani obecność, nie musi być jednoznaczne z tym, że nie pochował żony. – Martę męczyło tłumaczenie wszystkiego.

– Ale mówię przecież, że na pewno tak było! Dlaczego inaczej miałby mnie nie wpuścić?

– Z różnych powodów. Córka mogła źle wyglądać i chciał pani oszczędzić przykrego widoku, może chciał być z nią sam, a mógł to zrobić ze złości, za jakieś zaszłości między wami. Powodów mogło być wiele.

– Po złości? Mnie? – oburzyła się Górecka. – A niby za co?

– No właśnie, pani Krystyno, za co?

– Proszę mi tu nic nie insynuować, nic złego nie zrobiłam!

– Nie powiedziałam, że to musiało być coś złego.

– Mówię, że on jest jakiś dziwny – tłumaczyła kobieta. – Zresztą sam mi to powiedział!

– Ale co? Że jest dziwny, czy że nie pochował żony? – Marta zawiesiła palce nad klawiaturą.

– Właśnie tak.

– Proszę powtórzyć dokładnie jego słowa.

– Chciałam, żeby pojechał ze mną do niej na cmentarz, a on odpowiedział, że jej tam nie ma. Znaczy na cmentarzu.

– Rozumiem... Dobrze. – Marta puściła dokument na drukarkę. – Przyjęłam zawiadomienie... Tu jest protokół przyjęcia ustnego zawiadomienia o przestępstwie i przesłuchania świadka. Pouczam panią, że za składanie fałszywych zeznań, fałszywe oskarżenia i fałszywe zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa grozi odpowiedzialność karna z artykułu 233, 234 i 238 Kodeksu karnego. Proszę przeczytać i podpisać na dole z dzisiejszą datą.

– To wszystko?

– Tak, będziemy panią informować o postępach w sprawie. – Marta włożyła dokument do założonej teczki. – A, i jeszcze jedno, jak zmarła córka?

– A co to ma do rzeczy? – zdziwiła się Górecka.

– Bardzo dużo, może powie nam coś o ewentualnych motywach zięcia. Wszystko może mieć znaczenie.

Starsza pani popatrzyła na Martę, zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Córka popełniła samobójstwo, podcięła sobie żyły.

***

Piotr poczuł, że się zaciął, dopiero jak zobaczył krew.

– Co robisz? – Agata od razu pojawiła się w drzwiach łazienki.

Zmył krew pod wodą i skończył się golić. Nie skomentował pytania.

– Schudłeś – szepnęła mu do ucha.

Szybko znalazła się tuż za nim. Objęła go mocno w pasie, wpiła rękami w ciało. Choć zabolało, nie zareagował.

– To od biegania – odpowiedział, zmywając z twarzy resztki piany. – Nie zaszkodzi spalić trochę tłuszczu.

– Owszem, owszem, kochany. – Agata wskoczyła na niego. – Nawet lepiej smakujesz.

Objęła go silnie nogami i bez ostrzeżenia podpięła do wenflonu. Zassała mocno, aż zesztywniała mu ręka. Stał nieruchomo, trzymając się umywalki. Spojrzał w górę. Żyły rozprzestrzeniały się po całym suficie. Przesłoniły lampę i okno. W pomieszczeniu zrobiło się ciemno. Patrzył, jak pełzną po ścianie na podłogę. Słyszał, jak się przemieszczają i oplatają mu stopy.

– Wystarczy. – Złapał ją za rękę, żeby ściągnąć z pleców.

– Co tak krótko? – zasyczała Agata. – Żałujesz mi?!

– Muszę pobiegać.

– Znowu?! – Kobieta spadła na podłogę i przywarła do niej. – Nie za dużo ostatnio biegasz, kochany? Wiesz, że wyczuję, jeśli mnie okłamiesz.

***

– Wrzuciłeś Boskiego na bęben? – Marta zgasiła papierosa w cmentarnym śmietniku. – Tak, tego co nie pochował... Daj mi znać, jeśli coś znajdziesz.

Podeszła do grobowca. Na płycie odczytała nazwisko: Agata Boska. Obeszła pomnik dookoła, ale nie zauważyła nic podejrzanego. Zresztą, od pogrzebu minęło kilka miesięcy, trudno było coś stwierdzić na pierwszy rzut oka.

– Tu leży córka mojej znajomej – odezwała się do niej jakaś kobieta.

Dwa groby dalej stała dobrze ubrana pani po pięćdziesiątce.

– Nie widziałam tu pani wcześniej – dodała.

– Nie jestem z rodziny – wytłumaczyła krótko Marta, licząc, że to wystarczy. – Zadbany grób.

– To prawda – potwierdziła kobieta, traktując stwierdzenie jak zachętę do rozmowy. – Matka tak przychodzi. Sprząta grób co tydzień. To taka dobra osoba.

– Agata tak młodo zmarła. – Marta naprowadzała rozmówczynię na właściwy temat.

– Oj, to prawda! – Tamta machnęła ręką. – Ale jej mąż tu nie przychodzi, nigdy go nie widziałam. Tylko matka sprząta.

– Ej tam, nie może pani tego wiedzieć, być może się mijacie.

– Nie mijamy, nie mijamy, kochanieńka. Tu leżą sami dobrzy ludzie, my się tu wszyscy znamy z widzenia. – Kobieta zatoczyła ręką małe kółeczko. – Gdyby przychodził, to bym wiedziała. To podobno dziwak jakiś.

– To znaczy?

– Sąsiadka mi mówiła, co była na pogrzebie, że stał jak słup. Ani słowem się nie odezwał, na nikogo nie patrzył, nie płakał, ręką nie ruszył. Stał i już.

Zadzwonił telefon Marty.

– Dzień dobry, pani Renato – przywitała się, widząc numer nauczycielki ze szkoły. – Czy coś z Kubą?... Już siedemnasta? Przepraszam bardzo, za pięć minut po niego jestem... Tak, pamiętam, że świetlica jest czynna do piątej. Przepraszam jeszcze raz.

Dziewczyna skończyła rozmowę i schowała telefon.

– Nic, będę już iść – zwróciła się do kobiety. – Dziękuję za rozmowę.

– Proszę. A kim pani jest, jeśli mogę spytać?

– Koleżanką Agaty ze studiów. Muszę już iść, do widzenia.

– Do widzenia, do widzenia.

Marta ruszyła w stronę wyjścia. Wyciągnęła telefon z powrotem i zadzwoniła.

– I co, masz coś dla mnie? – powiedziała, odwracając się za siebie. Kobieta nadal na nią patrzyła. – Czysty? Okey, a możesz wypisać wezwanie dla niego? Nie wracam już dzisiaj na bazę. Dzięki.

***

– Cześć, synu. – W głosie starszego pana słychać było ulgę. – Matka nie mogła się do ciebie dodzwonić. Stało się coś?

– Cześć, tato. – Piotr wstał od biurka i wyszedł z telefonem na balkon. – Nie, wszystko w porządku.

– To dlaczego nie odbierasz od niej telefonów?

– Wiesz, jaka jest. – Mężczyzna odwrócił się w stronę mieszkania, ale nigdzie nie widział Agaty. – Ciągle pyta, jak się czuję.

– Nie powinno cię to dziwić, gdybyś regularnie z nią rozmawiał, może nie musiałaby cię wypytywać za każdym razem.

– Masz rację, po prostu czasem nie mam ochoty na rozmowę.

– Czasem?? – Mężczyzna podniósł głos. – To czasem trwa od pogrzebu Agaty. Dotarli do nas nawet twoi znajomi. Pytali o ciebie. I dziwi cię, że matka, że chcemy wiedzieć, jak się czujesz, i czy w ogóle żyjesz?

Piotr westchnął bezgłośnie. Opuścił głowę, ale zaraz się wyprostował i spojrzał jeszcze raz w stronę pokoju. Żony nadal nie było w pobliżu.

– Tato, daj spokój – powiedział z wyrzutem. – Nie mam prawa do prywatności?

– Synu, masz trzydzieści lat. Ja ci nie będę mówił, jak masz żyć. Nie chciałeś wrócić z nami do Łomży, zrozumiałem. Wiem, że dużo przeszedłeś, wycierpiałeś, ale nie możesz zachowywać się jak nastolatek. Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo denerwujemy się przy każdym nieodebranym telefonie? Nie chcesz, żebyśmy dzwonili, to zadzwoń ty. Odezwij się sam raz na jakiś czas, a nie będziesz musiał wysłuchiwać pytań matki.

Piotr zauważył kątem oka, jak Agata prześlizguje się po suficie aż pod same drzwi balkonowe. Zakręciła się w miejscu, wyciągając szyję i nadstawiając uszu. Była ciekawa, czy będzie rozmawiał o niej. Wolał jej nie prowokować, nie lubiła jego rodziców.

– Dobrze, postaram się.

– Potrzeba ci czegoś?

– Nie, radzę sobie. Wiesz, praca zdalna znacznie zmniejszyła moje potrzeby.

– Dobrze. Nie będę zabierał ci więcej czasu, pamiętaj tylko, co obiecałeś.

– Będę pamiętał. – Piotr już miał rozłączyć rozmowę. – Pozdrów mamę, tato.

Zajrzał do pokoju, Agaty już w nim nie było. Chciał wrócić do biurka, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Schował telefon do kieszeni i poszedł sprawdzić.

– Dzień dobry – usłyszał od listonosza, gdy otworzył. – Polecony. Odbiera pan?

– Tak.

– Proszę tu podpisać. – Mężczyzna podstawił mu ekran. – I jeszcze tu, na potwierdzeniu.

– Dziękuję.

– Do widzenia.

Piotr zamknął drzwi. Za nimi stała Agata.

– Kto to? Dobrze, że już poszedł, jestem głodna. – Spojrzała na wenflon. – Co przyniósł?

Mężczyzna ruszył powoli do pokoju.

– Wezwanie na policję.

***

– Ok. Formalności mamy za sobą. – Marta oderwała palce od klawiatury. – Domyśla się pan, w jakiej sprawie został wezwany?

– Niestety nie. – Padła odpowiedź.

Kobieta przyglądała się Piotrowi Boskiemu. Ubrany schludnie, choć nie przykładał wagi do wyglądu. Typowa budowa ciała, ani gruby, ani chudy. Mógłby uchodzić za przystojnego, choć nie był w jej typie. Wydawałoby się, zwyczajny facet.

– Złożono zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa. – Sięgnęła po teczkę. – Zarzuca się panu, że nie pochował żony. To znaczy, nie umieścił ciała w trumnie.

– To na pewno pomysł mojej teściowej – odpowiedział spokojnie mężczyzna. – Krystyny Góreckiej.

– To prawda. – Marta spojrzała w akta i znowu na Boskiego. – Skąd pan wie? Jest pan w konflikcie z teściową? Dlaczego złożyła takie zawiadomienie?

– Nie wiem dlaczego. Nie, nie wydaje mi się, abym był z nią skonfliktowany, ale ona może uważać inaczej.

– Czy pochował pan żonę?

– Tak, oczywiście.

– Dlaczego pani Górecka uważa inaczej? Pokłóciliście się? Powiedział pan coś, z czego mogłaby to wywnioskować?

– Nie przypominam sobie. – Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie przypomina pan sobie, czy nie powiedział, może coś sugerował?

– Nic takiego nie powiedziałem. – Boski poruszył się na krześle. – Rzadko się widujemy.

– Kiedy ostatnio był pan na cmentarzu u żony? – Marta wstała, by zyskać przewagę.

– Nie pamiętam. – Piotr musiał podnieść głowę, żeby spojrzeć na kobietę.

– Ma pan problemy z pamięcią, zażywa jakieś leki?

– Nie.

– To proszę się skupić. – Marta pochyliła się nad nim. – Jak często bywa pan na grobie żony i kiedy był pan tam ostatni raz?

– Od pogrzebu tam nie chodziłem.

– Dziękuję. – Kobieta wróciła za biurko. – Jeszcze jedno. Jak zmarła pańska żona?

– Miała wypadek, w domu.

– Na razie to wszystko. Powiadomię pana, jeśli będę miała jakieś dodatkowe pytania.

Mężczyzna siedział jeszcze przez kilka sekund, a później wstał, pożegnał się i wyszedł.

Marta szybko skończyła raport i przygotowała komplet dokumentów dla prokuratury. Dołączyła od razu zlecenie ekspertyzy grobu Agaty Boskiej. To, że Boski uważał samobójstwo żony za wypadek, nie było dla niej niczym nowym. Wyparcie u najbliższych przyjmuje różne formy. Jednak zeznania Góreckiej i jej zięcia rozmijały się. Musiała to sprawdzić.

***

Piotr wybiegł na prostą wzdłuż parku. Zrobił jeszcze sto metrów i zatrzymał się. Poczuł silny ból w klatce piersiowej. Wydawało mu się, że to palenie w płucach, jak zwykle, gdy wychodził jego brak kondycji. Jednak biegał od kilku miesięcy i z formą nie było już tak fatalnie. Poza tym ból był inny. Jak gdyby ktoś uderzył go w mostek od środka. I jeszcze to bicie serca, waliło mu dzisiaj jak na wyścigach.

Minęła go inna biegaczka. Bezwiednie wstrzymał oddech. Jak ona się poruszała! Pokonywała kolejne metry tak swobodnie i z niewymuszoną gracją, jakby powstrzymywała się, by nie polecieć w górę. Szybko się oddaliła, miała znakomite tempo. Każdy jej krok był jak jego dwa. Odprowadził ją wzrokiem, aż zniknęła za zakrętem. Złapał się rękami pod boki i westchnął głośno. Nie pobiegł już dalej, odwrócił się i poszedł do domu.

– Gdzie byłeś tyle czasu? – Agata siedziała na ścianie tuż nad drzwiami wejściowymi do mieszkania.

– Biegałem. – Piotr spojrzał w górę, najpierw na żonę, później na sufit.

Żyły pokrywały go całkowicie. Splecione ciasno jedna obok drugiej, bez skrawka wolnego miejsca. Patrzył, jak spełzają obok Agaty, oplatają drzwi. Wąskimi strużkami spływała z nich krew, rozlewając się przed wejściem.

– Co to za zapach?! – syknęła dziewczyna, wieszając się na jego plecach. – To kobieta! Zostawiasz mnie samą i spotykasz z inną?!

Oplotła go nogami i ścisnęła jak zwykle, aż zabrakło mu tchu.

– Zostaw, przewrócisz mnie. – Uwolnił się z jej rąk. – I nie zaczynaj znowu.

– Czuję kobietę. – Dziewczyna jakby go nie słyszała. Wspięła się na ścianę, później na sufit i przeczołgała się po nim do pokoju. – Spotkałeś inną.

Zignorował ją. Czasami tak było najlepiej. Poszedł do łazienki, chciał jak najszybciej się umyć. Długo stał pod prysznicem, i choć mocno puścił wodę, nadal słyszał żonę, jak kręci się po suficie i mówi do siebie.

***

– To właśnie pracownicy, którzy obsługiwali wtedy pogrzeb. – Właściciel domu pogrzebowego *Ostatnia Droga* wskazał na mężczyzn, którzy weszli do sali. – Będę jeszcze potrzebny?

– Nie, poradzę sobie. – Marta wyciągnęła notes. – Dziękuję.

Gdy mężczyzna wyszedł, spojrzała na jego pracowników. Jeden był wysokim i szczupłym, ogorzałym brunetem, a drugi krótko ostrzyżonym blondynem, niskim i grubym. Ich wygląd przywodził na myśl komiczne porównania, ale nie chciała się uprzedzać.

– Dzień dobry, panowie. Możecie krótko opisać tamten dzień? – zapytała od razu. – Czy zapamiętaliście coś szczególnego? Pamiętacie w ogóle męża zmarłej, Piotra Boskiego?

– Uhm – przytaknął jeden, a drugi potwierdził skinieniem głowy.

– Było coś w jego zachowaniu, co zwróciło waszą uwagę?

Tym razem spojrzeli na siebie, później na nią i stali bez słowa. Marta potarła czoło palcami, zastanawiając się, czy to jakaś ukryta kamera, czy mówi do nich zbyt skomplikowanym językiem.

– Niech pan mówi pierwszy. – Wskazała wysokiego.

– No, pani komisarz, pamiętam go. Stał sam przed trumną, zupełnie bez ruchu, i nic nie mówił.

To ci niespodzianka, pomyślała. I wtedy zadzwonił telefon.

– Przepraszam – powiedziała, odwracając się od mężczyzn. – Adamczyk, słucham?

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza.

– Jesteś pewien, że Makaron? – dopytywała rozmówcę. – Jest już oficjalnie wpisany, czy to plotki?... Nie, ale Makary Szymczak nie jest moim ulubionym prokuratorem... Dobra, pogadamy w bazie. Cześć.

Marta rozłączyła się i wróciła do rozmowy.

– Przepraszam... Oprócz tego, że nic nie mówił, zapamiętał pan coś jeszcze? Dziwne zachowanie, inne osoby?

– Nie, nikogo. Był sam, pani komisarz, zapamiętałem go, bo matki nie wpuścił. – Mężczyzna w końcu się rozkręcił. – To znaczy nie swojej matki, tylko matki tej zmarłej. Nie wpuścił jej.

– Właśnie, nie wpuścił jej – powtórzył grubas. – A przecież matka to najważniejsza jest, proszę pani. Kto jest ważniejszy niż matka?

– Jesteście pewni? Może była chwilę wcześniej albo później? Mogliście jej nie zauważyć?

– Nie, to niemożliwe, pani komisarz. Najpierw wprowadzamy trumnę i otwieramy ją, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku – tłumaczył brunet. – A później do pomieszczenia wchodzą bliscy na ostatnie pożegnanie. My wychodzimy i czekamy przed wejściem do pomieszczenia. Nikt więcej nie może wejść do środka. U nas nie ma odwiedzin, takie mamy przepisy.

– Jestem aspirantem. – Gdy zapisywała uwagi, znowu zadzwonił telefon. – Adamczyk, słucham?... Julka wymiotowała? Dobrze, zaraz po nią przyjadę. Może poczekać na mnie w grupie?... Na świetlicy, dobrze.

Schowała telefon i spojrzała szybko do notesu.

– Przepraszam. Słyszeliście może, dlaczego jej nie wpuścił? Rozmawiali ze sobą?

– Tego nie wiemy, pani komisarz – odezwał się blondyn. – Widzieliśmy ją tylko przez okno. Jak chodziła przed budynkiem tam i z powrotem. Płakała. Szkoda nam jej było.

– Rozumiem. To w zasadzie wszystko, dziękuję. – Marta złożyła notes. – I jeszcze jedno. Czy w trumnie na pewno znajdowało się ciało Agaty Boskiej? Czy ktoś mógłby przenieść ciało przez przypadek albo zabrać je świadomie? Czy trumna mogła być pusta podczas pochówku?

– Nigdy w życiu! – oburzył się blondyn.

– Co też pani mówi – dodał wysoki. – Wszystko można sprawdzić w papierach! Zamykamy trumnę zaraz po wyjściu bliskich. To niemożliwe!

***

Marta patrzyła, jak Bartek pochłania kolejne kawałki ciasta. Nie lubiła, jak kolega jadł w pokoju, ale facet miał zdecydowanie więcej zalet niż wad, więc mu odpuszczała.

– Julka chorowała prawie przez miesiąc, co wróciła do przedszkola, to po dwóch dniach znowu w domu. Jak ona w końcu wyzdrowiała,

to Kuba rozłożył się na tydzień – tłumaczyła. – A stary zły, że wzięłam dwa tygodnie zwolnienia. I tak stawałam na rzęsach, żeby zorganizować opiekę na pozostałe dni!

– Nic mi nie mów. – Tuszyński machnął ręką. – Z moją trójką, to już wszystko przechodziłem. Teściowa praktycznie z nami mieszka. Złota kobieta. Stary nie lubi zwolnień. Nie ma dzieci, to nie rozumie.

– Masz dobrze. Też czasem chciałabym mieć kogoś do pomocy. A tak? Przez te dwa tygodnie na L4 nie mogę od miesiąca wygrzebać się z papierów. – Wskazała stos teczek. – Siedemnaście spraw!

– To o pięć mniej niż u mnie. – Bartek uśmiechnął się szeroko i dodał z podziwem. – Jak ty to do cholery robisz?

Do pokoju zajrzał nowy nabytek na komisariacie, starszy posterunkowy Jasiński.

– Pani aspirant, dyżurny panią woła. Przyszła jakaś Górecka.

Marta zmarszczyła brwi, szukając właściwej teczki.

– Niech ją przytrzyma na dole przez chwilę, zaraz po nią przyjdę.

Odnalazła sprawę Boskiego, minęły już dwa miesiące i musiała jeszcze raz przejrzeć ekspertyzę biegłego. Nie stwierdził jednoznacznie, czy grób był otwierany od czasu pogrzebu. Ślady wokół miejsca niemożliwe do ustalenia, płyta nagrobna nie była przyklejona, co potwierdził w domu pogrzebowym. I chociaż jest ciężka, nie jest niemożliwe jej przesunięcie lub zdjęcie. Nie stwierdzono jednak żadnych uszkodzeń ani na płycie, ani na samym pomniku.

Krystyna Górecka nie przyjęła najlepiej informacji, że Marta zamierza umorzyć sprawę. Bartek taktownie wyszedł z pokoju.

– Ale jak to nie ma przesłanek?! – Kobieta podniosła się z krzesła. – Przecież zeznałam, jak mówił, że jej tam nie ma. Nie pozwolił mi jej zobaczyć! Słyszy pani?

– Proszę się uspokoić i usiąść, pani Górecka. – Marta zerknęła w akta. – Powtarzam raz jeszcze. Przesłuchaliśmy świadków i podejrzanego. Sprawdziliśmy dom pogrzebowy, córka na pewno została pochowana. Mają na to własny protokół. Sprawdziliśmy pomnik i miejsce wokół niego. Mamy ekspertyzę biegłego, w której jednoznacznie nie stwierdza, że grób był otwierany po pogrzebie.

– Ale też nie mówi, że nie był. – Kobieta ściskała mocno rączki od torebki. – Prawda?

– Proszę pani. Nie mam podstaw, żeby kontynuować śledztwo. Muszę trzymać się procedur. Nic nie mam na zięcia, oprócz słów, które rzekomo powiedział.

– Powiedział!

– On twierdzi coś innego.

– Ja tego tak nie zostawię! – Górecka ponownie wstała. – Nie zostawię! Odwróciła się i wyszła, trzaskając drzwiami.

– I? – Do pokoju wrócił Bartek.

– I nic. – Marta odłożyła teczkę. – Zostało jeszcze szesnaście spraw.

***

Piotr wygrzebał palcami włosy z umywalki. Dosyć dużo jak po zwykłym myciu. Spojrzał w lustro i przekręcił głowę. Na czole, zaraz przy włosach miał zdrapanie, właściwie ranę, od dwóch tygodni nie chciała się zagoić. Najpierw zaklejał ją plastrami, ale to nie pomagało, a było wręcz gorzej, więc teraz w ogóle nic nie przykładał. Drugą miał zaraz pod pachą. Ta była od biegania, obcierała go bluzka termiczna i zanim się zorientował, skórę miał startą do krwi. Też nie chciała się goić, ale tę ciągle podrażniał podczas biegów, więc jakoś to rozumiał. Podniósł ramię, żeby dokładniej się przyjrzeć. Skrzywił się, czując kolejny raz ból w klatce piersiowej. Spojrzał po sobie. Z łatwością mógł policzyć wszystkie żebra, widział wyraźnie kości miednicy i mięśnie brzucha. Był szczupły jak nigdy dotąd.

– Wyglądasz zupełnie jak ja. – Agata przylgnęła do jego pleców. – Pasujemy do siebie, prawda?

– Chyba tak.

– Dlaczego chyba? – Dziewczyna odsunęła się. – Źle ci ze mną? Znalazłeś sobie kogoś? Dlatego tyle biegasz i ciągle nie ma cię w domu? Dlaczego nic nie mówisz?!

Piotr nie wiedział, co więcej mógłby powiedzieć, jego pierwsza odpowiedź była zupełnie bezwiedna. „Chyba" nie znaczyło nic złego.

Bynajmniej nie w tym sensie, w jakim rozumiała to Agata. Nie analizował, ani nie zastanawiał się ciągle nad ich związkiem. Byli razem, kochał ją i to mu wystarczało, ale nie wiedział, czy pasują do siebie i kto miałby to orzec. On, oni? Ktoś niezależny? Był typem zadaniowca, zrobić od A do Z. Tyle. Ona ciągle się nad czymś zastanawiała, coś sondowała, podawała w wątpliwość. I cały czas o coś go pytała. A on nie umiał ubrać w słowa tego, co czuł.

– Milczysz. Robisz to specjalnie, wiem o tym. To jest kara, tak? Za to, że się zdenerwowałam? Chcesz, żebym znowu poczuła się winna? Nic dla ciebie nie znaczę...

Agata wyrzucała z siebie kolejne zdania. Zanim zastanowił się nad jednym, już pytała o coś innego. Jak miał odpowiedzieć jednocześnie na wszystko? Stał więc tylko i czuł, jak szybko wali mu serce. Chociaż nie z powodu rozmowy. Ostatnio ciągle biło bardzo szybko, jakby właśnie był po dużym wysiłku.

– Muszę pobiegać.

– Nie! Nie zostawiaj mnie znowu samej! Słyszysz? – prosiła Agata, patrząc, jak Piotr się przebiera. – Albo milczysz, albo cię nie ma. Chcę, żebyś był ze mną, a nie obok mnie, słyszysz? Zostań!

– Niedługo wrócę, obiecuję.

Patrzył gdzieś w podłogę. Szybko włożył buty i wyszedł.

***

– Aspirant Adamczyk?

– Przy telefonie. – Marta znała ten głos. – Słucham.

– Z tej strony Szymczak – oznajmił mężczyzna z wyniosłą manierą. – Zapoznałem się z aktami sprawy Boskiego. Widzę, że chce ją pani umorzyć.

– Już umorzyłam, postanowienie jest w aktach. – Dziewczyna podeszła do okna i zapaliła papierosa.

– Na jakiej podstawie, pani aspirant?

– Z braku przestępstwa, artykuł 17 k.p.k. – Marta najchętniej dodałaby jakiś epitet. – Panie prokuratorze.

– To tak pracujecie w wydziale dochodzeniowym? – Mężczyzna podniósł głos. – Wypełnić papiery i zamknąć sprawę?!

– Słucham?!

– Przecież tu są wyraźne przesłanki do ekshumacji!

Marta oderwała słuchawkę od ucha i zacisnęła pięść.

– Jakie przesłanki, panie prokuratorze? – Starała się zachować spokój. – Podejrzany nie potwierdził słów teściowej. W domu pogrzebowym mają papiery, że pochowali ciało. Biegły nie stwierdził otwarcia grobowca. Na jakiej podstawie miałam zlecić ekshumację?

– Na podstawie zeznań Góreckiej, odmiennych zeznań podejrzanego i niedopuszczenia do trumny nikogo z bliskich – wyliczał Szymczak.

Dziewczyna wiedziała, że to żadne powody. Wyobrażała sobie, jak Makaron macha przy tym łapami.

– I przede wszystkim, niejednoznacznej opinii biegłego! – Prokurator prawie krzyczał. – Naprawdę nie widzi pani faktów?

– To słowa, nie fakty. A jedyne fakty, a raczej ich brak, to ekspertyza biegłego, w której nic jednoznacznie nie stwierdził. – Marta zgasiła papierosa, wyobrażając sobie, że robi to na łysym łbie Szymczaka.

– Pani musi się jeszcze wiele nauczyć. – Mężczyzna milutko zasyczał do słuchawki. – Nie powiem, żebym był pod wrażeniem przeprowadzonego dochodzenia. Na razie wysyłam postanowienie prokuratorskie o ekshumacji. Będziemy w kontakcie.

Makary Szymczak rozłączył się.

– Wał. – Marta chwyciła kluczyki od auta i wyszła z pokoju.

– Aspirant Adamczyk!

– Bartek... – Odwróciła się ze złością. – Możesz sobie darować?

Kolega podniósł ugodowo ręce.

– Ok. Ok. Mam tylko info o Makaronie, podobno nie zamknie sprawy trumny bez trupa.

– Właśnie dzwonił.

– To pewnie już wiesz. – Mężczyzna skrzyżował ręce na piersiach. – Co powiedział?

– A, takie tam. Jakim to jestem świetnym oficerem dochodzeniowym, że wróży mi świetlaną przyszłość i długą karierę.

– To kutas. Cofa ci akta?
– Tak, będzie ekshumacja.

***

Pochód otwierał Szymczak, szedł przez cmentarz jak przewodnik. Marta szła ostatnia. Kobieta domyśliła się, że musiał już tutaj być. Z Górecką lub z kimś z jej rodziny albo znał to miejsce wcześniej. Przynajmniej wiedziała, czemu chciał ekshumacji. Jakie to były powiązania, nie miało już dla niej znaczenia. Za nim szedł lekarz medycyny sądowej, pracownik cmentarza i dwóch ludzi z domu pogrzebowego.

– Proszę, niech panowie zabierają się do pracy – powiedział Makaron, gdy tylko dotarli na miejsce.

Marta odeszła kilka kroków i zapaliła papierosa. Patrzyła, jak mężczyźni mocują się z kamienną płytą. Gdyby ściągać miał ją Boski, potrzebowałby pomocy. W końcu ciężki marmur wylądował na przygotowanych wcześniej paletach. Pracownik domu pogrzebowego zszedł po drabince do grobowca przełożyć liny pod trumną.

– Pomoże pan? – zapytał Szymczaka jeden z mężczyzn. – Brakuje nam czwartego.

Makaron, choć niezadowolony, to jednak oddał teczkę lekarzowi i chwycił za jeden z końców liny. Po chwili trumna znalazła się na górze. Była jeszcze w całkiem dobrym stanie.

– Śruby nie są przykręcone – zauważył jeden z pracowników.

– To znaczy? – zapytał Szymczak.

– Wieko nie jest przykręcone do skrzyni – tłumaczył ten sam mężczyzna. – Leży luzem.

Wszyscy podeszli bliżej. Przez chwilę panowała cisza.

– Podnieście je – zarządził prokurator.

Trumna była pusta.

– I co pani teraz powie? – Makaron dumnie się wyprostował. – Czy widzi pani, co znaczy kilkunastoletnie doświadczenie w zawodzie? A pani chciała zamknąć sprawę!

Marta musiała przełknąć gorycz porażki. Podziękowała mężczyznom i ruszyła do wyjścia, wyciągając przy tym telefon.

– Cześć, czy Bartek jest w bazie? – powiedziała do dyżurnego. – Dobra, to wyślij patrol na Wróbla 12. Niech zgarną Piotra Boskiego.

***

Kiedy tylko weszła do pokoju przesłuchań, od razu zauważyła, że Boski jest chory, może nawet bardzo. To był cień człowieka, którego widziała kilka miesięcy wcześniej. Ok, już wtedy był dosyć szczupły, ale teraz siedział przed nią przeraźliwy chudzielec z zapadniętymi policzkami i ranami na twarzy. Dosłownie skóra naciągnięta na czaszkę. Zupełnie wybiło ją to z równowagi.

– Dzień dobry. – Usiadła przed podejrzanym, zastanawiając się, od czego zacząć. – Czy jest pan chory? Możemy przełożyć przesłuchanie, jeśli wymaga pan hospitalizacji albo jest w trakcie leczenia.

– Nic mi nie jest. Dlaczego pani pyta? – zdziwił się mężczyzna. – Czyżby moja teściowa znowu coś wymyśliła? Chce zrobić ze mnie chorego?

– Nie, pani Górecka nie składała takich zeznań. – Kobieta próbowała wyczytać coś z mowy ciała podejrzanego, ale wydawał się rzeczywiście zaskoczony. – To rutynowe pytania.

Marta musiała zmienić strategię. Stan Boskiego na pewno nie był normalny, nawet jeśli on tak uważał. Przed przesłuchaniem była skłonna uwierzyć, że otworzył grób i zabrał ciało żony, ale teraz... „Kurwa", zastanawiała się, czy nie będzie musiała przytrzymać mu szklanki, jak będzie chciał się napić, a co dopiero ściągnięcie z grobowca ciężkiej marmurowej płyty! Za to łatwiej można go przycisnąć w tym stanie.

– Dobrze, już raz rozmawialiśmy, sprawę pan zna, więc przejdę od razu do rzeczy. – Marta wstała i odruchowo sięgnęła po fajki, choć ich nie wyciągnęła. – Co stało się z ciałem żony? Po co zabrał je pan z grobu?

– Mówiłem już wcześniej. Pochowałem żonę, jak robi to każdy obywatel. – Mężczyzna zaczął drapać ranę na czole. – I nie zabierałem później ciała z grobu.

– Ja pierdolę, człowieku! – Marta walnęła dłońmi w stół. – Pójdziesz za to siedzieć. Żarty się skończyły, rozumiesz? Po co ją wyciągałeś? Przeprowadzałeś jakieś rytuały? Jesteś satanistą? Chciałeś zrobić na złość teściowej? Gdzie przeniosłeś szczątki?!

– Nie wyciągałem nikogo z grobu – odpowiedział spokojnie Boski.

Kobieta miała wrażenie, że słowa docierają do niego jak przez mgłę. Odpowiadał po chwili namysłu, jakby potrzebował czasu na zrozumienie pytania.

– Słuchaj, normalnie to ty nie wyglądasz. – Marta pomyślała, że mały blef nie zaszkodzi. – Jestem pewna, że lekarz znajdzie na tobie rany, które zadałeś sobie sam albo ktoś ci je zrobił. Jeśli odstawiasz jakieś obrzędy, to wypłynie. Takie rzeczy zawsze wychodzą, a wtedy nie skończy się na jednym wyroku za zbezczeszczenie zwłok, tylko dojdzie kilka innych. Dobrze się więc zastanów, co chcesz mi powiedzieć. Pytam po raz ostatni, co zrobiłeś ze zwłokami żony?

– Pochowałem je podczas pogrzebu.

– Ok. Jak sobie chcesz.

Marta odesłała Boskiego na dołek. Teraz został jej do wykonania jeszcze jeden telefon. Skrzywiła się na samą myśl.

– Dzień dobry, Adamczyk z tej strony. – Dziewczyna zaczęła bawić się bezwiednie wyjętą paczką papierosów. – Będę potrzebowała nakazu przeszukania mieszkania Piotra Boskiego.

– Kolejna błyskotliwa myśl, pani aspirant? – Szymczak prawie śmiał się do słuchawki. – Uważa pani, że podejrzany trzyma trupa w szafie?

– Nie, panie prokuratorze. – Marta przestała obracać paczkę. – Ale może mieć jakieś zdjęcia, mapy, zapiski w notesie lub komputerze, klucze do piwnicy lub innych pomieszczeń, albo do działki w lesie. Może nawet gdzieś łom, na którym będzie ta sama ziemia, co na cmentarzu. Potrzebuję nakazu w ciągu dwudziestu czterech godzin, żeby nie zdążył zatrzeć śladów, jak wyjdzie.

– ...Dobrze, wystawię go jeszcze dzisiaj.

***

– Cześć, Bartek. – Marta przytrzymała telefon ramieniem, pakując kanapki do plecaka Kuby. – Julka! Julka, spójrz na mnie! Nie wpychaj ręki do słoika, bo znowu nie będziesz mogła jej wyjąć... Przepraszam, już jestem. Możesz pojechać dzisiaj ze mną i Boskim na przeszukanie mieszkania?... Nie, kryminalni też są zajęci... Wolałabym nie, młody jest, a Boski to dziwny gość... Nie, muszę dzisiaj. Jutro będę musiała go wypuścić... Rozumiem, nie będę miała wyjścia, pojadę z Natankiem... Ok. Będę dzwonić jak coś.

Starszy posterunkowy Natan Jasiński szeroko otworzył usta, ale głośno nie skomentował polecenia wyjazdu z aspirant Adamczyk.

– Byłeś już kiedyś na przeszukaniu? – Marta chciała wiedzieć, na czym stoi.

– Nie, jeszcze nie.

– Dobra. Jak już będziemy na miejscu, ja będę przeszukiwać, a ty będziesz pilnował podejrzanego – tłumaczyła. – Żeby nie próbował niczego schować, kopnąć w niewidoczne miejsce albo zabrać. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem.

– Tylko nie daj dupy. – Wskazała mu drzwi. – Wyciągaj kajdanki. Pakujemy Boskiego i ruszamy.

Na miejscu byli po pół godziny.

– Zaczekajcie chwilę – powiedziała, wysiadając z auta. – Muszę jeszcze zadzwonić i zaraz idziemy.

Odeszła kilka metrów od samochodu.

– Cześć, będziesz musiał odebrać Kubę ze szkoły i Julkę z przedszkola – tłumaczyła byłemu. – Postaram się przyjechać po nich jak najszybciej... Normalnie, ze szkoły i przedszkola... Jak wiesz, to po co pytasz?... Słuchaj, dopiero rozpoczynam czynności, a już jest trzynasta. Czasami mam taki dzień, że coś się przedłuża albo wypada niespodziewanie. Służba. W końcu jesteś przecież ojcem... Cieszę się, że o tym wiesz. To wiesz też, co robić.

Rozłączyła się i machnęła do mężczyzn, żeby wysiedli z auta. Puściła ich przodem. Weszli do klatki i ruszyli po schodach na piętro.

Pokuta

– Gdzie masz klucze? – zapytała Boskiego, gdy dotarli przed drzwi mieszkania.

– W kieszeni od spodni.

– Dobra, dasz radę sam wyciągnąć.

Po chwili pęk kluczy znalazł się w jej rękach.

– Który?

– Duży od dolnego i ten mały żółty od górnego.

Najpierw przekręciła główny zamek, a później górny. Złapała klamkę. W tej samej chwili mężczyzna uderzył skutymi rękoma Jasińskiego. Chłopak wpadł na nią, a Boski błyskawicznie ruszył na dół po schodach.

– Kurwa, młody! – Marta rzuciła się w pościg.

Piotr Boski w niczym nie przypominał zamroczonego chudzielca z przesłuchania. W kilka sekund znalazł się na parterze i wybiegł na ulicę. Dziewczyna pobiegła za nim, w ostatniej chwili zdążyła zauważyć, jak znika za budynkiem naprzeciwko. Gdy sama wybiegła zza rogu, mężczyzna był już pięćdziesiąt metrów przed nią, w połowie drogi na Bastion Wyskok. Mimo że Marta regularnie biegała, a on miał na rękach kajdanki, to i tak bardzo szybko się oddalał. Nie minęli nikogo, kto mógłby pomóc go zatrzymać. Wbiegła na Bastion i ruszyła za Boskim na szczyt. To było cholernie długie dwieście metrów. Zatrzymała się na górze, spojrzała w lewo na Bastion Wilk i w prawo, na zieleń otaczającą Bastion Miś. Nigdzie ani śladu mężczyzny.

– Ja pierdolę.

Wiedziała, że sama nic już nie zdziała. Wróciła szybko do mieszkania podejrzanego. Jasiński siedział na schodach i masował głowę.

– Rany, młody, co ty odwaliłeś. – Chciała powiedzieć coś dosadniej, ale tak naprawdę była zła na siebie. – Podnoś tyłek i leć go szukać!

– Przepraszam, pani aspirant.

– Leć już.

Odruchowo położyła dłoń na broni. Drugą ręką powoli popchnęła drzwi wejściowe. W środku było ciemno. Boski miał pozasłaniane okna. Wyjęła latarkę. Świecąc po ścianach, znalazła kontakt i włączyła światło. Ściany w przedpokoju były czymś pomazane. Kolor wskazywał na krew, nie pierwszy raz ją

widziała. Zauważyła też kilka stojaków na kroplówki. Na niektórych wisiały zużyte dreny. Starała się żadnego nie dotknąć. Stanęła na progu dużego pokoju, w którym jedno z okien było częściowo odsłonięte. Akurat tyle, że mogła przeczytać na ścianie wielki napis „POKUTA", wypisany krwią.

***

Marta kończyła palić kolejnego papierosa. Oparła się o ścianę budynku i spojrzała w niebo. Słońce jeszcze przyjemnie grzało. Wyciągnęła telefon.

– Cześć, tu Adamczyk. Jestem na kwadracie Wróbla 12. Przyślij tu wszystkich. – Przeczesała ręką włosy. – Tak, wszystkich. Techników, moich i kryminalnych. Do starego już dzwoniłam.

Szybko wybrała drugi numer.

– To ja. Mam kocioł w robocie. Dzieciaki będą musiały zostać u ciebie... Tak, na noc... Mogą spać w podkoszulkach i majtkach... No to wyjdź i kup im szczoteczki! Mówię ci, że mam kocioł! Musisz zawsze wszystko utrudniać?! – Rozłączyła się.

Wróciła na górę, żeby jeszcze raz spokojnie obejrzeć mieszkanie. Krwią wymazano ściany w każdym pomieszczeniu. Największy napis znajdował się w salonie. Poprawiany przynajmniej kilkunastokrotnie. Widać było, że składa się z wielu warstw. Kilka mniejszych „pokut" znalazła w pozostałych pokojach i łazience. W lodówce naliczyła kilkanaście woreczków z krwią. Na sufitach wydrapano rowki i szczeliny, które tworzyły kształt splątanych gałęzi albo sieci wielkich żył, wszystkie wymalowano na czerwono. Przyklejone do nich wisiały dreny.

W ciągu pół godziny wszyscy byli na miejscu. Technicy zabrali się za pobieranie próbek i zabezpieczanie odcisków palców. Reszta chłopaków rozglądała się po mieszkaniu, czasem o coś ją pytając. Stary rozmawiał przez telefon.

Usłyszała czyjeś kroki na schodach.

– Co tu się wyrabia do cholery?! – W drzwiach pojawił się Szymczak. – Czy pani choć odrobinę zna się na swojej pracy?! Starszy posterunkowy pobity, podejrzany zbiegł! Bardziej nie można było tego zjebać!

W jednej chwili komendant stanął między nią a prokuratorem.

– Swoich ludzi sam opierdalam. – Mężczyzna podszedł bliżej do Szymczaka. – Niech pan lepiej uważa, panie prokuratorze... Ślady może pan zadeptać.

Makaron zrobił się cały czerwony na twarzy.

– Proszę mnie informować na bieżąco. – Ruszył szybkim krokiem do wyjścia. – Na bieżąco znaczy codziennie!

Nikt za nim nie spojrzał. Komendant odwrócił się do Marty.

– Lepiej szybko ogarnij ten bajzel. Widać, że gość bardzo cię lubi i nie odpuści. Dostaniesz kryminalnych do pomocy.

***

Krystyna Górecka wyjątkowo spokojnie przyjęła informacje o postępach śledztwa. Dla Marty to była jedna z trudniejszych rozmów. Choć tym razem nie musiała powiadamiać o niczyjej śmierci.

– Czy ma pani jakieś podejrzenia, gdzie zięć może się ukrywać? – Położyła przed kobietą plastikowy worek z pękiem kluczy. – Czy wie pani, do czego są te klucze? Może młodzi mieli jakąś inną nieruchomość albo działkę?

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo – zaprzeczyła Górecka. – To jest zapasowy komplet do mojego mieszkania. Zapomniałam, że kiedyś dałam go córce.

– Niestety nie mogę pani powiedzieć, czy i kiedy uda nam się odnaleźć szczątki córki. – Marta zawiesiła głos.

Patrzyła na kobietę, która wyraźnie postarzała się przez te kilka miesięcy.

– Chciałam panią przeprosić. Nie wszystko udało mi się przeprowadzić tak, jak powinnam.

– Moje dziecko. – Górecka pokiwała spokojnie głową. – A czego ty jesteś winna? Na pewno odnajdziesz Piotra, wierzę w to.

Kobieta wstała i pożegnała się z Martą. Ruszyła do drzwi, zatrzymując się jeszcze przed wyjściem.

– Jak mogłam nie wiedzieć, co dzieje się z moją własną córką? – zapytała. – Co ze mnie za matka?

Gdy wyszła, dziewczyna wróciła do raportu z przeszukania mieszkania Boskiego. Znaleziono w nim głównie odciski palców jego i żony. Tak jak podejrzewała, ślady na ścianach były wykonane krwią. Wielki napis „POKUTA" składał się z kilkudziesięciu warstw położonych w różnych odstępach czasu na przestrzeni ostatniego roku. Puste woreczki zawierały ślady krwi Boskiego, tak samo jak te w lodówce. Razem tysiąc osiemset pięćdziesiąt mililitrów. Znaleziono również DNA Agaty. Jedno się tylko nie zgadzało. Wybrała numer do laboratorium.

– Dzień dobry, tu Adamczyk z miejskiej. Dzwonię w sprawie wyników badań z mieszkania na Wróbla 12. – Marta wzięła raport do ręki. – Coś tu się nie zgadza. Jedna z próbek stosunkowo świeżej krwi zawiera DNA Agaty Boskiej.

– Proszę chwilę zaczekać... Tak, zgadza się, pani aspirant. Próbka numer trzy zawiera krew Agaty Boskiej, która pochodzi sprzed kilku tygodni, maksymalnie dwóch miesięcy. Każdą próbkę badamy dwa razy, nie ma mowy o pomyłce.

***

Piotr biegł tak swobodnie, jak nigdy dotąd. Nie czuł zmęczenia, nie brakowało mu tchu. Nie musiał zatrzymywać się, żeby odpocząć. Na niebie powoli przesuwały się wielkie, białe chmury. Słońce wyjrzało zza jednej z nich. Ziemia miękko amortyzowała każdy krok. Spojrzał na biegnącą obok Agatę, uśmiechała się do niego. Pogładził ją czule po ramieniu. Dziewczyna zaśmiała się głośno i ruszyła szybciej do przodu.

Przyśpieszył, żeby ją dogonić.

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/29479

Dariusz Zasadzki – amator wielu zainteresowań, między innymi para się pisarstwem. Wielbiciel dobrych treści, bez względu na

gatunek. Kiedyś idealista i aktywny komentator na forum fantastyka, teraz bardziej pragmatyk i rzemieślnik. Jest redaktorem prozy na portalu-pisarskim.pl. Przez jeden dzień wierzył, że może żyć z pisarstwa, lecz ten dzień już minął. Inżynier, który stara się związać ze sztuką. Inspiracje czerpie z malarstwa, filmu i muzyki, ale przede wszystkim z otaczającego go świata.

Jak zostałem...

Jakub Kubal

Wiesz, co wyjątkowego jest w tym gabinecie? W ścianach, drzwiach, kanapie, fotelu, biurku? Oknie za obrotowym krzesłem? Może nic, może to ty jesteś wyjątkowy, a wszechświat realizuje kolejną z możliwości, dając ci fragment środowiska, w którym możesz funkcjonować na czas mojej wizyty. Pewnie tak jest. Choć naprawdę nie wiem.

I właśnie po to tu jestem. Żeby się dowiedzieć i zrozumieć, zajrzeć do ostatniego pudełka, zobaczyć co w nim jest. Mam wiele szans, ale nie nieskończenie wiele. Musisz wiedzieć, że nieskończoność to abstrakt wymyślony na nasz użytek, wałkowany przez Arystotelesa, Zenona, Proklosa, Leibniza i innych. Szkopuł tkwi w tym, że nie ma odzwierciedlenia w fizycznej rzeczywistości. Upraszczamy to, czego nie potrafimy objąć umysłem. Albo komplikujemy. Zupełnie niepotrzebnie.

No dobrze... Wypadałoby zacząć, opowiedzieć o tym, co doprowadziło mnie do tego miejsca i czasu. Gdy skończę, zadam ci kilka pytań, więc słuchaj uważnie, skoro i tak nie masz niczego lepszego do roboty.

Żebyś zrozumiał, zacznę od opowiedzenia ci o tym, jak zostałem...

...szarlatanem

Od zawsze widziałem wokół ludzi i zwierząt aury, które jako dziecko nazywałem „tęczami". „Kiedy byłem mały, czasem mówiłem o tym rodzicom. Na przykład, że tęcza babci jest bardzo blada. A za kilka miesięcy babcia odmeldowywała się z tego świata. Albo że tęcza wujka Tomka jest dziwnie ciemna, jak u tego chorego pana, którego widziałem w przychodni, kiedy mama wzięła mnie na bilans siedmiolatka. A potem wujek Tomek odwalał kitę z powodu zmian nowotworowych w płucach.

Matka mówiła, że to bujna fantazja i mam o tym nikomu nie wspominać, bo uznają mnie za dziwadło, a dzieci nie będą się chciały ze mną bawić. Bardzo się przejąłem i już więcej nie opowiadałem o „tęczach",

a matka chyba uznała, że to było jedynie dziecinne gadanie, z którego wyrosłem.

Tylko że to nie były żadne fantazje. Widziałem aury, a z wiekiem nauczyłem się rozpoznawać, co oznacza ich kolor, zasięg, gęstość i zmiany tych właściwości. Teraz wiem, że to rodzaj siły życiowej, którą zużywamy. Każda choroba, uraz, nawet zadrapanie albo siniak powodują, że energii ubywa, a im poważniejszy problem, tym więcej jej potrzeba by go rozwiązać. Oczywiście są też dolegliwości, które zamieniają człowieka w durszlak, z którego siła życiowa momentalnie wylewa się na zewnątrz i rozprasza, pozostawiając pustą skorupę ciała.

Umieć coś, a nie móc się tym pochwalić – wiesz jakie to uczucie? To coś, co siedzi cały czas z tyłu głowy, uwiera, szamocze i szuka okazji by wydostać się na wolność.

Miałem kotkę, Tyldę. W zasadzie to Matyldę, ale wszyscy skracaliśmy jej imię, wołając na nią tak, jak nazywał ją mój ojciec. Jej aura była pierwszą, z którą spróbowałem wejść w kontakt. Pewnego dnia, kiedy wylegiwała się na kanapie, usiadłem obok, położyłem dłoń na jej głowie i zacząłem głaskać. Sięgnąłem ku niej własną aurą, połączyłem się i szarpnąłem. Tylda drgnęła, a z jej gardła wydostał się ten dźwięk... wiesz, taki koci pomruk, który szybko narasta, aż w końcu przechodzi w syk. Zabrałem kotu trochę energii, a on się zorientował, ugryzł mnie i zeskoczył na podłogę.

Tylda unikała mnie przez kilka dni, a kolejne dwa tygodnie zajęło mi przekonanie jej do siebie z powrotem. Koty są wyjątkowe, wiesz? To jedyne zwierzęta, które są świadome siły, która napędza każdy żywy organizm. Słyszałeś pewnie o przypadkach, kiedy sierściuch kładł się komuś na bolącym miejscu, przynosząc ulgę? Albo o kotach, które wykrywają choroby? One naprawdę to potrafią, widzą aury i rozpoznają ich zmiany. A najciekawsze, że koty posiadają kilka razy więcej siły życiowej niż jakikolwiek inny żywy organizm, więc teoretycznie mogłyby żyć bardzo, bardzo długo. Tylko, że zużywają jej o wiele więcej. Robią to świadomie, nie przejmują się tym, że szastanie energią prowadzi do szybszej śmierci. Stąd też pewnie wziął się przesąd, że koty mają dziewięć żyć.

Wracając do tematu: wtedy nie wiedziałem, że tylko koty wyczuwają próby manipulacji przy swojej „tęczy", więc przez długi czas nie podejmowałem prób łączenia aur z kimkolwiek.

W szkole średniej miałem kumpla, Artura, który był bardzo chorowity i miał alergie na prawie wszystko. A także bardzo słabą aurę. Energii na dwadzieścia kilka lat życia. Jego rodzice jeździli z nim po lekarzach, klinikach, odwiedzali dziesiątki specjalistów, wydając ogromne sumy na leczenie. A wszystko jak krew w piach, nie widziałem, żeby chociaż jedna z zastosowanych kuracji zmniejszyła wycieki.

Często bywałem u niego, bo mieszkał niedaleko i razem odrabialiśmy lekcje. Podczas jednej z takich wizyt, do jego pokoju wparowała matka z jakimś obcym facetem. Śniada cera, złoty łańcuch wystający spod rozpiętego kołnierza koszuli, gruby brzuch i małe świńskie oczka. Nazywał się Witalij i był energoterapeutą, podobno bardzo dobrym – istnym cudotwórcą – zaproszonym z polecenia którejś ciotki czy kuzynki.

Koleś przywitał się z nami łamaną polszczyzną, potem złapał dłoń mojego kumpla, a ja po raz pierwszy zobaczyłem jak czyjeś aury się łączą. Nagle Wasilij zaczął zasysać siłę życiową Artura, żeby po chwili zmienić kierunek przepływu i wtłaczać w niego własną. I tak kilka razy, w tę i we w tę. Ten wielki energoterapeuta nie wiedział co robi, po prostu podejmował losowe działania, jak małpa klikająca w przypadkowe klawisze maszyny do pisania. Finalnie zostawił aurę Artura silniejszą, a jego własna nieznacznie przybladła. Naładował go, ale nie uleczył, choć pewnie kilka razy w swojej karierze mogła mu się ta sztuka nieintencjonalnie udać.

Od tego momentu zacząłem znów eksperymentować z „tęczami". Tylda już dawno nie żyła, ale w domu mieliśmy psa, trzyletniego kundelka o imieniu Tofik. Tylko koty ogarniają aury, psy oraz wszystkie inne stworzenia nie posiadają podobnych zdolności.

Long story short, jak mówią Amerykanie: poprzez moje doświadczenia, z którymi zacząłem poczynać sobie coraz śmielej, nauczyłem się zabierać energię, przekazywać ją, a także kanalizować. Byłem pieprzonym Robin Hoodem energoterapii – zabierałem tym, co mieli dużo i oddawałem tym, u których występowały braki. Oczywiście bez wiedzy jednych i drugich.

Wątpliwe moralnie, prawda? Ale nie przejmowałem się tym zanadto, uważałem tę praktykę za sprawiedliwą.

Szkoły nie skończyłem. Bo i na co miałby mi się zdać fach mechanika samochodowego? Rzuciłem technikum w cholerę, a moi rodzice nie byli z tego, delikatnie mówiąc, specjalnie zadowoleni. Jeszcze mniej przyjemnie zrobiło się, kiedy powiedziałem im, jak mam zamiar zarabiać.

Zdziwiłbyś się, ilu ludzi szuka pomocy różnych cwaniaczków, mających rzekomo umiejętności uzdrawiania dzięki różnym szemranym terapiom. Pełno tego ścierwa ogłaszało się w sieci, funkcjonowały fora dla oszołomów, sklepy z magicznymi bębenkami i innym gównem, poradniki... Wlazłem w to środowisko, porozglądałem się i złapałem kilku klientów. Początkowo szło ciężko, nikt nie chciał wierzyć gówniarzowi, który twierdzi, że potrafi leczyć. Ale jeden klient, drugi i po-szło! Najlepsza w tym biznesie jest poczta pantoflowa, wierz mi.

Oczywiście nie leczyłem ludzi w pełni, o nie! Etapami, powoli, kilka wizyt. Żeby zarobić. A moją robinhoodowską działalność prowadziłem nadal. Wiesz, miałem trochę wyrzutów sumienia, że mając taki dar zarabiam kasę, zamiast pomagać bliźnim bezinteresownie. No i dlatego... Powiedzmy, że wyrównywałem szanse. *Égalité*, *Fraternité*, sretetete. Może i było to – jak mówiłem wcześniej – moralnie wątpliwe, ale wtedy wydawało się świetnym pomysłem.

Klientów przybywało, wieści się niosły, ludzie zaczęli gadać. Moim staruszkom wtedy już zupełnie odwaliło, większość czasu spędzali na modłach. A kiedy nie klepali różańców, to nic, tylko biadolili o tym, że inaczej mnie wychowali, że muszą żyć pod jednym dachem z oszustem... I tak dalej. W domu rodzinnym przestałem być mile widziany. Z dnia na dzień wyprowadziłem się do wynajętego w pobliżu centrum mieszkania. Urządziłem się po swojemu, a jedno z czterech dostępnych pomieszczeń zaadaptowałem na gabinet dla pacjentów. Zerwałem do reszty ten marny kontakt, który jeszcze miałem z rodziną i bez żalu skupiłem się na karierze.

Pewnego dnia przyszła do mnie dziennikarka z lokalnej gazety, która chciała przeprowadzić wywiad. Stawałem się rozpoznawalny. Wkrótce zaproszono mnie do telewizji regionalnej, potem ogólnokrajowej i przez

chwilę miałem mocne parcie na szkło. Nie napotkałem najmniejszych trudności w zostaniu gównocelebrytą – nienawidzili mnie prawdziwi medycy, przyrównując do wszelkiej maści szarlatanów, choć nigdy nie podważałem dogmatów współczesnej medycyny, i nienawidzili mnie ci drudzy, czyli oszuści, o których hochsztaplerstwie mówiłem głośno, bez ogródek. Jak cię widzą, tak cię piszą. A jak cię nienawidzą, to na pewno o tobie napiszą. Taka prawda.

Na szczęście w porę się zorientowałem, że zwracanie na siebie uwagi to nie najlepszy pomysł. Odpuściłem sławę.

Niedługo później odkryłem, że potrafię łączyć się z aurami ludzi bez potrzeby fizycznego kontaktu i że moja moc nie ogranicza się do leczenia. Mogłem również modelować tkanki, nadawać im kształt oraz formę, a nawet zmieniać ich typ. Wiesz, co to oznaczało? Wiesz, na czym zarabia się naprawdę grubą forsę? Na chirurgii plastycznej. A ja mogłem zagwarantować najlepszy efekt, bez żadnych blizn.

Zarabiałem dobrze, żyło mi się nieźle, ale kolejna prawda – ta o apetycie rosnącym w miarę jedzenia – nadała moim działaniom nowy kierunek. I tak zostałem...

...bogaczem

Żeby otworzyć klinikę potrzebowałem jakiegoś jelenia. I jeleń się trafił, a na imię miał Kordian. Gość prowadził niewielki gabinet, miał odpowiednie wykształcenie oraz wiedzę praktyczną, jednak brakowało mu serca do tej roboty. Poznałem go przez jego siostrę, która jeździła do mnie z teściową, hipochondryczką... Dobra, to nie jest istotne, więc do brzegu.

Powiedziałem Kordianowi co potrafię, nawet zrobiłem pokaz. Jak w filmach, *Nieśmiertelny*, Christopher Lambert, wiesz, o co chodzi. Cięcie nożem wzdłuż przedramienia i zasklepienie rany w kilka sekund. Pieprzony Wolverine.

Gość był w szoku, początkowo nie wierzył w to, co widział, myślał, że to jakaś sztuczka. Koniec końców jakoś to przetrawił, w czym niewątpliwie pomógł mu nakreślony przeze mnie biznesplan wraz z szacunkowym

zyskiem. Bardzo dużym zyskiem. No i otwarliśmy tę klinikę, a ja zarzuciłem działalność szarlatana.

Zmieniłem nazwisko, numery telefonów, miejsce zamieszkania, usunąłem z sieci ślady swojej działalności i zająłem się bardzo kosztownymi operacjami plastycznymi. Zabiegi oczywiście pod narkozą – żeby się pacjent nie zorientował, że to ja modeluję ciało, a Kordian w tym czasie się opierdziela. Zostawiałem jakieś niewielkie ślady, tak jakby rzeczywiście pracował w danym miejscu skalpel, na wszelki wypadek. Później Kordian zawijał delikwenta lub delikwentkę w bandaże, a po wybudzeniu upominał, żeby ich nie ruszać aż do wizyty kontrolnej.

Interes się kręcił. Zadowolona klientela polecała nas – właściwie to Kordiana – swoim znajomym, dzięki czemu pod mój fantomowy skalpel zaczęli podkładać się wszelkiego sortu celebryci i bogacze.

Spaliśmy na forsie, a Kordian stał się całkiem sławny – zapraszano go do telewizji śniadaniowych, wypytywano o sekret bezśladowych operacji, nawet próbowano namówić na własny program w którymś z lajfstajlowych kanałów. Oczywiście gadał wszystkim, że to tajemnica. Pary z ust nie puści, bo to jego autorski pomysł i inne, podobne farmazony. Ale raz mu się rozwiązał język przy szkolnym koledze, z którym spotkał się na jakimś raucie. Ten jego kumpel był po pas unurzany w politycznym gównie – pan minister, robiący szybką karierę w strukturach macierzystej partii. Nie żaden nołnejm, tylko wciąż nabierająca masy ryba, utuczona pieniędzmi, władzą i możliwościami. Jedyny zgrzyt w życiu tego faceta był taki, że na doczepkę los dorzucił mu pięciolatkę z białaczką.

Mało nie zabiłem mojego zdurniałego wspólnika, kiedy przyprowadził do gabinetu tego gościa. Kordian musiał być wyjątkowo przekonujący w rozmowie z panem politykiem, bo facet do mnie od razu: muszę pomóc, on zrobi wszystko co będę chciał, że próba to mój obowiązek, bo to Bóg dał mi tę moc, takie tam bzdury.

Odezwało się we mnie przykurzone sumienie i wyleczyłem małą.

Konsekwencją tego wydarzenia stało się wznowienie mojej działalności robinhoodowskiej. Tylko nieco zmieniłem jej wymiar: nadal kradłem ludziom niewielką część energii, ale zacząłem ją w sobie magazynować.

Wiesz, co kradnie się najłatwiej? To, czego ludzie nie są świadomi, że posiadają. I sumienie tak bardzo nie kłuje.

Wracając do tematu: raz w tygodniu wybierałem się do losowego szpitala i zużywałem nadwyżki energii do leczenia najpoważniejszych przypadków. Wyposażony w stosowne dokumenty wchodziłem na oddziały jak do siebie – pan minister naprawdę potrafił wiele załatwić.

No, ale języka za zębami też trzymać nie umiał. Zupełnie jak Kordian. Wygadał się i nie minęły dwa miesiące od czasu wyleczenia jego córki, kiedy zadzwonił do mnie kolejny znany polityk z niecierpiącym zwłoki problemem. Potem następny i jeszcze jeden. Poczta pantoflowa okazała się równie efektywna w zamkniętym środowisku ludzi władzy. I tak wróciłem do punktu wyjścia – znów leczyłem za kasę.

Dzięki kontaktom i protekcji moich nowych znajomych klinika nam się rozrosła, a ja przestałem się martwić o jakiekolwiek kontrole oraz śledztwa, które mogłyby nas zdemaskować. Klientów mieliśmy tylu, że zatrudniliśmy kilku chirurgów do krojenia pacjentów w tradycyjny sposób, a koszt usług Kordiana wzrósł o kilkaset procent.

Miałem mnóstwo pieniędzy. Żyłem w luksusie, tak jak marzyłem, a moje szpitalne wizyty uzdrowicielskie zagłuszały nieśmiałe popiskiwania sumienia. Było całkiem fajnie. Ale kiedy jest zbyt fajnie, to zawsze coś się spieprzy. I tak dochodzimy do fragmentu opowieści, z którego dowiesz się, jak zostałem...

...mordercą

Ludzie u władzy to nie tylko politycy. Oprócz nich jest cała menażeria, kręcąca się tu i tam, załatwiająca sprawy, ubijająca biznesy, zdobywająca wpływy – biznesmeni, milionerzy, celebryci. Różni ludzie do mnie trafiali. Czasem tacy, których nie miałem zamiaru leczyć, bo wiedziałem, jakimi są ludźmi. W dobie internetu i dostępu do wolnych mediów nietrudno ujrzeć czyjąś prawdziwą twarz, kryjącą się pod maską zakładaną na użytek gawiedzi. Tych nie leczyłem. Udawałem, że leczę, a tak naprawdę nie robiłem nic. A gdy nie następowała poprawa, rozkładałem ręce i mówiłem,

że nie wszystko, i nie u wszystkich, da się uleczyć. Po pierwsze nie szkodzić, jak uczy medycyna, ale dwa razy mi się zdarzyło w przypadku wyjątkowych gnid – jednemu zafundowałem stymulację wzrostową komórek rakowych, drugi dostał prezent w postaci impotencji. Powiedziałbyś, że niefajnie, co? Zaraz zrobi się gorzej.

Przez jednego z moich wysoko postawionych klientów trafił wreszcie do mnie ktoś, kim się wyjątkowo brzydziłem. Nie miałem zamiaru go leczyć, i nie miałem zamiaru nawet udawać, że go leczę. Gość był zamieszany w kilka naprawdę ciemnych interesów z mafijnym tłem, handlem ludźmi, porwaniami. Nie przeszkadzało mu to brylować na salonach. Pisały o nim zarówno poważne dzienniki, jak i serwisy plotkarskie: celebryta gangster, któremu jakimś trafem nigdy nie zdołano niczego udowodnić. Znikający świadkowie, zaginione dowody, wycofane oskarżenia, te sprawy. Skurwiel miał zasoby oraz znajomości. Ale ja też kręciłem się w tym środowisku od jakiegoś czasu, przez co czułem się ważny. I stanąłem okoniem: nie leczę cię, bo ponieważ, penis ci w odbytnicę, a tam są drzwi, więcej się tu nie pokazuj.

Na początku zapytał, czy wiem, kim jest. Potem się wkurwił i zaczął mi grozić. Olałem go. Olałem groźby, kazałem spadać. Jeszcze tego samego dnia zadzwoniło do mnie kilku wysoko postawionych znajomych z ostrzeżeniem, że ta gnida rozpytuje, próbuje zebrać jak najwięcej informacji na mój temat. Trochę ze mnie zeszła para, nawet się przejąłem, ale przez kolejne dni nie dostałem żadnego sygnału, żeby miało się coś dziać, więc przestałem się martwić.

Tydzień później zadzwonił do mnie i powiedział, że nawet nie wyobrażam sobie konsekwencji, które mnie spotkają, jeśli go nie uzdrowię. Rozłączyłem się. Tak po prostu, jakbym odebrał rozmowę z telemarketerem, próbującym wcisnąć mi garnki.

Po dwóch dniach od tamtej sytuacji zadzwoniła do mnie matka, tylko po to, żeby mnie poinformować, że ojciec miał wypadek. Potrącenie ze skutkiem śmiertelnym przez nieznanego sprawcę, który zbiegł z miejsca zdarzenia. Dokładnie tak to powiedziała, jakby czytała raport policyjny, a nie informowała mnie o śmierci własnego męża, a mojego ojca. Na pogrzeb pojechałem. Choć nie miałem z nim dobrego kontaktu, to jednak

był mój stary... Z matką nie gadałem, pewnie nawet mnie nie zauważyła, ponieważ w kościele stałem przy wejściu, a na cmentarzu też trzymałem się w sporej odległości od grobu i opuszczanej do dziury trumny.

Tego samego dnia znów odebrałem telefon od pana gangstera. Wiesz, co zrobiłem? Zaprosiłem go na wieczór, kiedy w klinice już nikogo nie będzie. I byłem na tyle przekonująco wystraszony, że przyjechał.

Kazałem mu się położyć w gabinecie zabiegowym. Potem sięgnąłem ku aurom jego dwóch czekających na korytarzu ochroniarzy. Ustanowiłem kanał i w sekundę opróżniłem ich ciała z energii – jakbym wyciągnął bateryjki z dziecięcych zabawek. Padli w tym samym momencie. Potem zabrałem się za ich pracodawcę.

Zabił mojego ojca. Groził mi. Robił naprawdę złe rzeczy. Zasłużył na cierpienia, które zadawałem mu przez kolejne dwie godziny. Manipulując energią z ciał ochroniarzy doprowadzałem do złamań, wywoływałem bóle zębów i migreny, powodowałem skręty jelit, dusiłem go, dławiłem, inicjowałem kontrolowane zawały serca. Żeby cierpiał. Żeby przed śmiercią poczuł ból, strach oraz rozpacz i zrozumiał, że to co robił, było złe.

Nie krzyczał, nie pozwalałem mu. A kiedy wreszcie przerwałem tortury, by wysłuchać, co ma mi do powiedzenia, naiwnie wierząc, że zrozumiał swoje błędy, on powiedział tylko jedno słowo... Spierdalaj. Tak powiedział. A mnie mało szlag nie trafił.

Pamiętam siebie z tamtej chwili. Jakbym stał obok i oglądał własną twarz, zaciśnięte szczęki, zmarszczone czoło, rozszerzone nozdrza. Walnąłem w niego wszystkim, co miałem. Skupiłem się nie na nim, ale na własnej złości, na niemocy przekonania go do skruchy. Chciałem wepchnąć w jego ciasny umysł zrozumienie, wywołać je cierpieniem. I właśnie wtedy sam oberwałem.

Wszedłem mu do głowy i poczułem jego ból. W odruchu obronnym zerwałem połączenie. Kiedy doszedłem do siebie cofnąłem wszystkie zmiany w jego ciele, a potem raz jeszcze, tym razem świadomie, spróbowałem dostać się do jego umysłu. Nie było żadnych nieudanych prób, jak w filmach, w których bohater uczy się okiełznywać posiadaną moc. Poszło łatwo. Chciałem, więc się działo, moc reagowała na moją potrzebę. Zajrzałem do

zmagazynowanych w jego mózgu wspomnień, do myśli i uczuć, poznałem go. I nie spodobało mi się to, co zobaczyłem. Zabiłem tego śmiecia, a jego zwłoki, wraz z ciałami dwójki ochroniarzy, przerobiłem na biomasę, której używałem, kiedy któraś klientka chciała sobie dodać tu czy tam.

Tamtego dnia pękły dwie tamy – jedna, która utrzymywała w ryzach moją umiejętność wykorzystywania mocy, i druga, broniąca siedzącej we mnie złości przed wylaniem się wściekłą falą na zewnątrz.

Widzisz, zrozumiałem, że mogę używać energii w dowolny sposób. Nie tylko do leczenia, ale do wywoływania różnego rodzaju efektów. Miałem dostęp do tysięcy pomysłów, a dostarczały mi ich Marvel i DC, Shūeisha i Waneko, Paramount i Disney – cała cholerna popkultura, pod korek zalana różnego sortu superbohaterami. Pirokineza, teleportacja, projekcje energetyczne, telekineza. Wszystko z wyjątkiem kontroli umysłu. Mogę przeczytać twoje myśli, zagłębić się w twoich wspomnieniach, ale tutaj działa taka sama zasada, jak u striptizerek: patrz, ale nie dotykaj. Nie mogę zmienić twoich wspomnień, nie potrafię ci niczego narzucić, mogę tylko przeglądać archiwa i monitorować bieżącą aktywność.

Z tego też powodu moja wiara, że bólem przekonam gangstera do zrozumienia swoich błędów, była tylko pobożnym życzeniem. Zmienić możesz się tylko sam. Wybacz truizm.

Choć zabiłem trójkę ludzi, uważam, że na tym etapie nie byłem jeszcze mordercą. To przyszło niewiele później.

Bo widzisz, z wielką mocą przychodzi wielka ochota, żeby jej użyć. Sprawdzić, gdzie leży granica, móc wykorzystać jej pełen potencjał. Pamiętasz tę organizację terrorystyczną, o której swego czasu było głośno, a potem nagle ucichło, jakby zapadła się pod ziemię? Część z jej członków rzeczywiście skończyła pod ziemią. Albo tę serię wyglądających na naturalne zgonów wśród polityków i biznesmenów? Zmniejszoną aktywność karteli narkotykowych? Było tego znacznie więcej, ale nie o wszystkim informowano w mediach.

Głowę nabitą miałem tysiącem fabuł przyswajanych w trakcie poszukiwań inspiracji dla wykorzystania mocy. A że bliżej mi było do Punishera, niż do sztywnej praworządności Collossusa...

Nie miałem notesu, a byłem jak Raito Yagami – jeśli wiedziałem kim jesteś, nie było przede mną ucieczki. Jak Ghost Rider, kiedy oskarżycielskim wzrokiem zaglądałem w ich umysły. Ja, Dredd – ława przysięgłych, oskarżyciel, sędzia i kat.

Doktor Manhattan, któremu dorównywałem potęgą. Jednak nie byłem taki jak on.

Moc, oprócz tych wszystkich możliwości, o których ci już opowiedziałem, dała mi też lepszy wgląd w naturę rzeczywistości. Wiem, jak górnolotnie i sztywno to brzmi, ale to prawda. Moja potęga wzrastała, a wraz z nią zrozumienie mechanizmów, którymi rządzi się wszechświat. Moore odmalował Manhattana jako byt, który za moc płaci człowieczeństwem, ukazanym w *Strażnikach* jako zdolność odczuwania emocji, empatii i rozumienia pobudek kierujących ludzkimi działaniami. Pytamy: dlaczego istota o wiedzy znacznie przekraczającej to, co ludzkość kiedykolwiek zdoła osiągnąć, miałaby się przejmować błahostką, jaką jest istnienie mieszkańców jednej z miliardów rozrzuconych po wszechświecie planet? Przyjmujemy taką postawę dla tej nadistoty jako naturalną, właściwą, logiczną – to bardzo naiwne rozumowanie. To my życzymy sobie, by ona taka była, ponieważ nie chcemy by kierowała się emocjami. Dlaczego? Bo emocje prowadzą do działań sprzecznych z logiką, impulsywnych, nieprzewidywalnych i nierzadko destruktywnych. Nawet twory naszej wyobraźni ograniczamy w ich potędze, bojąc się istot wszechmocnych.

Brak emocji u niebieskiego doktorka to bzdura. Uczucia nie są czymś, co można wyłączyć. Jesteś w stanie porzucić część swojej osobowości? Emocje to ty.

Ale jedna rzecz dotycząca emocji faktycznie ulega zmianie, kiedy zyskujesz coraz większą potęgę – możesz przestać się w nich ograniczać. Możesz dać się ponieść, pozwolić, by przejęły stery.

Przez kolejne pół roku uśmierciłem ponad cztery tysiące ludzi. Żeby utrzymać pozory w tygodniu byłem Clarkiem Kentem szemranej medycyny estetycznej, zaś w weekendy zaszywałem się w domu, zamieniałem we wkurwionego Supermana z misją przez wielkie „M" i ruszałem zbawiać świat. Ubzdurałem sobie, że posiadanie takiej mocy musi mieć jakiś

wyższy cel, a za ów cel uznałem oczyszczenie świata z chwastów, którymi są ludzie źli i pozbawieni skrupułów. By go zrealizować potrzebowałem jak najwięcej energii życiowej, więc zaprzestałem charytatywnego uzdrawiania, które sporo jej zużywało. To oczywiście też było okłamywanie się, bo z ofiar pozyskiwałem więcej energii, niż mogłem wykorzystać. Zachowywałem się jak gracz, który chomikuje w trakcie rozgrywki zasoby. Wiesz: amunicja, apteczki, jakieś buffy – na czarną godzinę albo cięższą przeprawę. Tylko, że nie mogło być mowy o żadnej cięższej przeprawie, ponieważ nie istniało nic, co mogłoby mi zagrozić.

Teraz mogę szczerze przyznać, że zachłysnąłem się nowymi możliwościami, a uzdrawianie mnie po prostu znudziło. Chciałem zostać Miracle Manem wprowadzającym ludzkość w Złotą Erę, taką miałem ambicję. Wtedy nie widziałem błędów w swoim rozumowaniu.

No dobra. Chyba przyszła pora, żebyś się dowiedział, jak zostałem...

...zbawicielem

Bawiłem się możliwościami. Pojedyncze cele zabijałem tak, żeby ich śmierć wyglądała naturalnie, jednak gdy robiłem rajdy na siedziby mafijnych rodzin i tym podobnych... krótko mówiąc: nie ograniczałem się.

Inspiracji dostarczali mi X-meni, Justice League, Wild C.A.T.S., Avengersi i cała masa innych postaci wyposażonych w moce zrodzone w wyobraźniach ich twórców. Ciąłem jak Wolvie, miażdżyłem jak Hulk; jak Manhattan gestem powodowałem, że eksplodowali. Zamrażałem, podpalałem, rozbijałem na atomy, raziłem prądem, zmniejszałem, przenosiłem na szczyty Himalajów, czasem do wnętrz aktywnych wulkanów albo wysyłałem na środek pustyni Gobi. Oczywiście nie wszystkich. Skądś musiałem brać energię, żeby robić te cuda – co drugi ludzki odpad mógł się nazywać szczęściarzem, umierając bezboleśnie, opróżniony do zera.

Tamtego dnia oczyszczałem posiadłość kartelu, zajmującego się narkobiznesem, prostytucją, przemytem, handlem ludźmi, zabójstwami i wszystkim, co tylko mogło przynieść zysk. Teleportowałem się na sam środek dziedzińca jak niebieski diabełek Nightcrawler i zacząłem zabawę.

A było się z kim bawić, bo swoich szefów ochraniało kilkudziesięciu żołnierzy. Szło jak z płatka. Bez pośpiechu dotarłem do bossów, zafundowałem im przymusową, bardzo bolesną eutanazję i już miałem się zbierać, kiedy usłyszałem warkot silnika, dochodzący z zewnątrz. Jeden z żołnierzy wsiadał pospiesznie na miejsce pasażera białej furgonetki, która następnie z kopyta ruszyła w kierunku bramy. Pomyślałem wówczas, że ci durnie grubo się mylą, jeśli sądzą, że istnieje przede mną ratunek.

Nie wiem czemu, ale do głowy przyszedł mi Cyclops. Chwilę później strumień płynącej z moich oczu bursztynowej energii zamienił uciekający wóz w rozdartą na pół, dymiącą puszkę.

Skupiłem się na otoczeniu, by wyczuć aury pozostałych ewentualnych ocaleńców i zamknąć sprawę tego miejsca. Jedyna emanacja, którą zlokalizowałem, znajdowała się w zniszczonym przed chwilą samochodzie. To, że ktoś przeżył mój atak trochę mnie zdziwiło, więc sięgnąłem ku aurze żywego pasażera i prawie natychmiast zerwałem połączenie.

Zabijałem złych ludzi. Tak miało być. Miałem uważać, żeby nikomu innemu nic się nie stało, a tam, w furgonie, było dziecko. Umierało, mogłem mu pomóc. Ale tego nie zrobiłem. Wiesz dlaczego? Bo w jego umyśle zobaczyłem bardzo świeże wspomnienie: żołnierza kartelu, który wyprowadza tego chłopca razem z grupką siedmiu innych dzieci do furgonetki; ponagla i popycha; mówi, że trzeba uciekać; że człowiek–demon zabija wszystkich w posiadłości.

Wiedziałem co znajdę w środku, ale nie miałem zamiaru tam zaglądać. Przestałem uważać i zabiłem niewinnych. Po raz pierwszy od pół roku poczułem wyrzuty sumienia. I co zrobiłem? Uciekłem. Tak było łatwiej.

Następnego dnia powiedziałem Kordianowi, że biorę urlop. Nie określiłem, ile mnie nie będzie i gdzie mnie szukać, co mojemu wspólnikowi niespecjalnie się spodobało, ale miałem to głęboko w poważaniu – i tak nie chciałem dłużej ciągnąć zarówno tej działalności, jak i usług uzdrowicielskich dla wybranych.

Tamten incydent spowodował, że znów zacząłem się zastanawiać, dlaczego mam tę zasraną moc. Skoro jest, to musi czemuś służyć, jak więc

mam ją wykorzystać w najlepszy sposób? Kilka tygodni przesiedziałem samotnie na jednej z bezludnych wysepek na Karaibach, czas spędzając naprzemiennie na rozmyślaniu i próbach niemyślenia. Z obu tych czynności zrodziło się we mnie coś nowego.

Niemyślenie pozwoliło mi na pełniejsze zgłębienie mocy. Zrozumiałem, że wcale nie potrzebuję czerpać siły życiowej z innych istot. Mogę sam ją wytwarzać. No, może nie do końca, ale z grubsza chodzi o to, że jest możliwa zamiana jednej energii w drugą. Zamieniałem przecież wcześniej życiową w – na przykład – kinetyczną, i jakoś nie pomyślałem, że w drugą stronę to też może zadziałać. Moja świadomość własnych możliwości urosła nagle, jak...

Dmuchałeś kiedyś balonik? Na początku idzie ciężko, skupiasz się na wtłoczeniu powietrza do tego cholernego kawałka gumy, nadymasz policzki, ale kiedy wreszcie dmuchniesz dostatecznie mocno, wówczas balonik zaczyna nabierać kształtu i kolejne wydechy bez trudu powiększają jego rozmiar. Tak to, mniej więcej, zadziałało.

Rozmyślania z kolei doprowadziły mnie do szeregu refleksji na temat ludzi, którzy coś poświęcili, by innym żyło się lepiej. Skoro oni mogli, to czemu nie ja? Poświęcić coś cennego jest niezwykle trudno, ale wydawało mi się, że i tutaj zadziała ta sama zasada z balonikiem. Pierwszy krok najtrudniejszy, a potem już z górki. Jasne...

To właśnie wtedy uznałem, że złożę się w ofierze dla dobra ludzkości. Szlachetne, żałosne bzdury; popychana przez sumienie chęć wybielenia się we własnych oczach, przy jednoczesnym szukaniu uwielbienia u innych. Pewne rzeczy potrafimy przyznać przed sobą dopiero po latach, przyglądając im się z perspektywy czasu, a hipokryzja działa tylko u tych, którzy nie wiedzą, czym ona jest.

Dalszą część znasz pobieżnie z gazet, internetu, telewizji, setek opracowań, debat i dyskusji. Wybrałem stadion piłkarski, bo takie obiekty mają niezłą infrastrukturę, którą łatwo można zaadaptować na potrzeby pielgrzymów. Zawisnąłem w kuli energii kilka metrów nad środkiem boiska, nadałem ogólnoświatowy komunikat: cześć, jestem tutaj, czekam na wszystkich chorych i kalekich, by ich uleczyć. Pobierałem

energię słoneczną, zamieniałem w życiową i wypromieniowywałem ją na kilkadziesiąt metrów wokół. Tak to działało.

Pierwszy miesiąc obserwowałem, jak to wszystko się rozwinie. Może pamiętasz, że kilka razy musiałem interweniować? Powtarzać, że jestem dla wszystkich? Nie tylko dla naukowców z ich urządzeniami; nie tylko dla wojska i służb, próbujących odizolować teren; nie dla polityków i ich kampanii; nie dla cwaniaków, kombinujących jak na mnie zarobić? Że jestem dla ludzi? Widzę, że pamiętasz.

Młody Werter Jesus Christ Superstar mash-up. Zbawiciel, uzdrowiciel, pocieszyciel, idiota.

Widzę, że nigdy nie skorzystałeś. Nie pielgrzymowałeś. Ale wiele osób z twojego otoczenia tak. Sam więc dobrze wiesz, co o mnie mówiono, jakie snuto na mój temat fantazje, o czym spekulowano. Stałem się obiektem kultu przez duże K. Prawdziwym, namacalnym, cholernym zbawicielem.

Zostawiłem kawałek siebie w tej bańce, pewien, że będziecie już wiedzieć jak korzystać z tego, co oferowałem. Może lepiej: ofiarowałem. Reszta mnie powędrowała ku gwiazdom. Chciałem odnaleźć życie poza naszą planetą, poznać je, nawiązać kontakt, a potem wrócić na Ziemię i opowiedzieć wam, co odkryłem. A opowiedzieć musiałbym tak naprawdę, jak zostałem...

...z niczym

Wiesz, czym jest równanie Drake'a? Pobożnym życzeniem.

Poszukiwania obcego życia rozpocząłem od najbliższego sąsiedztwa naszego układu. Podróżowałem z prędkością myśli, przeszukiwałem wiele miejsc jednocześnie, nie znalazłem niczego. Więc wypuściłem się dalej, do sąsiednich galaktyk. Ale i tam było pusto. Szukałem wszędzie – na każdej planecie, każdym księżycu, wewnątrz gwiazd i czarnych dziur, w pustce i na wzburzonych krawędziach wszechświata. I nic.

Nie znalazłem żadnego śladu życia w całym zasranym kosmosie. Spróbowałem więc sam je stworzyć. Wybrałem planetę o specyfice zbliżonej do ziemskiej, z jednym naturalnym satelitą, orbitującą w strefie Złotowłosej gwiazdy zbliżonej wielkością do naszego Słońca. Następnie poddałem tamten świat

serii przyspieszonych procesów, mających doprowadzić do powstania życia w sposób analogiczny do tego, w jaki – według hipotez – powstało ono na Ziemi. Nie udało mi się uzyskać choćby jednego aminokwasu.

Uznałem w końcu, że skoro nie mogę stworzyć, to może spróbuję zaszczepić tam jakieś życie. Terraformowałem część planety do bardziej przyjaznej postaci, a następnie sprowadziłem kilka prostych, ziemskich organizmów. Oczywiście cel był taki, żeby przyspieszyć ich ewolucję i zobaczyć, jakie to przyniesie efekty. A te, niestety, były mierne. Organizmy nie chciały się rozwijać, wciąż musiałem zasilać je energią życiową, której zużywały zbyt wiele i zbyt szybko. Niczego nie dało się z tym zrobić. Wreszcie dałem spokój, pozwoliłem im zdechnąć.

Jesteśmy wyjątkowi. Liczba warunków, które muszą zostać spełnione, by powstało życie, jest ogromna. Ziemia to unikat na skalę wszechświata, który wykorzystał tę możliwość i drugi raz tego nie zrobi.

Wróciłem na Ziemię, i nie spodobało mi się to, co zaszło przez te trzydzieści lat, w trakcie których nie interesowałem się sytuacją na naszej planecie. Jesteś przed pięćdziesiątką, więc wiesz, o co mi chodzi. Jak było przedtem. Wojny, autorytaryzmy, chore ambicje jednostek zdolnych narzucić swoje wizje masom.

Kiedy zobaczyłem stadion otoczony wysokim murem, z drutem kolczastym na szczycie... Przyjrzałem się setkom żołnierzy pilnujących terenu, wozom patrolowym eskortującym limuzyny do jedynej bramy, wybrańcom dopuszczonym bliżej mojej emanacji, zrozumiałem ostatecznie, że niczego się nie nauczyliście. I niczego nie da się was nauczyć.

Mógłbym na tysiące sposobów usprawiedliwiać to, co zrobiłem później. Nigdy nie wierzyłem w wyższe siły sprawcze, jak jednak wyjaśnić to, że tylko na Ziemi powstało życie? Że my powstaliśmy – gatunek doprowadzający do wymierania innych gatunków, niszczący własną kolebkę i dążący do zagłady? Jeśli stworzył nas jakiś Bóg, to musiał mieć w tym cel, a ja wciąż nie wiem jaki. Właśnie dlatego unicestwiłem ludzkość. Aby rzucić wyzwanie Bogu, wymusić na nim objawienie się, żebym mógł zapytać o sens tego wszystkiego. Jeśliby istniał jakiś Stwórca, to nie pozwoliłby przecież na wymordowanie własnych tworów, prawda?

Gówno prawda. Zabiłem wszystkich, a on nie przyszedł. Mimo wszystko nie mogę jednak uznać, że Bóg nie istnieje. A to dlatego, że jesteś jeszcze ty.

Chciałbyś się dowiedzieć, jak to się stało, że nie zostałem...

...sam?

Też chciałbym.

Zniszczenie całego życia wymagało jedynie myśli. Jak pstryknięcie palcami w wykonaniu Thanosa.

Na całej wymarłej planecie pozostało jednak miejsce, z którego emanowała energia, wskazująca na istnienie żywego organizmu. Ono przyciągało mnie do siebie – nie, nie jak latarnia wabiąca ćmy, raczej jak smród padliny ściągający sępy.

Gabinet psychologa na czwartym piętrze kamienicy. Twój gabinet. A w środku ty.

To było prawie sto lat temu.

Jak zwykle nie wierzysz. Dla ciebie wciąż jest tamten dzień. Jesteś zawieszony w czasie, który rusza tylko podczas moich wizyt. Stajesz się, gdy cię odwiedzam, więc przychodzę i opowiadam ci moją historię, za każdym razem taką samą. A później proszę, żebyś mi powiedział: dlaczego? Dlaczego mam tę moc? Dlaczego tylko ty zostałeś? Dlaczego Bóg nie chce ze mną rozmawiać? I choć działamy wciąż według tego samego schematu, twoje odpowiedzi za każdym razem są inne. Tyle, że jak dotychczas żadna mi się nie spodobała. Choćbym miał tutaj spędzić milion lat, wreszcie się dowiem, nie odpuszczę, możesz być tego pewien.

No! Wysłuchałeś już wszystkiego, co miałem do powiedzenia. Teraz pozwolę ci przemówić, ale chcę tylko odpowiedzi na zadane pytania. Nie zastanawiaj się, po prostu mów. Masz kolejną szansę powiedzieć coś, co wreszcie pozwoli mi zrozumieć.

I może tym razem cię nie zabiję.

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/29633

Nowa Aztekia

Krzysztof Marciński

To jeszcze nie koniec...

Nie pamiętał już, ile razy podczas wędrówki przez mrok absolutny powtarzał sobie te słowa. Ponoć na każdego upadłego boga czeka kraina, która stanie się mu nowym domem, ale Quetzalcoatl, jak inni, wierzył w to jedynie z bezradności. Byle tylko on i jemu podobni mogli sobie jakoś uzasadnić tułaczkę przez parszywe bezkresy otchłani. Mimo to wędrował. Upodlony i słaby przebijał się przez wieczny koszmar, powtarzając przez zęby: „To jeszcze nie koniec!".

Czasami pytał sam siebie, kim właściwie teraz jest i dlaczego nie zniknął wraz z upadkiem imperium Azteków. Nie znalazłszy odpowiedzi, wracał do pustej obietnicy i parł nieświadomy upływającego czasu, aż wreszcie z ciemności wyprowadziło go blade światło.

***

Powinien czuć satysfakcję. Może nawet euforię? Gdy jednak patrzył na horyzont nowoodkrytej krainy, ogarniały go wątpliwości. Twarde jak skała i spalone słońcem połacie ziemi raziły pustką, a pokrywający je szary pył tylko nieznacznie chronił stopy przed szorstką powierzchnią.

Nowa Aztekia – pomyślał, nie wiedząc w zasadzie dlaczego, ale od tej pory właśnie tak zamierzał nazywać to miejsce.

– Będziemy ich szukać? – zapytał sługa, który wcześniej bał się wytrącać pana z rozważań.

Upadły bóg skinął głową. Nie pytał, kogo mają szukać, bo to, że może chodzić wyłącznie o Azteków, było dla niego jasne. Wciąż zamyślony, miotał się w chaosie wątpliwości. Czym jest Nowa Aztekia? – rozważał. I czy on sam wciąż pozostawał bogiem – Pierzastym Wężem, któremu dawni wyznawcy tak gorliwie składali ofiary?

Żadnej odpowiedzi. Jak zwykle. Nie mogąc zrobić nic więcej, Quetzalcoatl dał znak do wędrówki.

– Tylko ostrożnie – przestrzegł. – Nie wiemy, co tu się dzieje – dodał, ściskając w dłoni garść szarego pyłu.

– Dokąd zmierzamy?

– Nie dokąd, lecz po co – pouczył Pierzasty Wąż. – Zapamiętaj, że wyrusza się zawsze w jakimś celu.

– A jaki jest twój, panie? – dociekał sługa, pochyliwszy głowę z szacunkiem.

– Wrócić na swoje miejsce!

***

Szedł wolno, majestatycznym krokiem. W swoim marszu Quetzalcoatl był niczym władca świata, a zarazem sama śmierć. Sługa, który podążał tuż obok, widział jednak, jak wymuszone i sztywne są te ruchy. Jak jego pan walczy, by znów poczuć się bogiem.

Dostrzegli kamienną tablicę. Ledwie wbita w ziemię, z trudem trzymała pion, jakby tylko czekała, by runąć przy pierwszej okazji, a wyszczerbione ściany kruszyły się od byle nacisku dłoni. Sługa przykucnął i wytężywszy wzrok, wiódł dłonią po ledwie wyczuwalnych wgłębieniach, usiłując domyślić się choć fragmentów wykutej niegdyś w kamieniu treści:

> *...miał powrócić w roku jednej trzciny. Kiedy... (tu nieczytelne) Cortés zszedł na ląd, Aztekowie wzięli go za Quetzalcoatla, którego przybycia oczekiwali. Witany jak bóg, Cortés otrzymał wiele cennych darów... Wraz z grupą hiszpańskich najeźdźców wyruszył na podbój...*

– Wystarczy – powiedział Pierzasty Wąż.

Ton głosu brzmiał chłodno, ale duma upadłego boga płonęła żywym ogniem. Przypomnieć Quetzalcoatlowi to zdarzenie znaczyło tyle, co dać mu otwartą dłonią w twarz.

– Ona musi tu stać w jakimś celu – ocenił, usiłując stłumić emocje. – Ruszajmy dalej.

Nieopodal dostrzegli następną tablicę. Tym razem czekała na nich krótka wzmianka o jednym z azteckich rytuałów, gdzie w miarę widoczne pozostały jedynie słowa:

...unieruchamiali ofiarę, a następnie rozcinali jej pierś nożem z obsydianu, by wyrwać drgające jeszcze serce...

Upadły bóg rozejrzał się nerwowo. Krótki, gwałtowny oddech świadczył o rosnącej irytacji.

– Czy to miejsce ze mnie kpi?! – wypalił. – Który Aztek spłyciłby tak fundament własnej wiary?

Przy trzecim kamieniu sługa zakrył twarz dłońmi. Później ten młody Aztek o kruczoczarnych włosach i bladej twarzy spojrzał na pana szklącymi się oczami, błagając jak gdyby: *nie każ mi, proszę, odczytywać tych słów*.

– Dobrze. – Quetzalcoatl skinął głową i przyklęknął przed tablicą.

...Cortés podbija... Imperium Azteków upada...

– Dość! – warknął Pierzasty Wąż i jednym pchnięciem posłał kamień na ziemię.

Tablica pękła na części, a sługa spostrzegł, że jej drobiny tworzą pył identyczny z pokrywającym rozległe połacie krainy.

– Może nie powinniśmy niszczyć... – spróbował cherlawy Aztek, ale Pierzasty Wąż uciął jego wypowiedź lodowatym spojrzeniem.

– To ja będę o tym decydował – powiedział Quetzalcoatl tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Wciąż jestem bogiem – dodał, a sługa ukradkiem zerknął na jego twarz.

Wierzy w to? Czy tylko próbuje rozpalić płomień, który już dawno wygasł?

– Twierdziłeś, mój panie, że tablice muszą tu stać w jakimś celu – zauważył sługa z odwagą, której Pierzasty Wąż po nim oczekiwał.

Quetzalcoatl nie chciał potakiwacza. Służyć mu znaczyło prowokować do wniosków, sprawdzać hipotezy, być dodatkową parą oczu.

– Tu wszystko ma swoje znaczenie. Pustka, pył, parszywe tablice. Musimy je jak najszybciej zrozumieć! Nie wiem, co tu się dzieje, ale jednego jestem pewien. Żaden Aztek nie postawiłby tych tablic z własnej woli.

– Więc kto?!

– Nie mam pewności. Za mało wiemy. Ale ktokolwiek tu jest, zabraniam ci się go bać! – rozkazał Pierzasty Wąż z taką wściekłością, że sługa odruchowo skłonił się z pokorą. – Nowa Aztekia to moje odkupienie. I tylko przede mną można odczuwać tu strach!

Jego spojrzenie przepełniała pasja. Patrząc na zniszczoną tablicę, Quetzalcoatl przed oczami miał wszystko. Hiszpański najeźdźca omyłkowo traktowany jak bóg. Krwawy marsz intruzów na Tenochtitlán. Plądrowania, mordy, upadek Państwa Azteków. I to jedno szokujące odkrycie, że bóg nie znaczy wszechmocny. A z piedestału może go strącić byle ziemski łachudra.

Pierzasty Wąż spojrzał na sługę. Ten od dłuższej chwili wpatrywał się intensywnie w dal, a Quetzalcoatl dopiero przeszedłszy parę kroków, pojął, że gdzieś tam, ledwie widoczny z ich perspektywy, leży człowiek.

***

– Martwy – jęknął Aztek.

Jego chude dłonie drżały, gdy przyszło mu zbadać odnalezione ciało.

– Zabity? – zapytał Quetzalcoatl, który zatrzymał się kilka kroków przed trupem.

Nie potrafił podejść bliżej. Kiedy patrzył na tego człowieka, jego przysypane pyłem włosy i porzucone bezładnie ciało, czuł, jak niewidzialna siła pęta mu nogi.

– Nie wygląda – odparł Aztek i z odrazą dotknął policzka trupa. – Żadnych ran, śladów walki. Nic.

– Nic – powtórzył Quetzalcoatl.

Właśnie tyle rozumiał z Nowej Aztekii.

Trup nie gnił – Pierzastego Węża uderzyło to od razu. Jego skóra kolorem przypominała wyblakłe liście, a gdy sługa dotknął dłoni, jej fragment

obrócił się w ten sam zimny i beznadziejnie szary pył, który od pierwszych chwil na Nowej Aztekii przywodził na myśl jedynie pustkę i śmierć.

Powinni zbadać ciało dokładniej. Quetzalcoatl nie mógł jednak dłużej wytrzymać widoku tego człowieka. Przy każdym spojrzeniu czuł, jak potworna niemożność ściska jego wnętrze, pęta język. Ruszył dalej i dopiero przy drugich i trzecich zwłokach – porzuconych ciał znajdowali coraz więcej – zrozumiał. To, co go trapiło... To był lęk przed śmiercią.

Nigdy nie widział jej z tej perspektywy. Śmierć postrzegana przez boga znaczyła tyle, co pewien etap drogi jego ziemskich wyznawców. A teraz...

Teraz miał ją tak blisko. Koszmar straszył nieuchronnością, zapowiadał, że i Quetzalcoatl już niebawem zgaśnie na zawsze w tej przeklętej krainie.

– Nie. – Wzdrygnął się i zaraz przyspieszył.

Później poczuł wstyd, pojąwszy, że sługa przyłapał go na słabości.

Dostrzegli coś w rodzaju miasta. Nim jednak do niego dotarli, przyszło im wędrować drogą doskonałej zagłady pośród dziesiątek trupów, których los był tak samo niepojęty jak pierwszego z odnalezionych. Znów żadnych ran. Znów żadnych śladów walki.

– Mnie się to śni – szepnął Quetzalcoatl.

Zmarłych omijał szerokim łukiem. Zmierzając ku miastu – teraz widzianym już raczej jako ruina – raz po raz rozglądał się na wszystkie strony. „To" musiało działać z ukrycia. Mogło być wszędzie. Gdzie?

Na niebie kłębiły się czarne chmury. Pierzasty Wąż szedł szybko, poświęcając martwym nie więcej niż jedno zerknięcie. Byle dotrzeć na miejsce. Zrozumieć Nową Aztekię, stanąć do walki o swoje odkupienie. I wrócić! Czy nie po to każdy z upadłych bogów przebija się przez otchłań?

Miasto wyglądało na wymarłe. Jeśli w ogóle można było nazwać je miastem. Sterty suszonych cegieł, czasem wbite nieudolnie w ziemię, innym razem rzucone bezładnie na siebie, zupełnie jakby dziecko usiłowało wznieść budowlę obronną.

Quetzalcoatl szedł powoli, nawet na moment nie tracąc czujności. Gdzieś trafili na wykopaną niezdarnie dziurę. A może początek tunelu? Nieco dalej, jak gdyby wokół okręgu, walały się spróchniałe fragmenty pni. Upadły bóg

próbował wyobrazić sobie, co mogły niegdyś tworzyć, ale poza groteskowymi ścianami nic nie przyszło mu do głowy.

– Rozumiesz coś z tego? – Spojrzał na sługę.

– Te cegły… – Aztek zawahał się. – Z takich budowaliśmy w imperium domy.

– Drobna namiastka naszego państwa – westchnął Pierzasty Wąż.

Później dotarło do niego, że właśnie tym jest Nowa Aztekia: namiastką dawnego imperium. Nie, nie namiastką. Imitacją. Kilka znajomych drobiazgów wrzuconych do martwego świata. Po co? I czy aby on też nie jest tu tylko imitacją boga?

Wzdrygnął się. Później spojrzał na niebo. Na czarnym sklepieniu pojawił się pierwszy błysk. To, czego się obawiał, nie stanie z nim do otwartej walki. Musiał zrozumieć Nową Aztekię, zanim dojdzie do ataku.

– Panie…

Głos sługi wyrwał go z rozważań. Quetzalcoatl obrócił się we wskazanym przez Azteka kierunku. I zamarł.

Pośród cegieł zalegały sterty zwłok.

Jakiś czas stał w zupełnym osłupieniu. Później, przypomniawszy sobie o niebezpieczeństwie, zaczął gorączkowo szukać rozwiązań. Myślał najintensywniej, jak mógł, lecz parszywa nadgorliwość tych myśli w żaden sposób nie pozwalała się skupić.

Kim teraz jestem? – wracały puste pytania. *Czy nie przybyłem za późno? A jeśli Nowa Aztekia nie jest drugą szansą, lecz końcem wędrówki?*

Coś zaczynało w nim kruszeć. Pękać. Nie rozumiał tego stanu, lecz gdy doszło do wewnętrznego wybuchu, poczuł ulgę. Zniknęły pytania, bezradność, lęk. Gdy sługa wskazał palcem nieodległe usypisko pyłu, Pierzasty Wąż spojrzał na nie lodowatym wzrokiem.

– Oni tu są. Wciąż tak samo parszywi, bezwzględni – tłumaczył upadły bóg, śledząc nienawistnym spojrzeniem horyzont krainy. – Ale tym razem polegną.

– O kim mówisz, panie? – zapytał sługa i zaryzykował dłuższe spojrzenie na Quetzalcoatla, szukając w jego oczach oznak szaleństwa.

– Hiszpańskie bestie – wyjaśnił Pierzasty Wąż. – Ostatnia przeszkoda na drodze do odkupienia.

Sługa z trudem ukrył niepokój.

– Panie, za pozwoleniem... – Szukał właściwych słów. – Nie ważyłbym się kwestionować twoich wyroków...

– Śmiało, mój sługo – odparł upadły bóg, a „sługo" wybrzmiało niemal jak „towarzyszu". – Dziel się swoim spojrzeniem, mierz moje sądy wątpliwościami.

– Ci martwi... – Aztek się zawahał.

– Nie wyglądają na poległych w walce. Wiem o tym – wyjaśnił Quetzalcoatl. – Ale czy Nowa Aztekia wygląda na dawne imperium? Raczej na dziwną imitację. Czemu z Hiszpanami nie miałoby być podobnie?

– Panie...

– Myślisz rozsądnie. Zapominasz jednak, że tej krainy nie da się objąć rozsądkiem. Trzeba interpretować. Szukać zrozumienia. Widzieliśmy wzmiankę o Cortésie, którego Aztekowie wzięli za mnie. Widzieliśmy krótką informację o rytuale, która zrobiła z nas barbarzyńców! – Zamilkł na moment. Ostatnie słowo wyraźnie sprawiało mu ból. – Zupełnie tak, jak widzieli to Hiszpanie. Ostatnia z tablic przypomniała o upadku imperium. Jeżeli teraz kroczymy po tym pustkowiu wśród zmarłych, znaczy to, że moją rolą jest odwrócić bieg historii. Kiedyś nie dotarłem, choć Aztekowie na mnie czekali, a ten, który przybył, przyniósł śmierć i zagładę. Teraz ja zmierzam wśród śmierci po swoje odkupienie. Jeśli zdołam powstrzymać hiszpańskie bydło, wrócę na swoje miejsce, a wraz ze mną odrodzi się imperium Azteków.

– Więc kim lub czym oni są? – powątpiewał Aztek, tym razem bez wahania.

Musiał wiedzieć, że Quetzalcoatlem nie kieruje żądza zemsty. Inaczej ich obu czekałaby szybka zguba.

– Nie wiem. Odpowiedź znajduje się tutaj. I musimy ją jak najszybciej odnaleźć!

Działali chaotycznie, w pośpiechu. Atak mógł nastąpić w każdym momencie, a pojedyncze błyski na niebie coraz częściej straszyły burzą. Najpierw skierowali się w stronę zmarłych. Kopiec szarego pyłu wzięli za resztki poległych.

– Ci o wyblakłych ciałach muszą tu leżeć od niedawna – stwierdził Quetzalcoatl i znów rozejrzał się po krainie.

Mówił twardym, niezmąconym tonem, a jednak i jemu zaparło dech, gdy zdał sobie sprawę, że zmarli mają identyczne twarze.

– To niemożliwe – szepnął. – Sprawdź tamtych!

Pierzasty Wąż wskazał zwłoki sprzed miasta. Sam dotknął ramienia jednego ze zmarłych – znów rozsypało się w palcach – a przy wielu poległych dostrzegł walające się cegły i gałęzie. Część z ofiar miała dłonie ułożone przy klatkach piersiowych. Jeden zginął wciśnięty w wykopany otwór.

– I jak? – krzyknął upadły bóg, widząc wracającego sługę.

– To... samo – wysapał Aztek, równie zdyszany, co zdjęty strachem.

Pierzasty Wąż spojrzał na niebo. Chmury były już czarne niczym śmierć.

– Trucizna? Może jakaś szybko rozprzestrzeniająca się choroba? – zasugerował sługa, gapiąc się na trupy.

– Spójrz na nich – polecił Quetzalcoatl. – Grupa ciał zalegająca na niewielkiej przestrzeni. Oni nie konali, ale zgaśli w jednym momencie!

– Niektórych znaleźliśmy nieopodal miasta – przypomniał Aztek. – Jednego widzieliśmy w tym dziwacznym dole.

Pierzasty Wąż przyjrzał się zmarłym i zamknąwszy na moment oczy, usiłował odtworzyć bieg wydarzeń.

– Kiedy te bestie dopadły grupę w ruinach – zaczął – reszta próbowała uciekać. Gałęzie, cegły... To mogła być ich broń. Wiedzieli, że może nastąpić atak, a jednak byli całkowicie bezradni. Dlaczego?

Głos Pierzastego Węża przepełniała frustracja. Azteka uderzyło jednak coś innego. „Bestie". Nawet wiedząc, że nie było żadnej walki, że to, co na nich czyha, nie ma prawa działać jak człowiek, wciąż upierał się przy Hiszpanach.

Sługa przyklęknął nad stertą zwłok. Pod jedną z dłoni wypatrzył kilka czarnych kamyków. Od razu rozpoznał w nich dobrze znany w imperium obsydian – kolejną cząstkę upadłego państwa. Aztek spróbował odsunąć zimną rękę – rozsypała się jak wszystko – i zaczął obracać kamienie w palcach.

– A! – wrzasnął.

To był moment. Niepozorne kamyki poturlały się wzdłuż ręki, przez klatkę piersiową i otoczyły miejsce, gdzie dawniej znajdowało się serce. Jak

wielu innych, sługę także złożono niegdyś w rytualnej ofierze, z tą różnicą, że po śmierci zyskał zaszczyt stanięcia u boku Quetzalcoatla.

Kamyki tańczyły przez chwilę, jakby nie mogły czegoś znaleźć. Później przyssały się do skóry z taką siłą, że Aztek nie potrafił ich w żaden sposób z siebie strącić. Drżał, trząsł się, podskakiwał, gotów był nawet zedrzeć skórę, byle tylko uwolnić się od czarnego koszmaru. Kamienie odpadły same. W pewnym momencie zeskoczyły na warstwę pyłu i ku zdziwieniu Pierzastego Węża potoczyły się przez ruiny.

Sługa osunął się na ziemię.

– Pa-panie – wycharczał.

Quetzalcoatl z początku nie zwracał na niego uwagi. Zamierzał ruszyć za kamykami, ciekawy dokąd i w jakim celu zmierzają, lecz nagłe omdlenie sługi odwiodło go od tego pomysłu.

– Zrobiły ci coś? – zapytał upadły bóg z wyraźnym rozczarowaniem, że nie było mu dane zgłębić tajemnicy kamieni.

– Nie. Nic – wybełkotał Aztek, rozglądając się mętnym wzrokiem. – To tylko szok.

– Potrzebny nam punkt widokowy – Pierzasty Wąż nawet na niego nie spojrzał. – Wzgórze, wzniesienie. Jakiekolwiek miejsce, skąd widać możliwie dużą część Nowej Aztekii. Nie mamy czasu na dalszą wędrówkę.

Sługa skinął głową z niedowierzaniem. Jakże łatwo Quetzalcoatl zapomniał o jego oddaniu. Najwyraźniej w głowie pana nie istniało już nic poza walką o odkupienie.

– Znajdę – przytaknął Aztek głosem wyrwanego ze snu.

Później podniósł się niepewnie, zwiesił głowę i ruszył przed siebie na miękkich nogach.

Upadły bóg podążał śladami kamyczków. Nie dogoni ich, to jasne, nawet nie chciał – nagły atak miał za ostrzeżenie. Liczył jednak, że być może w ten sposób znajdzie kolejny element na drodze do zrozumienia krainy.

Błysnęło. Zagrzmiało. Czarne niebo wciąż straszyło burzą, a gdy na moment ucichło, Pierzasty Wąż usłyszał odgłos kroków. Z początku sądził, że to powraca sługa, odwróciwszy się, dostrzegł jednak człowieka o obliczu identycznym jak twarze zmarłych. Ten biegł chaotycznie, mamrocząc pod

nosem, a Pierzasty Wąż poczuł nagły napływ gorąca. Więc jednak byli tu żywi ludzie.

– Stój! – zawołał, a gdy tamten nie reagował, zagryzł zęby i porzuciwszy tempo dostojnego marszu, ruszył w pogoń.

Obcy nie mógł się zdecydować. Uciekał, przystawał, by po chwili znów rzucić się do biegu. Kiedy Quetzalcoatl był już blisko, uciekinier padł na kolana i pogrążył się w dziecięcym szlochu.

– Człowieku, dla... dlaczego uciekasz?! – krzyknął upadły bóg i spróbował wyrównać oddech.

Kolejny błysk. I następny. Obcy zaczął się wyrywać i tylko silny uścisk Quetzalcoatla zapobiegł jego ucieczce.

– Niebo pragnie ofiar – bełkotał. Gdy upadły bóg spojrzał mu głęboko w oczy, dostrzegł rozbiegany wzrok człowieka, który postradał zmysły. – Czarna śmierć już wyrusza na żer.

– O czym ty mówisz...?! – zaczął Pierzasty Wąż, ale obłąkany wyraźnie go nie słuchał.

– Nadchodzi koniec. Niewidzialni wybrańcy bronią dostępu do swej głuszy, ale ona nie zdoła ich ochronić. Zginiecie!

Obcy zaniósł się śmiechem wariata. Później wyszarpał się i ponownie popędził donikąd biegiem desperata umykającego śmierci.

Błysk. Grzmot. A gdzieś w tle bezustanny, głuchy pogłos, jak gdyby potężna lawina nadciągała w kierunku miasta.

Quetzalcoatl nie zauważył powrotu sługi. Ten, raz po raz spoglądając w niebo, zdał szybki raport z poszukiwań.

– Niedaleko jest wzniesienie. Niewysokie, ale widać stamtąd wiele – rzucał, łapiąc hausty powietrza. – Zatoka, jakiś busz. Po drodze minął mnie człowiek, ale nie zdołałem go zatrzymać.

Zamilkł, wsłuchując się w pogłos lawiny, wciąż niewyraźny, a jednak coraz bliższy. I bliższy. I bliższy...

– Prowadź! – nakazał Pierzasty Wąż.

Aztek wytrzeszczył oczy.

– Panie, nadciąga potężna burza! Powinniśmy się kryć!

– Bogu nie wypada tchórzyć przed pogodą – odparł Quetzalcoatl.

Chce rzucić wyzwanie burzy – pomyślał sługa, spoglądając na pana i aż go ścisnęło w żołądku. *Przekonać się, ile znaczy dla Nowej Aztekii. Więc naprawdę postradał zmysły. Będzie igrał z ogniem w imię ślepej wiary w drogę do odkupienia.*

– Sługo? – Pierzasty Wąż się niecierpliwił.

Trzeba go zostawić! – krzyczało coś w Azteku. *Ratować siebie, nim Quetzalcoatl zgubi nas obu!*

Sługa zaczął się rozglądać. Nogi pchały go do ucieczki, rozbiegane spojrzenie desperacko wypatrywało ratunku...

Pokręcił głową. Jak ktoś zupełnie pogodzony z losem, wyprzedził swojego pana i ignorując myśli o ucieczce, zaczął prowadzić ku wzniesieniu. Nie potrafił zdradzić.

***

Kiedy wdrapali się na szczyt, Quetzalcoatl, mając ogląd na krainę, pierwszy raz od upadku imperium naprawdę poczuł się bogiem. Przez czerń chmur przebijały się serie błysków. Grzmiało tak, że Pierzasty Wąż z trudem pojmował własne myśli. Mimo tego nie wiał wiatr, wciąż nie spadła też choćby jedna kropla deszczu – bóg zdał sobie z tego sprawę dopiero teraz. Właśnie bóg, bo od tej pory przestał o sobie myśleć jak o bóstwie upadłym. To jeszcze nie koniec! Niebawem wróci na swoje miejsce.

– Zadziwiające zjawisko, nie sądzisz? – stwierdził z chłodnym zaciekawieniem.

Sługa nie potrafił odpowiedzieć.

Panie, zlituj się nade mną! – wrzeszczało jego przerażone oblicze, ale Pierzasty Wąż tego nie zauważał. Nieopodal buszu majaczyło kilka ludzkich sylwetek. Quetzalcoatl dostrzegł też znacznie więcej dziwacznych konstrukcji, które z braku lepszego pomysłu nazwali ruinami. Odwrócił głowę. Zatoka była wzburzona. Ostatni, rozdzierający grzmot i nagle jej wody wypluły niezmierzoną falę czerni, która natychmiast rozlała się po powierzchni, zmierzając w stronę miasta.

– Co to jest?! – syknął Pierzasty Wąż i wyciągnął głowę.

Fale zlewały się w przytłaczającą jedność. Były potężne, zdawały się nie mieć końca. Quetzalcoatl znajdował się zbyt daleko, by dostrzec szczegóły ponurego misterium i dopiero gdy to przykryło część ruin, zdał sobie sprawę, że ma przed oczami mrowie obsydianowych kamyków sunących niczym lawina w poszukiwaniu ofiar.

Nie mógł się ruszyć. Wszystko, o czym myślał, to żeby czarna fala ominęła wzniesienie, bo nie czuł się jeszcze gotowy na starcie.

Wciąż nie było deszczu. Błyski i grzmoty wzmagały się i wzmagały, fetując niepowstrzymany marsz kamiennej lawiny. Ta, minąwszy ruiny, ruszyła w stronę dżungli. Pierzasty Wąż nie dostrzegł tam teraz żadnego człowieka. Czarną śmierć widział coraz słabiej, a jednak odniósł wrażenie, że ta napotkała jakąś przeszkodę i zwalnia. Spróbował potwierdzić swoje obserwacje u sługi, ten jednak gapił się tylko w niebo, raz jeszcze prosząc, by się ukryli.

Quetzalcoatl czekał. Kamienie wzbierały niczym wysokie fale, aż w pewnym momencie wystrzeliły ku dżungli i od tej pory bóg słyszał już tylko stłumione wrzaski, które raz po raz rozdzierały jego wnętrze.

– Oni tam giną! – krzyknął.

Nie mógł pomóc tym ludziom. Ruszyć teraz z odsieczą – bez strategii i planu działania – znaczyło tyle, co ryzykować próżną ofiarą.

W ten sposób Nowej Aztekii nie ocalę – powtarzał sobie w myślach i choć rozumiał, że postępuje rozsądnie, wyobraźnia katowała go wizjami masakry w dżungli.

Wrzaski ucichły. Czarna śmierć wytoczyła się z buszu i, nabrawszy rozpędu, ruszyła z powrotem ku zatoce. Quetzalcoatl wciąż wpatrywał się w dżunglę, nie dostrzegając z początku, jak wraz ze zniknięciem kamieni rozpływają się czarne chmury.

– Idziemy! – rozkazał z determinacją.

***

Szedł oszołomiony, lecz wciąż pełen wiary. Wiedział już, jaką formę przybrały hiszpańskie bestie. Wiedział, w jaki sposób przynosiły śmierć. Liczył, że przynajmniej część ukrytych w buszu ludzi zdołała przetrwać.

Właśnie tam zmierzał pewnym krokiem w swoim wielkim marszu po odkupienie.

– Tutejsi znają czarną śmierć – tłumaczył Quetzalcoatl słudze. – Potrzeba im tylko wiary. Kiedy stanę pośród nich, razem poskromimy hiszpańską nawałę. Nie siłą, bo przy tym wrogu na niewiele się ona zda. Potrzeba mądrości i sprytu.

Aztek pokręcił jedynie głową.

– Słucham. – Quetzalcoatl niespodziewanie się zatrzymał.

– Proszę? – Sługa zerknął ze zdziwieniem na pana.

– Wiem, że myślisz swoje. – Pierzasty Wąż spojrzał głęboko w oczy Azteka. – Nie ufasz mi. Epatujesz niewiarą. Zatem słucham: przekonaj mnie do swoich racji lub utwierdź w pewności, że twoja postawa to tylko defetyzm słabego człowieka.

Sługa zakrył twarz dłońmi. Trzeba powiedzieć wszystko, niezależnie od tego, jak bardzo to będzie bolesne. On musi posłuchać!

Zamknął oczy. Po chwili usłyszał swoje słowa:

– Panie mój, wierzysz w przepowiednię o odwróceniu historii. Widziałeś czarną śmierć i wciąż sądzisz, że na drodze stają ci hiszpańskie bestie. Lecz to nie one zabijają Nową Aztekię.

– Nie? – Quetzalcoatl się żachnął. – Więc co, twoim zdaniem, wymordowało tych wszystkich ludzi?! Co obraca krainę w pustkowie?!

– Historia – jęknął Aztek.

Pierzasty Wąż zastygł w bezruchu. Był tak zdumiony słowami sługi, że nie mógł się zdobyć na żadną reakcję.

– Historia? – powtórzył wreszcie lekko kpiącym głosem.

– Tak uważam. W pewien sposób, mój panie, miałeś rację. Wszystko, co tu widzieliśmy, ma swój sens i znaczenie, ale...

– Nie takie, jak sądzę, czy tak? – zapytał Quetzalcoatl, coraz słabiej skrywając irytację.

– Moim zdaniem tak. – Sługa się zawstydził. Zaryzykował jednak spojrzeniem w oczy pana, by w ten sposób dodać sobie odwagi. – Oglądaliśmy stare tablice, sądząc, że to wskazówki do odwrócenia historii. Przyglądając się stertom cegieł i gałęzi, posądzaliśmy mieszkańców o zdziecinnienie. Widząc

martwych ludzi, obwiniliśmy Hiszpanów w naiwnej wierze, że nasza zemsta pozwoli wskrzesić imperium. Myliliśmy się.

Mówił „my", nie chcąc obarczać winą Pierzastego Węża. Ten jednak nie wyglądał na zawstydzonego, gotów raczej bronić swoich racji, niż zgodzić się ze sługą.

– Doprawdy? – zapytał Quetzalcoatl z wyraźnym powątpiewaniem.

– Tak. Na pewno tak! – odparł Aztek z taką desperacją, że tylko głuchy nie dosłyszałby w niej apelu: „Panie, błagam, uwierz mi!". – Dlaczego niszczejące tablice zawierały tak niewiele? – zapytał głośno. – Bo tylko tyle z nas pozostało! Dlaczego mieszkańcy nie wznieśli budynków i miast?! Bo tu w ogóle nie da się niczego zbudować! Fundamentem Nowej Aztekii jest pamięć o dawnym Państwie Azteków. Pamięć, która niczego nie tworzy. Niczego nie buduje. Może jedynie podtrzymywać. Coraz słabiej. Coraz mniej... Tak, jak podtrzymywała ciebie, o, wielki. Setki lat rozmyślałeś, dlaczego upadli bogowie nie znikają wraz z kresem imperium. Nowa Aztekia udzieliła ci odpowiedzi. Można strącić Quetzalcoatla z piedestału bogów, ale nikt nie zdoła z dnia na dzień wymazać pamięci o jego legendzie. To ona jest twoją tarczą, mój panie.

– A czarna śmierć?! – zapytał Pierzasty Wąż ostrym tonem. – Tego przecież w imperium nie było.

– W pewnym sensie było – bronił się Aztek. – Czarną śmierć przepowiedziały nam tablice. Pierwsza wspomniała o Hiszpanach, druga o rytualnych ofiarach, a trzecia o upadku imperium. Mordercze kamienie zrodziły się z naszej historii. Potężna siła znad zatoki, która, składając ofiary, obraca Nową Aztekię w pustkowie.

Quetzalcoatl zbliżył się do sługi i długo patrzył w jego oczy, nim zdecydował się na odpowiedź.

– Wydaje ci się, że dostrzegłeś więcej niż twój pan – zaczął powoli, rozważając każde słowo. – Pozwól więc, że teraz ja zwrócę się do ciebie: czy człowiek w obliczu śmierci pogodzi się z losem? I czy wojownik pozbawiony broni da za wygraną w starciu z silniejszym rywalem? Nie! Będą walczyć, będą szukać i do ostatnich chwil próbować uniknąć przeznaczenia! Ty swoją teorią, przyznam, wcale rozsądną, skazujesz

nas wyłącznie na bierność. Ja do samego końca szukam wyjścia, niech bym nawet brnął na stracenie z naiwnością upartego ślepca. Sam oceń, co lepsze.

Quetzalcoatl ruszył przed siebie, a po kilku krokach ostatni raz obejrzał się przez ramię.

Idziesz ze mną? – pytał bez słów.

Idę – sługa mimowolnie skinął głową.

***

Niebo znów ciemniało od chmur.

– Dlaczego tak szybko?! – pieklił się Quetzalcoatl.

Sądził, że będzie miał choć kilka dni na rozpoznanie, tymczasem czarna śmierć narzuciła mordercze tempo. Przyspieszył. Bardziej już biegł niż szedł, wciąż jednak trzymając możliwie dostojny krok. Ci, których szukał, muszą zrozumieć, że z odsieczą przybywa sam bóg.

Przebijali się z coraz większym trudem. Na podobieństwo murów, wznosiły się przed nimi grube warstwy mokrego pyłu. Później trafili na głębokie doły, które miejscowi w niebywałym heroizmie musieli wykopać przy pomocy rąk. Bliżej buszu niczym sekwencje przeszkód czekały sterty rozrzuconych gałęzi i konarów, niezgrabny rów z wodą, w końcu kolejne usypiska pyłu, które – co Pierzasty Wąż pojął ze zgrozą – musiały być zrobione w dużej mierze z ludzkich szczątków. Każdą z przeszkód forsowali z wysiłkiem. Tracili czas. Gdy w końcu dotarli do buszu, Quetzalcoatl zdał sobie sprawę, że jeśli w ogóle mogli to zrobić, to tylko dlatego, że wcześniej czarna śmierć przetrzebiła zasieki lasu.

Błysk. Huk. I pierwsze ledwie wyczuwalne drżenie, zwiastujące nadejście obsydianowych morderców.

– To za szybko! – wściekał się Pierzasty Wąż.

Nie dostał nawet szansy, by przygotować się do starcia.

I czym ja mam z nimi walczyć?! – pytał siebie w myślach.

Bóg nieba, wiatru, ziemi – wszystko to przepadło, jak pałace, piramidy schodkowe, pływające ogrody.

Im dalej zapuszczali się w busz, tym trudniejszy czekał na nich teren. Bagna, ukryte doły, zwodnicze ścieżki, zagrodzone przejścia. I tylko po niewidzialnych wybrańcach ani śladu.

Niebo grzmiało niczym w furii. Serie rozbłysków rozdzierały czerń sklepienia, a pogłos nadciągającej lawiny dochodził ich coraz wyraźniej.

– Za szybko! – powtarzał Pierzasty Wąż, wypatrując schronienia. Trzeba przetrwać, znaleźć sposób na zwycięstwo... – No, gdzie oni są?! – warknął, dając upust złości. – Wygląda, że zostaliśmy sami – dodał i obejrzał się na sługę.

Wtedy dopiero zdał sobie sprawę, że ten czołga się między zaroślami.

– Oni tu są – wyjaśnił Aztek, nie unosząc głowy. – Kryją się gdzieś pod ziemią.

– Podziemne miasto?! – Quetzalcoatl się ożywił.

– Nie, skąd. Prymitywne kryjówki. Tyle że doskonale zamaskowane.

– Widzisz ich?

Sługa pokręcił głową.

– Oni musieli tak żyć latami – ocenił. – Ocalali mieszkańcy to już zwykli ludzie buszu, którzy najlepiej dostosowali się do warunków. Nie znajdziemy ich, jeśli sami tego nie zechcą.

– Skąd więc...

– Natrafiłem na dwa doły – wyjaśnił sługa i podniósł się z ziemi. – Przysypane i porzucone. Najwyraźniej były zbyt widoczne.

– Ale dlaczego nie wychodzą do swojego boga? – pytał Quetzalcoatl, wciąż wyglądając niewidocznych wybrańców.

– Panie mój... – westchnął Aztek. – Jeśli jesteś potężnym bogiem, sam zdołasz zatrzymać czarną śmierć. Jeżeli nie potrafisz, staniesz się dla lawiny łatwą ofiarą, dzięki której oni zdołają uniknąć najgorszego.

– Zdrada – syknął Pierzasty Wąż.

W jednej chwili wszystko się w nim rozpadło. Zaraz też pojął, jak bezwzględnie drwiła z niego historia. Niegdyś Aztekowie bezskutecznie czekali na jego powrót. Teraz to on na próżno wypatrywał wyznawców.

Czarna śmierć przebijała się przez przeszkody. Quetzalcoatl odruchowo rozejrzał się za schronieniem, lecz po chwili stanął całkowicie wolny od strachu i odwaga ta w pewien sposób przepełniła go dumą.

Kamienie grzęzły w bagnach i chaszczach. Pierzasty Wąż czekał niewzruszony i chłodnym, beznamiętnym spojrzeniem rzucał wyzwanie czarnej śmierci: *No jak? Odważysz się ruszyć na bóstwo?*

Lawina wyraźnie zwalniała.

Więc jednak – Quetzalcoatl uśmiechnął się w duchu.

W pewnym momencie niemal zupełnie utknęła na usypiskach pyłu i Pierzasty Wąż z satysfakcją obserwował, jak kolejne kamienie z głuchym łoskotem zderzają się z coraz wyższą hałdą. Nadciągało ich więcej i więcej. I więcej. W końcu potężne usypisko obsydianu sforsowało przeszkodę i w mgnieniu oka wystrzeliło ku bogowi.

Quetzalcoatl runął. Przysypany przez stertę kamieni nie widział nic i tylko już walczył z własnymi instynktami, by nie szamotać się i godnie przyjąć swój zmierzch. Nie czuł bólu. Co najwyżej mrowienie, gdy zimny obsydian rozchodził się po jego ciele. Odnosił wrażenie, że część kamieni przyssała się do jego piersi, ale w żaden sposób nie mógł tego sprawdzić.

Żeby choć stracić przytomność – przemknęło mu przez myśl.

Nie wytrzymał. Targany pragnieniem przetrwania, usiłował kopać, wierzgać, zrzucać obsydianowych morderców, ale nie przynosiło to rezultatu. Odpuścił. Poczuł ostre, zdecydowane szarpnięcie i ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że lawina zsuwa się z jego ciała i powoli przebija w głąb buszu.

Quetzalcoatl leżał kompletnie oszołomiony. Czarna śmierć pozwoliła mu żyć. Dlaczego? Spojrzawszy na sługę, przekonał się, że i ten zdołał cudownie ocaleć. Obaj patrzyli w dal, obserwując szturm lawiny. Rozległ się przeraźliwy wrzask i Pierzasty Wąż zrozumiał, że czarna śmierć znalazła jednego z niewidzialnych.

Krzyki słyszał jeszcze kilkukrotnie. Za każdym razem jak przez ścianę. Dopadnięci odzywali się tylko raz, a Pierzasty Wąż wiedział już, że później obsydian atakował ich serca.

– Przeżyłeś? – mruknął do sługi.

– Nie mam serca. – Aztek wskazał na lewą stronę piersi.

– Jednak są na mnie zbyt słabe – stwierdził Pierzasty Wąż.

– Raczej pamięć o tobie wciąż zbyt mocna, o, wielki. Legendy bogów żyją dłużej. Ale mieszkańców nie ocalimy – odparł sługa z rezygnacją.

– Tak, nie ocalimy. Czarnej śmierci nie sposób zatrzymać – przyznał Quetzalcoatl, a każde słowo wyraźnie sprawiało mu ból. – Pomyliłem się – dodał z pokorą.

Aztek pierwszy raz pomyślał, że jego pan nie tyle się pomylił, co celowo odrzucił prawdę, rozważając jedynie te opcje, które dawały nadzieję na zwycięstwo. Nie miał jednak odwagi zapytać, jak było w rzeczywistości.

– To koniec – wyszeptał sługa.

Pierzasty Wąż zamilkł. Długi czas wpatrywał się bezmyślnie w jedno z drzew, a gdy czarna śmierć wracała z żeru, minąwszy go, nieoczekiwanie zwolniła.

– Pomyliłem się – powtórzył bóg w głębokim zamyśleniu. – Ale to jeszcze nie koniec...

– Panie, my... my naprawdę... – Sługa nie potrafił znaleźć odpowiedzi. – Nie zdołamy ocalić mieszkańców.

– To prawda. Ale nie po to tu przybyłem, pamiętasz? – Quetzalcoatl podniósł się, otrzepał z pyłu i wolnym krokiem ruszył za czarną śmiercią. – Wybrałem złą drogę. Teraz rozumiem.

– Panie, przecież... Tu nie ma właściwej drogi! – Sługa ruszył za Pierzastym Wężem. – Dokąd zmierzasz?

– Nad zatokę. Zamierzam stanąć na czele kamieni.

Sługą wstrząsnęło.

– Ale... – naprędce szukał odpowiednich słów – przecież one zabijają życie w Nowej Aztekii!

– Składają ofiary. Służą więc mnie – wyjaśnił Quetzalcoatl, teraz już całkowicie spokojny.

Później zmierzał nad zatokę, a Aztek zdał sobie sprawę, że jego pan w pewien sposób dopiął swego. Stanie na czele czarnej śmierci.

Znalazł nowy sposób, by znów być potężnym bogiem.

Link do opowiadania wraz z komentarzami:
https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/29555

Krzysztof Marciński – eksperymentator. Lubi bawić się słowem i formą, często sięgając po niekonwencjonalne rozwiązania. Pisze głównie opowiadania humorystyczne, zazwyczaj z dodatkiem absurdu, szaleństwa i odrobiny życiowej refleksji. Publikował w ***Fantastycznych Piórach***, „Histerii", ***Antologii Powroty*** Gmorków i ***Wszystkich Kręgach Piekła*** Phantom Books.

Lista ilustratorów i ilustracji

Agata Francik wykonała ilustracje do opowiadań:
Powiadają, że drzewa mają dusze
Ich zabawy
Nigdy nie chciałam zwykłego życia

Gosia Lewandowska wykonała ilustrację do opowiadań:
Mglistowie

Magdalena Ostrowska-Dołęgowska wykonała ilustracje do opowiadania:
Mistrz i Małgorzata

Daniel Kordowski wykonał ilustracje do opowiadania:
Pani Metamorfoz
Miłość Schrödingera

Malwina Kozłowska wykonała ilustrację do opowiadania:
Bogu niech będą dzięki

Dominika Wojtylak wykonała ilustrację do opowiadania:
Marsjański Gambit

Podziękowania

Fantastyczne pióra to wspólne dzieło wielu osób skupionych wokół portalu fantastyka.pl.

Spośród kilkuset opowiadań opublikowanych na stronie w roku 2022, Loża Nowej Fantastyki wybrała kilkanaście, które zostały wyróżnione brązowym piórkiem. Teksty przeszły następnie redakcję, korektę oraz weryfikację. Zadania tego podjął się zespół Fantastycznych piór.

W tym roku w jego skład weszły następujące osoby: Weronika Borek-Marciniec, Wiktor Matyszkiewicz, Michał Pięta, Irka Luz, regulatorzy, Paweł Wącławski, Rafał Łoboda, Dariusz Skrzydło, Anna Grzanek, Agnieszka Zasadzka, Bogumiła Strzelec, Grzegorz Kałużny, Paulina Klimentowska, Lidia Gręda, Filip Duval, Sylwia Finklińska, Anna Dudało, Maria Anna Barć, Mateusz Pawlak, Radek Puchała, Jakub Kubal oraz Michał Rybiński. Serdecznie Wam dziękuję za świetną współpracę, poświęcony czas i zaangażowanie.

Chcę również gorąco podziękować ilustratorom, którzy podjęli wyzwanie, by przedstawić swoją wizję opowiadań: Agacie Francik, Malwinie Kozłowskiej, Dominice Wojtylak oraz Gosi Lewandowskiej. Magdalena Ostrowska-Dołęgowska oraz Daniel Kordowski postanowili we własnym zakresie zilustrować swoje opowiadania. Brawa dla was!

Przygotowaniem okładki i oprawą graficzną zajął się Sylwester Gdela, ilustrację na okładkę przygotowała Alicja Leszczyńska.

Dziękuję redakcji „Nowej Fantastyki" za objęcie antologii patronatem, a w szczególności Jerzemu Rzymowskiemu za wsparcie i dużo pozytywnej energii oraz Oli Klęczar za napisanie przedmowy.

Serdeczne podziękowania należą się Annie Dudało za cenne rady oraz skład antologii, a Michałowi Rybińskiemu za przygotowanie wersji elektronicznych.

Dziękuję Agencji Emotion Media i Mariuszowi Gawrysiakowi za projekt layoutu i zgodę, by wykorzystać go również w tym roku.

Szczególnie podziękowania kieruję do Weroniki Borek-Marciniec za rady, poszukiwanie ilustratorów oraz wparcie przy dystrybucji antologii, a także dla Miki Modrzyńskiej za rekomendację na okładce. Firmie Agile IT Michał Rybiński dziękuję za pomoc przy dystrybucji, obsłudze księgowej i informatycznej. Radkowi Puchale i Pawłowi Wącławskiemu za sprawne rozwiewanie każdej z bieżących wątpliwości na każdym etapie pracy nad antologią.

Przede wszystkim jednak chcę podziękować samym autorom za napisanie naprawdę świetnych opowiadań, za współpracę i wspólne pokonywanie przeciwności. Z całego serca życzę, by niniejszy zbiór okazał się początkiem literackiej drogi. Współpraca z wami stanowiła dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Na koniec chciałbym zachęcić wszystkich czytelników, którzy jeszcze tego nie zrobili, do odwiedzenia portalu fantastyka.pl. Miejsca, które nieraz zaskoczyło mnie masą ciekawych pomysłów, profesjonalizmem i otwartością. A fantastyczne jest nie tylko z nazwy.

Krzysztof Rarocki
Redaktor prowadzący

www.fantastyka.pl/antologia

www.fantastyka.pl/antologia

www.fantastyka.pl/antologia

www.fantastyka.pl/antologia

www.fantastyka.pl/antologia

W przygotowaniu:

Fantastyczne pióra 2023
Antologia portalu fantastyka.pl